

ANNA KANTOCH



TAJEMNICA NAWIEDZONEGO LASU



Anna Kańtoch

TAJEMNICA NAWIEDZONEGO LASU



Copyright © by Anna Kańtoch, MMXV

Wydanie I

Warszawa

Spis treści

Rozdział pierwszy, w którym Nina dochodzi do wniosku, że panuje spokój, nie wie jednak, jak bardzo się myli.

Rozdział drugi, w którym Nina po raz pierwszy słyszy o zagadce chaty węglarza, a poza tym używa mocy i potem bardzo tego żałuje.

Rozdział trzeci, w którym Nina jest przesłuchiwana, a Mariusz dostaje czerwoną kartkę.

Rozdział czwarty, w którym Nina oraz jej przyjaciele idą do wioski, gdzie natykają się na kolejne tajemnice.

Rozdział piąty, w którym Nina oraz jej przyjaciele zbierają informacje, a także dowiadują się, czym grozi ucieczka.

Rozdział szósty, w którym Nina dostaje coś, czego wcale nie chciała, znajduje drzwi i zostaje poddana testom.

Rozdział siódmy, w którym Nina dowiaduje się, co kryje mgła, a potem jest już tylko gorzej.

Rozdział ósmy, w którym Nina pyta o porucznika Lisa, a potem ogląda zwłoki.

Rozdział dziewiąty, w którym Nina znowu zmienia pracę, a Hubert zostaje zabrany do kościoła.

Rozdział dziesiąty, w którym przyjaciele poznają tajemnicę wymarłej wioski – a przynajmniej jedną z tajemnic.

Rozdział jedenasty, w którym Nina poznaje historię węglarza, a upiory znowu się pojawiają.

Rozdział dwunasty, w którym Nina przeszukuje archiwum i odkrywa sekret Huberta.

Rozdział trzynasty, w którym Nina dowiaduje się, co oznacza czerwona kartka, a także dostaje propozycję nie do odrzucenia.

Rozdział czternasty, w którym Nina spędza noc w towarzystwie upiorów.

Rozdział piętnasty, w którym Nina wraca do domu i za późno się orientuje, co miała na myśli wróżka.

Rozdział pierwszy, w którym Nina dochodzi do wniosku, że panuje spokój, nie wie jednak, jak bardzo się myli.

Pióro zawisło w powietrzu, atrament kapnął na czystą kartkę.

4 listopada 1953 roku, napisała Nina wyraźnym, lekko pochyłym pismem.

Od dwóch miesięcy panuje spokój. Przechyliła głowę i przyjrzała się krytycznie temu, co napisała. Nie był to najlepszy początek, ale przynajmniej jakoś zaczęła.

W sierpniu wróciłam z wakacji, które zmieniły moje życie, dopisała. Byłam w Markotach, w starym klasztorze, dokąd pewien anioł zaprosił mnie oraz dwanaścioro innych nastolatków. Tam dowiedziałam się, że skrzydlaci tak naprawdę nie są aniołami, tylko przybyszami z innej planety. Udają anioły, aby ludzie łatwiej ich zaakceptowali, i zmieniają nasz świat, żeby była w nim magia, bo tylko w takiej rzeczywistości mogą żyć.

Tworzą także wybrańców mających za zadanie bronić skrzydlatych przed ich odwiecznymi wrogami, którzy przybyli za nimi z gwiazd. W tamte wakacje anioł miał znaleźć wśród nas wybrańca, ale okazało się, że chłopak, który nim był, zmarł, zanim dotarł do klasztoru, a my, czyli pozostała dwunastka, tak jakby odziedziczyliśmy jego zdolności, każdy po jednej.

Nikt, nawet anioły, nie wie, jak to zadziałało, ale mnie się dostała bystrość. Mam także coś w rodzaju zdolności magicznych, które ujawniają się tylko o świcie albo zmierzchu, albo kiedy pada deszcz. To z kolei związane jest z magią Markotów.

Podsumowując więc, jestem jedną dwunastą stworzonego przez anioły wybrańca i mam moc, której nie potrafię kontrolować.

Znam również tajemnicę skrzydlatych i nie sędzę, żeby mnie za to lubili.

Poza tym mnie oraz pozostałych nastolatków z Markotów prawdopodobnie szukają ONI, ludzie w mundurach, komuniści, którzy nie wierzą ani w Boga, ani w anioły. Jeśli nas znajdą, będą na nas eksperymentować, żeby się dowiedzieć, jak działa nasza magia. Oczywiście nie jestem tego pewna, ale wolalabym nie sprawdzać. ONI są znani z tego, że przychodzą w środku nocy, a potem zamykają cię w więzieniu i wrywają ci paznokcie.

Jak powiedziałby anioł, którego poznałam w Markotach, oznacza to, że mam przerąbane.

A najgorsze jest to, że nie wiem, komu ufać.

Nina przebiegła wzrokiem tekst, poprawiła dwa przecinki, a potem wybrańca na Wybrańca – zmarły Sławek niewątpliwie zasługiwał na wielką literę. Chwilę później wyrwała kartkę, zmięła ją w kulkę i wrzuciła w czeluść rozgrzanego kuchennego pieca.

Od początku wiedziała, że nie będzie prowadziła tego pamiętnika – nie miała gdzie schować zeszytu i tylko cały czas by się denerwowała, że ktoś go przypadkiem znajdzie i przeczyta. Jednak napisanie tego wszystkiego przyniosło jej trochę ulgi. To nie to samo co zwierzenie się komuś, ale prawie.

W kuchni było gorąco, na piecu gotował się krupnik, pachniało zupą i świeżym ciastem. Nina obrała parę ziemniaków, pokroiła je, po czym dorzuciła do garnka. Akurat gdy zmiękły, w zamku zazgrzytał klucz i do mieszkania weszła mama, odwijając z szyi długi szalik. Jej włosy były wilgotne od deszczu, w kącikach ust jak zawsze rysowały się głębokie, smutne bruzdy.

– Zupa gotowa? – zapytała.

– Tak – odparła Nina.

– Jak się czuje Szymek?

– Chyba lepiej. – Kiedy ostatni raz do niego zaglądała, młodszy brat spał, oddychając nieco swobodniej, a w płucach już mu tak nie charczało. Szymek miał słabe zdrowie i gdy tylko robiło się trochę zimniej, łapał przeziębienie za przeziębieniem. W zeszłym roku chorował z przerwami od października do marca, a zimą pożegnał zapaleniem oskrzeli. Rodzice mieli nadzieję, że w tym będzie inaczej, na razie jednak się na to nie zanosilo.

– To dobrze. – Mama zdjęła płaszcz. W jej głosie słychać było ulgę, ale nie prawdziwą radość. Jadwiga Pankowicz nie potrafiła się cieszyć, nie tak naprawdę. – Lekcje odrobiłaś?

– Tak. Posprzątałam też pokój i dałam Szymkowi tabletki. Mogę wyjść na spacer z Królikiem? Wrócę, zanim się ściemni.

Matka przyglądała się przez chwilę Ninie, jakby szukając pretekstu, żeby tego zabronić, a kiedy go nie znalazła, skinęła krótko.

– Tylko się nie spóźnij.

Poszła do pokoju i patrzyła, jak córka się ubiera. Na twarzy miała wypisany niepokój.

– Nino?

– Hm? – mruknęła dziewczyna z głębin wciąganego przez głowę swetra.

– Nie robisz nic głupiego, mam nadzieję?

– Nie. – Zastanowiła się przelotnie, o co matce może chodzić. Palenie papierosów za szkołą? Umawianie się z chłopakami? Tak czy inaczej, raczej nie o anielskie tajemnice oraz magiczne moce, więc mogła odpowiedzieć w miarę uczciwie.

– To dobrze – powtórzyła Jadwiga Pankowicz. – To nie jest dobry czas na kłopoty.

Jakby kiedykolwiek był, pomyślała Nina. Wiedziała jednak, że matka ma trochę racji – teraz, kiedy Szymek znowu zaczął chorować, rodzice nie mieli głowy do problemów córki. Był to jeden z powodów, dla których zdecydowała, że wydarzenia z ostatnich wakacji zachowa w tajemnicy. Drugim było to, że matka za bardzo aniołom ufała i prawdopodobnie nie uwierzyłaby Ninie, gdyby ta oznajmiła nagle: „Hej, a wiesz, że skrzydlaci nie są wysłannikami Boga, tylko obcymi z kosmosu? I w dodatku wykorzystują nastolatków takich jak ja do walki z potworem, którego pewnie nazwałabyś diabłem”. Ojciec... ojciec może by uwierzył, ale on z kolei był podporządkowany matce i w dodatku trochę zbyt łatwo się złościł. Dlatego po powrocie z wakacji sprzedała rodzicom historię o tym, jak to w klasztorze wydarzył się wypadek, jedno z dzieci zaginęło w lesie, a ona musiała wcześniej wracać.

– Nadal przyjaźnisz się z Agnieszką? – Jadwiga Pankowicz podążyła za córką do przedpokoju, gdzie dziewczyna zajęła się wiązaniem butów. – Ona ma na ciebie zły wpływ...

Agnieszka miała tyle lat co Nina, czyli trzynaście, ale wyglądała na szesnasto-, a nawet siedemnastolatkę. Czasem kłamała, że chodzi do liceum, a potem umawiała się ze studentami z wrocławskiego uniwersytetu, piła z nimi kawę i dyskutowała o egzystencjalizmie (to proste, poinstruowała Ninę, siedzisz z ponurą miną i mówisz, że życie jest bez sensu, a Sartre ma rację). Nina nie wiedziała, czy jest bardziej zazdrosna, czy może przerażona – sama chyba nie zdobyłaby się na odwagę, żeby na takie spotkanie pójść. Na szczęście ten problem jej nie dotyczył, od wakacji urosła co prawda kilka centymetrów, ale lustro nadal mówiło wyraźnie, że minie sporo czasu, zanim jakkolwiek student zaprosi ją do kawiarni.

– Nie widzimy się już tak często. – To była prawda, od nowego roku szkolnego jej przyjaźń z Agnieszką zaczęła się trochę rwać. Nie pokłóciły się ani nic takiego, po prostu coraz częściej okazywało się, że każda z nich ma

swoje sprawy. Poza tym Agnieszka chyba czuła, że koleżanka coś przed nią ukrywa.

– I nie zakochałaś się przypadkiem? – indagowała dalej matka.

– Nie. – Tym razem Nina mogła być nie tylko w miarę, ale na sto procent uczciwa.

– To dobrze. Masz na to czas. – Jadwiga Pankowicz wyglądała na lekko rozczarowaną, jakby zakochanie, choć niepożądane, było przynajmniej jakimś wyjaśnieniem.

– Mamo, o co właściwie ci chodzi? – Nina zirytowała się lekko. – Przecież nic złego nie robię.

– Może właśnie dlatego się martwię. – Kobieta wciąż wyglądała na zaszępiłą, pionowa zmarszczka przecinała jej czoło. – Kiedy człowiek ma dorastające dziecko, zaczyna spodziewać się kłopotów.

– Mogę rozbić parę szyb – zaproponowała Nina usłudze. – Albo umówię się z panem Heniem, chcesz?

Pan Henio mieszkał piętro wyżej, był trochę upośledzony i za każdą dziewczyną, która skończyła dziesięć lat, wołał: „Hej, panienko, pójdziesz ze mną na lody?”.

– Ani się waż – warknęła Jadwiga Pankowicz, która była pozbawiona poczucia humoru. – Mówiłam ci, że nie potrzebuję problemów.

Nina zrezygnowała z wytknięcia matce niekonsekwencji i przejrzała się w lustrze, jak zawsze ostatnio z lekką niechęcią obserwując własne odbicie. Wyglądała tak... rozczarowująco zwyczajnie. We wrześniu, zaraz po powrocie z wakacji, poszła do fryzjera i poprosiła o ostrzyżenie na chłopaka – z wielkim bólem, bo włosy miała bardzo ładne, długie i gęste. Zrobiła to jednak, żeby ONI jej nie poznali, z tego samego powodu zrezygnowała też na jakiś czas ze strojnych sukienek z falbankami i zaczęła nosić proste spódnice, a nawet spodnie. Teraz zastanawiała się, czy ten kamuflaż w ogóle ma sens – może nikt tak naprawdę jej nie szukał?

Poprawiła grzywkę, która skręcała się nad czołem w niepokorne kasztanowe loki – od września włosy urosły nieco, nadal jednak daleko im było do dawnej długości – westchnęła i obiecując matce, że „nie zrobi nic głupiego”, wyszła z domu.

W mieszkaniu na parterze powitał ją entuzjastycznie seteropodobny kłab rudej sierści na czterech łapach, czyli Królik, który niecodzienne imię

zawdzięczał temu, że z jakiegoś powodu bardzo lubił surowe warzywa. Właścicielka kundelka, starsza pani, dwa tygodnie temu złamała biodro i od tego czasu życzliwi sąsiedzi wyprowadzali jej pupila. Zwłaszcza Nina polubiła zarówno zwierzaka, jak i te spacer, a pies polubił ją.

– Królik, do nogi – powiedziała, zapinając smycz.

Pies ani myślał słuchać, tylko tańczył wokół niej, jakby miał w nogach sprężyny, skomlał z radości i próbował lizać dziewczynę po rękach. Uspokoił się dopiero na ulicy, kiedy z wywieszonym językiem popędził w stronę parku. Na drugim końcu naprężonej linki, przeskakując błotniste kałuże, gnała Nina. Nie padało, ale w powietrzu wisiała osiadająca na włosach i rzesach lepka wilgoć. Niebo miało kolor lodowatego błękitu, osuwające się coraz niżej słońce podświetlało czerwienią postrzępione białe chmury. W koronach drzew buszował wiatr, który strącał z gałęzi ostatnie liście, poskręcane i zbrązowiałe niczym zasuszone owady. Jeszcze niedawno świat mienił się wszystkimi kolorami jesieni, a teraz nagle poszarzał, jakby nadciągająca zima wyssała z niego wszystkie barwy.

W parku Nina spuściła Królika ze smyczy, a potem znalazła patyk i rzuciła psu. Patrząc, jak kundel robi fikołka w zeschniętych liściach, myślała o tym, co napisała na kartce.

Przez ostatnie dwa miesiące panował spokój.

To była prawda. Od powrotu z wakacji prowadziła zupełnie zwyczajne życie wzorowej córki i uczennicy, rano szła do szkoły, po południu odrabiała lekcje, gotowała obiad i sprzątała. Wieczorem czasem wychodziła gdzieś z Agnieszka, ale najczęściej zostawała w domu, czytała, przeglądała z ojcem albumy poświęcone malarstwu albo ogrywała młodszego brata w karty. To było całkiem miłe życie, dokładnie takie, do którego tęskniła, kiedy latem działały się te wszystkie zwariowane rzeczy. Życie, gdzie przygody są tylko w książkach, które człowiek czyta, popijając gorące kakao, miło opatulony kocem.

Życie, w którym Ninie coraz bardziej czegoś brakowało.

To nie jestem ja, pomyślała, podnosząc patyk i rzucając go Królikowi. A przynajmniej nie do końca ja. Ja jestem dziewczyną, która wyskoczyła z jadącego pociągu i wymyśliła, jak pokonać Bestię z Kręgu.

Jestem kimś więcej niż tylko grzeczną córką i wzorową uczennicą. I nie chcę do końca życia gotować obiadów ani sprzątać, nie znoszę gotowania i sprzątania.

Rozejrzała się niespokojnie, jakby ta deklaracja mogła ściągnąć na nią niebezpieczeństwo, ale wokół nie było żywej duszy, tylko na starym buku

przysiadła wrona, która przyglądała się paciorkowatymi oczami. Wiatr ucichł, słońce było coraz bliżej horyzontu i Nina poczuła, jak budzi się w niej magia. Pulsowała w żyłach, jakby głęboko we wnętrzu dziewczyny zaczęło bić drugie serce. Nina odetchnęła, a potem spojrzała na sękaty konar.

Chcę, żeby się złamał, pomyślała.

No dalej, rusz się!

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo, tylko powietrze zgęstniało jak przed burzą, aż wreszcie coś w umyśle Niny zwinęło się, a potem rozprostowało, niczym dodatkowy mięsień. Gałąź się złamała: najpierw cichy trzask, a ułamek sekundy później ogłuszający huk pękającego pnia. Nina odskoczyła, odruchowo zasłaniając twarz, kiedy buk wybuchł, sypiąc wokół kawałkami kory i drewna. Niedaleko rozległ się, urwany nagle, bolesny skowyt.

– Królik? – krzyknęła w panice. – Gdzie jesteś?

Przez opadający drewniany pył zobaczyła psa, który kuśtykał do niej na trzech łapach. Prawą przednią trzymał podkuloną pod brzuchem.

– Królik, piesku, chodź do mnie!

Opadła na kolana obok zwierzęcia i pogłaskała je po łbie.

– Nie chciałam! Przepraszam, naprawdę nie chciałam! Pokaż, gdzie cię boli?

Królik wyrwał się jej, kiedy sięgnęła po łapę, i odbiegł kilka kroków. Chwilę później pędził już radośnie na czterech nogach, jakby nic się nie stało.

Nina odetchnęła, czując, jak rozluźnia się obręcz ściskająca ją za gardło.

Jasna cholera.

Pora spojrzeć prawdzie w oczy, pomyślała, gapiąc się w miejsce, gdzie jeszcze niedawno rośło drzewo, a teraz sterczał mniej więcej trzymetrowy, poszarpany kikut. Wcale nie było lepiej niż na początku, kiedy zaczynała ćwiczyć. Ani trochę.

Mogła zginąć, gdyby jedna z tych gałęzi uderzyła ją w głowę. Albo zabić niewinnego psa.

Posługiwanie się magią przypominało próbę trzymania w rękach wyrwijącego się śliskiego węgorza. Czasem się udawało, przez kilka sekund wyglądało na to, że Nina panuje nad tym, co robi, ale zaraz potem moc wyrwała się spod kontroli i działy się takie rzeczy jak teraz. Drzewa wybuchały, szyby się tłukły, z półek spadały wszystkie przedmioty.

W Markotach zraniłaś Lidkę, a teraz omal nie zabiłaś psa. Daj sobie z tym spokój.

Do kitu z taką mocą. Co komu po magii, która nie dość, że działa tylko w określonych sytuacjach, to w dodatku nie można jej kontrolować?

Gdyby to była bajka, pomyślała Nina, zjawiłby się teraz czarodziej z długą brodą, który nauczyłby mnie, jak okiełznać moc. Ale czarodzieja nie było, Nina nadal stała sama na pożółkłej, zasłanej szczątkami drzewa trawie. Mrok wokół gęstniał, pasma zimnej mgły snuły się między drzewami, wydłużając odległe poszczekiwanie psa.

Może najwyższa pora zapomnieć o tym, że w ogóle mam jakąś moc, i pogodzić się z tym, że jestem zwyczajną dziewczyną. No, prawie zwyczajną, bo bardziej bystrą niż inne, ale w sumie na to samo wychodzi. Ani anioły, ani ludzie w mundurach wcale się mną nie interesują.

Nie była pewna, czy jest z tego powodu szczęśliwa, czy może jednak trochę rozczarowana.

– Spóźniłaś się – powitała ją matka z odrobiną posępnej satysfakcji. – My z tatą już jedliśmy, dla ciebie zostało trochę zupy. – Jadwiga Pankowicz zmarszczyła brwi. – Masz jakieś drzazgi we włosach. I brudne kolana. Coś ty robiła na tym spacerze?

– Królik pociągnął za linkę i się przewróciłam. – Drobne kłamstwa weszły Ninie ostatnio w krew. Czasami miała z tego powodu poczucie winy.

Przebrała się, umyła ręce i usiadła przy stole. Rodzice nie pozwalali jej czytać przy jedzeniu, ale teraz była w kuchni sama, korzystając więc z okazji, sięgnęła po gazetę. Przejrzała wiadomości polityczne (gazety kłamią, mówił ojciec, trzeba czytać między wierszami), potem zerknęła na pogodę (zapowiadali opady deszczu) i wydarzenia codzienne.

Niedaleko Poznania miał miejsce wypadek, pociąg osobowy wypadł z torów. Na szczęście nikt nie zginął, tylko cztery osoby zostały ranne.

W Zabrze urodziły się czworaczki.

W Lubomierzu spalili się rodzice dwunastoletniego Michała. Milicja nie znalazła przyczyny pożaru.

Nina jadła machinalnie krupnik, wcale nie czując smaku. Jedna łyżka, druga, trzecia. Litera tańczyły jej przed oczami, z pieca buchał żar, a w szyby zaczęły uderzać pierwsze krople drobnego deszczu.

Gdzieś czytała o podobnym wypadku, tylko gdzie?

Zerwała się nagle i rzuciła w stronę węglarki, za którą leżał stos gazet na podpałkę. Przejrzała „Trybunę Ludu”, a potem „Express Wieczorny”.

Jest, znalazła.

Siedemnastego października w Gołdapi miał miejsce inny tajemniczy

wypadek, kiedy na boisku szkolnym ni stąd, ni zowąd zmarło trzech chłopców. Mieli po czternaście lat i na nic nie chorowali – nagle po prostu przewrócili się i po kilku minutach przestali oddychać. Towarzyszący im czwarty, nieco młodszy chłopiec twierdził, że nie ma pojęcia, co się stało. Nikt niczego nie widział ani nie słyszał.

A jeszcze wcześniej w Katowicach, w mieszkaniu przy ulicy 1 Maja, zawalił się strop, grzebiąc pod gruzami pięcioosobową rodzinę. Żywa pozostała tylko trzynastoletnia Berta.

Nina wlała resztę zupy do garnka, bo nagle zupełnie straciła apetyt. Była zła na siebie, że wcześniej nie zwróciła uwagi na te wypadki. Wiedziała przecież, co je ze sobą łączy.

Obecność nastolatka mniej więcej w wieku Niny. I magia, bo o ile sufit mógł się po prostu zawalić, o tyle pożar bez przyczyny czy tym bardziej nagłą śmierć trzech zdrowych chłopców trudno było wyjaśnić przyczynami naturalnymi.

Ciekawe, czy dzieci, które przeżyły, też spędziły lato w miejscu takim jak Markoty? Może nawet wśród nich był ktoś z dawnych kolegów i koleżanek Niny, gazety nie podawały przecież nazwisk, a imiona zmieniały „dla bezpieczeństwa osób przedstawionych”.

Poczuła, jak nagle robi jej się zimno. To nie była przygoda, o jakiej marzyła jeszcze godzinę temu, ale coś złowrogiego i ponurego. Może nawet gorszego niż to, co przeżyła w Markotach.

Następny dzień zaczął się fatalnie, bo Nina zasnęła, co zdarzało się tak rzadko, że poganiająca ją matka zapytała z troską, czy przypadkiem nie jest chora. Lecz Nina nie była chora, tylko niewyspana – poprzedniego wieczora najpierw długo nie mogła zasnąć, a potem przez całą noc dręczyły ją koszmary, w których krzycząc „Nikomui nie powiem!”, uciekała ciemnymi korytarzami przed aniołem o lśniących jak rtęć oczach.

Później było tylko gorzej.

Pierwszą lekcją była łacina z panią Koniecpolską, surową kobietą o wiecznie skrzywionych ustach i oczach skrytych za okrągłymi okularami. Nauczycielka mówiła monotonnym głosem, pisząc na tablicy, kreda skrzypiała, o szyby dzwonił jesienny deszcz. Nina czuła, jak powieki same opadają. Naprawdę starała się utrzymać otwarte oczy i przez jakiś czas strach przed łacinniczką bardzo w tym pomagał, wreszcie jednak znużenie wzięło

górze.

Minutę później ocknęła się gwałtownie, kiedy siedząca obok Agnieszka wsadziła jej łokieć pod żebra.

– Słucham? – powiedziała Nina odruchowo, w ostatniej chwili przypominając sobie, że nie należy mówić „Co?”.

Wszyscy na nią patrzyli, cała klasa. Oczywiście tych siedzących z tyłu nie mogła widzieć, ale i tak czuła utkwione w niej spojrzenia.

Nauczycielka, która też patrzyła wyczekująco, najwyraźniej właśnie o coś pytała.

– Śpiąca Królewna przypomni nam, co to jest supinum – powtórzyła głosem dobrze wychowanej jaszczurki. – Pamiętasz? Uczyliśmy się o tym w zeszłym roku.

Supinum? Nina wiedziała, że coś takiego istnieje, ale poza tym w jej pamięci rozciągała się czarna dziura, nic, zero, żadnego pojęcia, czym to cholerstwo mogłoby być. Czasownik czy rzeczownik, a może jeszcze inna część mowy?

To zdarzało się już wcześniej, bo latem, w Markotach, Bestia z Kręgu wyżarła Ninie fragmenty pamięci. Nie było ich wiele – ot, imię jakiejś dalszej ciotki czy wspomnienie z pierwszej klasy. W większości nic takiego, z czym nie można by sobie poradzić.

W większości, jak właśnie się okazało.

– Nie pamiętam – powiedziała ze wstydem.

Pani Koniecpolska skrzywiła się.

– Siadaj, dwója. Bardzo mnie rozczarowałaś, Nino.

Dziewczyna usiadła, spuszczać głowę. Jedna dwója to jeszcze nie tragedia, pocieszała się w duchu, choć akurat z łaciny trudno było odrobić złą ocenę. Może mama nawet się ucieszy, że sprawiam jakieś problemy? – pomyślała z wisielczym humorem.

Jednak najbardziej bolało rozczarowanie nauczycielki. Nina nie lubiła ani pani Koniecpolskiej, ani łaciny, a mimo to coś w niej, ta część, która wciąż była grzeczną dziewczynką i pilną uczennicą, nie chciało sprawić kobiecie zawodu.

Matematyka była w porządku, ale na biologii Nina znowu miała pecha, bo nauczyciel wywołał ją do odpowiedzi.

– Panna Pankowicz opowie nam, co wie o pasożytach w ludzkim organizmie.

Nina o pasożytach wiedziała niewiele, nie cierpiała bowiem biologii – od samego patrzenia na obrazki wijących się paskudztw dostawała mdłości.

Dlatego wczoraj tylko przejrzała materiał, licząc, że coś tam zostanie jej w głowie i w razie czego będzie potrafiła odpowiedzieć. Niestety tego, co zapamiętała, wystarczyło zaledwie na wymęczoną, wyciągniętą za uszy trójcę, a Nina wróciła do ławki spocona jak mysz i czerwona ze wstydu. Tym razem nie mogła zasłaniać się Bestią z Kręgu, tym razem sama była sobie winna.

– Nic nie mów – mruknęła do Agnieszki, kiedy po trzeciej lekcji siedziały na schodach prowadzących na strych.

Z niższych pięter dobiegały wrzaski biegającej po korytarzach dzieciarni i surowe głosy dyżurujących nauczycieli, wyżej mało kto się zapuszczał, więc miały tu względny spokój.

– W porządku. – Agnieszka wzruszyła ramionami. – Ale nie jesteś chora ani nic takiego?

– Nie, tylko trochę zmęczona. – Przez chwilę Ninę kusiło, żeby opowiedzieć o wszystkim jasnowłosej przyjaciółce. Właściwie powinna zrobić to już dawno, przecież znały się od dziecka i zawsze sobie ufały, ale za każdym razem coś ją powstrzymywało. Może przekonanie, że nikt, kto nie był latem w Markotach, nie zrozumie tego, co tam się stało. Albo świadomość, że Agnieszka, choć bystra i rozsądna, była też bardzo zwyczajną dziewczyną i interesowały ją zwyczajne rzeczy. Gdyby chodziło o problemy z chłopakami czy coś w tym rodzaju, Nina od razu by się jej zwierzyła, ale magia i anioły... O tym Agnieszka nic nie wiedziała i prawdopodobnie wcale nie chciała wiedzieć.

Tak naprawdę Nina potrzebowała pomocy kogoś z Markotów, kto by ją zrozumiał. Mogłabym napisać do Tamary albo Jacka, pomyślała. Mieli swoje adresy i od wakacji wymienili po kilka listów; tylko parę, żeby nie kusić złego.

Na schodach zadudniły ciężkie kroki i po chwili nad poręczą pojawiła się głowa zasapanej pulchnej dziewczyny z siódmej B – Nina znała ją z widzenia, choć nie pamiętała, jak ma na imię. Franka? Stasia? Jakoś tak.

– Ty jesteś Nina, tak? – przywitała się Frankostasia. – Słyszałam, że tak jakby... zgadujesz różne rzeczy?

– Tak jakby – potwierdziła Nina.

– I trzeba ci zapłacić?

– Pięć złotych – wtrąciła się Agnieszka, po czym dodała pośpiesznie. – Jestem jej asystentką.

To ona wymyśliła regułę, że bez płacenia nie ma odpowiedzi. Jeśli zaczniesz to robić za darmo, argumentowała, ludzie bezustannie będą czegoś od ciebie chcieć i w końcu wejdą ci na głowę. Nina po namyśle przyznała jej

rację, zresztą pięć złotych to nie było przecież dużo. Minie sporo czasu, zanim taką metodą uzbiera na wynajęcie mieszkania na Baker Street.

– Dobra, dam ci pięć złotych, jeśli odpowiesz mi na jedno pytanie...

– No? – zachęciła ją Nina.

Frankostasia zarumieniła się i przestąpiła z nogi na nogę.

– Czy Krzysiek, wiesz, ten z siódmej C, czy on... No, czy ja mu się podobam?

– To nie takie proste – powiedziała Nina, która z trudem kojarzyła, o którego chłopaka chodzi. – Znaczy, mogłabym ci odpowiedzieć, ale nie teraz, musiałabym najpierw zobaczyć was razem...

– Czyli nie wiesz? – zirytowała się Frankostasia.

– Nie wiem – przyznała Nina. – Nie jestem wróżką.

Pulchna dziewczyna zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

– Od początku wiedziałam, że to bez sensu. Pójdę do madame Zulejki, ona będzie wiedziała.

– Głupia jesteś. – Agnieszka ziewnęła, kiedy Frankostasia zniknęła w dole schodów. – Trzeba było powiedzieć, że tak, i wziąć te pięć złotych. W końcu to całkiem prawdopodobne, że ona się komuś podoba, ma fajne ciuchy i jest całkiem ładna, choć mogłaby trochę schudnąć.

Nina skinęła z roztargnieniem.

– Kto to jest madame Zulejka? – zapytała.

Agnieszka zachichotała.

– Nie wiesz? Wróżka, taka prawdziwa. Chyba Cyganka, ale nie jestem pewna. Ma gabinet przy Komuny Paryskiej i prawie wszystkie dziewczyny ze starszych klas już u niej były. Każdej wywróżyła, że wyjdzie za mąż za przystojnego bogatego chłopaka.

– To znaczy, że kłamie.

– Bo ty tak wydedukowałaś? – Agnieszka uniosła brwi.

– Bo tak mówi statystyka. – Nina wzruszyła ramionami. – Dziewczyn w starszych klasach jest, niech policzę... jakieś osiemdziesiąt, może nawet dziewięćdziesiąt. Nie sędzę, żeby w całym Wrocławiu było tylu przystojnych bogatych chłopaków.

– Psujesz zabawę. – Agnieszka ziewnęła ponownie, tym razem bardziej demonstracyjnie. – Kiedyś byłaś inna.

– Wiem – mruknęła Nina. Ją też martwiło to, że odkąd zyskała zdolności detektywistyczne, jej wrodzony romantyzm coraz częściej przegrywał z także wrodzonym rozsądkiem.

– Wybierasz się do madame Zulejki? – zapytała Agnieszka. – Jak chcesz,

możemy pójść razem, będzie nam rażniej. Tylko jej trzeba zapłacić dużo więcej, pięćdziesiąt złotych albo paczkę dobrych papierosów.

– Nie mam pięćdziesięciu złotych ani paczki papierosów – mruknęła Nina.

– I wcale nie chcę iść do żadnej madame Zulejki.

Brakowało pięciu minut do końca przerwy, kiedy na schodach pojawił się Piotrek, piegowaty chłopak z klasy Niny. Pod pachą dźwigał opasłe tomisko i wyglądał na mocno wystraszonego.

– Nie mam pieniędzy – oznajmił bez wstępów. – Ale jeśli mi pomożesz, dam ci to. – Podał jej książkę.

Nina przeczytała tytuł: *Psychiatria kliniczna*.

– Jest gruba, tak jak lubisz – w głosie chłopaka brzmiała desperacja.

– Za to akcja kuleje, co?

– He?

– Nieważne – mruknęła Nina, przeglądając książkę. Była stara, miała złamany grzbiet i wypadały z niej kartki.

– Mamie nie będzie jej brakować – zapewnił pośpiesznie Piotrek. – To jak, pomożesz?

– Niech zgadnę. – Dziewczyna zamknęła *Psychiatrię*. – Miałeś zanieść ją dziś po szkole do introligatora?

– O! – Chłopak wytrzeszczył oczy. – Ty naprawdę wiesz różne rzeczy!

– To nie było takie trudne. – Nina skrzywiła się lekko. – I nie mogę wziąć książki, która należy do kogoś innego.

– Powiem mamie, że nie dało się jej naprawić. Nie bądź świnią, naprawdę cię potrzebuję!

Nina westchnęła, ignorując ostrzegawcze spojrzenia rzucane przez Agnieszkę.

– Dobra, zrobimy tak: pożyczę od ciebie tę książkę do jutra i w zamian za to spróbuję pomóc.

– Super, to powiedz, co będzie dziś na klasówce z historii. Muszę mieć dobrą ocenę, rozumiesz? Ojciec powiedział, że jeszcze jedna dwójka i nici z obozu na zimę! Próbowałem się uczyć, serio, ale tego jest za dużo, w domu...

– Cicho. – Nina machnęła ręką i Piotrek umilkł posłusznie, gapiąc się na nią wielkimi oczami.

W pierwszej chwili chciała odruchowo powiedzieć, że nie ma pojęcia, co będzie na klasówce, ale może mogłaby, tak jakby... zgadnąć? Jak Sherlock Holmes dedukujący z różnych drobiazgów. Przywołała w pamięci moment, gdy pan Bojanowicz zapowiedział sprawdzian, jego wyraz twarzy, wzrok

błądzący po klasie...

– Błagam – jęknął Piotrek.

Ostry dźwięk dzwonka wypełnił korytarze i wymiół z nich rozwrzeszczaną dzieciarnię.

– Naucz się o traktacie wersalskim – powiedziała Nina, wstając. – Masz dwie godziny.

– Dzięki. – Piotrek odwrócił się i zbiegł ze schodów, Agnieszka też się podniosła.

– Zmyśliłaś to – powiedziała, kiedy szły w stronę klasy.

Nina nie odpowiedziała, bo sama nie była pewna, co właśnie przed chwilą zrobiła. Polski i plastyka minęły spokojnie, a potem nadeszła historia. Pan Bojanowicz polecił im schować zeszyty i rozdał kartki. W klasie zrobiło się cicho, słychać było tylko kroki nauczyciela spacerującego pomiędzy rzędami ławek i niespokojne oddechy uczniów.

Na zewnątrz znowu się rozpadało, strugi listopadowego deszczu uderzały o okno, szyby spływały wodą, rozmazując widok na rozkołysane wiatrem nagie drzewa. Nina wstrzymała oddech, odwracając wzrok od zadowolonego z siebie, pełnego nadziei Piotrka. Nie była pewna, czy będzie w stanie spojrzeć mu w oczy, jeśli jednak się pomyliła.

– Jedno pytanie – powiedział pan Bojanowicz. – Wymień główne postanowienia traktatu wersalskiego oraz ich skutki. Macie pół godziny. Żadnych rozmów, żadnego ściągania.

Agnieszka spojrzała na przyjaciółkę ze zdumieniem, Piotrek uśmiechnął się błogo. Nina odetchnęła z ulgą, rozluźniając zaciśnięte na piórze palce. Przysunęła bliżej kałamarz i zaczęła pisać.

To była ostatnia lekcja i ci, którzy oddali kartki, mogli iść do domów. Nina skończyła jako pierwsza, włożyła płaszcz i zarzuciła na ramię tornister. Zatrzymała się na korytarzu przed wyjściem. Deszcz zmienił się w ścianę wody, na kałuzach wykwiwały i pękały wielkie bąble powietrza. Od uchylonych drzwi ciągnął zimny mokry powiew.

Chwilę później Ninę minął rozradowany Piotrek.

– Dzięki wielkie – powiedział, klepiąc ją w ramię. – Jesteś naprawdę genialna.

Patrzyła, jak znika za szarą kurtyną deszczu.

– Nie wiedziałam, że jesteś taką egoistką.

Nina odwróciła się. Przed nią stała Agnieszka, usta miała zaciśnięte, wyraz twarzy pełen niechęci.

– Egoistką? – powtórzyła Nina bez sensu.

– Wiesz, że nie jestem dobra z historii. Mogłaś powiedzieć mi wcześniej, wiedziałabym przynajmniej, czego się nauczyć. A tak znowu dostanę tróję i matka będzie się na mnie wydzierać.

– Kiedy ja sama nie wiedziałam, jakie będą pytania...

– Daj spokój. – Agnieszka wzruszyła ramionami. – Komu chcesz zrobić wodę z mózgu?

Wybiegła, nie patrząc nawet na Ninę, choć zawsze szły razem na przystanek, a potem wracały tym samym tramwajem.

Egoistka. Może Agnieszka miała trochę racji. Nina dobrze radziła sobie z historią, a poza tym pan Bojanowicz ją lubił i stawiał wysokie oceny, nawet jeśli pomieszały jej się daty albo poniosła trochę fantazja. Dlatego Nina nie przejmowała się tą klasówką i zwyczajnie nie przyszło jej do głowy, że ktoś może mieć kłopoty akurat z tym przedmiotem.

Z drugiej strony, pomyślała pod adresem Piotrka i Agnieszki, mogli się po prostu trochę pouczyć.

Ale i tak na samo wspomnienie wyrazu twarzy koleżanki ścisnęło się jej serce.

Czekała jeszcze przez chwilę, ale deszcz wcale nie zelżał, w końcu więc pobiegła, rozchlapując kałuże, skulona pod siekącymi strugami, które w ciągu kilku chwil przemoczyły jej włosy i wystającą spod płaszcza spódnicę. Sam płaszczyk jeszcze się bronił, choć Nina czuła już pierwsze lodowate strumyczki spływające po karku.

Na przystanek podjeżdżał właśnie tramwaj – gdyby przyspieszyła, zdążyłaby go złapać. Ale na tę samą piątkę czekała przecież Agnieszka, a Nina nie miała ochoty jechać z nią teraz do domu. Milczałyby tylko, unikając swojego wzroku i czuły się głupio. Nie, z Agnieszką pogada jutro, do tej pory przyjaciółce złość pewnie przejdzie.

Pozwoliła więc, żeby tramwaj odjechał, błyskając rozmytymi przez deszcz światłami. Do następnego Nina miała dwadzieścia minut, a nie mogła tyle czasu stać na przystanku jak kołek. Buty i tak już miała przemoczone, włosy lepiły się jej do twarzy.

Kierowana nagłym impulsem skręciła w stronę najbliższej kawiarni. Zawahała się na chwilę, ale weszła; zamknięte drzwi odcięły ją od zimna i deszczu.

Wszyscy na nią spojrzeli, a przynajmniej tak się Ninie zdawało.

Poczuła się nieswojo – wcześniej zawsze chodziła do kawiarni z rodzicami albo koleżankami, nigdy sama. Ale przecież mam prawo tu być, pomyślała buntowniczo, jestem tak samo dobrą klientką jak inni.

Pocieszona tą myślą zdjęła płaszcz i usiadła. Woda z włosów kapłała na obrus, w cieple z ubrania parowała wilgoć. Pachniało kawą i czekoladowymi ciastkami.

– Co podać? – Kelnerka wyrosła przy stoliku jak spod ziemi.

– Herbatę z cytryną – zdecydowała Nina, przeliczając w myślach pieniądze z portfela.

Na ciastko chyba nie było jej stać. Może to i dobrze, ostatnio spódnice zrobiły się trochę ciasne w pasie.

Kelnerka skinęła głową i zniknęła, by po chwili wrócić z parującą szklanką. Nina czekała, aż herbata przestygnie, i obserwowała pozostałych gości. Starła się zgadnąć, kto jest kim – jak Sherlock Holmes w książkach. Do słynnego angielskiego detektywa co prawda było jej daleko, ale miała czas, żeby poćwiczyć.

Trzy dziewczyny przy stoliku obok nie stanowiły żadnego problemu – mówiły z wiejskim akcentem, śmiały się głośno i rozmawiały o jakichś planach przestrzennych. Pewnie studentki wrocławskiego uniwersytetu, które dostały się na architekturę dzięki punktom za pochodzenie. Dalej siedziała starsza pani z kwaśną miną, ubrana w pocerowaną skromną sukienkę i buty z pozdzieranymi noskami. Maniery jednak miała nienaganne i sprawiała wrażenie... kogoś przyzwyczajonego do lepszego życia? Tak, chyba właśnie tak. Może to hrabina, która podczas wojny straciła cały majątek, pomyślała Nina, fantazjując o ucieczce przez zamrożone jezioro: zza drzew słysząc już strzały, z sań wypada kufer, na śnieg sypią się rodowe klejnoty, diamenty i złote monety...

Zaraz skarciła się za takie myśli – detektyw powinien dedukować, a nie wyobrażać sobie nie wiadomo co. Czasem jednak naprawdę trudno było się powstrzymać.

Ostatni stolik był zajęty przez kobietę w średnim wieku i młodego mężczyznę. Ona była tęga, miała szerokie biodra i obfity biust, a mimo to było w niej coś męskiego. On nosił czarny golf i miał brzydką kanciastą twarz z długim nosem. Osobno wyglądaliby pewnie zupełnie zwyczajnie, ale kiedy siedzieli tak razem, było w nich coś dziwnego, jakby... nie pasowali do siebie? Nina próbowała zgadnąć, kim mogą być: ciocia i siostrzeniec? Pani profesor i student? Mężczyzna w czarnym golfie wyglądał trochę jak ci, z którymi Agnieszka dyskutowała o bezsensowności życia, ale studenci

zazwyczaj nosili dłuższe włosy. Może to po prostu znajomi z pracy, pomyślała, choć też nie była zadowolona z takiego wniosku.

Brzydal sięgnął po papierosa i zapalił. Mówił coś do kobiety, jednak tak cicho, że Nina nie słyszała ani słowa. Widziała za to doskonale małą płaską paczkę, odbijającą się w lustrzanej ścianie kawiarni. „Santos Dumont”, przeczytała, „The Cigarette Par Excellence”. Drogie? Mogłaby się założyć, że tak, bo pudełko było ładne, czerwone, ze złotym obrazkiem przedstawiającym coś w rodzaju herbu. Nigdy nie widziała u znajomych rodziców czy u nauczycieli takich papierosów.

Serce zabiło jej mocno.

Nie wierzyła we wróżki, jasne, że nie. No, przynajmniej na jakieś 99 procent nie wierzyła. Zawsze jednak istniała szansa, choćby minimalna, że madame Zulejka naprawdę ma magiczne zdolności. Bo Nina wiedziała przecież, że czary istnieją, przekonała się o tym latem w Markotach.

Co to szkodzi? – myślała. W najgorszym wypadku po prostu się rozczaruję, i tyle. A może... może ta wróżka odpowie mi na parę pytań, bo zawsze lepiej jest wiedzieć niż nie wiedzieć.

Brzydal skończył papierosa i pochylił się w stronę swojej towarzyszki. Paczka leżała na brzegu stolika, jakby zapraszając, żeby po nią sięgnąć. Ani kobieta, ani mężczyzna nie patrzyli w jej stronę.

Właściwie nawet zrobię mu przysługę, usprawiedliwiała się Nina. Palenie jest szkodliwe.

Zapłaciła za herbatę i ruszyła w stronę drzwi. Do końca nie była pewna, czy odważy się to zrobić, ale kiedy przechodziła obok stolika nietypowej pary, nagle się zdecydowała, wyciągnęła rękę i złapała papierosy. Nie biegnij, idź normalnie, nakazała sobie w myślach. A potem spojrzała w lustro i zobaczyła, że brzydki mężczyzna na nią patrzy. Nie krzyczał „łapać złodziejkę!” ani nic w tym stylu, tylko przyglądał się z uwagą. Wtedy Nina spanikowała i pobiegła. Oprzytomniała dopiero dwie przecznice dalej, zdyszana, z paczką wciąż ścisną w ręce. Uświadomiła sobie przy tym dwie rzeczy: po pierwsze, deszcz przestał padać, a po drugie, nikt jej nie ścigał.

A ona po raz pierwszy w życiu coś ukradła. Wyobraziła sobie minę matki (smutne spojrzenie mówiące, jak bardzo Nina ją zawiodła) i reakcję ojca (tym razem na pewno sięgnąłby po pas) i omal nie zawróciła, żeby oddać papierosy. Stchórzyła jednak; ci ludzie byli trochę zbyt dziwni i Nina nie miała pojęcia, co mogliby zrobić, gdyby zjawiała się z powrotem w kawiarni. Przez chwilę kusiło ją, żeby papierosy zwyczajnie wyrzucić, pozbywając się w ten sposób obciążającego sumienia dowodu, ale to byłoby jeszcze głupsze –

skoro już je zabrała, powinna przynajmniej wykorzystać.

Zegar na kościelnej wieży wskazywał za kwadrans drugą. Po szkole Nina często szła do Agnieszki, więc matka nie będzie się jej spodziewać jeszcze przez jakąś godzinę, półtorej.

Wsunęła paczkę papierosów do kieszeni i skręciła w ulicę Komuny Paryskiej.

Madame Zulejka mieszkała na ostatnim piętrze rozpadającej się kamienicy. Schody skrzypiały, gdy dziewczyna szła w górę, przy drzwiach wciąż jeszcze widać było ślady po wizytówkach z nazwiskami dawnych niemieckich mieszkańców. Znalazła numer 18 i wcisnęła przycisk dzwonka. W głębokiej ciszy jego dźwięk zabrzmiał nienaturalnie głośno i natarczywie, aż Nina się wzdrygnęła. Po chwili otworzyła jej dziesięcioletnia może dziewczynka. Na głowie miała kolorową chustkę, na bosych stopach nosiła plażowe sandały.

– Do madame Zulejki? – zapytała cienkim głosem.

– Hm, tak. – Nina poczuła, jak opuszcza ją cała odwaga.

– To wejdź i poczekaj. Jak masz na imię?

– Po co ci moje imię?

– Żeby wiedziała, kogo zawołać – odparła z wyższością mała.

– Nina.

Dziewczyna weszła do przedpokoju, gdzie siedziała już młoda kobieta. Czytała, czy raczej przeglądała stare niemieckie czasopismo. Kilka innych leżało obok na stoliku. Nina sięgnęła po jedno z nich i przewróciła kartkę, przyglądając się modzie sprzed dwudziestu lat. Kapelusze przypominające grzybki, wąskie suknie, rękawiczki do łokci... Świat, który odszedł w przeszłość, żeby zrobić miejsce dla szarej rzeczywistości komunistycznej Polski, gdzie niewinni obywatele budzili się nad ranem, wyrzynani z łóżek przez ludzi w mundurach.

Z drugiej strony, pomyślała Nina, ten nowy świat jednak miał jakieś zalety, bo dawał szansę dziewczynom takim jak te w kawiarni. Przed wojną żadna z nich nie mogłaby nawet marzyć o studiach.

– Panna Halina! – zabrzmiał cienki głosik.

Młoda kobieta odłożyła czasopismo i weszła do pokoju, w którym, jak Nina zgadywała, mieścił się gabinet wróżki. Czas mijał powoli, odmierzany tykaniem starego zegara, w powietrzu unosił się zapach ciężkich perfum i pasty do podłóg.

Kobieta wyszła, Nina nadal czekała. Dopiero po dziesięciu minutach pojawiła się dziewczynka i zawołała ją do gabinetu.

Nina z duszą na ramieniu przekroczyła próg.

Siedząca w chmurze papierosowego dymu kobieta była stara, mogła mieć siedemdziesiąt, może nawet więcej lat. I była brzydka, nie tak zwyczajnie jak mężczyzna z kawiarni, ale fascynująco brzydka. Jej ogorzała twarz pełna była bruzd i zmarszczek, jakby każdy mijający rok, każde przeżycie zostawiły na niej ślad. Nina pomyślała, że chętnie by ją namalowała, gdyby tylko potrafiła.

– Podejdź bliżej, Nino – powiedziała madame Zulejka, podczas gdy dziewczyna rejestrowała dalsze szczegóły.

Wystające z rękawów czarnej sukni ręce, chude i brązowe, jak wysuszone na słońcu kawałki starego mięsa, bladoniebieski numer obozowy na lewym przedramieniu. Oświeć? Nie chciała na niego patrzeć, ale i tak jej wzrok ciągle uciekał do tych kilku cyfr.

– Masz pieniądze? – zapytała kobieta zza szarej zasłony.

– Nie, ale mam to. – Nina podała jej paczkę dumontów.

– Napoczęta. – Madame Zulejka się skrzywiła.

– Ale prawie pełna.

Wróżka westchnęła.

– Niech ci będzie, usiądź. – Przyjrzała jej się krytycznie, po czym rozłożyła na okrągłym stoliku karty pełne dziwacznych symboli. Były tam gwiazdy, księżyc, słońce, sztylety i złote puchary. – Nie jesteś przypadkiem trochę za młoda? Zresztą mniejsza z tym, zaczynamy. Poznasz przystojnego blondyna...

– Nie chcę blondyna – zaprotestowała Nina. – To znaczy – zreflektowała się – może trochę później. Na razie chciałabym wiedzieć, czy grozi mi niebezpieczeństwo.

Madame Zulejka w zamyśleniu wydmuchnęła dym z papierosa.

– Każdemu grozi niebezpieczeństwo – oznajmiła. – To bardzo niebezpieczny świat, Nino. Na przykład wczoraj dwaj chłopcy bawili się w ruinach na Kozanowie i znaleźli tam niemiecki granat, który jednemu zmasakrował twarz, a drugiemu urwał palce u prawej ręki. A tydzień temu kobieta wpadła pod tramwaj...

– Nie o takie coś mi chodzi – przerwała Nina. – Miałam na myśli...

– Tak?

Musiała przyznać, że sama za bardzo nie wie. Czy ONI mnie szukają? Albo czy szukają mnie anioły? Czy moja magia może być dla kogoś groźna?

Jakie pytanie powinna zadać?

Madame Zulejka westchnęła.

– Zróbmy tak – zaproponowała – zobaczę po prostu, co czeka cię w najbliższej przyszłości, zgoda?

Nina skwapliwie pokiwała głową. Wróżka potasowała karty, rozłożyła je w wachlarzyk i wpatrzyła się weń ze zmarszczonymi brwiami.

– I co? – zapytała siedząca jak na szpilkach dziewczyna.

Madame Zulejka zgarnęła karty jednym szybkim ruchem.

– Staniesz przed wyborem – powiedziała – i niezależnie od tego, na co się zdecydujesz, będziesz potem żałować. Żal mi cię, ale, ostatecznie, sama to sobie zrobisz.

Nina parsknęła.

– To wszystko?

– Jesteś rozczarowana?

– Spodziewałam się, no nie wiem, czegoś bardziej konkretnego. Na przykład, że mam strzec się przystojnego bruneta albo coś w tym rodzaju.

– Och, moja droga. – Wróżka wydmuchnęła kolejną porcję dymu, który szczypał Ninę w oczy i drażnił jej gardło. – Przystojnych brunetów zawsze należy się strzec, przekonasz się o tym sama, kiedy będziesz trochę starsza.

Dziewczyna poczerwieniała lekko. Poczucie humoru tej kobiety zaczynało działać jej na nerwy.

– Tak naprawdę nic pani nie wie, prawda? – powiedziała, zanim zdążyła się zastanowić. – Siedzi tu sobie pani, okłamuje ludzi i wyciąga od nich pieniądze. Jest pani oszustką, starą wstrętną jędzą.

Madame Zulejka paliła papierosa, mrużąc lekko oczy, a wyraz jej twarzy nie zmienił się ani na jotę. Nina kręciła się przez chwilę na krześle. Pomyślała o bładoniebieskim obozowym numerze i o wszystkim, przez co ta kobieta musiała przejść.

– Przepraszam za starą wstrętną jędzę – bąknęła po chwili. – Nie powinnam tak do pani mówić.

– Za oszustkę nie przeprosisz? – Wróżka uśmiechnęła się lekko.

Nina wzruszyła ramionami.

– Obie przecież wiemy, że to wszystko bzdury.

– Skoro tak uważasz – zgodziła się uprzejmie madame Zulejka. – Ale zapłatę zatrzymam, jeśli nie masz nic przeciwko.

Paczka papierosów zniknęła ze stolika tak szybko, że Nina nie miała nawet szansy zaprotestować. Wstała i skierowała się w stronę drzwi.

– Mówiłam prawdę – w progu zatrzymał ją głos wróżki. – Czasem po prostu nic nie da się zrobić, bo każdy wybór jest zły. I jeszcze coś, Nino.

– Tak? – Powinna wyjść, nie oglądając się na tę kobietę. Ale mimo

wszystko była ciekawa.

– Oczywiście, że grozi ci niebezpieczeństwo.

Rozdział drugi, w którym Nina po raz pierwszy słyszy o zagadce chaty węglarza, a poza tym używa mocy i potem bardzo tego żałuje.

Następnego dnia rano Nina znowu wstała niewyspana, tym razem nie z powodu złych snów, lecz dlatego, że wieczorem najpierw pisała długie listy do Tamary i Jacka, a potem do drugiej w nocy czytała *Psychiatrię kliniczną*. Dalej wcale nie było lepiej, bo kiedy podeszła do szafy, okazało się, że wszystkie jej zwyczajne, nudne spódnice są w praniu, została tylko uszyta przez ciotkę niebieska sukienka z rozkloszowanym dołem i wstążką na plecach. Sukienka dawnej Niny, tej, która lubiła zwracać na siebie uwagę nietypowym strojem.

Właściwie dlaczego nie? – pomyślała. To głupie myśleć, że ONI mnie nie poznają, jeśli tylko zetnę włosy i zmienię kieckę. Poza tym pod szkolnym mundurkiem i tak niewiele będzie widać.

Trochę wystraszona, a trochę szczęśliwa, że wreszcie może być sobą, włożyła niebieską sukienkę (odrobinę za krótką i może ciut przyciasną, ale w sumie w porządku), po czym wymknęła się z domu, zanim matka zwróci jej uwagę, że jak na jesienną pogodę jest zbyt lekko ubrana.

Tego dnia w szkole miały być tylko trzy pierwsze lekcje, na później zaplanowany został apel z okazji zbliżającej się rocznicy Rewolucji Październikowej. Ciekawe, czy udałoby mi się wymknąć wcześniej? – rozważała Nina, która stania w tłumie nie znosiła prawie tak bardzo jak ciasnych zamkniętych pomieszczeń.

Na matematyce wydawało się, że szczęście znowu jej sprzyja – jako jedyna rozwiązała trudne zadanie z układem współrzędnych i dostała piątkę, geografia też minęła spokojnie, a potem nadeszła lekcja polskiego.

Nina od razu wiedziała, że coś jest nie tak, bo nauczycielka, ciemnowłosa i dystygowana pani Szmuc, weszła do klasy wyraźnie podekscytowana.

– Nie będzie lekcji – oznajmiła i zanim ktokolwiek zdążył się ucieszyć, dodała: – Dzisiaj mamy gości, którzy chcą z wami porozmawiać. Przywitajcie, proszę, sierżant Renatę Sowę i porucznika Lisa.

Coś ścisnęło Ninę w środku, przeczucie tak zimne jak listopadowy deszcz. To nie może być prawda, pomyślała, a jednak, oczywiście, była.

Do klasy weszła para z kawiarni: tęga kobieta i brzydki mężczyzna. Tym

razem ona nie wyglądała już ani na czyjąkolwiek ciotkę, ani na panią profesor, a on nie sprawiał wrażenia studenta. Tym razem oboje mieli na sobie mundury i nagle wszystko nabrało sensu, nagle zaczęli do siebie pasować i nie było już w nich nic dziwnego, tylko czysta groźba.

Nina jęknęła w duchu.

Jak mogła być taka głupia i nie zauważyć wcześniej, że to ONI?

Patrzyła w ławkę – drewniana powierzchnia rozmazywała się przed oczami – było jej zimno i gorąco jednocześnie, a gardło ścisnęło się tak, że nie potrafiła przełknąć śliny. Przerażona, dopiero po chwili zarejestrowała, że kobieta nazwana Sową coś mówi.

– ...jeśli ktokolwiek zauważył coś dziwnego, proszę, żeby przyszedł po lekcji do pokoju nauczycielskiego i powiedział nam o tym. To bardzo ważne, dzięki temu możecie uratować komuś życie i oczywiście zostaniecie odpowiednio wynagrodzeni. Jakieś pytania?

Nina nadal gapiała się w ławkę, głos kobiety w mundurze opływał ją jak morskie fale, więc sens z trudem do niej docierał. Musiała się skupić, od tego mogło wszystko zależeć. I powinna zachowywać się w miarę możliwości zwyczajnie, nie zwracać na siebie uwagi.

Przełamując instynkt, który nakazywał schować się w najgłębszą dziurę, uniosła głowę i spojrzała na sierżant Sowę. Starła się wyglądać jak reszta klasy: zaciekawiona, może trochę wystraszona (niektórzy już się zorientowali, że to ONI), ale zdecydowanie nie śmiertelnie przerażona.

– Co znaczy „coś dziwnego”? – zapytał Kuba z ostatniej ławki. – Widziałem ostatnio, jak w krzakach przy szkole facet ściągnął gacie, to się liczy?

Ktoś się roześmiał, ale sierżant Sowa nie wyglądała na speszoną.

– Nie, nie liczy się. Miałam na myśli coś... tajemniczego, czego nie da się zwyczajnie wyjaśnić. Coś, co nie powinno się wydarzyć, a jednak się wydarzyło.

Ona mówi o magii, pomyślała Nina, desperacko starając się sobie przypomnieć, czy ktoś ze szkoły mógł widzieć, jak używa mocy. Ale chyba nie, na ćwiczenia zawsze starannie wybierała odludne miejsca, ruiny albo parki, gdzie późną jesienią nikt nie miał ochoty spacerować.

– Żadnych więcej pytań? W takim razie przekazuję głos porucznikowi.

Lis i Sowa, pomyślała Nina ponuro. Ktokolwiek wymyślił te nazwiska – bo ani przez chwilę nie wątpiła, że oba są fałszywe – musiał mieć poczucie humoru. Kobieta faktycznie trochę przypominała sowę, miała okrągłą twarz i okrągłe oczy, którymi mrugała leniwie, a mężczyzna... włosy nosił ścięte tak krótko, że trudno było rozpoznać ich kolor, ale Nina mogłaby się założyć, że

widzi rudawy połysk.

Przynajmniej nie jest przystojnym brunetem, pomyślała z odrobiną wisielczego humoru, który powinien jej pomóc, ale jakoś nie pomógł.

– Pani pozwoli? – Lis spojrzał na panią Szmuc, która dosłownie rozplynęła się pod wpływem jego uśmiechu, jakby właśnie sam Humphrey Bogart zszedł do niej z ekranu.

– Oczywiście. – Skwapliwie pokiwała głową.

Mężczyzna odwrócił się w stronę klasy.

– Opowiem wam pewną historię – zaczął, podczas gdy dwadzieścia dwie pary szeroko otwartych oczu wpatrywały się w niego z ciekawością. – Dawno temu, powiedzmy przed dwudziestoma laty, w małej wiosce zagubionej wśród lasów, w chacie biednego węglarza żyła sobie rodzina: matka, ojciec i dwóch synów. Jeden z nich skończył dopiero trzy lata, drugi był starszy, mniej więcej w waszym wieku. Pewnego listopadowego dnia w odwiedziny przybyli do nich goście: ksiądz i kowal, dwaj najbardziej szanowani ludzie w wiosce. Przyszliśmy porozmawiać z twoim synem, powiedzieli, mając na myśli starszego z chłopców, który sprawiał ostatnio pewne kłopoty. Mój syn śpi teraz, odparł mężczyzna, ale jeśli chcecie z nim rozmawiać, pójdę i go obudzę, a wy zaczekajcie.

Mimo jesieni było jeszcze ciepło, dlatego ksiądz i kowal usiedli na przyzbie. Matka wyniosła im dzban zsiadłego mleka, bo niczym więcej w tej ubogiej chacie nie mogła poczęstować, ale też goście niczego więcej nie potrzebowali. Po prostu siedzieli, patrzyli na rosnący przed domem jawor i cieszyli się słońcem przed długą ciężką zimą.

Nagle usłyszeli z wnętrza chaty krzyk, najpierw jeden, a potem drugi, znacznie krótszy. Zerwali się zaraz i wbiegli do środka, gdzie zastali straszny widok. Rodzice chłopców nie żyli, wszędzie było pełno krwi, na środku izby leżała porzucona siekiera. Młodszy syn płakał, starszy wyglądał na oszołomionego, a kiedy go pytano, co się stało, powiedział jedynie, że wcale nie spał, tylko bawił się z bratem w drugiej izbie i dlatego nic nie wie. Oczywiście nikt mu nie uwierzył. Uznano, że to on jest mordercą, nikogo innego w domu przecież nie było. Dlatego ludzie z wioski, nie czekając nawet na sąd, powiesili chłopca. Tak się jednak składa, że starszy syn był niewinny. Pytanie więc brzmi: kto zabił matkę i ojca?

Zapadła cisza. Nina czytała czasem w książkach określenie „można by usłyszeć spadającą szpilkę” i zawsze sądziła, że to taka literacka metafora, ale ono było prawdziwe – gdyby w klasie upadła szpilka, dźwięk zabrzmiałby jak wystrzał z pistoletu.

– Nikt nie spróbuje odpowiedzieć? – Lis uśmiechnął się.

Ninę uderzyło, że mimo brzydoty sprawiał sympatyczne wrażenie. W pewien sposób zaniepokoiło ją to bardziej, niż gdyby okazał się ponury i groźny. Była przygotowana na rozkazujący ton czy krzyki, nie na uśmiechanie.

Ale i tak najgorsze było to, że wszyscy w klasie automatycznie spojrzeli w jej stronę, jakby spodziewali się, że ona właśnie Lisowi odpowie. Spuściła głowę. Nadal na nią patrzyli, WIEDZIAŁA o tym, CZUŁA ich wzrok. PRZESTAŃCIE SIĘ GAPIĆ, wykrzyczała w duchu. Słyszała niespokojny oddech siedzącej obok Agnieszki i łomot własnej krwi w skroniach.

Potem jej uszu dobiegł szelest kartek – Lis najwyraźniej sięgnął po dziennik i przewracał strony.

– Numer dziewiętnaście – powiedział. – Nina Pankowicz. Może spróbujesz odpowiedzieć?

Wstała, choć musiała się przytrzymywać ławki. To pułapka, a ONI bawią się ze mną jak z zapędzoną w kąt myszą, pomyślała. Zaraz wsadzą mnie do czarnego samochodu, wywiozą i zamkną w celi, a potem podłączą do prądu i...

– Nina? – ponagliła ją nauczycielka.

– Ja... Nie wiem. – Z trudem udało jej się przepchnąć słowa przez wyschnięte gardło.

Uspokój się, nakazała sama sobie. Przy pani Szmuc nikt cię nie skrzywdzi. Nauczycielka może i była pod urokiem Lisa, ale przecież to miła, porządna kobieta, która z pewnością nie pozwoli, żeby ONI zabrali z jej klasy niewinną uczennicę.

Porucznik nadal się uśmiechał.

– Naprawdę? Taka zdolna dziewczyna, prawie same piątki tu widzę...

– Nie mamy w programie rozwiązywania morderstw.

Ktoś z dalszych ławek zachichotał cicho, a Nina pomyślała: źle, miałam nie zwracać na siebie uwagi.

Gdy mężczyzna wreszcie pozwolił jej usiąść, Agnieszka pochyliła się do ucha przyjaciółki.

– To jakiś wariat – szepnęła.

Nina potrząsnęła głową, ale nic nie powiedziała.

Lis i Sowa wyszli, lekcja toczyła się dalej niemrawo, bo wszyscy włącznie z nauczycielką byli mocno rozstrojeni. Może mi się udało, myślała Nina, ale kiedy wreszcie trochę w to uwierzyła, w uchylonych drzwiach pojawiła się rozczochrana głowa jednego z piątoklasistów.

– Nina Pankowicz proszona jest do gabinetu dyrektora – rzucił chłopak, po czym odbiegł, łomocząc na schodach butami.

Znowu wszyscy na nią spojrzeli, tym razem ze współczuciem. Nie pójdę, pomyślała Nina i przez chwilę naprawdę była gotowa trzymać się ławki zębami i pazurami. W końcu jednak podniosła się i powłokła w stronę drzwi, jakby szła na ścięcie. Może chodzi o te papierosy, myślała. Chciałaby, żeby o to chodziło. Palenie i kradzież były co prawda złe, ale nie należały do najgorszych występków i nikt nie zamykał za nie w ciasnej celi.

W gabinecie czekał na nią dyrektor, a także ONI: Lis i Sowa. Oboje stali przy oknie, palili i rozmawiali przyciszonymi głosami.

– Usiądź, Nino – powiedział pan Frankiewicz, poprawiając kwadratowe okulary. – Doszły mnie niepokojące słuchy. Podobno powiedziałaś klasie, jakie będzie pytanie na sprawdzianie z historii. To prawda?

O rany. O tym nieszczęsnym pytaniu zdążyła już zapomnieć i nie przyszło jej do głowy, że może chodzić właśnie o to.

– Zgadza się, Nino?

Drań, pomyślała pod adresem Piotrka, który prawdopodobnie ją wsypał, a potem z ociąganiem skinęła głową.

– Skąd to wiedziałaś?

Wyobraziła sobie samą siebie mówiącą: „Po prostu wydedukowałam, jak Sherlock Holmes. Kiedy pan Bojanowicz zapowiedział klasówkę, spojrzał na portret Ignacego Paderewskiego, a potem na album o francuskich pałacach, który przyniosłam do szkoły, żeby mu pożyczyć. Nie, zazwyczaj nie jestem aż tak bystra, po prostu wyjątkowo mi się udało”.

To byłaby uczciwa odpowiedź, bo przecież Nina tym razem akurat nie zrobiła nic złego. Nie mogła jednak powiedzieć prawdy, nie teraz, kiedy słuchali jej Lis i Sowa.

Rozważyła wszystkie za i przeciw, po czym odetchnęła jak przed skokiem na głęboką wodę.

– Zajrzałam do notatek pana Bojanowicza. – Wiedziała, że nauczyciel ma notes, w którym zapisuje wszystkie pomysły. – Przepraszam, to się więcej nie powtórzy.

Dyrektor pokręcił głową ze smutkiem.

– Nie wiem, co się ostatnio z tobą dzieje, Nino. Naprawdę nie wiem. Chyba będę musiał wezwać do szkoły twoich rodziców...

– Proszę, nie. – W oczach miała łzy. To nieprawda, chciało jej się krzyczeć, nie jestem oszustką. Całe to upokorzenie bolałoby chyba mniej, gdyby naprawdę była winna.

– W porządku. – Dyrektor westchnął. – Dam ci ostatnią szansę. Ale musisz zostać ukarana, dlatego nie weźmiesz udziału w apelu, tylko pójdziesz do dwudziestki i przepisziesz w zeszycie sto razy „Nie będę oszukiwać”, rozumiesz?

– Tak. – Nina była oszołomiona. – Dziękuję.

Naprawdę czuła się wdzięczna. W apelu i tak nie chciała brać udziału, a przepisywanie to żaden problem.

Upiekło mi się, pomyślała. Tym razem jakimś cudem naprawdę mi się upiekło.

Kiedy wychodziła z gabinetu, była jeśli nie szczęśliwa, to przynajmniej całkiem zadowolona.

Sala nr 20 od dawna była nieużywana i nikt właściwie nie wiedział, z jakiego powodu. Wśród uczniów krążyły plotki, że przed wojną, kiedy w budynku znajdował się areszt śledczy, powiesił się w niej jeden z więźniów, a na podłodze od tego czasu pojawiała się plama krwi, której nie dało się zetrzeć. Nina na takie rewelacje reagowała sceptycznie (jeśli się powiesił, to skąd krew?), rozsądek podpowiadał jej, że prawdopodobnie chodziło o problemy z piecem, który ciągle się zatykał – dlatego klasę ostatecznie zamknięto i używano tylko jako miejsce zsyłki dla sprawiających problemy uczniów. Nina wcześniej była tu tylko raz, rok temu, kiedy Agnieszka namówiła ją na wysłanie liściku miłostnego wyjątkowo brzydkiemu i nieśmiałemu nauczycielowi.

Jednak rozsądek rozsądkiem, a dwudziestka naprawdę wyglądała ponuro. Na podłodze zalegała warstwa kurzu, przez brudne okna sączyło się mętne światło listopadowego dnia, w kątach zwisały girlandy pajęczyn. Trzy ławki z przodu stały równo, z dosuniętymi do nich krzesłami, ale tylne piętrzyły się jedno na drugich, zwalone na stos, który w półmroku przypominał olbrzymie zwierzę, jakąś gigantyczną szczeciniastą stonogę z kanciastym łbem, która zwinęła się w kącie. Były tu też dwie równie zakurzone szafki. W jednej stało puste akwarium, w którym – jeśli człowiek pochylił się wystarczająco mocno – dawało się jeszcze wyczuć lekką woń zgniłej wody, w drugiej znajdowały się wygnane z sali biologicznej wypchane zwierzęta: patrzący martwymi

szklanymi oczami zając, któremu jakiś uczeń oberwał uszy, puchacz z pakułami sypiącymi się z rozdartego brzucha i ślepa wydra.

Nina usiadła przy jednej z czystych ławek. Było zimno – dwudziestki nigdy nie ogrzewano – ale nie tak, żeby nie dało się wytrzymać. Poruszyła zeszytniałymi palcami, żeby je trochę rozgrzać, wyjęła zeszyt, kałamarz i pióro. Z dołu dobiegały dźwięki przygotowań do apelu: szmer uczniowskich głosów, stukot ustawianych flag, „raz, dwa, raz, dwa” – powtarzane przez megafon.

Pisała pilnie w słabym świetle brudnych lamp. *Nie będę oszukiwać, nie będę oszukiwać.* Zastanowiła się przy okazji, czy komuś faktycznie będzie się chciało to liczyć i czy ów ktoś zorientuje się, jeśli przepisze zdanie nie sto, ale na przykład dziewięćdziesiąt dziewięć razy. Albo dziewięćdziesiąt osiem.

Gdy dotarła do połowy, drzwi się otworzyły i do klasy weszli Marek i Jarek, chłopcy z siódmej C znani Ninie z widzenia, a także reputacji, bo ich nazwiska wymieniano praktycznie na każdym apelu. Marek Dąbrowski i Jarek Cichoń zawieszeni w prawach ucznia za włamanie do sekretariatu, dolanie bimbru do kompotu w stołówce, próbę podpalenia szkoły... Obaj mieli po szesnaście lat – Jarek już prawie siedemnaście – i ze swoimi sypiącymi się wąsami oraz zuchwałymi uśmiechami sprawiali wrażenie znacznie starszych, niczym para dorosłych jasno dających do zrozumienia, że nie dla nich takie głupoty jak nudna nauka w podstawówce.

Jarek podszedł do okna i szarpnął za klamkę. Otworzyło się z cichym skrzypnięciem, płat zeschniętej farby spadł na zakurzony parapet. Marek wyjął z tornistra jakiś płaski kanciasty przedmiot i schował go pod swetrem, zanim Nina zdążyła zobaczyć, co to takiego. Chłopcy nie zwracali na nią uwagi, zupełnie jakby była niewidzialna. Dopiero kiedy stali już na parapecie z twarzami obmywanymi przez drobny deszcz, Jarek odwrócił się w jej stronę.

- Możesz iść z nami, jeśli chcesz – powiedział.
- Dokąd?
- Zobaczysz.

Zostawili tornistry i kurtki, pomyślała Nina. To znaczy, że mają zamiar wrócić.

Nie rób tego, podpowiedział rozsądek. To kiepski pomysł. Ale otwarte okno kusiło, a w zeszytce było już pięćdziesiąt przepisanych zdań. Z kolejnymi upora się w ciągu dziesięciu minut, potem i tak zostanie sporo czasu do końca uroczystego apelu.

- To jak, decydujesz się?

Gdy nie odpowiedziała, chłopak zaczął zamykać okno. Dziewczyna zerwała się z krzesła.

– Czekajcie. Idę z wami.

Z parapetu zeskoczyli na płaski dach, którym pobiegli do lewego skrzydła budynku, gdzie znajdowały się pomieszczenia gospodarcze. Popchnięte od zewnątrz okno otworzyło się bez trudu, jakby chłopcy już nieraz tędy chodzili i wszystko mieli przygotowane. Znaleźli się teraz na zakurzonej klatce schodowej, z dołu Nina słyszała szcęk mytych talerzy i buczenie agregatora. Marek poprowadził ich w dół, do drzwi z napisem „Radiowęzeł”. Otworzył je wytrychem, a potem wysunął spod swetra kanciasty przedmiot, wyjął płytę z opakowania i zamienił z tą, na której było napisane *Międzynarodówka*.

– Zauważy – powiedziała Nina, mając na myśli pana Karolaka, dozorcę, który odpowiadał też za obsługę radiowęzła.

– Nie zauważy – odparł Marek. – On nigdy nie patrzy.

Zamknęli drzwi, Nina czuła ulgę, że już wracają. A potem Marek szepnął Jarkowi coś, czego nie usłyszała, i ulga zniknęła. Jej miejsce zajęły złe przecucia.

Wspinali się po schodach z powrotem do okna, którym weszli. Pierwsze piętro, drugie. Na każdym były drzwi, a dziewczyna nie potrafiła nawet powiedzieć, do jakich pomieszczeń prowadzą. Jakies składziki, schowki na szczotki? Nigdy wcześniej nie była w tej części szkoły.

Na trzecim piętrze Jarek zatrzymał się i odwrócił w stronę Niny.

– Słuchaj, to nic osobistego, ale nie możemy pozwolić, żebyś teraz poszła i komuś wygadała.

– Nikomu nie powiem!

– My cię znamy – oznajmił chłopak z wyższością. – Jesteś kujonem. Nie można ufać kujonom.

– To po co w ogóle mnie ze sobą zabraliście? – zirytowała się, lecz Jarek wzruszył tylko ramionami, jakby nie warto było zaprzątać sobie głowy takimi nudnymi kwestiami.

Świetnie, pomyślała, zwiąlam właśnie z jedynymi w szkole chłopakami, którzy nie potrafią myśleć dalej niż pięć minut naprzód.

Było za późno, żeby cokolwiek z tym zrobić.

Jarek złapał Ninę, Marek otworzył kolejne drzwi. Dziewczyna wrzasnęła i szarpnęła się, ale chłopak był od niej wyższy, cięższy i znacznie silniejszy.

– Nic osobistego – powtórzył Jarek z upodobaniem, jakby to była kwestia z jakiegoś głupiego filmu. – Wyciągniemy cię, jak tylko apel się skończy.

– Jeśli mnie tu zamkniecie, na pewno wszystko wygadam!

Wydawało się, że ten argument trafi im do przekonania – w oczach Marka pojawił się błysk, a Nina prawie mogła zobaczyć, jak myśl przedziera się leniwie przez zwoje mózgowe. Wreszcie jednak błysk zgasł, a Jarek wepchnął Ninę do ciasnego pomieszczenia.

– Po apelu – przypomniał.

Wytrych zazgrzytał w zamku i Nina została sama. Zaraz kopnęła w drzwi, po czym uderzyła w nie pięścią, wrzeszcząc „Wypuście mnie!”, ale w odpowiedzi usłyszała jedynie tupot nóg na schodach. Powietrze wokół niej zgęstniało, ściany zdawały się przysuwać bliżej. W piersi czuła ucisk, jakby ktoś przywalił ją ciężkim kamieniem.

Nie panikuj, przecież już raz to przeżyłaś.

Tylko że tutaj nie było okna, które mogłaby otworzyć, nic, tylko gładkie ściany w kolorze brudnej zieleni i kilka puszek z farbą olejną stojących w kącie. To nawet nie był pokój, tylko kanciapa, półtora metra na półtora, nie większa od ubikacji. Ile czasu upłynie, zanim Nina się udusi? W zamkniętym pomieszczeniu z każdą chwilą jest mniej tlenu, a więcej wydychanego dwutlenku węgla, uczyła się o tym. Już teraz CZUŁA, że wciąga w płuca truciznę, oddychała coraz szybciej, z coraz większym trudem, twarz i dłonie miała spocone.

– Niech mnie ktoś wypuści! Proszę! – krzyczała, waląc pięściami w drzwi.

Na dole usłyszała szurające kroki: ktoś wchodził po schodach. Pewnie pan Karolak szedł do radiowęzła włączyć płytę.

– Tu jestem! – zawołała. – Proszę, niech mnie pan wypuści, proszę!

Ale dozorca był równie roztargniony co głuchy i Nina osiągnęła tylko tyle, że pozdzierała sobie skórę z kostek. Słyszała szum deszczu i pulsowanie magii we krwi.

Mogła otworzyć te drzwi, jak wtedy, w Markotach. Tylko że nie powinna tego robić, bo nadal nad mocą nie panowała, niedawno wysadziła w powietrze drzewo i zraniła psa, a teraz była w budynku pełnym ludzi...

Wspomnienie z parku zacierało się w jej pamięci, rozmywane kolejnymi falami paniki.

Jeśli czegoś nie zrobię, po prostu się tutaj uduszę.

Otwórzcie się, pomyślała, starając się wyobrazić sobie zamek i przekreślić go w wyobraźni. Dalej, ruszcie się.

Drzwi ani drgnęły. Z zewnątrz dobiegło chrypienie, które zapowiadało puszczaną przez radiowęzeł piosenkę, a potem muzyka, jakiej Nina nigdy wcześniej nie słyszała. I nagle w całej szkole zapadła głęboka, pełna konsternacji cisza.

*Somewhere on the hill
Chasing some poor criminal
And I guess they're out to kill
Oh there must be shackles on his feet*

Właśnie wtedy, zupełnie bez sensu w tym momencie, pomyślała:

Otworzył dziennik i powiedział: „Numer dziewiętnaście, Nina Pankowicz”. Może dlatego, że zapamiętał mnie z kawiarni i potem zapytał kogoś, a może... może...

Może Lis i Sowa przyjechali tutaj specjalnie po nią. Wcale nie była bezpieczna, wcale jej się nie upiekło.

To wystarczyło, żeby straciła resztki kontroli. Magia wyśliznęła się jej jak kostka mydła w kąpieli – w ostatniej chwili chciała jeszcze ją powstrzymać, ale już się nie dało. Ściany wokół zadygotały, z murów sypnęło tynkiem. Nina krzyknęła. A potem był ogłuszający huk, pył mieszający się z deszczem i opadający na podwórko, pełne przerażenia i bólu okrzyki.

Co ja zrobiłam...

Na czworakach podpełzła do dziury, którą moc wyrwała w ścianie, i spojrzała w dół. Podwórko zasłane było gruzem, na którym siedziała jakaś dziewczyna. Trzymała się za głowę, jasne włosy spływały krwią. Ktoś wołał, żeby wezwać pogotowie, z sali gimnastycznej, gdzie odbywał się apel, wybiegali nauczyciele i uczniowie. Muzyka wciąż grała:

*Are you blind to the winds of change?
Don't you hear him anymore?
Saying, „Lord you gotta help me”
Now I am never gonna sin again*

Nina odsunęła się od dziury. Wstrząs musiał poluzować coś w zamku, bo drzwi otworzyły się z zapraszającym skrzypnięciem. Wybiegła, modląc się w duchu, żeby nikt jej nie zauważył w panującym zamieszaniu i przede wszystkim, żeby rannej dziewczynie nic poważnego się nie stało.

Minęła zbiegowisko na podwórku i popędziła do dwudziestki, jakby goniła ją Bestia z Kręgu. Zabrała tornister oraz kurtkę i znów przeskakując po kilka

stopni, pognęła z powrotem na dół.

– Co się stało? – zapytała pierwszego z brzegu ucznia.

– Ściana się zawaliła – wyjaśnił. – Jakaś dziewczyna dostała w głowę kamieniem. Pewnie już po niej.

Nina omal nie zemdląca, ale gdy pięć minut później pojawiło się pogotowie, ranna nadal była całkiem żywa i nawet protestowała, kiedy niezręczny lekarz położył ją na wózku tak, że podwinęła się jej spódnica. Nina przelotnie spojrzała dziewczynie w oczy – z głowy blondynki lała się krew, włosy i bluzka były już całe mokre, a nad uchem zwisał oderwany płat skóry. Nina cofnęła się na miękkich nogach, przepychając przez tłum, który otoczył karetkę.

– Wracamy do sali! – wydzierał się dyrektor. – Odsunąć się natychmiast!

Nina próbowała iść pod prąd, ale na próżno, fala uczniów zaniósł ją do sali gimnastycznej, gdzie wciąż wisiały papierowe dekoracje i stały flagi. Muzykę już ktoś przytomny wyłączył.

– Nina? – Agnieszka przepchnęła się do niej. – Gdzie byłeś?

– Dostałam karę w dwudziestce.

Właśnie tak, pomyślała Nina. Przez cały czas siedziałam w klasie, niczego nie widziałam ani nie słyszałam. Tego zamierzała się trzymać.

– Rany, za co?

– Długa historia – mruknęła, nie mogąc pozbyć się sprzed oczu widoku zakrwawionej blondynki. Jeśli ta dziewczyna przeżyje, przysięgam, że już nigdy nie będę próbować żadnych czarów, pomyślała, nie wiedząc nawet, do kogo tak naprawdę się zwraca.

Poganiany przez nauczycieli uczniowie siadali w rzędach na podłodze. Nina znalazła miejsce blisko okna i odwróciła się w jego stronę. Widok drzew uspokajał ją, a poza tym wreszcie przestało padać. Jak na złość udało jej się chyba użyć mocy w ostatniej możliwej chwili.

– Nie rozmawiać! – darł się dyrektor. – Jeśli ktoś jest ranny, proszę iść za panią Konieczną. Pozostali cisza!

– Słyszałaś tę piosenkę? – Agnieszka pochyliła się do ucha Niny. – Wiesz, co to było?

– Nie.

– Amerykańska muzyka czarnych. Fajna, nie?

– Fajna – przyznała Nina.

Rozważała przez chwilę, czy nie udać, że jest jej niedobrze (naprawdę trochę było), a potem nie wymknąć się do domu, ale uznała, że to głupi pomysł. Już i tak dzisiaj zwróciła na siebie uwagę, lepiej wtopić się w tłum.

Poza tym ONI znaleźliby ją też w domu, bo dla NICH to żaden problem.

– Dowiemy się, kto jest za to odpowiedzialny! – krzyczał dyrektor, nie precyzując, czy chodzi mu o zawalenie ściany, czy o muzykę. – Nie myślcie, że winnemu uda się wyłgać!

Zaczął się przepytywanie: co kto widział, gdzie był w chwili wypadku. Jakiś chłopiec z młodszej klasy zaczął narzekać, że boli go brzuch, starsi uczniowie próbowali dowcipkować, ale dyrektor szybko ich uciszył. Nina poszukała wzrokiem Marka i Jarka – stali pod drabinką z zadowolonymi minami. Przez chwilę kusilo ją, żeby wstać i o wszystkim opowiedzieć, bo przecież im się należało (choć gust muzyczny mieli dobry). Zdusiła jednak złość – w końcu nie powinna zwracać na siebie uwagi.

Do sali weszła pani Szmuc, która wręczyła dyrektorowi złożoną na pół kartkę. Mężczyzna powiódł wzrokiem po sali.

– Na zewnątrz prosimy... – Spojrzał na kartkę, Nina zamarła. – Łukasza Wolskiego.

Do wyjścia zaczął przepychać się mały chłopiec. Nina odetchnęła.

– I Janinę Pankowicz.

– Nie histeryzuj. – Sowa zamknęła jej ramię w żelaznym uścisku. – Nie lubię histeryzujących nastolatek.

Przed szkołą stała półciężarówka, za kierownicą siedział porucznik Lis, spod plandeki z tyłu wyglądał oszołomiony Łukasz.

– Nie wsiadę do tego samochodu!

Nina patrzyła z rozpaczą na panią Szmuc, miłą nauczycielkę, z którą przegadała tyle godzin o zaletach prozy Verne’a, Dumasa i Victora Hugo, a która teraz spoglądała na dziewczynę zakłopotaną i chyba lekko rozczarowaną. Czy ona niczego nie rozumie? Lis i Sowa, te głupie wymyślone nazwiska, zagadki o jakichś chatkach w lesie... Nie widzi, do czego to wszystko zmierza?

– Nic ci się nie stanie, Nino – powiedziała zniecierpliwiona kobieta. – Naprawdę nie ma powodu do hysterii. Wrócisz do domu za parę dni.

– Nie mogę nigdzie jechać bez pozwolenia rodziców. – Dziewczyna spróbowała argumentu, który powinien nauczycielkę przekonać, ale pani Szmuc tylko sięgnęła na tył półciężarówki i wyciągnęła stamtąd walizkę. Walizkę Niny.

– Twoja mama o wszystkim wie, spakowała ci rzeczy. Porucznik Lis z nią

rozmawiał. Proszę, nie utrudniaj nam tego.

Nina z obrzydzeniem pomyślała o Lisie, który czaruje jej matkę, tak jak czarował wcześniej panią Szmuc. Co jej powiedział? Że córka będzie bezpieczna i wróci do domu, zanim pani Pankowicz się obejrzy? Bo o wyrywaniu paznokci pewnie nie wspomniał...

– Wsiadaj – ponagliła ją Sowa.

Nina przypadła do nauczycielki, która objęła ją lekko zdumiona. Dziewczyna nie przepadała za czułościami.

– Niech im pani nie pozwoli, proszę – szepnęła. – Przecież pani wie, kim oni są...

Pani Szmuc odsunęła ją.

– Nic ci nie będzie – powtórzyła, teraz wyraźnie już zniecierpliwiona.

Sierżant Sowa popchnęła dziewczynę i Nina znalazła się w samochodzie.

Z tyłu półciężarówki siedziała jeszcze jedna osoba, której Nina wcześniej nie zauważyła. Był to żołnierz z karabinem na kolanach, młody, najwyżej siedemnasto-, osiemnastoletni. Nie odezwał się ani słowem, tylko ruchem głowy pokazał jej, że ma usiąść.

Rzuciła tornister i zajęła miejsce obok walizki, którą spakowała jej matka. Samochód ruszył. Przez uchyloną plandekę widziała, jak w tyle zostają znajome ulice. Jechali na północny wschód, w stronę Warszawy. Czasem na skrzyżowaniach półciężarówka zwalniała tak bardzo, że Nina bez trudu dałaby radę wyskoczyć i uciec, ale za każdym razem, kiedy tylko próbowała się wychylić, młody żołnierz znacząco potrząsał karabinem.

Gdy minęli granice Wrocławia, rozplakał się siedzący dotąd cicho Łukasz. Skulił się obok swojej walizki, schował głowę w ramionach, a potem zaczął łkać, zawodzić, chlipać i wyć – pełen zestaw środków oznajmujących światu, jak bardzo nieszczęśliwa może być ośmioletnia istota ludzka. Nina wiedziała, że powinna teraz wstać, przytulić chłopca (pozwalając przy okazji, żeby obsmarkał jej sweter), pogłaskać i oznajmić, że wszystko będzie dobrze. Zamiast tego patrzyła na uciekające w tył jesienne pola i mokre od deszczu drzewa.

Nie chcę, myślała. Niech ktoś inny się nim zajmie. Mam własne kłopoty.

Zdjęła szkolny mundurek, a potem sięgnęła po walizkę i otworzyła ją – były tam ciepłe rzeczy, w większości te, które dziś miały być wyprane. Niezbyt czyste, ale niewątpliwie przydatne w taką pogodę. Co myślała matka,

pakując tę walizkę?

W kieszeni bluzki Nina znalazła złożoną kartkę, rozprostowała ją i przeczytała:

Nie wiem, kim są ci ludzie ani czego od nas chcą. Powiedzieli, że muszą cię zabrać na kilka dni w miejsce, o którym nie chcieli mi nic powiedzieć, i że wrócisz tak szybko, jak to tylko możliwe. W coś ty się znowu wpakowała? Proszę, uważaj na siebie.

Żadnego „Kocham cię” ani nic w tym rodzaju. Jej matka nie należała do kobiet, które mówią takie rzeczy, ale niewątpliwie była zaniepokojona, kiedy pisała ten list. Więcej nawet, pewnie była śmiertelnie przerażona. Nina poczuła pod powiekami łzy. Nie chcę się rozpłakać, myślała, nie jestem dzieckiem, ale oczywiście się rozpłakała, akurat wtedy, kiedy Łukasz wreszcie ucichł.

W coś ty się znowu wpakowała? Zawarty w tym zdaniu wyrzut bolał prawie tak mocno jak myśl o matce pakującej ciepłą odzież pod czujnym okiem porucznika Lisa. Jakbym kiedykolwiek sprawiała problemy, pomyślała Nina. A przecież to nie była jej wina, wcale nie chciała jechać do tych cholernych Markotów, zostać jedną dwunastą Wybrańca ani mieć magicznej mocy.

Próbowała czytać *Psychiatrię* – wczoraj dotarła zaledwie do połowy – ale ciągle musiała wracać do tych samych akapitów, w końcu więc dała sobie spokój. Łukasz, dziwnie otepiały, nadal tkwił w swoim kącie, żołnierz nadal się nie odzywał. Miał pryszczatą twarz, ani ładną, ani brzydką i nos przypominający kartofel. Nina uświadomiła sobie, że wiekiem jest bliższy jej niż tamtej dwójce w szoferce. Pewnie niedawno skończył szkołę. Może dałoby się to jakoś wykorzystać, zaprzyjaźnić się z nim albo przynajmniej dogadać.

Cześć, mam na imię Nina, a ty?

Lubisz chodzić do kina?

Czytałeś ostatnio coś fajnego?

Naprawdę zastrzelisz mnie, jeśli spróbuję uciec?

Poruszyła się niespokojnie i odchrząknęła. Za nimi zostawało jakieś większe miasto, chyba Zgierz.

– Jak się nazywasz? – zaczęła niepewnie.

Żołnierz szczerknął karabinem.

– Nie rozmawiać – warknął.

To tyle, jeśli chodzi o dogadanie się, pomyślała Nina, wracając do obserwowania okolicy spod uchylonej plandeki.

Musiało być po trzeciej, kiedy wreszcie się zatrzymali. Dziewczynie natychmiast serce skoczyło do gardła, ale to nie mogło być wspomniane przez matkę „miejsce, o którym nie chcą mówić”, bo wokół były tylko przemiatane wiatrem pola i przydrożny zajazd z szyldem oznajmającym: „Pod Lipami”. Chyba stanęli po prostu na obiad.

Łukasz nie chciał wysiąść, dopiero Sowa weszła na tył ciężarówki, postawiła go na nogi i wyprowadziła. Wtedy zobaczyli, że chłopczyk ma spodnie mokre w kroku.

– Co się stało? – zapytała sierżant surowo, patrząc na Ninę.

– Zsikał się w majtki – odparła, rumieniąc się trochę z poczucia winy, a trochę ze złości. Złość była w porządku, złość tłumiła strach i rozpacz.

– Dlaczego się nim nie zajęłaś?

– Nie mam obowiązku się nim zajmować. To wy go zabraliście, więc wy się nim zajmujcie. Ja nawet nie lubię dzieci.

– To przynajmniej mamy ze sobą coś wspólnego – warknęła Sowa.

Miała lekko zdumioną, lekko pogardliwą minę, którą Nina widywała na twarzach dorosłych, a która mówiła: Co z ciebie za dziewczyna, skoro nie potrafisz zaopiekować się dzieckiem?

Lis wziął chłopca za rękę, po czym sięgnął do samochodu po jego walizkę.

– Chodź – powiedział. – Przebierzesz się w środku. A później pojedziesz z nami w szoferce, chcesz?

Nina powłokła się za nimi w stronę zajazdu. Wiedziała, że ma rację, ale i tak czuła się podle.

W zajezdzie Pod Lipami było pusto, na wielkim kamiennym kominku płonął ogień, ale od nieszczelnych okien wiało zimnem. Nina w eskorcie sierżant Sowy poszła do łazienki. Kobieta obserwowała ją cały czas, mało brakowało, a powędrowałyby za nią do kabiny. Myjąc ręce, Nina rozważała różne możliwości.

Zostawić na lustrze wiadomość, schować pod zlewem karteczkę. Ale nawet gdyby udało jej się to niepostrzeżenie zrobić, co właściwie miałyby napisać? Zostałam porwana, jedziemy na północny wschód? Bez sensu, bo dla kogo niby ta informacja miałyby być? Dla milicji, która z Sową i Lisem pewnie współpracowała? Matki, która osobiście spakowała walizkę Niny?

Przy stoliku zajęła miejsce tak, żeby znaleźć się jak najbliżej ognia. Lis zamówił wielką misę pierogów ruskich ze skwarkami i przez cały czas

rozmawiał z Sową przyciszonym głosem. Nina próbowała coś z tego wychwycić, ale usłyszała tylko dziwne, niemieckie chyba słowo, które brzmiało jak Totenwald.

Jadła mało, Łukasz też ledwo skubnął swoje pierogi. Za to młody żołnierz, nadal milcząc, spałaszował solidną porcję i jeszcze oblizał palce. Dochodziła czwarta po południu, w drodze byli od kilku godzin. Dokąd jechali?

W stronę granicy, pomyślała Nina. Może chcą nas zabrać do ZSRR. Kęs pieroga urósł jej w ustach, więc odłożyła widelec. Nagle zrobiło się duszno, jakby cały zajazd skurczył się do rozmiarów tamtej pozbawionej okna kanciapy.

– A ty dokąd? – warknęła Sowa, kiedy Nina wstała.

– Na zewnątrz, tylko na chwilę...

– W porządku, towarzyszeko, przypilnuję jej. – Lis też wstał.

Dziewczyna stanęła przed zajazdem i objęła się ramionami. Słońce zniżało się w stronę horyzontu, temperatura wyraźnie spadała, od pól porośniętych zrudziałymi badyłami ciągnął przenikliwy zimny wiatr. Na horyzoncie rysowały się kształty kilku domów, ale bliżej były tylko nagie drzewa i te pola, na których resztki jakiegoś zboża sterczały niczym wychudłe chore palce. Jakby znaleźli się pośrodku wielkiego niczego, na samym końcu świata.

Porucznik Lis palił papierosa w zapadającym zmierzchu.

– Ta uczennica, która w szkole została ranna, pamiętasz? – odezwał się nagle. – Muszą ją jeszcze przebadać, ale lekarz powiedział, że prawdopodobnie będzie zdrowa.

– Czemu pan mi o tym mówi? – Nina poczuła ulgę, a jednocześnie zrobiła się podejrzliwa.

– Tak sobie. Myślałem, że cię to zainteresuje.

– Nie znam tej dziewczyny.

Skinął głową, jego oczy błyszczały w półmroku prawie równie intensywnie jak ogienek papierosa.

– Wiesz, gdzie jesteśmy? – zapytał po chwili.

Jasne, chciała odpowiedzieć, ale ugryzła się w język. Nie powinna pokazywać, że coś wie. To mogła być jedyna przewaga, jaką dysponowała.

– Nie.

– Nic? Żadnego pojęcia, w jakim kierunku jechaliśmy? Jesteśmy teraz bliżej morza czy gór?

– No wie pan, dziewczyny nie znają się na mapach. Mnie zawsze się mylą strony świata.

Jechali dalej na północny wschód: Nina z tyłu w towarzystwie przyszczonego żołnierza, a pozostała trójka w sfoerce. Robiło się coraz chłodniej, dziewczyna sięgnęła do walizki po ciepłszy sweter, ale i tak, siedząc bez ruchu, zaczynała porządnie marznąć. Ostre podmuchy wiatru wpadały pod plandekę i kasały jej policzki, ręce grabiały z zimna. Zapadł zmierzch, coraz rzadziej mijali wioski i miasteczka, a samochód coraz częściej wjeżdżał między ciemne posępne drzewa. Mimo strachu Ninę ssalo w żołądku i żalowała teraz, że nie zjadła całego obiadu.

Skręcili w boczną drogę i zwolnili, podskakując na wybojach. Ciemność zgęstniała już tak bardzo, że Nina widziała tylko otaczającą ich czerń. Wiedziała jednak, że są w lesie. Czuła jego zapach: mokre drewno, gnijące liście i przesiąknięta deszczem ziemia; słyszała drapiące o plandekę gałęzie. Młody żołnierz pochrapywał cicho, a półciężarówka jechała coraz wolniej.

Mogłabym teraz uciec, pomyślała Nina. Wskoczenie z samochodu nie może być trudniejsze niż wyskoczenie z pociągu.

Stchórzyła jednak. Nie mogłaby zostać tu sama, w tej absolutnej ciemności, wśród drzew, gdzie nie wiadomo, co może się czaić.

Na przykład Totenwald, cokolwiek to było.

Próbowała liczyć upływające minuty, ale wkrótce się pogubiła i nie wiedziała, jak długo jechali przez las. Wydawało się, że trwało to całą wieczność, w końcu jednak samochód stanął, Sowa uniosła plandekę, a Ninę oślepiły jaskrawe światła. Sądziła, że nie da rady wysiąść, nogi miała miękkie jak z plasteliny. Pomogła dopiero myśl o wyciąganym z półciężarówki Łukaszu i kiedy zirytowana sierżant już miała po nią przyjść, dziewczyna się podniosła.

– Sama wysiądę.

Zsunęła się w sam środek błotnistej kałuży, z walizką w jednej ręce i tornistrem w drugiej. W jaskrawym świetle wiszących na słupach żarówek przemykały szare sylwetki spieszących dokądś ludzi, dalej widziała kolczaste druty otaczające niewielki plac. Ktoś ją popchnął i pobiegł dalej.

– Do budynku, już – zakomenderowała Sowa i wtedy właśnie czyjeś ręce objęły Ninę, a znajomy głos Tamary szepnął jej do ucha:

– Nie mów nikomu.

Rozdział trzeci, w którym Nina jest przesłuchiwana, a Mariusz dostaje czerwoną kartkę.

Imię?

– Nina. To znaczy: Janina.

– Nazwisko?

– Pankowicz... ale przecież pani wie.

– Muszę mieć do protokołu. – Sowa odchyliła się na krześle, patrząc na dziewczynę wzrokiem pełnym niechęci.

Po drugiej stronie prostego drewnianego stołu Nina trzęsła się jak osika. Nie widziała co prawda nigdzie narzędzi do torturowania, ale przesłuchiwali ją przecież. To oczywiste, co będzie dalej. Z przerażenia całkiem zapomniała o głodzie i dla odmiany zrobiło jej się niedobrze. Gdyby miała cokolwiek w żołądku, pewnie zwymiotowałaby teraz na stół i rozłożone na nim papiery.

Stojący przy oknie Lis odwrócił się, a potem podsunął dziewczynie szklankę wody.

– Wypij – powiedział. – Wyglądasz, jakbyś miała zemdleć. Naprawdę chcemy tylko zadać parę pytań. Nikt nie zamierza cię krzywdzić.

– Niezależnie od tego, jak odpowiem na te pytania? – Starła się oddychać głęboko, mdłości powoli mijały.

Sowa zamrugła i dziewczyna zorientowała się, że prawdopodobnie trafiła – istniały odpowiedzi, których nie powinna udzielać, jeśli chciała wyjść z tego cało.

„Nie mów nikomu”, powiedziała Tamara.

Na szczęście wyglądało na to, że ONI na razie nie zamierzają torturować. Nina uspokoiła się trochę. Nie bardzo, ale trochę. Może uda się coś wykombinować, jest przecież najbystrzejszą dziewczyną w klasie, jeśli nie w całej szkole.

– Jesteś sierotą? – Trzymany przez Sowę ołówek zawisł nad kartką.

Tym razem Nina zamrugła.

– Przecież rozmawialiście z moją mamą.

– Możesz być adoptowana.

– Nie jestem adoptowana. A przynajmniej nic o tym nie wiem.

Kobieta zaznaczyła krzyżykiem jedną z kratek.

– Twoi rodzice zniknęli w tajemniczych okolicznościach?

Nina spojrzała bezradnie najpierw na Sowę, a potem na Lisa. To musiał być jakiś żart, ale nie miała pojęcia, na czym miałyby on polegać.

- Odpowiedz – pogoniła ją sierżant.
- Kiedyś mama zostawiła mnie z bratem i wróciła sześć godzin później.
- Tajemnicze zniknięcie?
- Nie, długa kolejka po mięso.

W oczach Lisa dostrzegła coś, co mogło być błyskiem śmiechu. Porucznik pochylił się nad Sową i szepnął jej do ucha kilka słów, a sierżant z ociąganiem ustąpiła mu miejsca przy stole. Mężczyzna przysunął bliżej papiery.

- Wierzysz w Boga? – zapytał.

Nina zastanowiła się, czy to jedno z tych pytań, na które powinna dać właściwą odpowiedź. Tak czy nie? Co sprawi, że pozwoli jej wrócić do domu?

– To proste pytanie. – Patrzył na nią wyczekująco, z ołówkiem gotowym do zaznaczenia odpowiedniej rubryczki.

Wcale nie takie proste, pomyślała, a potem odparła:

- Nie, teraz już nie.

Dopiero w tym momencie zorientowała się, że powiedziała prawdę. Wcześniej się nad tym nie zastanawiała, ale faktycznie po ostatnich wakacjach przestała wierzyć. Nie dlatego, że anioły okazały się fałszywe, to byłby głupi powód (nieprawdziwe anioły nie oznaczały jeszcze braku Boga), po prostu... nagle to wydało się oczywiste.

- Dlaczego?
- A dlaczego miałabym wierzyć?
- Nie wiem, dlaczego ludzie wierzą w Boga?
- Bo tego potrzebują? – zasugerowała Nina.
- A ty nie potrzebujesz?

– Potrzebuję. Bardzo bym chciała, żeby Bóg istniał. Ale nie wydaje mi się, żeby moje chcenie cokolwiek zmieniało.

Lis zaznaczył odpowiednią rubrykę.

- Nie jestem komunistką – dodała pośpiesznie Nina. – Może pan to zapisać.

Zamarła zaraz, bo oczywiście nie powinna tego mówić. ONI uważali, że każdy, kto nie był komunistą, należał do wrogów ojczyzny. Ale Lis tylko mruknął:

– Dziękuję, myślę, że uda mi się zapamiętać. A co z aniołami? Wierzysz w anioły?

Pozwoliła sobie na leciutkie wzruszenie ramionami.

– W anioły nie trzeba wierzyć, one po prostu są.

– Tak, ale kim są? Ludźmi w przebraniu? Wysłannikami Niebios? Kimś innym, z naszego punktu widzenia magicznym, ale niemającym nic wspólnego z Bogiem?

Nina czuła się, jakby stąpała po cienkiej tafli lodu. Ostrożnie, bardzo ostrożnie. Co powinna teraz zrobić? Jasne, że prawdziwa była odpowiedź numer trzy, ale...

Lis czekał cierpliwie, a ona pomyślała nagle: Oni wiedzą. Jakimś cudem dowiedzieli się, kim naprawdę są skrzydlaci.

Wbiła wzrok w stół.

– Nie zastanawiałam się nad tym.

– Nigdy nie spotkałaś anioła?

Teraz zapytają ją o Markoty. Musiała porządnie zblednąć, bo Lis przysunął bliżej szklanę z wodą.

– Naprawdę powinnaś się napić – powiedział. – Kiepsko wyglądasz. Może chcesz chwilę odpocząć?

– Nie przesadzajcie, towarzyszu. Nic jej nie jest – warknęła z miejsca pod oknem Sowa, a Nina pomyślała, że widziała to w filmach: bawili się z nią w policjantów, złego i dobrego. Tylko że prawda wyglądała tak, że nie było tu nikogo dobrego, nikt nie chciał jej pomóc.

Odsunęła szklanę.

– Nie dam się na to nabrać – oznajmiła. – Próbuje pan być dla mnie miły, żebym odpowiadała grzecznie na te wszystkie głupie pytania. Ale ja nic nie wiem ani na temat aniołów, ani w ogóle niczego. I nie chcę, żeby był pan miły, chcę tylko wrócić do domu.

Przez ułamek sekundy czuła dumę, że potrafiła być taka dzielna. Zaraz jednak wszystko zepsuła, bo się rozplakała, łzy wielkie jak groch spłynęły jej po policzkach i zaczęły kapać na blat stołu, jedna obok drugiej.

Lis westchnął.

– Mogę być tak bardzo niemiły, jak tylko potrafię, jeśli ci to pomoże.

Pociągnęła nosem, starając się opanować, ale nic z tego, płakała tylko coraz głośniej, twarze Lisa i Sowy rozmazywały się przed jej oczami.

Porucznik szepnął coś do swojej towarzyszki, a ta skrzywiła usta.

– To wszystko na dziś – oznajmił Lis. – Zaraz będziesz wolna, jeszcze tylko dwie rzeczy. Po pierwsze, dostajesz kod 77WR, jeśli ktoś cię tak zawoła, musisz odpowiedzieć. Zapamiętasz?

– Zapamiętam – szepnęła zgnębiona. Nie była już Niną, tylko kodem, co jeszcze gorszego mogło ją spotkać?

- A po drugie, mamy tutaj jedną, najważniejszą zasadę: pod żadnym pozorem nie wolno wychodzić na zewnątrz, poza ogrodzenie, rozumiesz?
- Tak, ale nadal nie wiem, co to za miejsce. Więzienie? Nie zrobiłam nic złego!
- Nie, nie więzienie. Instytut Totenwald.

Nim zdążyła odpowiedzieć, została pchnięta przez Sowę w stronę drzwi – ta kobieta ciągle szarpała ją i popychała, jakby dziewczyna była szmacianą lalką należącą do wyjątkowo agresywnego dziecka. Zeszły krętymi żelaznymi schodami (Nina ostrożnie, bo stopnie były strome, a ona niosła walizkę i tornister), po czym skręciły w wąski korytarz. Dziewczyna próbowała zgadnąć, gdzie właściwie są: to nie mógł być zwyczajny budynek, zwyczajne budynki nie miały takich schodów ani korytarzy, na których z trudem mogły minąć się dwie osoby. Pod sufitem wiły się pęki kabli, wzdłuż ścian biegły rury, niegdyś chyba pomalowane na białą, a teraz poszarzałe i zakurzone.

Jakaś fabryka?

Sowa przekazała ją innej kobiecie, dla odmiany szczupłej, lecz obdarzonej równie krzykliwym głosem. Strażniczka – Nina zaczęła już myśleć o niej jako o strażniczce, a o sobie jako więźniarce – zaprowadziła ją do olbrzymiej hali. Gdyby naprawdę była tu kiedyś fabryka, można by w tym miejscu budować samoloty. Wzdłuż ścian ciągnęły się łóżka ustawione jedno tuż obok drugiego jak w szpitalu, pośrodku stały w rzędach piecyki, które dawały więcej dymu niż ciepła. W sali pełno było nastolatków mniej więcej w wieku Niny – dziewczyny po lewej, chłopcy po prawej.

– Znajdź sobie wolne łóżko – rzuciła strażniczka. – I pośpiesz się, zaraz idziecie pod prysznic.

– Chodź. – Tamara jakimś cudem znalazła się obok i złapała przyjaciółkę za łokieć. – Zajęłam ci miejsce obok mnie.

Ledwo Nina rzuciła walizkę na łóżko, szczupła kobieta wrzasnęła:

– Dziewczyny biorą ręczniki i idą za mną!

Nina spojrzała bezradnie na Tamarę, ale ta pokręciła tylko głową. „Rób, co mówi”, szepnęła bezgłośnie.

Poganiane przez strażniczkę nastolatki – jakieś dwadzieścia, może dwadzieścia pięć osób – zeszły piętro niżej, do łazienki. A przynajmniej czegoś, co miało uchodzić za łazienkę, w rzeczywistości było to bowiem wyłożone popękkanymi kafelkami pomieszczenie z drewnianą ławką ciągnącą

się wzdłuż ściany i rzędami pryszniców na suficie. Nie było osobnych kabin, przebieralni, ani nawet szafek, w których można by zostawić rzeczy. Dziewczyny, które najwyraźniej już to przeżyły, bez protestów zaczęły zdejmować ubrania, ale niektóre, jak Nina, wyglądały na zszokowane.

– Na co czekacie?! – wrzeszczała kobieta. – Rozbieramy się, raz, dwa!

Nina nie pamiętała, kiedy ostatni raz czuła się tak okropnie. Płacz ścisnął ją za gardło, przez zbierające się w oczach łzy ledwo co widziała. Palce miała jak drewniane kołki, kiedy zdejmowała niebieską sukienkę, a potem pończochy i bieliznę.

– Nie będzie tak źle, zobaczysz – szepnęła jej Tamara, której najwyraźniej nie przeszkadzało, że stała właśnie goluténka w pomieszczeniu pełnym ludzi. Samych dziewczyn, owszem, ale jednak.

Nina chwyciła mydło i wraz z innymi została zagnana pod prysznic. Z sufitu spadły gorące strugi, pomieszczenie wypełniła biała jak mleko para. Przez chwilę dziewczyna nie słyszała nic oprócz parskania i szumu wody, która zalewała jej oczy, a gdy mydło wysliznęło jej się z ręki, pochyliła się, szukając go wśród bosych stóp i rozpryskujących się na podłodze kropel.

– Trzymaj. – Tamara znalazła śliską kostkę i podała przyjaciółce. – Pośpiesz się, bo zaraz wyłączą wodę.

Nina umyła się byle jak, zbyt nieszczęśliwa i oszołomiona, żeby zrobić to porządnie. Chwilę później gorące strugi zniknęły równie nagle, jak się pojawiły, co kilka wciąż namydlonych dziewczyn powitało okrzykami protestu. Kiedy zabrakło ciepłej wody, w łazience zapanował chłód, a kłęby wilgotnej pary kleiły się do nagiej skóry jak mokry, zimny kompres.

– Wycierać się! – komenderowała szczupła kobieta.

Nina po raz pierwszy ucieszyła się, że ścięła włosy. Z długimi nie miałyby szans, mur-beton złapałaby przeziębienie po przejściu z łazienki do służącej za sypialnię hali.

Dziesięć minut później przebrana już w koszulę nocną kulila się pod kołdrą i próbowała zagrzeć ją ciepłem własnego ciała. W sali pogaszono światła i zapadła cisza, w której słyszeć było jedynie kroki spacerującej tam i z powrotem strażniczki, która od czasu do czasu pokrzykiwała „Nie rozmawiać!”.

Nina poczekała, aż kroki się oddalą, i szepnęła:

– Co to za miejsce?

– Ciii... – Tamara poruszyła się na sąsiednim łóżku. – Zaczekaj chwilę.

Kroki oddaliły się jeszcze bardziej. Dopiero wtedy wstała i wśliznęła się pod kołdrę Niny.

– Teraz nas nie usłyszysz – szepnęła jej do ucha. – Wydra ma słuch jak zając.

– Co to za miejsce? – powtórzyła Nina, nie komentując tej zoologicznej wypowiedzi. – Będą nas tu torturować?

– Nie, chyba nie. Tylko zadają pytania.

– O Markoty?

– Też. I o magię.

– Co im powiedziałaś?

Tamara zachichotała cichutko.

– Żeby się odwalili, a coś ty myślała?

– Naprawdę?

– Mhm. Ale ja mogę sobie pozwolić, bo nie mam magicznych zdolności. Oni tego właśnie szukają, tyle wiem. Dlatego nie możesz im powiedzieć o twojej mocy.

– A cechy Wybrańca?

– Że niby po śmierci Sławka zrobiłam się odważna, a ty bystra? To ich nie obchodzi. Chyba.

– Od kiedy tu jesteś?

– Od wczoraj. Dostałam kod 41WA, a ty?

– 77WR – odparła Nina, uświadamiając sobie, że litery prawdopodobnie oznaczają miasta, z których przyjechali młodociani więźniowie. A cyfry? Kolejność, w jakiej ich rejestrowano? – Naprawdę w ciągu jednego dnia przywieźli tu trzydzieści sześć osób?

– Nie, co ty. Tylko trzy małe grupy.

To znaczyło, że albo przydzielano te cyfry losowo, albo oznaczały one coś innego niż kolejność.

– Jest jeszcze ktoś z Markotów?

– Widziałam Huberta i Mariusza, ale nie miałam nawet czasu z nimi pogadać. Każą nam tu robić różne głupie rzeczy. Ja jestem w grupie B, która pracuje na zewnątrz, naprawiamy ogrodzenie i takie tam. Parszywa robota, ciągle jest zimno i ręce mam całe pokaleczone...

– Cicho.

Wydra wracała, stukanie wojskowych butów odbijało się od ścian, zmieszane z oddechami śpiących nastolatków. Na jednym z łóżek ktoś cicho płakał. Dziewczyny poczekały, aż kobieta znowu znajdzie się na drugim końcu hali, po czym wznowiły rozmowę.

– Gdzie są dzieci? – zapytała Nina.

– Jakie dzieci?

– No, takie siedmio-, ośmioletnie. Jak Łukasz, który ze mną przyjechał. Bo

tu są tylko chłopcy i dziewczyny w naszym wieku.

– A, maluchy. Widziałam, jak zabierała je gdzieś jedna ze strażniczek. Pewnie śpią osobno, no i nie pracują z nami. Nie dałyby rady.

To miało sens, uznała Nina. Miło było wiedzieć, że przynajmniej o najmłodszych ktoś pomyślał.

Niedaleko rozległ się huk, stłumiony przez grube mury, ale wyraźnie słyszalny. Nina drgnęła. Wciąż pamiętała ten dźwięk, choć od zakończenia wojny minęło osiem lat.

Ktoś na zewnątrz strzelał w ciemności.

Odruchowo chwyciła Tamarę za rękę, a ta ścisnęła jej dłoń. Jeden strzał, potem drugi i trzeci. Za każdym razem Nina podrygiwała lekko na łóżku. Obok wyczuwała napięte ciało przyjaciółki.

– Do czego oni strzelają? – zapytała.

– Nie wiem – szepnęła Tamara.

Jedna zasada: nie wolno wychodzić poza ogrodzenie. Może właśnie ktoś ją złamał, pomyślała Nina.

– Nie martw się, mała – dodała Tamara. – Coś wymyślimy. Daliśmy sobie radę w Markotach, to damy i tutaj.

– Łatwo ci mówić – mruknęła Nina.

Tamara odziedziczyła po Sławku odwagę i od tego czasu istniało bardzo niewiele rzeczy, których mogła się wystraszyć.

– Zobaczysz, nie będzie tak źle. Muszę wracać do siebie.

Tamara podniosła się i zgrabnie przeskoczyła na swoje łóżko.

Nina myślała, że nie zaśnie: była przerażona, głodna i samotna, w końcu jednak zmęczenie wzięło górę i zaczęła odpływać. Wtedy właśnie, na samej granicy snu, usłyszała coś jeszcze: ciche, ledwo uchwytnie stukanie roznoszące się rurami.

Zdawało się, że ledwo zmrużyła oczy, kiedy w jej świadomość wdarł się ostry głos trąbki. Ktoś grał ile tchu w płucach, jakby od tego zależało jego życie.

– Wstawaj. – Tamara szarpnęła ją za ramię.

Nina podniosła się, wciąż otumaniona snem. Przy najbliższych łóżkach krzątały się już dziewczyny, w większości też półprzytomne, z zapuchniętymi oczami, potykając się o własne nogi i niezgrabnie wkładając ubrania. Która mogła być godzina?

Wydra podzieliła ich na grupy, a „nowych”, w tym Ninę, wypędziła na

niewielki placyk przed budynkiem. Było zimno i wilgotno, gęstą ciemność ledwo rozjaśniły pierwsze promienie świtu. Tuż nad ziemią snuły się pasma białej jak mleko mgły, wirujące w świetle latarni powolnym hipnotyzującym ruchem. Z ust Niny unosiła się para, a kiedy dziewczyna stanęła na kałuży, pod jej stopą pękła cienka warstwa lodu.

Było ich siedmioro: trzy dziewczyny i czterech chłopaków. Wszyscy drżący z zimna i wystraszeni. Prawie wszyscy, bo jeden z chłopców nie kulił się, tylko śmiało spoglądał w oczy strażniczki. Był wysoki, jasnowłosy, przystojny. I właściwie bardzo podobny do Sławka. Ninie mocniej zabiło serce, ale zanim zdążyła się nad czymkolwiek zastanowić, przez plac przebiegła jeszcze jedna osoba, popędzana przez wąsatego żołnierza. Był to pulchny, zasapany czternastolatek, którego dobrze znała.

Jacek.

Staął obok Niny, patrząc na nią ze zdumieniem. Po chwili do Wydry dołączyła sierżant Sowa, która uważnie zlustrowała trzęsącą się grupkę.

– Żebyście się nie nudzili, przydzielimy was teraz do różnych prac – zaczęła. – Macie szczęście, bo akurat są wolne miejsca w prawie wszystkich grupach. Na początku A, czyli opieka nad dziećmi. Jakies chętne dziewczyny?

Zgłosiła się niska, pulchna brunetka i Sowa kazała jej odejść na bok.

– Grupa B, praca na zewnątrz, różne naprawy, tego typu rzeczy. Jest ktoś, kto lubi majsterkowanie?

Jacek chyba chciał się odezwać, ale Nina trąciła go w bok – pamiętała przecież, co mówiła Tamara.

Przystojny blondyn i śliczna dziewczyna dołączyli do brunetki.

– Grupa C, kto lubi gotować?

Nina zawahała się. Kuchnia nie mogła być złym wyborem – ciepło i blisko jedzenia, co po wczorajszym dniu wydawało jej się bardzo pociągające. No i zawsze mogła trafić gorzej.

– Ja lubię – skłamała z całą pewnością, na jaką było ją stać.

– A ja lubię jeść – dodał beczelnie Jacek.

O dziwo, zadziało, bo Sowa (co prawda z lekkim wahaniem) skinęła głową w stronę stojącej z boku grupki. Wkrótce każdy miał swój przydział. Po Ninę i Jacka przyszła drobna, siwa kobieta, która przedstawiła się jako Mysz, i zaprowadziła ich do kuchni. Dziewczyna spodziewała się przytulnego pomieszczenia jak w markockim klasztorze, a tymczasem trafiła do pokrytej białymi kafelkami sali, która wyglądała trochę jak chłodnia, a trochę jak znajoma już łazienka z prysznicami. Wszystko tu było olbrzymie – garnki, w których można by się wykapać, zlewy tak głębokie, że ktoś wzrostu Niny

z trudem sięgał dna. Wszędzie też stały różne urządzenia: maszynki do mielenia, kralniece i szatkownice, szczerzące srebrzyste zęby ostrzy. Na szczęście przynajmniej było tu ciepło, wokół gorącego pieca krzatali się mniej więcej szesnastoletnia dziewczyna i młodszy od Niny chłopiec.

– Pewnie jesteście głodni – powiedziała Mysz. – Weźcie sobie trochę chleba i sera. Herbata jest na stole w termosie.

To było skromne śniadanie, lecz ani Nina, ani Jacek nie zamierzali narzekać.

– Dzisiaj przyjechałeś? – zapytała dziewczyna, wgryzając się w kromkę.

– Dwa dni temu, ale byłem chory i leżałem w skrzydle szpitalnym. Dopiero dziś Niedźwiedź powiedział, że mogę dołączyć do reszty.

– Wiesz, co to za miejsce?

Pokręcił głową.

– Nie bardzo. Oprócz mnie w szpitalu był jeszcze tylko jakiś dzieciak, który skaleczył się przypadkiem przy naprawianiu płotu, ale on nic nie wiedział, a Niedźwiedź nie chciał mi nic powiedzieć. Nikogo innego nie widziałem.

– Przesłuchiwali cię?

– Tylko spisali imię i nazwisko i dali kod.

– Jaki?

– 23GD. Ty coś wiesz?

Nina powtórzyła mu to, co przekazała jej Tamara. Niewiele tego było.

– W takim razie ja też nie mam się czym martwić – oznajmił Jacek, kiedy skończyła, a w jego głosie brzmiało jakby lekkie rozczarowanie. – Nie mam żadnych mocy, tylko zręczność.

– Nie wiemy, czego oni od nas tak naprawdę chcą – zwróciła mu uwagę Nina. – Może chodzi im nie tylko o magię. Opowiedz, jak cię znaleźli.

Jednak w historii Jacka nie było nic specjalnie ciekawego – ot, dwa dni temu do jego szkoły przysłała para ludzi w mundurach, kobieta o nazwisku Mewa i mężczyzna nazywany Krogulcem, po czym powtórzyło się mniej więcej to co w przypadku Niny, z tym wyjątkiem, że Krogulec nie opowiadał nikomu dziwnych zagadek. Po prostu zapytał, czy któryś z uczniów zauważył coś dziwnego, a dwadzieścia minut później Jacek został zawołany do gabinetu dyrektora.

– Popisywałeś się przed kimś w szkole swoją zręcznością? – zapytała Nina, choć znała przecież odpowiedź.

Jasne, że tak. Jacek, który przez większość życia był niezgrabnym pulpetem, po prostu nie mógł się powstrzymać.

To znaczyło, że dla NICH cechy Wybrańca też miały znaczenie, albo...

Albo znaczenie miały Markoty, a ONI wiedzieli, że Jacek tam był.

Chwilę później Mysz zapędziła ich do obierania góry ziemniaków, na której widok dziewczyna jęknęła w duchu. Będziemy to obierać przez dwa dni, pomyślała, ale Jacek bez mrugnięcia okiem przysunął sobie stołek i zabrał się do pracy. Nożyk śmigał w jego ręce tak, że rozmazywał się w srebrną smugę, pozbawione skórki warzywa z chlupotem lądowały w misie pełnej zimnej wody.

– Zwolnij – syknęła Nina.

– Czemu? Mogę jeszcze szybciej, o!

– Ale oni nie muszą o tym wiedzieć.

W oczach Jacka pojawił się błysk zrozumienia i chłopak zwolnił – obierał teraz ziemniaki jak większość chłopaków w jego wieku, niezbyt szybko i trochę niezręcznie.

Przez chwilę pracowali w milczeniu. Nina bała się, że Mysz będzie cały czas stać nad nimi i pokrzykiwać, ale na szczęście kobieta zajęła się swoimi sprawami. Starsza dziewczyna – na imię miała Wanda – tkwiła pochylona nad wielkim kotłem z bulgoczącym wywarem, młodszy chłopiec – Rysiek – co chwilę gdzieś biegał, to wyrzucić śmieci, to znów przynieść coś z magazynu.

Nina i Jacek zostali sami, z przykazaniem, że „ziemniaki mają być gotowe do jedenastej”. Z kąta, w którym siedzieli, nawet nie było ich widać.

Wiszący na ścianie zegar pokazywał ósmą trzydzieści.

Nina pomyślała, że przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny tylko ją popychano i ciągnięto, a ona biernie się na wszystko godziła. Koniec z tym, pora przejąć inicjatywę i zrobić wreszcie coś sensownego.

Pierwszym obowiązkiem więźnia jest ucieczka – nie pamiętała, gdzie przeczytała to zdanie, ale brzmiało przekonująco. Co prawda z ucieczką wiązało się kilka różnych problemów, ale tym będzie się martwić później. Na razie mogła przynajmniej rozejrzeć się po okolicy.

– Zrobimy tak – pochyliła się w stronę Jacka – ja się wymknę na chwilę, a ty w tym czasie zaczniesz obierać szybciej i jak wrócę, to będzie tak, jakbyśmy pracowali we dwójkę. W porządku?

– Nie mogę iść z tobą?

– Nie, bo jak Mysz przyjdzie tu o jedenastej i zastanie nieobrane ziemniaki, to się domyśli.

– Może przyjsć wcześniej.

– Wtedy powiesz, że wyszłam na chwilę do ubikacji i zaraz wrócę.

– Niech ci będzie. – Chłopak nie wyglądał na zachwyconego.

Nina wytarła dłonie o fartuszek, który dała jej Mysz, po czym zarzuciła na

ramiona płaszcz i wymknęła się z kuchni.

Najlepiej by było wydostać się na dach, bo stamtąd miałyby dobry widok. Powędrowała więc krętymi metalowymi schodami w górę, starając się zapamiętać drogę. Skręcała w wąskie korytarze, mijała puste hale, w których okna straszyły powybijanymi szybami, a pod ścianami zalegały warstwy kurzu grube jak zwinięte dywany. Dwa razy musiała się wycofać, ostrożnie i na palcach. Raz, gdy natknęła się na pomieszczenie pełne grających w karty żołnierzy, a drugi, kiedy zobaczyła grupę nastolatków szorujących podłogę w pustej, wysoko sklepionej sali.

Wreszcie jednak dotarła na trzecie piętro, do miejsca, gdzie kończyły się schody, wyżej była tylko metalowa drabinka prowadząca do prostokątnego wjazdu. Nina uniosła z trudem klapę, uważając na sypiący się do oczu kurz, i chwilę później znalazła się na dachu – tuż obok wysokiego fabrycznego komina, którego nie zauważyła wcześniej w mroku. W beton wbite były prowadzące na szczyt żelazne klamry. Nina szarpnęła najniższą i stwierdziła, że sprawia wrażenie całkiem solidnej.

Wspięcie się na komin kuśilo, ale przecież jeśli tam wejdzie, wszyscy ją zobaczą. Na wszelki wypadek więc podpełzła na skraj dachu i zerknęła w dół. Zobaczyła grupę Tamary naprawiającą druciane ogrodzenie i dwóch żołnierzy, którzy rozmawiali, paląc papierosy. Żaden z nich nie patrzył w górę.

Z tej wysokości widziała tylko fabrykę, plac przed wejściem i spory kawałek lasu. Z komina mogłaby dostrzec jakąś wioskę albo miasteczko, jakiegokolwiek miejsce, gdzie można by udać się po pomoc.

Z duszą na ramieniu zaczęła się wspinać. Zazwyczaj dobrze znosiła duże wysokości, ale teraz miała zawroty głowy, a w żołądku odezwało się nieprzyjemne uczucie. Nie patrz w dół, nakazała sobie. Niektóre klamry były poluzowane, inne trzymały się w betonie na słowo honoru. Stopy ślizgały się na mokrych żelaznych prętach, lodowaty wiatr gwizdał wokół uszu i wciskał się pod płaszcz. Im wyżej, tym podmuchy stawały się bardziej porywiste, aż wreszcie Nina z trudem mogła oddychać, zupełnie jakby wystawiła głowę za okno w szybko jadącym pociągu.

Na drżących nogach dotarła na szczyt i się rozejrzała. Las... las był wszędzie, jakby poniżej rozciągało się falujące brązowe morze, poznaczone gdzieniegdzie plamami ciemnej zieleni. Żadnego miasta, chociaż... Wyteńczyła wzrok. Między drzewami, całkiem niedaleko, zobaczyła coś, co wyglądało jak dach chaty, a obok drugi. Jakaś wioska? To nie było to samo co miasto, ale zawsze coś.

Zaczęła schodzić, ostrożnie wymacując stopami kolejne szczeble. Byle nie patrzeć w dół. Zerknęła jednak w którymś momencie i serce zaraz podskoczyło jej w piersi, wcale nie ze względu na wysokość.



Na dachu czekał Lis, oparty o jeden z niższych kominów. Osłaniając dłonią ogienek, zapalał właśnie papierosa. Spojrzał na Ninę, a potem jak gdyby nigdy nic wrócił do przerwanej czynności.

Przez chwilę miała absurdalną ochotę zostać tak, zawieszona pomiędzy

niebem a ziemią. Tylko że to nie miało sensu, przecież już ją widział.

Podjęła wędrówkę w dół i na ostatniej klamrze zdążyła się jeszcze pośliznąć. Lis złapał ją, pomógł utrzymać równowagę, a potem cofnął rękę.

– Przepraszam – powiedział. – Nie chciałem być miły. To tylko taki odruch.

– Ja... – Nie miała pojęcia, co teraz.

Mężczyzna nie wyglądał na wściekłego, prędzej na lekko rozbawionego. Nie wiedziała, czy to dobrze, czy źle.

– Przyszłaś się rozejrzeć, rozumiem. Wiesz już, gdzie jesteśmy?

W tym momencie popełniła błąd – była niewyspana i zirytowana, a poza tym miała dość odgrywania głupiej.

– W środku puszczy białowieskiej. Tam jest granica – machnęła na wschód – a gdybym chciała wyjść z lasu, musiałabym iść tam. – Pokazała w drugą stronę.

– No proszę. – Lis się uśmiechnął. – A podobno dziewczyny nie znają się na mapach. To wiesz też pewnie, że wyjście z puszczy zajęłoby ci jakieś osiem godzin, zakładając oczywiście, że nie zmyliłabyś drogi, bo na dole, między drzewami, wszystko wygląda zupełnie inaczej niż z góry. Wtedy musiałabyś nocować w lesie, a nocą temperatura spada poniżej zera. I wilki, wiesz, że tu żyją wilki? A także mnóstwo innych niebezpiecznych stworzeń. Pamiętaj o tym, jeśli przyjdzie ci do głowy uciec.

– Wcale nie mam zamiaru uciekać. Mówił pan przecież, że nie wolno wychodzić poza ogrodzenie.

– Jasne, a ty jesteś grzeczną dziewczynką, która zawsze robi to, co jej każą.

– Przede wszystkim jestem rozsądna – oznajmiła Nina, a Lis skinął głową, jakby powiedziała coś całkiem oczywistego. W gruncie rzeczy wyglądał na bardziej pewnego tego rozsądku niż sama Nina.

– W takim razie powinniśmy bez problemu się dogadać. A teraz idź już, jeśli w ciągu pięciu minut wrócisz na miejsce pracy, nikomu nie powiem, że tu byłaś.

Gdy dotarła do kuchni, Jacek był już w trzech czwartych sterty ziemniaków.

– Znalazłaś coś ciekawego? – zapytał.

– Niedaleko stąd jest wioska. – Sięgnęła po nożyk i zabrała się do obierania. – Ale nie wiem, czy to nam coś da.

– Czemu?

– Skoro ci ludzie mieszkają tak blisko Instytutu, pewnie nie będą chcieli

nikomu stąd się narażać.

– Ale to zawsze jakaś szansa. – Chłopak był pełen entuzjazmu. – Możemy tam pójść i poprosić o pomoc. Może mają tam jakiś środek transportu, nie mówię, żeby od razu samochód, ale choćby wóz. Moglibyśmy dostać się do jakiegoś miasta, a potem już pociągiem...

Przez pięć kolejnych ziemniaków Nina wyobrażała sobie, jak uciekają furmanką, żegnani wylewnie przez serdecznych chłopów. Wieśniaczka przyciska ją do bujnej piersi i pakuje w ręce tobołek pełen świeżo upieczonego ciasta, dzieci w sukmanach ze łzami w oczach machają na pożegnanie... Przy szóstym oprzytomniała i uświadomiła sobie, że to nie może być takie proste. Nie mówiąc o tym, że na wsiach nikt już nie chodził w sukmanach.

Do jedenastej uporali się z ziemniakami i zabrali do krojenia kiełbasy. O pierwszej przyszła pora na obiad. Nie było tu stołówki, żur w wielkich wojskowych termosach zabierali przedstawiciele poszczególnych grup. Nina za pomocą olbrzymiej chochli odliczała porcje, a Jacek wydawał pajdy chleba. Dziewczyna miała nadzieję, że z grupy B przyjdzie Tamara, zamiast niej jednak pojawił się przystojny blondyn i śliczna wielkooka szatynka, którą obejmował ramieniem.

– Znaliście się wcześniej? – zapytała Nina, wlewając zupę do termosu.

Blondyn skinął głową.

– Chodzimy do jednej klasy. Jestem Michał, a to Lena.

– Nina. Jest tu więcej takich par? Albo większych grup?

– Nie, z tego, co wiemy, nie – odparła Lena.

Ale z Markotów jest kilka osób, pomyślała Nina. Prawdopodobnie nie oznaczało to nic dobrego.

Chciała zapytać jeszcze o zdolności magiczne, ale stchórzyła. Zresztą i tak by nie powiedzieli prawdy – nie teraz, kiedy w pobliżu kręciła się Mysz.

Dziesięć minut później w towarzystwie tyczkowatej dziewczyny w różowym sweterku zjawił się Hubert. Nina nie poznała go w pierwszej chwili. W Markotach, kiedy udawał kogoś innego, miał ufarbowane na czarno włosy, a teraz zobaczyła przed sobą czternastolatka o czuprynie tak jasnej, że prawie białej. W połączeniu z bladą cerą sprawiało to dziwaczne wrażenie – jakby Hubert nie był chłopcem, tylko negatywem chłopca. Albo duchem. W wersji blond wakacyjny kolega wyglądał też na jeszcze bardziej delikatnego i wrażliwego niż wcześniej.

– Gdzie pracujesz? – zapytała Nina, kiedy już się przywitali.

– Grupa E, czyli archiwum. Przepisujemy różne rzeczy.

– Och. – Tylko tyle była w stanie powiedzieć. Dlaczego, u licha, wepchnęła się do tej głupiej kuchni?

– Od kiedy tu jesteś?

– Od przedwczoraj.

– Zabrali cię z domu czy ze szkoły?

– Nie mam już domu – oznajmił dramatycznym tonem. Hubert był bardzo dobry, jeśli chodzi o mówienie dramatycznym tonem. – Moja babcia zmarła dwa tygodnie temu i wtedy uciekłem. Bałem się, że zabiorą mnie do sierocińca, więc ukrywałem się u ciotki na wsi. Tam mnie znaleźli.

– To musiało być okropne. – Miała ochotę objąć go w ramach pocieszenia, ale zabrakło jej odwagi. – Przesłuchiwali cię już?

– Dwa razy.

– Przyznałeś się, że, no wiesz... – Spojrzała na stojącą niedaleko dziewczynę w różowym sweterku, która odbierała właśnie od Jacka nierówno pokrojone kromki.

– To Kaśka, można jej ufać. Masz na myśli klasztor w Markotach? Pytali, ale zaprzeczyłem. W końcu oficjalnie naprawdę mnie tam nie było. Musimy lecieć, zobaczymy się po pracy.

Nina w roztargnieniu skinęła głową. Hubert nie należał do dwunastki, która po zmarłym Sławku odziedziczyła cechy Wybrańca, ale też miał magiczną moc, dlatego trochę się o niego martwiła.

Było po czwartej, kiedy Mysz pozwoliła im wreszcie wrócić do wspólnej sali (Ryśka zwolniła wcześniej, Wanda została, żeby pomóc w przygotowaniach przed kolacją). Nina nie pamiętała, kiedy ostatni raz czuła się tak zmęczona. Ręce bolały ją od obierania, krojenia, siekania, mieszania i szorowania, a oczy same się zamykały. Pozostali więźniowie musieli czuć się podobnie, bo kiedy szła wzdłuż rzędu łóżek, widziała wokół same poszarzałe, znużone twarze. Niektórzy dyskutowali o czymś przyciszonymi głosami, inni nie mieli siły nawet na rozmowę i po prostu leżeli ze wzrokiem wbitym w sufit albo spali. Może o to właśnie chodziło, przyszło jej do głowy. Zmęczyć nas tak, żebyśmy nawet nie myśleli o ucieczce.

Wkrótce do sali wróciła Tamara, z rękami czerwonymi od mrozu i świeżym zadrapaniem na prawej dłoni. Jej zazwyczaj dobry humor najwyraźniej został wystawiony na ciężką próbę.

– Padam z nóg – jęknęła, zwalając się na łóżko. – Oni nas tu chyba chcą wykończyć.

– Musimy znaleźć pozostałych – powiedziała bezlitośnie Nina. – Jacek też

tu jest, wiedziałaś?

Tamara pokręciła głową. Siedziała przez chwilę bez ruchu, a potem wstała z westchnieniem.

– Dobra, to chodźmy.

Pięć minut później siedzieli w piątkę na łóżku Mariusza, zwalistego chłopaka, którego przywieźli niedługo po Tamarze i który pracował teraz w grupie D, czyli „ekipie sprzątajacej”, co oznaczało mycie i zamykanie wszystkich tych zakurzonych, porośniętych pajęczynami fabrycznych hal.

– Chciałem zajmować się maluchami – powiedział ponuro. Pod oczami miał cienie i wyglądał nawet nie tyle na zmęczonego, ile zrezygnowanego i oszołomionego, jak ktoś, kto znalazł się na skraju załamania. – Ale mi nie pozwolili, tylko dziewczyny wzięli. Mam trójkę młodszego rodzeństwa, czy ja nie wyglądam na kogoś, kto umiałby zająć się dzieckiem?

Prawdę powiedziawszy, nie wyglądał: Mariusz był kanciasty i potężny, a w dodatku dzięki zmarłemu Sławkowi niesamowicie wręcz silny. Poza tym, jak Nina pamiętała z Markotów, nie grzeszył przesadną inteligencją – ot, na pierwszy, a nawet na drugi rzut oka typ tępego osiłka, którego jedyną rolą jest zostać przybocznym kogoś słabszego, ale sprytniejszego. Pamiętała jednak również, że bawił się z małą Małgosią, a ona go lubiła.

Mariusz był też jedynym z ich piątki, który podczas przesłuchania przyznał się do pobytu w klasztorze, dlatego uznała, że powinni dostosować swoje wersje wydarzeń do jego.

– Jeśli nas przycisną, będziemy musieli się zdradzić – powiedziała. – Ale możemy spróbować ominąć to, co najważniejsze.

– Czyli magię? – upewnił się Jacek.

Skinęła głową.

– I to, kim naprawdę są anioły. I Wybrańca, i cechy, jakie po nim dostaliśmy.

Sporo tego było, więcej niż rzeczy nieważnych, o których mogli swobodnie mówić.

– To co im powiemy? – Tamara też musiała to zauważyć, bo sceptycznie uniosła brwi.

– Że byliśmy w klasztorze, działy się tam dziwne rzeczy, ale my niewiele wiemy. Baliśmy się przez cały czas i chcieliśmy tylko wracać do domów. O Bestii wiemy tyle, że jakiś potwór chodził po korytarzach, a potem zniknął,

o aniołach tyle, że szukali jakiegoś Wybrańca.

– Wyjdziemy na idiotów – oburzył się Jacek.

– Co z tego? – Ninie ten pomysł też się nie podobał, ale lepszego nie miała.

– Bycie idiotą nie jest karalne.

– Nie uwierzą nam. – Tamara wysunęła kolejną wątpliwość.

– Pewnie nie, ale jeśli przygotujemy solidną wersję, no wiecie, taką dość bliską prawdy, to trochę się namęczą, zanim ją obalą. A my zyskamy czas, żeby uciec albo wykombinować coś innego.

Przygotowanie „solidnej wersji” zajęło im prawie czterdzieści minut, kiedy skończyli, za oknem zapadła już ciemność i rozpadał się dzwoniący o szyby deszcz.

– Jeśli mamy zamiar uciekać, musimy to zrobić wcześniej – powiedziała Tamara, patrząc w wąskie okna. – Bo chyba nikt nie chce iść przez ten las o zmroku?

– Niedaleko jest wioska, ona ją widziała. – Jacek skinął w kierunku Niny. – Myśleliśmy, że może tam nam pomogą.

– Wioska? – Mariusz zmarszczył brwi. – Jak daleko?

– Jakieś dwadzieścia minut drogi.

Zakładając, że nie pobłądzimy w lesie, Nina przypomniała sobie słowa Lisa. Zamiast jednak powiedzieć to na głos, zapytała:

– Naprawdę chcecie tam iść?

– A czemu nie? – Tamara spojrzała na nią zdziwiona.

– No nie wiem... Nie mówili wam, że pod żadnym pozorem nie wolno wychodzić za ogrodzenie?

– Jasne, że mówili. – W głosie Tamary zabrzmiał lekceważący ton. – Zależy im przecież, żeby nikt nie nawiał, nie?

Nina potrząsnęła głową. To pewnie też, ale może chodziło o coś więcej. Wczoraj w nocy wierzyła, że żołnierze strzelają do wymykających się więźniów, teraz ten pomysł wydał jej się absurdalny – w końcu gdyby ktoś próbował ucieczki, został ranny, a może nawet zabity, plotka o tym chyba już by się rozeszła?

Lecz jeśli nikt nie wyszedł za bramę, to w takim razie po co te strzały?

– Nina? – Głos Jacka wyrwał ją z zamyślenia. – Idziesz z nami?

– To nie takie proste. No wiecie, nie możemy tak po prostu uciec, zgłosić się na pierwszy z brzegu posterunek milicji i powiedzieć, że porwali nas bandyci. Przecież to nie są bandyci, tylko ludzie rządu. Nie możemy nawet wrócić do domów, bo tam też nas znajdą i w dodatku narazimy nasze rodziny...

– Pojedziemy do Warszawy, do mojego ojca – zdecydowała Tamara. – Zobaczycie, on coś wymyśli. Przecież nie możemy tu zostać. To znaczy ja i Jacek moglibyśmy, skoro nie mamy żadnych mocy, ale wy – skinęła głową w stronę Niny, Huberta i Mariusza – sami wiecie...

– My mamy przerabane – oznajmił Hubert ponurym głosem.

– Ja nie zamierzam zostać. – Jackowi najwyraźniej spodobał się pomysł ucieczki. – Tamara ma rację, jej ojciec coś wymyśli.

Tata Tamary był profesorem i faktycznie mądrym człowiekiem, pomógł im już w Markotach. Mimo to Ninę wciąż dręczyły wątpliwości. Z drugiej strony przyjaciółka miała sporo racji, nie mogli tu tkwić i czekać na swoją kolej jak przyprowadzone do rzeźni cieleta. Może mogliby wraz z rodzinami uciec za granicę? Do kraju, w którym nie było ani aniołów, ani komunistów? Nina na chwilę pogrążyła się w wizji nielegalnego, pełnego niebezpieczeństw przekraczania granicy – podczas którego oczywiście ona wykazałaby się największą zaradnością i odwagą. A potem przyjemne życie w Anglii albo we Francji, gdzie w sklepach można kupić ładne sukienki, a w radiu grają amerykańską muzykę...

– Ktoś przyjechał – oznajmiła Tamara i Nina ocknęła się z marzeń.

Światła nadjeżdżającego samochodu prześliznęły się po ociekających deszczem szybach, na zewnątrz dogasał warkot motoru.

– Pójdziemy zobaczyć? – zaproponował Jacek.

Kilka innych osób też wyszło, by przekonać się, kto wysiadzie z półciężarówki bardzo podobnej do tej, która przywiozła Ninę. Możliwe zresztą, że po prostu była to ta sama ciężarówka.

Pierwsza w błoto wskoczyła przysadzista niezgrabna kobieta – miała pewnie na nazwisko Kaczka albo jakoś tak. Zaraz za nią z szoferki wysunął się wysoki, chudy mężczyzna, Bocian, a może Żuraw?

A potem oboje wyciągnęli spod plandeki najwyżej sześciolletnią dziewczynkę, dygocącą z zimna i śmiertelnie przerażoną.

– Rusz się! – warknął mężczyzna, który w tej parze najwyraźniej był złym policjantem.

– Biedne dziecko – mruknął ktoś za plecami Niny.

Mała potknęła się, upadła w błoto i uderzyła w płacz. Deszcz moczył jej długie jasne włosy, wystająca spod płaszczyka brudna sukienka kleiła się do chudych jak patyczki nóżek. Żołnierz szarpnął dziewczynkę i podniósł brutalnie. W tym momencie z czekającej pod drzwiami grupy wysunął się Mariusz.

– Zostaw ją – powiedział dobitnie prawie już męskim głosem.

Bocian-a-może-Żuraw spojrzał na niego bardziej zdziwiony niż oburzony. Na razie bardziej zdziwiony.

– A ty czego się wtrącasz? Spadaj stąd, gówniarzu, zanim się zdenerwuję.

– Zostaw ją – powtórzył chłopak, podczas gdy w Ninie rosły coraz gorsze przeczucia. Żołnierz lada chwila się wścieknie, a Mariusz patrzył na niego z tępym uporem kogoś, kto może i ma szlachetne intencje, ale rzadko używa mózgu. – Bo zobaczysz, co ci zrobię.

Proszę, nie, błagała w duchu.

Mężczyzna roześmiał się, a Mariusz poczerwieniał wyraźnie w rozedrganych od deszczu światłach latarni. Potem dla odmiany zbladł i zmarszczył brwi. Nina wiedziała, co się dzieje.

Chciał użyć mocy.

Czekała, aż zjawią się ptaki, ale mijały kolejne sekundy i nic się nie działo. Mariusz poruszył się niespokojnie, Bocian-a-może-Żuraw ciągnął już jasnowłosą dziewczynkę w stronę budynku. Wtedy chłopak powoli, niczym aktor na scenie, osunął się na kolana. Z jego nosa wyciekła strużka krwi, która zmieszana z deszczem spłynęła na podbródek. Miał otwarte usta, niewidzące oczy wpatrywały się w ciemność.

– Zaraz dostanie czerwoną kartkę – szepnął ktoś za plecami Niny, zupełnie jakby siedzieli na trybunie, oglądając mecz.

Przez tłum przy drzwiach przepchnęli się dwaj młodzi żołnierze, chwycili Mariusza pod ręce i pociągnęli go w mrok. Oszołomiona i przerażona Nina próbowała zastanowić się, czego właśnie była świadkiem, ale zanim doszła do jakiegokolwiek sensownego – albo i niesensownego – wniosku, z wnętrza budynku rozległ się ostry głos Wydry:

– 77WR na przesłuchanie!

Rozdział czwarty, w którym Nina oraz jej przyjaciele idą do wioski, gdzie natykają się na kolejne tajemnice.

Nina oparła czoło o zalaną deszczem szybę. Z tej strony nie widziała światła przed fabryką, tylko przyczajony na zewnątrz mrok. W tym mroku był las, a w lesie... Wilki, jak powiedział Lis. A może nawet coś jeszcze bardziej niebezpiecznego.

Czekała od półtorej godziny, zostawiona sama sobie w pokoju, który wyglądał, jakby stworzono go, żeby siedzieć w nim i tylko się denerwować. Był tu stół i dwa krzesła, ale poza tym żadnych mebli, ściany miały kolor zszarzałej żółci, na podłodze leżał spłowiwały, kiedyś chyba ciemnoczerwony dywan. Wszystko było czyste, podłoga najwyraźniej świeżo wytarta, na stole ani śladu kurzu, ale to z jakiegoś powodu tylko jeszcze bardziej przygnębiło Ninę. Pomyślała o „ekipie sprzątającej”, która musiała tu pracować. Może był w niej Mariusz?

Chłopak, który „dostał czerwoną kartkę”, cokolwiek to znaczyło.

Napięcie było nieznośne, jak przed trudną klasówką, kiedy człowiek jednocześnie się boi i marzy, żeby mieć to już za sobą. Dwa razy na korytarzu słyszała stukot ciężkich wojskowych butów i dwa razy ktoś przeszedł obok, a jej najpierw serce skakało do gardła, a potem, kiedy kroki zaczynały się oddalać, czuła rozczarowanie, że to jednak nie do niej. Że dalej będzie musiała tu siedzieć i się denerwować.

Podeszła do drzwi i nacisnęła klamkę – były otwarte, sprawdzała już kilka razy, ale nadal nie miała odwagi wyjść. Zresztą dokąd by uciekła? W fabryce zaraz zostałaby znaleziona, a do lasu nie mogła pójść. Nie teraz, po zmroku i w deszczu, kiedy musiało tam być ciemno jak w grobowcu.

Na korytarzu znów rozległy się kroki i Nina zamarła. Zaledwie przed chwilą chciała, żeby było po wszystkim, teraz oddałaby swoje najładniejsze sukienki za jeszcze parę minut czekania.

Kroki zatrzymały się przed drzwiami, dziewczyna wstrzymała oddech. Klamka drgnęła i po chwili do pokoju wkroczył drobny szary człowieczek. Pod pachą niósł pękatą teczkę, drugą ręką przytrzymywał zsuwające się z nosa okulary.

– 77WR, tak? – zapytał.

Skinęła głową.

– Możesz nazywać mnie porucznikiem Gołębiem. Zaraz sobie porozmawiamy.

Usiadł za stołem, rozłożył papiery i przez chwilę coś nad nimi mruczał. Nina na drugim krześle denerwowała się coraz bardziej. Szary człowieczek naprawdę wyglądał szaro, miał posiwiałe włosy i skórę w niezdrowym odcieniu, jakby od dawna nie wychodził na słońce. Sprawiał nawet wrażenie nieco zakurzonego, aż się miało ochotę wziąć szczotkę i po nim przejechać. Dziewczyna bez problemu mogła wyobrazić go sobie porastającego pajęczynami w zapomnianym magazynie, gdzie piętrzą się stopy akt.

– Opowiedz mi o ostatnich wakacjach – powiedział, podnosząc na nią wzrok. W jednym oku pękło mu naczynko i czerwień rozlanej po białkównie krwi była jedyną plamą koloru w całej tej szarości.

Nina drgnęła. Spodziewała się tego, jasne, że tak, ale i tak przypływ paniki był jak nagłe zanurzenie pod wodę.

– Ja... Moi rodzice nie bardzo mają pieniądze, żeby wysłać nas, to znaczy mnie i mojego brata, na kolonie czy obóz, więc spędziłam wakacje w mieście. We Wrocławiu, to pan pewnie wie, bo tam mieszkam. Było całkiem miło, moja przyjaciółka, Agnieszka, też nigdzie nie wyjeżdżała, więc trzymałyśmy się razem. Chodziłyśmy opalać się nad Odrę i do parku Szczytnickiego. Raz poszłyśmy do zoo, ale mi się nie podobało, wszystkie zwierzęta tam wyglądały na strasznie nieszczęśliwe. To nie w porządku zamykać zwierzę w klatce dwa metry na dwa, kiedy powinno biegać po sawannie, prawda? Albo po dżungli. Pan na pewno nie chciałby żyć w takich warunkach. Dlatego wolę kino. Byłyśmy na fajnym filmie o księżniczce, która miała dość dworskiej etykiety i uciekła, żeby poznać miasto, a potem spotkała dziennikarza, który się w niej zakochał. Akcja toczyła się w Rzymie. Chciałabym kiedyś pojechać do Rzymu, zobaczyć Koloseum, Forum Romanum, Fontannę di Trevi i Muzeum Watykańskie...

Gołąb zamrugnął, oszołomiony potokiem słów. Nina sama była lekko zdziwiona – nie przypuszczała, że potrafi tak mówić, najwyraźniej jednak zdenerwowanie uruchamiało w niej ukryte pokłady gadatliwości.

Mężczyzna chrząknął, poprawiając okulary.

– Hm, w ogóle nigdzie nie wyjeżdżałaś? Bo tutaj jeden chłopak powiedział, że spotkał cię w miejscowości Markoty...

– Och. – Przez chwilę chciała zaprzeczyć, ale to chyba nie miało sensu. – Byłam tam bardzo krótko.

– Opowiedz mi o Markotach. Pojechałaś na zaproszenie anioła, tak?

Skinęła głową.

– Czego od ciebie chciał?

Nina odetchnęła, a potem sprzedała Gołębiowi wymyśloną historyjkę. Porucznik nic nie mówił, tylko bawił się ołówkiem, słuchając. Na jego szarej twarzy malował się wyraz zadumy, jakby myślami przebywał gdzieś daleko.

– I mówisz, że w Markotach grasował jakiś potwór?

– Nie wiem, czy potwór – skorygowała Nina. – Może to po prostu było jakieś duże dzikie zwierzę.

– Które porywało nastolatków?

Wzruszyła ramionami.

– Jak myślisz, co to mogło być?

– Nie wiem.

– Nie zastanawiałaś się nad tym?

– Nie bardzo. Chciałam tylko wrócić do domu. Wie pan, kiedy człowiek bardzo się boi, to nie może nawet za bardzo myśleć. – To przynajmniej było prawdą.

– I co się stało z tym potworem?

Przypomniła sobie nabitą na pal martwą Bestię i przełknęła ślinę.

– Ktoś go przepłoszył. Chyba.

– Kto?

– Nie ja, na pewno.

– A kto? Gdybyś miała zgadywać, na kogo byś stawiała?

Czy ONI tego właśnie szukali? Nastolatek, który pokonał Bestię? A jeśli go znajdą, co z nim zrobią? Albo z nią, bo trudno było powiedzieć, komu przypisać zasługę zabicia potwora z Kręgu. Nina przez moment zastanawiała się, kogo z wakacyjnych kolegów by wsypała, gdyby ONI ją zmusili (na przykład torturami). Artura? On był z ich grupy najmniej sympatyczny...

Poczuła się podle. Jak mogła tak pomyśleć?! Może to właśnie było najgorsze, co ONI robili człowiekowi – kazali wybierać, kogo z przyjaciół zdradzi się jako pierwszego.

Gołąb patrzył wyczekująco. Nina potrząsnęła głową.

– Naprawdę nie wiem. Byłam za bardzo zajęta chowaniem się i baniem. Jacek, Tamara i Hubert prawie przez cały czas byli ze mną, więc to nie oni, a co do pozostałych, nie mam pojęcia.

Spodziewała się, że będzie chciał ją przycisnąć, ale on ni stąd, ni zowąd zmienił temat.

– Opowiedz mi o aniele, który był w Markotach.

Potem pytał jeszcze o magię (czy Nina zauważyła coś, czego nie dałoby się w żaden sposób wytłumaczyć), o Wybrańca i ich opiekunkę, panią Celinę.

Dziewczyna starała się z jednej strony trzymać na tyle blisko prawdy, żeby Gołąb nie przyłapał jej na żadnej poważnej nieścisłości, a z drugiej nie zdradzić niczego, czego nie powinna zdradzać. W zasadzie sprowadzało się to do ciągłego powtarzania: nie wiem, nie zwróciłam uwagi, nie myślałam o tym. Momentami sama była sobą zniesmaczona. Robiła z siebie idiotkę, dokładnie tak, jak powiedział Jacek.

Porucznik znowu zapytał o Bestię. Nina była coraz bardziej skołowana i wyczerpana, przesłuchanie z każdą chwilą stawało się bardziej chaotyczne. W dodatku chwilami mogła się założyć, że Gołąb nawet nie słucha jej odpowiedzi. Może chodziło o to, żeby ją przestraszyć i zdeorientować, w końcu niewiele wiedziała o metodach przesłuchań, a może...

– Opowiedz mi o ostatniej nocy, którą spędziłaś w klasztorze.

Oblizła suche jak pieprz wargi. Żałowała trochę, że nie ma tu Lisa z tą jego szklanką wody, akurat teraz chętnie by się napiła.

Zaryzykować czy nie?

Postanowiła, że zaryzykuje.

– Wszyscy gdzieś biegali, było dużo krzyków i gonienia się po korytarzach. A ja zostałam całkiem sama, siedziałam w sypialni i kuliłam się ze strachu. Potem przyszły pozostałe dziewczyny i powiedziały, że one nie zamierzają tu zostać ani chwili dłużej i że mogą zabrać się z nimi, jeśli chcę.

Czekała, patrząc na porucznika jak wędkarz, który zastanawia się, czy ryba połknie haczyk. Nie było jednak żadnej reakcji, Gołąb tylko z westchnieniem odsunął papiery.

– W porządku, to chyba wszystko na dzisiaj. Wracaj do koleżanek.

Zdążyła na kolację, którą rozwożono tu wózkiem. Mysz i Wanda pchały poskrzypujący piętrowy wehikuł przez pełną nastolatków salę, omijając zręcznie rozstawione na środku piecyki. Starsza kobieta nalewała herbaty do kubków z wielkiego termosu, młodsza wydzielala na talerze pajdy chleba z pasztetową. Jak poinformowała Tamara, trzeba było zjeść i wypić, zanim wózek zawróci na końcu sali, a potem oddać naczynia, inaczej Mysz mogła zapamiętać opieszałego więźnia i pozbawić go następnej kolacji. Nina myślała, że niczego nie przełknie, ale wystarczyło, że ugryzła chleb, a odkryła, jak bardzo jest głodna, i dwie kromki zniknęły w błyskawicznym tempie.

Po kolacji zostało im jakieś pół godziny do prysznicza, wykorzystały więc

ten czas, żeby porozmawiać z chłopakami. Tym razem siedzieli na łóżku Jacka, cała czwórka z mocno wydłużonymi minami.

Mariusz nie wrócił, a co gorsza, wydawało się, że nikt nie ma pojęcia, co się z nim stało.

– Pytałem o tę czerwoną kartkę – powiedział zniechęcony Hubert – ale nie usłyszałem niczego konkretnego, tylko same plotki. Wiecie, ktoś usłyszał coś od kogoś, a ten jeszcze od kogoś. Że tych z czerwonymi kartkami zabierają do jakiegoś pokoju i zamykają tam, a potem słyszać tylko krzyki. Albo wywożą do lasu, dają łopate i każą kopać sobie grób, a potem nad tym grobem strzelają im w głowę. Albo...

– Przestań – stęknęła Nina, której zrobiło się trochę niedobrze.

– Powinniśmy znać wszystkie fakty – zwróciła jej uwagę Tamara. – Zwłaszcza ty powinnaś je znać, skoro chcesz być detektywem.

– To nie są żadne fakty, tylko wymysły – obruszyła się Nina. – Hubert sam tak powiedział. Masz coś konkretnego? – zwróciła się do chłopaka, który pokręcił głową.

– Nie. Nikt nie wie nawet, skąd się wzięło powiedzenie „dostać czerwoną kartkę” i co ono dokładnie znaczy. Czasem czerwonekartkowcy zaczynają nagle krwawić z nosa, oczu albo uszu, a czasem po prostu ktoś nie wraca z przesłuchania.

Nina zmarszczyła brwi, bo coś przyszło jej do głowy.

– Gdzie ty właściwie pracujesz?

– Mówiłem ci, w czymś w rodzaju archiwum.

– Tak, ale co tam robicie?

– Dają nam protokoły z przesłuchań, a my zaznaczamy odpowiedzi na takich specjalnych taśmach, każdy kod ma swoją, a potem wkładamy je do maszyny, która robi w tych taśmach dziury.

Ninie rozbłyśły oczy.

– Czekaj, to znaczy, że możesz się dowiedzieć, czym są czerwone kartki i czego oni od nas chcą! Wystarczy porównać...

– Myślisz, że na to nie wpadłem? – przerwał jej Hubert. – To nie jest takie proste, bo oni wszystko piszą szyfrem, nie tylko odpowiedzi, ale pytania też. Same cyfry, litery i jakieś dziwne znaczki. Nic z tego nie można zrozumieć.

– Spróbuj chociaż porównać taśmę Mariusza z naszymi i zobaczyć, czy czymś się różnią. Wiedzielibyśmy przynajmniej, czy nam też grozi czerwona kartka.

Hubert westchnął.

– W porządku, mogę spróbować. Jaki on miał kod?

Miał, nie ma. Ninę uderzyło, że zaczęli już mówić o Mariuszu w czasie przeszłym, i zrobiło jej się jeszcze bardziej niedobrze.

– Ktoś pamięta? – Hubert spojrzał na pozostałych.

– Ja nie. – Jacek potrząsnął głową.

– Ja też nie – mruknęła Tamara. – Nawet nie zapytałam, szczerze mówiąc.

Nina musiała przyznać, że ona również na to nie wpadła. Cholera. Jak na detektywa nie bardzo potrafiła się wykazać.

– Spróbujcie popytać chłopaków, obok których spał, może oni będą pamiętać – powiedziała. – Albo ludzi z jego grupy. Albo może ktoś będzie pamiętał kod innej osoby, która niedawno dostała czerwoną kartkę. Musimy zebrać informacje, im więcej, tym lepiej. Zaczniemy od tego, o co was pytali na przesłuchaniach.

– Czy wierzymy w Boga – odezwał się Jacek. – Myślałem, że coś mi zrobią, jak odpowiem „tak”, w końcu to komuniści. Ale oni tylko zapisali coś w tych swoich papierach.

– Ja powiedziałam, że to nie ich sprawa – zachichotała Tamara.

– A pytali was, czy jesteście sierotami? – Nina spojrzała na pozostałą trójkę, która zgodnie przytaknęła.

– Po co im sierota? – zastanawiał się Jacek.

Tamara wzruszyła ramionami.

– A po co aniołom Wybraniec? Sieroty są, no wiecie...

– Magiczne? – podsunęła Nina.

– Magiczne, właśnie. Tak jest we wszystkich bajkach i legendach, nie?

Nina powoli skinęła głową. Jeszcze niedawno taka argumentacja brzmiałaby idiotycznie, ale w tym nowym, zmienianym przez anioły świecie to miało sens.

– Przyznałeś się? – Tamara spojrzała na Huberta.

– Do czego?

– Że jesteś sierotą. Jako jedyny z nas.

– Nie jestem sierotą. – Oburzenie zabarwiło odrobiną czerwieni blade policzki chłopaka. – Mój tata wciąż może żyć.

Hubert był nieślubnym dzieckiem, a jego ojciec, z tego, co Nina wiedziała, nigdy nie interesował się ani synem, ani jego matką.

– I to właśnie powiedziałeś na przesłuchaniu? Że twój ojciec może wciąż żyć?

Hubert odwrócił głowę.

– Powiedziałem, że wiem, że żyje – odparł z ociąganiem. – Bo dostałem od niego parę listów i dopiero potem urwał nam się kontakt. Skłamałem,

w porządku? Chciałem tylko... – Wzruszył ramionami, a Ninie zrobiło się go żal.

Chciał tylko, żeby to była prawda, jasne, że tak.

– To dobrze – zapewniła pośpiesznie. – Lepiej się nie przyznawać, skoro nie wiemy, po co im ta sierota.

– Pewnie po nic dobrego – wtrącił Jacek.

– Pewnie po nic dobrego – zgodziła się Nina, po czym zaczęła wyliczać, jakie informacje trzeba zebrać.

– Powinniśmy w miarę możliwości poznać plan tej fabryki. I zorientować się, jakie tu są grupy oprócz tych, w których my pracujemy. Może dzięki temu dowiemy się więcej o tym, co oni tu robią. I o co pytali na przesłuchaniach innych chłopaków i inne dziewczyny. I jeszcze czy ktoś ma jakieś magiczne zdolności...

– Do tego nikt się nie przyzna – zauważył przytomnie Jacek. – Tu nikt nikomu nie ufa.

– No to musimy zrobić tak, żeby nam zaufali. Musimy...

– Właściwie po co? Przecież jutro i tak stąd uciekamy. – Jacek spojrzał na Tamarę i Huberta, szukając u nich potwierdzenia.

Nina chrząknęła.

– No właśnie, co do tego...

– Tchórzysz?

Z irytacją potrząsnęła kasztanową czupryną, a potem odgarnęła wpadające do oczu loki.

– Po prostu myślę, że głupio będzie, jeśli zwiejemy, a potem okaże się, że w wiosce nikt nam nie pomoże. Co wtedy? Chcesz iść przez las bez żadnego przygotowania?

– To co proponujesz?

– Pójść do wioski, rozejrzeć się, a w razie czego tutaj wrócić.

Jacek parsknął.

– Chyba żartujesz.

– Ona ma rację – wtrąciła Tamara. – Ja się nie boję iść do lasu, ale taka wyprawa to czysta głupota. Nie mam zamiaru skończyć w brzuchu głodnego wilka albo innego zwierzaka. Moim zdaniem powinniśmy sprawdzić, czy ludzie w wiosce mogą nam pomóc, a jeśli nie, wrócić i przygotować inny plan.

– Ta, a jak niby chcesz to sprawdzić?

– Mogę udawać zagubionego w lesie chłopca – zaoferował Hubert, po czym skulił się, zadygotał i jęknął: – Proszę, od rana nic nie jadłem, tak mi zimno...

Wyszło znakomicie, aż Nina poczuła, jak ogarnia ją chłód. Tajemniczy ojciec Huberta musiał być aktorem, i to dobrym, była tego pewna.

– W porządku – powiedziała. – Ale nie mów, że uciekłeś z Instytutu. Niech się sami podomyślają, a my w tym czasie...

– Sprawdzimy, jaki mają stosunek do ludzi stąd, jasne.

– Jacek? – Nina spojrzała na pulchnego chłopaka, który z ociąganiem skinął głową.

– Niech wam będzie.

Dopracowali szczegóły jutrzejszej wyprawy, a potem, kiedy dziewczyny chciały już wracać do siebie, Hubert zatrzymał Ninę.

– Pożyczysz coś do czytania? Obok mnie śpią straszni nudziarze, nawet porozmawiać z nimi się nie da...

– Mam podręczniki, bo zabrali mnie ze szkoły, ale polski czy biologia pewnie cię nie interesują, co?

– Nie bardzo. – Hubert był starszy od Niny o rok, więc i tak program jej klasy już znał.

– No to mam jeszcze tylko *Psychiatrię kliniczną*. Całkiem ciekawa, tylko strasznie ponura.

– Może być. – Hubert wyraźnie ożywił się na wieść o ponurości.

Ledwo zdążyła przynieść mu książkę, kiedy Wydra krzykiem zaczęła zaganiać dziewczyny pod prysznic. Nina zacisnęła zęby. Przetrwam to, pomyślała. W końcu wspólna kąpiel nie jest najgorszą tragedią, jaka może mi się tu przytrafić.

Tym razem udało jej się osiągnąć przynajmniej tyle, że się nie rozpłakała.

Leżała potem przykryta kołdrą, dygocząc z zimna, ze wzrokiem wbitym w ciemność gęstą jak na dnie studni. Nasłuchiwała posykiwania ognia w piecykach i stukotu butów Wydry, myśląc o tym, jak rozmawiali we czwórkę na łóżku Jacka.

Dopiero teraz zorientowała się, że wszyscy jej słuchali – no, przynajmniej przez większość czasu, aż Jacek się sprzeciwił. Powiedziała, że muszą zebrać informacje, a oni bez problemu to zaakceptowali, jakby nie było nic dziwnego w tym, że Nina mówi im, co należy zrobić. I jakoś tak samo wyszło, zupełnie naturalnie. A ją nagle przytłoczyło poczucie odpowiedzialności, bo wyglądało na to, że jej przyjaciele serio spodziewają się, że znajdzie wyjście z całej tej pokręconej sytuacji.

Że „coś wymyśli”, tak jak wymyśliła wtedy, kiedy do klasztoru chciała dostać się Bestia z Kręgu.

Ale ja nie potrafię, myślała. Bestia była jednak łatwiejszym do pokonania

przeciwnikiem niż cała armia komunistów.

Zwinięta w kłębek, starała się myśleć o czymś przyjemnym, na przykład o niedzieli w domu (jutro miała być właśnie niedziela), ale i tak cały czas się martwiła – o Mariusza, a przede wszystkim o pozostałą czwórkę, w tym samą siebie. Czekala też na strzały, jak wczorajszego wieczoru, stłumiony przez grube mury huk rozdzierający ciemność i podrywający serce do szaleńczego galopu. Zamiast tego usłyszała tylko stukanie w rury.

Stuk, stuk, STUK, dwa słabsze, jedno mocniejsze. A potem: STUK, stuk, STUK. Ciche, ale natarczywe pukanie, dochodzące gdzieś z dołu, jakby ktoś uwięziony głęboko pod ziemią próbował się z nią porozumieć.

STUK, STUK, stuk, stuk.

Alfabet Morse'a, myślała, powoli przegrywając ze zmęczeniem. Powinnam to zapisać, a potem pogadać z Jackiem. Zanim jednak sięgnęła po zeszyt i ołówek (w ciemności nie byłoby to łatwe), zapadła w sen.

Spotkali się następnego dnia po pracy, przy dziurze w ogrodzeniu, o której powiedziała im Tamara.

– Dzisiaj już jedną taką załataliśmy, ta została na jutro – oznajmiła dziewczyna, kucając w błocie i patrząc przez wyrwę w drucianej siatce na rozciągający się niedaleko las.

– To jak wyjdziemy później, jeśli dziś będziemy musieli wrócić? – zapytał Hubert.

– Mogę zaplatać drut tak, żeby dało się go zdjąć.

Nina uznała, że to całkiem dobry pomysł. Jacek rozejrzał się.

– Idziemy? – zapytał.

Skinęli głowami.

A co, jeśli ONI zauważą nasze zniknięcie? – myślała Nina, czołgając się pod ogrodzeniem. Teoretycznie więźniów liczono dopiero wieczorem, kiedy leżeli już w łózkach, ale istniała przecież możliwość, że wcześniej ktoś z ich czwórki zostanie wezwany na przesłuchanie.

Nie myśl o tym, nakazała sobie. I tak nic na to nie poradzisz, więc nie ma sensu się zamartwiać.

Podniosła się, spojrzała z niesmakiem na ubłoconą spódnicę, po czym pobiegła za pozostałymi, którzy znikali już wśród drzew.

Po raz pierwszy znalazła się w puszczy. Pnie były tu grube jak kolumny, strop tworzyły konary splątane tak gęsto, że z trudem przedzierało się przez

nie mętne światło listopadowego dnia. Porastający zwalone drzewa mech fosforyzował w półmroku zielonkawym blaskiem, gruba warstwa opadłych liści ugięła się pod stopami jak miękki dywan. Trzask pękającej pod butem gałązki zabrzmiał niczym wystrzał z pistoletu i Nina wzdrygnęła się lekko. Wszyscy odruchowo zniżyli głos, zupełnie jakby znaleźli się w kościele.

Szli na północny wschód, w kierunku, gdzie znajdowała się wioska. Piętnaście, dwadzieścia minut szybkiego marszu, powiedziała Nina, ale teraz zaczęła mieć wątpliwości.

Co, jeśli źle obliczyła odległość? Jeśli zgubi drogę albo faktycznie spotkają w lesie stado głodnych wilków?

– Rozmawialiście z kolegami Mariusza? – zapytała, żeby zająć myśli czymś pożyteczniejszym. – Ktoś pamiętał, jaki miał kod?

Odpowiedziało jej zgodne potrząśnięcie głowami. Nikt też nie potrafił sobie przypomnieć kodów innych czerwonokartkowców. Jackowi za to udało się dowiedzieć, że w Instytucie była jeszcze jedna mała grupa oznaczona literką F, do której obowiązków należało zajmowanie się psami.

– Chłopak, który śpi dwa łóżka dalej, do niej należy – poinformował szeptem. – Podobno to osiem owczarków niemieckich, wielkich jak cielaki i wściekłych jak diabli. Siedzą zamknięte w kojcach na tyłach fabryki. Karmi się je dwa razy dziennie kaszą z surowym mięsem.

– Po co tutaj psy? – zapytał Hubert, ale nie doczekał się odpowiedzi, bo właśnie między drzewami zobaczyli dach pierwszej chałupy. Był niski, jakby przygięty do ziemi i porośnięty zbrązowiałą trawą. Wokół panowała cisza, maćcona tylko szumem wiatru buszującego wśród gałęzi. A przecież z tej odległości powinni słyszeć już zwyczajne odgłosy wsi: gdakanie kur, pochrząkiwanie świń czochrających się w chlewiku czy ujadanie wiejskich kundli. Powinni czuć dym unoszący się z komina i ostrą woń gnojowiska, a tymczasem do ich nozdrzy wciąż dolatywał tylko zapach lasu: mokry, roślinny i ziemisty.

– Coś jest nie tak. – Tamara powiedziała to, o czym Nina pomyślała.

Chałupa sprawiała wrażenie martwej. Puste okna jak wypalone oczodoły, otwarte drzwi kołyszące się smętnie na skrzypiących zawiasach. Skrzyp, skrzyp, w prawo i w lewo, w miarę jak poruszał nimi wiatr.

– Rany... – szepnął Jacek.

Niewielki ogródek otoczony był pochylonym płotem, część sztachet leżała już na ziemi i porastała chwastami. Tamara potknęła się o zardzewiałe grabie i zakląła. W kurniku znaleźli rozwłózione ptasie kości, w oborze niekompletne szkielety dwóch krów, ogryzione do czysta przez mrówki.

Nina wycofała się z mocno bijącym sercem. Pozostali poszli za nią w milczeniu, nawet Tamara miała niepewną minę. Wokół panowała cisza jak na cmentarzu.

– Ta wioska... – zaczął Hubert.

– Jest kompletnie martwa – dokończyła Tamara.

Jacek kręcił się po okolicy.

– Zauważyliście, że nigdzie tu nie ma ludzkich kości? Sporo zwierząt, ale żadnego człowieka?

– Może wszyscy uciekli? – zasugerowała Nina.

– Zostawiając krowy, świnie i kury? I psy też? – Kopnął walającą się w trawie poźółkłą czaszkę. Ninie ścisnęło się serce. Pomyślała o krowach muczących rozpaczliwie, dopóki nie pękły im pełne mleka wymiona, a także o psie, opuszczonym przez właścicieli i zostawionym na pastwę losu w konającej wiosce. Na początku pewnie włamywał się do kurników i żywił zdychającym ptactwem, potem zdziczał i nauczył się żyć w lesie. A jeszcze później, kiedy się zestarzał, przypełził do miejsca, które znał najlepiej, żeby tutaj umrzeć. Może nawet do końca liczył, że ktoś z dawnych właścicieli wróci i się nim zaopiekuje...

Nina wytarła łzy. Jacek mrugał, jakby mu coś wpadło do oka, Hubert odwracał głowę. Tamara usiadła na progu jednej z chałup.

– Jezu – stęknęła. – Co tu się stało?

Nina i Jacek usiedli obok, Hubert z rękami w kieszeniach podszedł do płotu i zapatrzył się w dal, która wypadła akurat na rozłożystym jaworze. Wiatr szarpał jego jasne, prawie białe włosy i liche płaszczy, kupiony najwyraźniej w czasach, gdy chłopak był jakieś dziesięć centymetrów niższy. Co się z nim stanie, kiedy ONI go wreszcie wypuszczą? Jeśli wypuszczą. Pewnie trafi do domu dziecka, pomyślała Nina. Żal jej było Huberta: najpierw mieszkał z matką wariatką, potem ze sklerotyczną babcią, która bardziej interesowała się martwą córką niż żywym wnukiem, a teraz czekał go sierocy los w państwowym albo klasztorным przytułku.

Matka Niny powtarzała, że życie jest pełne smutku i dopiero po śmierci człowieka czeka nagroda w niebie. Nina zawsze się z tego śmiała, ale teraz była skłonna się zgodzić. Życie, ogólnie rzecz biorąc, faktycznie było do kitu.

– Powinniśmy wracać – mruknęła, ale nikt się nie ruszył. Jakby panujący w tym miejscu smutek przytłoczył wszystkich swoim ciężarem. Tamara podniosła patyk i rysowała w ziemi jakieś wzory, Jacek, zazwyczaj wszędobylski i energiczny, teraz siedział osowiały, kuląc się z zimna.

Nina objęła kolana rękami. Może właśnie nadeszła pora, żeby to wreszcie

powiedzieć.

– Słuchajcie – zaczęła niepewnie. – Przyszło mi coś do głowy... Tylko się nie obrażajcie, dobrze?

– Mhm – wymamrotał niezobowiązująco Jacek, a Tamara rzuciła tylko: „Dawaj, mała”.

– Przesłuchiwali mnie wczoraj i pomyślałam sobie, że oni... tak naprawdę chyba nie interesowali się tym, co mam do powiedzenia. Jakby z góry wiedzieli, co się stało w Markotach, i wcale nie musieli tego ze mnie wyciągnąć. Pomyliłam się nawet w pewnym momencie specjalnie, powiedziałam, że byłam z wami, a potem sama. Normalnie taki przesłuchujący powinien chyba złapać okazję i przycisnąć więźnia, a ten nic. Wam też zaskakująco łatwo się upiekło. Hubert skłamał, że nie był w Markotach, i tyle, Tamara kazała im się odpieprzyć...

– To po co te przesłuchania? – Starsza dziewczyna zmarszczyła brwi.

– Żeby nas złamać. Tak myślę. Dlatego musiałam najpierw długo czekać, dlatego ciągle wszystkich popychają i wrzeszczą. I ta praca... Dzisiaj Mysz zobaczyła, że skończyliśmy obierać ziemniaki, a nic innego akurat do roboty nie było, więc kazała nam czyścić taki wielki zardzewiały samowar, zupełnie bez sensu, bo nikt nie zamierzał go do niczego używać. Zupełnie, jakbyśmy nie mogli na chwilę odpocząć, jakbyśmy ciągle musieli być zmęczeni...

– Ta, w naszej grupie też tak jest – mruknęła Tamara. – Ryś bez przerwy wrzeszczy i dokąś nas goni. Już się nauczyłam, że trzeba udawać cały czas zajętą, bo inaczej zaraz znajdzie mi coś do zrobienia.

Nina skinęła głową.

– Dlatego myślę, że te przesłuchania są jakby... przy okazji, rozumiecie. Przynajmniej w przypadku naszej czwórki. Oni doskonale wiedzą, że byliśmy w Markotach i co się tam stało.

– Skąd mieliby wiedzieć? – Jacek zmarszczył brwi. – Myślisz, że ktoś z nas zdradził?

– Oczywiście, że tak właśnie myśli – odparła beztrząsowo Tamara. – Zgadza się, Nina?

Dziewczyna z ociąganiem skinęła głową.

– Lis i Sowa nie zjawili się w mojej szkole przypadkiem. Przyjechali specjalnie po mnie, a mały Łukasz załapał się przy okazji.

– Nie możesz tego wiedzieć – wytknął jej Jacek.

– Lis nazwał mnie na lekcji Niną.

– Przecież tak masz na imię.

– Nie. To znaczy tak, ale nie. We wszystkich oficjalnych dokumentach jest

napisane: Janina Pankowicz. Ktoś, kto zerknąłby po prostu do dziennika, powiedziałby: Janka, Jasia, albo jakoś tak. Jeszcze nikt sam z siebie nie wpadł na Ninę.

– Chyba że słyszał o tobie wcześniej – podsumowała Tamara. – A my wszyscy zjawiliśmy się w Instytucie wcześniej niż ty. To oczywiście nie ja, ale masz na to tylko moje słowo, prawda?

Jacek poczerwieniał.

– Ja też nikomu nic nie powiedziałem. To musiał być Mariusz.

Nina pokręciła głową.

– On nie znał mojego adresu ani nazwiska.

– W takim razie Hubert. W Markotach cały czas zachowywał się dziwnie, a teraz też coś kombinuje. Gdzie on w ogóle jest?

Jak na komendę spojrzeli w miejsce, gdzie jeszcze niedawno stał jasnowłosy chłopak, a które teraz było puste.

– Sama podejrzewasz Huberta – powiedział Jacek. – Inaczej nie mówiłabyś nam o tym akurat wtedy, kiedy jego nie ma w pobliżu.

Nina musiała się z nim zgodzić. Choć może nie tyle podejrzewała Huberta, ile – gdyby musiała wybierać – WOLAŁABY, żeby to był właśnie on. Jacka i Tamarę polubiła niemal od razu po przyjeździe do Markotów i od tego czasu trzymali się razem, Huberta – prawdziwego Huberta, a nie chłopaka, którego udawał – znała znacznie krócej.

– Nie możemy dać mu poznać, że się domyśliliśmy. – Jacek zapalił się do nowego planu, zupełnie jakby kwestia zdrady Huberta została ostatecznie ustalona. – Będziemy udawać, że ciągle się z nim kumplujemy, a wtedy on...

Nina nie słuchała.

Lis nazwał ją Niną, ale to nie wszystko, była jeszcze ta dziwaczna zagadka, którą opowiedział w klasie. Jak to szło?

„Dawno temu, powiedzmy przed dwudziestoma laty, w małej wiosce zagubionej wśród lasów, w chacie biednego węglarza żyła sobie rodzina: matka, ojciec i dwóch synów”.

Pytała pozostałych więźniów, ale wyglądało na to, że nikt inny niczego podobnego nie usłyszał. Albo więc cała ta opowieść była fanaberią Lisa, czymś w rodzaju prywatnego żartu, który tylko on rozumiał, albo... z jakiegoś powodu przeznaczona została właśnie dla Niny. Lis wiedział, że dziewczyna odziedziczyła po Sławku zdolności detektywistyczne, i podsunął jej zagadkę niczym przynętę.

Co wcale nie musiało znaczyć, że historia o powieszonym chłopcu nie była prawdziwa. Wręcz przeciwnie, Nina z każdą chwilą coraz bardziej

utwierdzała się w przekonaniu, że wszystko to wydarzyło się właśnie tutaj, dwadzieścia lat temu. Znajdowali się w wiosce „zagubionej wśród lasów”, siedzieli na przyzbie, na której tamtego listopadowego dnia usiedli ksiądz i kowal, patrząc na ten sam jawor – na który teraz spoglądali oni – w chwili, gdy w chacie ktoś mordował rodziców trzynastoletniego chłopca.

Chłopca, który potem został oskarżony o zabójstwo i powieszony.

Nina przełknęła ślinę. Przez chwilę zdawało jej się, że widzi kołyszące się na jaworze szczupłe ciało, ale wizja zniknęła tak szybko, jak się pojawiła.

Może on naprawdę był winny, pomyślała, i to właśnie jest rozwiązanie zagadki. Nie chciała wierzyć, że ktoś w jej wieku byłby zdolny do czegoś tak potwornego, ale... jak mówiła matka Niny, świat jest paskudny, a ostatnia wojna pokazała, że działały się w nim naprawdę przerażające rzeczy. Dzieci młodsze od Niny zabijały i były zabijane i nikogo to nie obchodziło.

Miał kilkanaście lat, pomyślała. Jak ja, jak większość więźniów Instytutu, jak nastolatki, o których czytała w gazetach, Michał z Lubomierza czy Berta z Katowic.

W dodatku kiedy chłopiec zginął, też był listopad.

Przypadek? Może, ale dziewczyna sądziła, że nie.

– Coś się tak zamyśliła? – Tamara szturchnęła przyjaciółkę w bok.

Powiedziała im, starannie omijając wizję kołyszącego się na jaworze wisielca oraz własne rozmyślania na temat złego świata.

– Ona ma rację – poparł ją Jacek. – To naprawdę mogła być kiedyś wioska węglarzy. No bo tak na logikę kto inny mieszkałby w środku lasu?

Wstał, odzyskując zwyczajną energię, i zaczął kręcić się po obejściu.

– Tu stał chyba piec do wypalania węgla. A tu jest stara studnia.

Nim zdążyła go powstrzymać, wszedł do chaty. Tamara podążyła za nim, Nina została sama na zewnątrz, bo Huberta nadal nigdzie nie było widać.

Nie czuła najmniejszej ochoty, żeby wejść do środka, ale z drugiej strony nie chciała też tkwić samotnie jak kołek pośrodku wymarłej wsi. Poza tym Tamara miała rację, detektyw powinien znać wszystkie fakty. Skoro wewnątrz chaty było miejscem zbrodni, powinna je zobaczyć.

Zacisnęła zęby i zanurkowała w półmrok.

To była zwyczajna wiejska chałupa, przynajmniej na tyle, na ile Nina się na tym znała. W większej izbie królował solidnych rozmiarów piec, obok stał stół i szeroka ława. W mniejszej znaleźli małżeńskie łóżko, malowaną w maki

skrzynię i sporą kołyskę, w której pewnie spał młodszy z chłopców. Okna były wąskie, przecisnąć się przez nie byłoby w stanie tylko bardzo chude dziecko. Jeśli więc kowal i ksiądz nie kłamali, że w domu nie było nikogo innego, zbrodnię musiał popełnić starszy syn.

Do sypialni przylegał alkierz, w którym stało łóżko znacznie porządniejsze niż to małżeńskie, bogato zdobione i z poduszkami, na których wyblakły hafty. Spał tu starszy chłopiec? Mało prawdopodobne, uznała Nina. To wyglądało jak miejsce przeznaczone dla jakiegoś szacownego członka rodziny. Albo ważnego gościa.

Czyli w domu jednak mieszkał ktoś jeszcze poza rodzicami i dwójką dzieci? A jeśli tak, kto to był i gdzie podziewał się w dniu tragedii?

Minęła stojące w sieni beczki, fasy i wiklinowe kosze – przechowywano tu pewnie zapasy – i wróciła do większej izby. Nigdzie nie było żadnych śladów zbrodni, chata wyglądała, jakby ktoś wysprzątał ją dwadzieścia lat temu, a potem po prostu wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Dotknęła wystającego z rozklekotanej szafy gwoźdźcia i przesunęła palcem w dół. Na skórze została smuga kurzu.

Tylko smuga, a przecież po dwudziestu latach wszędzie powinna zalegać gruba warstwa.

Tamara podeszła do pieca i przyłożyła do niego rękę.

– Popatrz. – Skinęła na przyjaciółkę. – Nie wydaje ci się, że jest jakby ciepły?

Nina dotknęła pieca – tak naprawdę był chłodny, ale gdzieś głęboko faktycznie dawało się wyczuć ślad żaru, jakby parę dni temu ktoś rozpałił tu ogień.

Spojrzała na Tamarę i bezradnie pokręciła głową. Nic z tego nie rozumiała, a co gorsza, coraz bardziej zaczynała się bać.

– Zobaczcie tu! – krzyknął z zewnątrz Jacek.

Zaprowadził ich do następnego domu, gdzie wszystko wyglądało podobnie: cienka warstwa kurzu na stole i ławie, wiszące pod sufitem pajęczyny i posępna atmosfera opuszczenia wyglądająca z każdego kąta. Jedyną różnicą było to, że ten dom nie wyglądał na wysprzątany, na piecu stał kociołek z resztkami jakiejś potrawy, na stole leżały nóż i zeschnięta skibka chleba. Jakby mieszkańcy w pewnym momencie po prostu przerwali codzienne czynności, wstali i wyszli.

W kolejnej chałupie było to samo. I jeszcze w następnej.

Przed piątą czekał na nich Hubert, który wydawał się jeszcze bledszy niż zwykle.

- Gdzie wyście się podziewali? – zapytał.
- Gdzie TY się podziewałeś? – zaczepnie rzucił Jacek.
- Poszedłem się trochę rozejrzeć. Nie uwierzycie, co znalazłem.

Mam dość, pomyślała Nina. Nie chcę więcej nawiedzonych chałup ani kości.

A jednak poszła za Hubertem, który poprowadził ich do miejsca, które musiało być centrum wsi, stał tu bowiem prosty drewniany kościółek, tak jak chałupy chylący się ku ziemi.

I pęknięty na pół.

Rysa biegła pośrodku głównej nawy aż do kamiennego ołtarza, dzieliła go na dwie niemal równe części, a potem wspinała się po nachylonym krzyżu. Rozłupana twarz wyrzeźbionego z drewna Chrystusa wyglądała upiornie, jakby ktoś uderzył w nią siekierą.



Tamara kucnęła i zajrzała w głąb szpary, a Nina poszła za jej przykładem. Wyrwa miała jakieś pół metra szerokości i wydawała się zaskakująco głęboka. Nad nią unosił się biały opar, może mgła, a może dym. Ninie z jakiegoś powodu przyszło do głowy, że rysa sięga do piekła, ale wypchnęła tę myśl, zanim na dobre zagościła w mózgu. Bo przecież to było niemożliwe, prawda? Bestia z Kręgu mogła udawać diabła, lecz coś takiego jak piekło nie istniało.

Jacek pobladł gwałtownie, a nawet zrobił się lekko zielonkawy, Hubert starał się trzymać dzielnie, ale widać było, że przychodzi mu to z coraz

większym trudem, Nina czuła się, jakby lada moment miała zacząć płakać. Nikt jednak nie miał odwagi pierwszy zaproponować powrotu do Instytutu. Zrobiła to dopiero Tamara, może dlatego, że jej nikt nie posądziłby o tchórzostwo, dzięki odziedziczonej po Sławku odwadze była przecież z nich najdzielniejsza. A może po prostu miała gdzieś, co inni o niej myślą.

– Jak dla mnie wystarczy wrażeń na dziś – powiedziała, wstając. – Proponuję wracać.

Spojrzeni na nią z wdzięcznością i zgodnie potruchtali do wyjścia.

Za granicą wsi, gdy opuszczonych domów nie było już widać zza drzew, Nina zatrzymała pozostałą trójkę.

– Poczekajcie chwilę – poprosiła. – Jeszcze tylko jedna rzecz.

– Pogadamy w Instytucie, i tak jesteśmy spóźnieni – ponaglił ją Jacek. – Słońce już zachodzi.

– Nie możemy tego zrobić w Instytucie. To zajmie trzy minuty, słowo.

– Dobra, dawaj. – Tamara skinęła głową.

Nina spojrzała na Huberta.

– Czy ty umiesz kontrolować swoją moc?

– Jasne, że tak. A ty?

– Nie, ale nie o to chodzi. Spróbuj teraz rozpalić ogień. Tylko bardzo ostrożnie, zgoda? Jeśli poczujesz, że coś jest nie tak, natychmiast przestań.

Zdziwiony Hubert podniósł z ziemi patyczek i wpatrzył się w niego ze zmarszczonymi brwiami. Nina czekała, licząc niespokojne uderzenia serca. Po piątym z nosa chłopaka zaczęła sączyć się krew, a on sam zachwiał się lekko.

– Nie potrafię – wyszeptał, kiedy Tamara skoczyła, żeby go podtrzymać. – Nie wiem, co się dzieje.

– Oni w jakiś sposób blokują nasze zdolności – powiedziała Nina. – Nie mam pojęcia, jak, może...

Przypomniał jej się Lis proponujący w czasie przesłuchania szklanek wody. Dobry policjant, też mi coś, pomyślała z goryczą i dokończyła:

– ...może dosypują nam coś do jedzenia albo picia.

– I co z tym zrobimy? – Jacek zadał pytanie i zaraz sam na nie odpowiedział: – Możecie jeść tylko rzeczy, których nie da się zatruć, na przykład jajka albo konserwy, albo...

– A skąd je wezmą? – Tamara była sceptyczna. – Nina pracuje w kuchni, więc nie ma problemu, ale co z Hubertem? I co będą pić, jeśli to woda jest zatruta? Deszczówkę?

– Przede wszystkim mogę z Jackiem poszukać tego proszku czy tam płynu. Bo jeśli coś takiego istnieje, musi być gdzieś w kuchni, żeby Mysz mogła

dodawać wszystkim do posiłków. Hubert, dobrze się czujesz?

– Tak. – Chłopak wytarł krew rękawem. – Nic mi nie jest.

– Na pewno? – Nina wiedziała, że jasnowłosego chłopaka prędzej dałby sobie obciąć palec, niż przyznał się do jakiegokolwiek słabości. Ale naprawdę nie wyglądał źle, jak na siebie, oczywiście.

– Na pewno – oznajmił dumnie. – Jestem gotów stawić czoła wszystkiemu, co nas czeka. Każdemu niebezpieczeństwu.

Nina chciała to jakoś skomentować, ale zanim wymyśliła właściwą odpowiedź (o ile istniała na tę deklarację jakakolwiek odpowiedź), niebezpieczeństwo nadeszło.

Od strony Instytutu dobiegło ujadanie psów.

Rozdział piąty, w którym Nina oraz jej przyjaciele zbierają informacje, a także dowiadują się, czym grozi ucieczka.

Nina spojrzała na pozostałych i zobaczyła w ich oczach odbicie własnego strachu.

– Szukają nas – powiedziała.

Szczekanie zbliżało się z każdą chwilą. Mogli zacząć biec przed siebie, licząc, że zdołają uciec, ale Nina wiedziała przecież, że nie mają szans. Nawet najszybszy nastolatek nie wygra wyścigu ze zdrowym młodym psem.

– Na drzewo – zakomenderował Jacek. – Tamara, na co czekasz?!

Zaczęli wspinać się na najbliższy dąb. Pulchny chłopak skakał po konarach ze zręcznością wiewiórki, długonoga, wysportowana Tamara i szczuplutki Hubert radzili sobie całkiem nieźle. Tylko Nina miała problem. Dwa razy mało brakowało, a by spadła, szorstka kora zdierała jej skórę z rąk, pot zalewał oczy.

– Pośpiesz się – syczał z góry Jacek.

– Łatwo... ci... mówić – wydyszała. Była całkiem sprawną fizycznie dziewczyną, ale przy pozostałej trójce czuła się jak ostatnia łamaga.

Tamara podała jej rękę i pomogła usiąść na jednym z konarów. Znajdowali się teraz jakieś dziesięć metrów nad ziemią. Jeśli ktoś spojrzy w górę, oczywiście ich zobaczy – drzewo pozbawione było przecież liści. Ale nie mieli innego wyjścia.

– Cicho – szepnął Jacek, zupełnie niepotrzebnie, bo nikt nie zamierzał się odzywać.

Nina zamknęła oczy i przytuliła policzek do szorstkiego pnia. Poszczekiwanie zbliżało się z każdą chwilą, słyszała trzask łamanych gałązek i nawoływania.

– Tędy, szybciej!

Zmusiła się do otwarcia oczu. Przez nagie krzewy przedarły się właśnie cztery owczarki niemieckie, a za nimi, na drugich końcach naprężonych smyczy, wynurzyli się młodzi żołnierze. Jeden z nich trzymał w ręku wyglądający znajomo różowy sweterek.

– Poszły na północ!

Nina wstrzymała oddech, gałąź, na której siedzieli Jacek i Hubert, zadrżała

lekko, ale poza tym nic się nie wydarzyło. Pościg przemknął pięć metrów od drzewa i żaden żołnierz nie zwrócił uwagi na siedzących w górze nastolatków.

Poczekali, aż umilkną odgłosy pogoni, a potem zsunęli się z powrotem na ziemię.

– Nie zauważyli nas. – Jacek wydał westchnienie ulgi, po czym dodał z niespodziewaną szczerością: – Jezu, myślałem przez chwilę, że się zleję ze strachu.

– Teraz już musimy przejść przez ten las – oznajmił Hubert – bo przecież nie możemy wrócić.

– Możemy – odezwała się Nina. – To nie nas ścigali, tylko jakieś dziewczyny. Powiedzieli „poszły”, słyszeliście? I jeden żołnierz miał różowy sweter, jak ten, który nosiła ta twoja Kaśka z archiwum. Pewnie uciekła ona i jakaś jej koleżanka.

– Jesteś pewna, że nie chodziło im o nas? – Tamara spojrzała na przyjaciółkę.

– Prawie pewna – odparła Nina uczciwie. Przyszło jej do głowy, że może ich zniknięcie też już zauważono, tylko jeszcze nie wysłano drugiego pościgu. Albo ONI zauważą je lada moment, kiedy przeliczą więźniów. Uznała jednak, że mimo wszystko więcej argumentów przemawia za powrotem niż przeciwko.

Zagłosowali: Tamara i Jacek poparli Ninę, Hubert chciał uciekać przez las.

– Wiecie, nie musimy robić wszystkiego razem – parsknął pulchny chłopak. – Jak on chce iść, to niech idzie.

Hubert zacisnął usta, włożył ręce w kieszenie, a potem z ponurą miną poszedł za pozostałymi.

Gdy wyszli z lasu na polanę, zobaczyli, że nad Instytutem unosi się dym. Wydobywał się nie z komina, tylko z jakiegoś miejsca poniżej, jakby ktoś rozpałił wielkie ognisko na placu przed fabryką.

Albo jakby płonął jeden z budynków.

Spojrzeni na siebie nic nierozumiejącym wzrokiem, a potem, na komendę Jacka, przemknęli z powrotem przez dziurę w ogrodzeniu. Obiegli Instytut, zmierzając w stronę frontu. Najpierw zobaczyli ogień obejmujący garaże, potem biegających z wiadrami nastolatków. Płomienie strzelały wysoko, liżąc wilgotne deski i sypiąc iskrami. Wokół rozchodził się zapach palonego

drewna, w powietrzu jak ostre kamienie fruwały rozkazy: „Szybciej, więcej wody, co się tak guzdrzecie, nogi wam pourywało?!”. I jeszcze: „Nie zbliżać się, może wybuchnąć!”.

Chłopcy i dziewczyny, dla których zabrakło wiader, stali z boku i gapili się na to wszystko z szeroko otwartymi oczami.

Hubert wyciągnął z grupy drobną, myszowatą dziewczynę z warkoczykami.

– Co się stało?

– Kaśka i Olka zwały jakieś pół godziny temu – szepnęła zapytana. – Potem wywołali kod Olki i zaraz się zorientowali, że ich nie ma. A minutę później ktoś podpalił garaże.

– Żeby odwrócić uwagę – powiedział Jacek, ale myszowata pokręciła głową.

– Chyba nie. Kaśka i Olka o żadnym podpalaniu nie mówiły. Wiem, bo chciały, żebym poszła z nimi, ale wołałam zostać.

– Czemu? – zapytała Nina odruchowo, a myszowata spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– A czemu miałabym uciekać? Za parę dni i tak przecież wrócę do domu. Poza tym jakbym się teraz tam pojawiła, to rodzice zaraz odesłaliby mnie z powrotem. Kaśka uciekła, bo jej ojciec jest umierający i chciała się z nim jeszcze zobaczyć, a Olka poszła do towarzystwa, bo to najlepsze przyjaciółki. Ale z moim tatą jest wszystko w porządku.

– A czerwona kartka? – zapytał Jacek, ale dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Czerwone kartki zdarzają się bardzo rzadko – burknęła. – Wszyscy to wiedzą. Wystarczy siedzieć cicho i robić, co ci każą, a nic się nie stanie.

Nina nie wierzyła w to, tak samo jak nie wierzyła w przypadkowy pożar. Ale uderzyło ją, że nie tylko myszowata nie miała najmniejszego zamiaru uciekać. Kiedy powiodła wzrokiem po zgromadzonych na placu nastolatkach, zobaczyła w ich twarzach niechęć, jakby wyczuli w niej buntowniczkę. Tak naprawdę to nie było więzienie, bo większość jej towarzyszy niedoli nie zdawała sobie sprawy z niebezpieczeństwa i chciała jedynie przeczekać. Prawdopodobnie nie uciekliby, nawet gdyby szeroko otworzyć im bramę, co zresztą wyjaśniało, czemu ogrodzenie było tak słabo pilnowane. Nina poczuła złość na wszystkich tych grzeczniutkich i posłusznych naiwniaków, którzy dali się IM nabrać, a potem wróciła myślami do pożaru. Na szczęście nie wszyscy byli tak bierni, niektórzy mieli odwagę złamać reguły. Jak Kaśka i jej przyjaciółka. Albo jak człowiek, który pomógł obu dziewczynom,

w odpowiedniej chwili rozpalając ogień – bo Nina wierzyła, że ktoś to zrobił celowo.

Ktoś, kto potrafił myśleć i działać błyskawicznie, bo nawet jeśli myszowata przesadzała z tą minutą, tajemniczy dobroczyńca i tak miał bardzo mało czasu.

– Jak oni to podpalili? – zastanawiał się Jacek. – Mokre drewno nie złapie ognia...

Tamara wzruszyła ramionami.

– W przybudówce na narzędzia są kanistry z benzyną. Widziałam je tam dziś rano.

– Pokażesz tę przybudówkę? – zapytała Nina.

– Czemu nie. – Tamara poprowadziła ich wokół budynku do miejsca, gdzie stało coś w rodzaju blaszanej szopy.

Zamek był wyłamany, w półmroku obok narzędzi widać było stojące pod ścianą zakurzone baniaki, każdy po dwadzieścia litrów. Nina spróbowała jeden podnieść, ale nawet nie drgnął.

Ktoś wystarczająco silny, żeby poradzić sobie najpierw z zamkiem, a potem z przeniesieniem ciężkiego kanistra. Ktoś, kto prawdopodobnie pracował w grupie B, bo wiedział, gdzie znaleźć benzynę.

– Czego szukacie? – Młody żołnierz podszedł do nich, wymachując bronią.

– Nie ma tu nic ciekawego! Wynocha stąd, ale już!

Czwórka nastolatków zmyła się posłusznie. Wrócili do wspólnej sali i usiedli na łóżku Jacka.

– No to mamy następną zagadkę – powiedziała Tamara, odchylając się do tyłu i opierając na łokciach. – Kto podpalił garaże?

Wcale nie mamy, pomyślała Nina. Ja to wiem.

Do sali zaczęli wracać czarni od dymu chłopcy i dziewczyny, zmęczeni i mimo wygranej walki z ogniem mocno zniechęceni. Chwilę później Wydra donośnym głosem kazała wszystkim stanąć na baczność obok własnych łóżek.

Nina spełniła polecenie pełna złych przeczuć.

– Pewnie już wiecie, co się dziś wydarzyło – zaczęła strażniczka. – Dwie osoby postanowiły zlekceważyć nasze polecenia i wyszły poza ogrodzenie. Dlatego, żeby w przyszłości zapobiec takim wyskokom, jutro czekają was dodatkowe dwie godziny pracy. Tą metodą może nauczycie się wreszcie nam ufać, a przede wszystkim nas słuchać.

Odpowiedział jej zbiorowy jęk protestu, zaraz uciszony groźnym spojrzeniem Wydry.

– Mówiliśmy wcześniej, że nic wam tu nie grozi: wystarczy stosować się do

naszych poleceń, a za kilka dni wróćcie cali i zdrowi do domów. Jeśli jednak nie da się z wami dogadać po dobroci, spróbujemy siłą. Teraz macie wolne, cieszcie się odpoczynkiem, bo jutro czeka was bardzo długi dzień. Za godzinę Żuk zaprowadzi chłopców pod prysznic, potem ja zabieram dziewczyny. I nie myślcie, że nie znajdziemy osób, które uciekły. Z tego lasu nie ma wyjścia, wbijcie to sobie do tępych głów i przestańcie próbować; mówię to dla waszego własnego bezpieczeństwa.

Nina milczała, wpatrując się w podłogę. Kiedy Wydra skończyła mówić, podniosła wzrok na Tamarę i rzuciła:

– Zaczekaj chwilę.

W tym momencie przyjaciółka złapała ją za łokieć.

– To ty zaczekaj. Co masz zamiar zrobić z tym, że niby Hubert jest zdrajcą? Albo Jacek, albo ja?

– Nie wiem – przyznała Nina z ociąganiem. Właściwie o tym nie myślała. NIE CHCIAŁA myśleć.

– Nie możemy tak po prostu udawać, że wszystko jest w porządku. Ja wiem, że to nie ja, ale nie mam pewności co do chłopaków, oni mogą podejrzewać albo mnie, albo siebie nawzajem. Tylko ty jesteś czysta jak cholerna lilijka, skoro przyjechałaś ostatnia.

– Mogli specjalnie wysłać mnie tu później, żeby was oszukać. A powiedziałam wam o tym wszystkim, żeby jeszcze bardziej odsunąć od siebie podejrzenia.

Tamara zamrugła.

– Naprawdę?

– Nie, no coś ty. Mówię tylko, że teoretycznie też mogę być winna. I nie mam pojęcia, co z tym zrobić. Jeśli przestaniemy sobie ufać i każde z nas zacznie działać na własną rękę, to będzie bez sensu. A nie możemy wykluczyć tylko jednego z nas, jeśli nie mamy pewności.

– To zrób nam jakiś test albo coś.

– Test byłby bez sensu, skoro ty już o nim wiesz.

Tamara westchnęła.

– Lubisz komplikować sprawy, co?

– Nie lubię. One same z siebie są skomplikowane.

– A pomyślałaś, że ten, kto nas zdradził, może dalej z nimi pracować i o wszystkim donosić?

– Wtedy chyba nie pozwoliliby nam wymknąć się do tej wsi, tylko złapaliby od razu po przekroczeniu ogrodzenia. Chyba że mają co do nas inne plany. – Nina poczuła nagłą ochotę, żeby staroświeckim gestem złapać się za

głowę. – Cholera, to naprawdę jest skomplikowane. Może rzeczywiście wygadał się Mariusz. Mogłam mu jednak wspomnieć, że jestem z Wrocławia...

– Ta, wmawiaj sobie, jeśli tak ci wygodnie.

Tamara ma rację, chowam głowę w piasek, myślała Nina, idąc wzdłuż rzędu łóżek. Szybko znalazła to, na którym siedział Michał. Obok niego zajęła miejsce śliczna Lena, na sąsiednim pościeli usadowił się czarnowłosy chłopak, który tasował właśnie talię wysłużonych kart.

– Zagramy? – rzucił, jakby nic przed chwilą nie zaszło.

Nina chrząknęła i dopiero wtedy zwrócili na nią uwagę.

– Muszę z tobą porozmawiać – powiedziała do Michała.

Na sam jego widok żołądek dziewczyny wykonał fikołka, a kolana zrobiły się podejrzanie miękkie. Chłopak zdecydowanie był przystojny, więcej nawet, był niesamowicie wręcz piękny. Miał oczy barwy najczystszej błękitu, ocienione długimi ciemnymi rzęsami, złote włosy, nos jak wyrzeźbiony dłutem Michała Anioła...

Wiedziała, że się na niego gapi, ale mimo najszczerzej chęci nie potrafiła przestać. Niech to szlag, to był zdecydowanie kiepski moment na odkrycie, że ma się słabość do blondynów w pewnym określonym typie.

– Tak? – zachęcił ją chłopak.

– Wiem, że to ty podпалиłeś dzisiaj garaż – wyrzuciła z siebie. – Nie pytaj, jak się o tym dowiedziałam, po prostu wiem. I nie zaprzeczaj. Jesteś Wybrańcem.

– Kim? – Uniósł brwi.

Jego zdziwienie było tak autentyczne, że Nina pomyślała: Rany, on naprawdę nie ma pojęcia.

– Wybrańcem. Anioły stworzyły Wybrańców, żeby bronili ich przed Bestiami. Mniejsza z tym. To dlatego jesteś silny, zręczny, inteligentny i... – o mało nie dodała: przystojny – ...potrafisz podejmować szybkie decyzje.

– Ta mała próbuje cię poderwać – zachichotał chłopak z kartami. – I trzeba przyznać, że umie prawić komplementy.

Nina zarumieniła się po czubki uszu.

– Chcę tylko...

– To bardzo miłe, co mówisz – oznajmił poważnym tonem Michał. – Ale naprawdę nie jestem zainteresowany. Mam już dziewczynę. – Gestem posiadacza objął Lenę, która położyła mu głowę na ramieniu. Razem byli idealni, jak jakiś nowy gatunek człowieka, który powinien występować wyłącznie w książkach albo na obrazach. – A poza tym i tak jesteś dla mnie

trochę za młoda. Znajdź sobie kogoś w twoim wieku.

Nina czuła, że lada moment spali się ze wstydu, Michał patrzył z autentycznym współczuciem, czarnowłosa ciągle chichotał.

– Może jednak dasz się przekonać? – zaproponowała Lena. – Taka młoda to niezły pomysł, wychować ją można po swojemu...

– Jasne, bo w twoim przypadku na wychowanie już za późno – warknęła Nina, po czym spojrzała na Michała, starając się ignorować jego kumpla oraz dziewczynę. – Mam na myśli, że skoro dostałeś od aniołów te wszystkie umiejętności, to powinieneś je jakoś wykorzystać.

– Na przykład jak?

Wyobraźnia podsunęła jej wizję Wybrańca w splamionej krwią rozerwanej koszuli prowadzącego lud na barykady. Z trudem odsunęła od siebie ten obraz.

– No, mógłbyś na przykład zorganizować naszą ucieczkę. Taką, która miałaby szanse powodzenia. Albo moglibyśmy podpalić całe to ich archiwum, zniszczyć wszystkie materiały z przesłuchań, albo...

– Ty chyba naprawdę bierzesz mnie za kogoś innego.

– Ale metodę na podryw ma niezłą – pochwalił znowu czarnowłosa, po czym odłożył karty i zaczął wysokim głosem: – Pomóż nam, proooszę, jesteś taki męęęski...

– Daj jej spokój, to tylko dzieciak – wtrąciła się pobłażliwie Lena.

Nina poczerwieniała jeszcze bardziej, choć wydawało się to niemożliwe. W oczach miała łzy. Odwróciła się gwałtownie na pięcie. Śliczna dziewczyna coś jeszcze mówiła, chyba próbowała przeproszać czy pocieszać. Ale Nina nie potrzebowała jej litości.

Jak sobie chcecie, myślała, maszerując przez salę. Wcale mi na waszej pomocy nie zależy.

Rzuciła się na łóżko i rozplakała, kryjąc głowę w ramionach. Upokorzenie paliło żywym ogniem, wspomnienie ostatnich chwil bolało, jakby ktoś wiercił palcem w świeżej ranie. Starła się pozbyć z głowy obrazu całej tej rozmowy, ale pamiętała każde wypowiedziane słowo i każdą kpiącą minę.

Zaczynała się właśnie powoli uspokajać, gdy poczuła szarpanie za ramię.

– Co się stało? – zapytała Tamara, pochylając się nad przyjaciółką z niepokojem. – Ktoś umarł?

– Moja wiara w Wybrańca. – Nina pociągnęła nosem, siadając na łóżku. – Myślałam, że... Zresztą mniejsza o to.

Tamara podała jej chusteczkę.

– Tu jest jakiś Wybraniec? Kto to?

– Ten chłopak z twojej grupy, który wygląda jak z plakatów. No wiesz, jasnowłosey robotnik śmiało patrzy w socjalistyczną przyszłość, przeżąc mięśnie i szczerząc zęby jak kompletny krety. – Nina wytarła nos. – Ale on nie zamierza nam pomóc. Trudno, poradzimy sobie bez niego. Niech się wypcha z tymi wszystkimi swoimi umiejętnościami.

– Może trzeba go jakoś przekonać? Wybraniec by nam się przydał...

– To go sama przekonuj. Ja nie chcę z nim mieć nic wspólnego.

– Dobra, nic nie mówię. Chodź do nas, podzielimy się informacjami.

Chłopcy już na nie czekali. Hubert taktownie nie zwracał uwagi na zaczerwienione oczy Niny, Jacek chciał chyba coś powiedzieć, ale Tamara kopnęła go w kostkę, zamknął więc usta i sięgnął po zeszyt do matematyki, a Nina przypomniła sobie, że jego przecież też zabrali ze szkoły.

Pulchny chłopak chrząknął.

– W porządku, to może podsumujmy, czego udało nam się dowiedzieć. W Instytucie jest sześć różnych grup: A opiekuje się maluchami, B naprawia ogrodzenie i różne rzeczy na zewnątrz, C to kuchnia, D sprząta Instytut, E pracuje w archiwum, a F zajmuje się psami. W A mamy trzy osoby, w B trzynaście, C cztery, D najwięcej, bo piętnaście, E jedenaście, a w F tylko dwie. Razem daje to czterdzieści osiem osób oznaczonych różnymi kodami.

– Ktoś wie, jak oni te kody przydzielają? – zainteresowała się Nina.

– Wygląda na to, że jak ktoś wyjeżdża albo dostaje czerwoną kartkę, to zwalnia się jego numer i dają go następnej osobie, a litery oznaczające miasto są po to, żeby odróżnić powtarzające się cyfry. Policzyłem też łóżka, jest ich dokładnie osiemdziesiąt, czyli może tu spać prawie dwa razy więcej ludzi. I jeszcze się dowiedziałem, że nikt nie słyszał o kimś, kto byłby w Instytucie dłużej niż tydzień, po tym czasie albo odsyłają cię do domu, albo... sami wiecie. Czyli mamy najwyżej pięć dni, żeby stąd uciec.

Nina była pod wrażeniem i zrobiło jej się nawet wstyd – Jacek okazał się znacznie lepszy w zbieraniu informacji niż ona, która potrafiła tylko płakać jak dziecko.

– Naprawdę po tygodniu mogą mnie tak po prostu wypuścić? – W głosie Huberta zabrzmiało niedowierzanie.

– O ile nie dostaniesz czerwonej kartki – przypomniał Jacek.

Ninie przyszła do głowy tchórzliwa myśl, żeby w takim razie zwyczajnie przeczekać, tak jak to robili pozostali, licząc, że uda się ICH oszukać. Było to

jednak mało prawdopodobne – skoro ONI wiedzieli o Markotach, to pewnie też o magii.

– W porządku, wobec tego zastanówmy się, jak możemy stąd uciec. Ktoś ma jakieś pomysły?

Tamara westchnęła.

– Niczego sensowniejszego niż pójście przez las chyba i tak nie wymyślimy. Musimy tylko dobrze się przygotować, zabrać jedzenie i ciepłe ubrania, no i pilnować, żeby nie zgubić kierunku. Jakoś damy radę. To nie może być takie trudne.

– Będą ścigać nas z psami – odezwał się ponuro Hubert. – Które rozszarpią nam gardła, a jeśli nie one, to zrobią to wilki. Albo dostaniemy po kulce w głowę i nasze ciała zgniją w tym lesie i nikt nawet nie będzie wiedział...

– Rany, ty i te twoje ponure wizje – prychnęła dziewczyna. – Nie mógłbyś choć raz w życiu być optymistą?

– Sama mówiłaś o skończeniu w brzuchu głodnego wilka – wytknął jej Hubert, na co Tamara wzruszyła ramionami.

– Bo to całkiem prawdopodobne, ale skoro i tak nie mamy lepszego pomysłu, nie ma co panikować na zapas.

– Czekaście – wtrąciła się Nina. – Może jednak mamy coś lepszego. Jacek?

Pulchny chłopak jak zawsze dysponował całym mnóstwem pomysłów.

– Możemy dosypać psom do jedzenia coś, co wyeliminuje je na parę godzin, wiecie, nie śmiertelną truciznę, tylko coś, po czym dostaną sraczki albo zasną. Albo możemy udawać ciężko chorych, tak żeby trzeba nas było przewieźć do porządnego szpitala, nie byle jakiego jak tu. Albo uciekniemy z transportem czegoś tam, na przykład prania, w filmach zawsze tak robią. Albo możemy ukraść samochód, albo... Dalej nie wiem – przyznał.

Nina odetchnęła.

– Dobra, przemyślimy to po kolei. Żeby dodać czegoś do jedzenia psom, musielibyśmy zdobyć leki, pewnie spory zapas, bo owczarki są ciężkie i jest ich dużo. Czyli czekałoby nas włamanie do szpitala, a potem musielibyśmy jeszcze dostać się w pobliże klatek i jakoś podrzucić te leki... Nie bardzo mi się to podoba, zwłaszcza że możemy przy okazji zrobić krzywdę niewinnym zwierzętom. Poza tym w lesie oni nawet bez psów mają przewagę, bo znają te tereny, a my musielibyśmy liczyć, że jakimś cudem bez kompasu uda nam się utrzymać właściwy kierunek. Nie, moim zdaniem ucieczka pieszo to głupi pomysł. Udawanie chorego... Z tym Hubert by sobie poradził, ale my nie bardzo, poza tym to musiałoby być coś naprawdę poważnego, co wymaga na przykład operacji, a przecież nie uwierzą nam, że nagle wszyscy dostaliśmy

ataku ślepej кишки. Poza tym, co niby zrobimy w tym szpitalu? Powiemy: „Niech pan odłóż skalpel, panie doktorze, my sobie już pójdziemy”? Bez sensu... O pranie trzeba zapytać kogoś z D, ale założę się, że piorą na miejscu, dlaczego mieliby jeździć gdzieś daleko? Ale może wywożą stąd coś innego, na przykład puste beczki albo skrzynie, muszą przecież jakoś uzupełniać zapasy. Trzeba się dowiedzieć. No i faktycznie możemy jeszcze ukraść samochód, tylko kto go będzie prowadził?

– Ja – zadeklarował Jacek. – Po tej historii w Markotach poprosiłem mamę, żeby mnie nauczyła i teraz umiem.

– W porządku, to rozwiązuje przynajmniej jeden problem. W ogóle moim zdaniem albo ja, albo Jacek, powinniśmy postarać się o przeniesienie do grupy D.

– Po co? – Tamara zmarszczyła brwi.

– Bo to jedyna okazja, żeby rozejrzeć się po całym Instytucie. Poza tym w ten sposób mielibyśmy obstawione cztery najważniejsze grupy: pracującą na zewnątrz, żeby w razie czego wydostać się za ogrodzenie, kuchnię, żeby szukać tego, co dodają nam do jedzenia, archiwum, żeby porównać materiały z przesłuchań, no i właśnie ekipę sprzątającą, która najlepiej zna cały Instytut. Tylko nie wiem, czy da się przenieść do innej grupy...

– Jedno z was może się z kimś zamienić, u nas w archiwum dziewczyna tak zrobiła – powiedział Hubert.

– To jak, ciągniemy zapalki? – Jacek spojrzał na Ninę.

Nie mieli zapalek, ale Tamara wyjęła dwuzłotową monetę.

– Reszka: Nina, orzeł: Jacek – oznajmiła, a dwójka zainteresowanych pokiwała zgodnie głowami.

Wypadła reszka i Jacek odetchnął z ulgą, Nina podejrzewała, że od początku chciał zostać w kuchni, ale nie chciał się do tego przyznać, żeby nie posądzili go o wygodnictwo i łakomstwo. Dziewczyna też nie kryła zadowolenia. Praca w ekipie sprzątającej prawdopodobnie była cięższa, ale dawała więcej możliwości.

Nina uznała, że nie ma na co czekać, wstała więc i poszła szukać kogoś, kto chciałby się z nią zamienić. Nie trwało to długo – jako pierwsza zgłosiła się Hania, krępa dziewczyna mówiąca z wiejskim akcentem i najwyraźniej z trudem przyjmująca do wiadomości, że ktoś woli szorować podłogi w zimnych halach, zamiast gotować w ciepłej kuchni. Nina sama zaczęła mieć wątpliwości, ale odepchnęła je od siebie.

– Z Sową trza gadać – powiedziała Hania. – Ona musi się zgodzić.

Sowa, pomyślała Nina. Jak pech, to pech.

Ruszyła w stronę wyjścia, przy którym na krześle siedziała Wydra. Czasem sali pilnowała ona, a czasem opiekun chłopców. Nina zdecydowanie wołała, gdy strażnikiem był Żuk, łatwiej było się wtedy niepostrzeżenie wymknąć.

– A ty dokąd? – Tak jak się spodziewała, kobieta zatrzymała ją w drzwiach.

– Muszę porozmawiać z sierżant Sową.

– Drugie piętro, ostatni pokój po lewej. Chcę cię tu widzieć za kwadrans, inaczej sama po ciebie przyjdę, a wtedy pożałujesz. Rozumiemy się?

Dziewczyna skinęła głową. Kłócenie się czy choćby wspomnianie, że nie ma zegarka, nie miało sensu.

Ostatni pokój po lewej był tym samym, w którym pierwszego dnia po przyjeździe widziała żołnierzy grających w karty. Teraz jednak siedziała tam tylko jedna osoba – porucznik Lis czytający *Noc w bibliotece* Agathy Christie. Nie miał broni, ci starsi rangą, przedstawiający się zwierzęcymi nazwiskami, rzadko ją nosili i często też ubierali się zwyczajnie, po cywilnemu. A jednak to właśnie ich Nina bała się najbardziej, a nie wszystkich tych niewiele starszych od niej chłopaków, którzy biegali po Instytucie, poszczekując karabinami.

– Szukasz kogoś? – zapytał porucznik na widok dziewczyny niepewnie stojącej w progu.

– Tak, pani Sowy. Chcę dołączyć do grupy D.

– Sierżant będzie tu za parę minut, możesz na nią poczekać. Znudziła ci się praca w kuchni?

– Nie, po prostu poznałam fajną dziewczynę i chciałabym być z nią. – Już wcześniej postanowiła, że właśnie to kłamstwo poda jako uzasadnienie. – Mam nadzieję, że pani Sowa się zgodzi, chociaż za mną nie przepada.

– Nie przepada to dość eufemistyczne określenie.

– Dlaczego właściwie ona mnie nie znosi? – Ninę od początku to intrygowało. Dorośli zazwyczaj ją lubili.

W oczach Lisa pojawił się znajomy błysk humoru.

– Z powodu tej sukienki, w którą byłaś ubrana, kiedy zabraliśmy cię ze szkoły. Sierżant jest... można powiedzieć, bardzo zasadnicza.

– Uważa, że dziewczyny nie powinny nosić sukienek?

– Uważa, że dziewczyny powinny ubierać się skromnie, jak przystało na porządne komunistki. Falbanki i koronki są oznaką dekadencji, sanacji i burżuazyjnego zepsucia. Zdaniem sierżant taki strój to antysystemowa

demonstracja.

– Och. – Ninie nie przyszło do głowy, że niebieska sukienka może coś demonstrować, ale bardzo jej się to spodobało.

– Dlatego nie sędzę, żeby sierżant była skłonna cokolwiek ci ułatwiać. Chcesz jeszcze o coś zapytać?

– Tak, właściwie tak. Skoro pani Sowa ma tutaj swoje obowiązki, dlaczego pojechała do Wrocławia z panem?

Lis przyglądał się przez chwilę Ninie z ciekawością, aż dziewczyna poczuła się nieswojo. Może nie powinna o to pytać, może to była ta właśnie nadmierna ciekawość, która mogła ją zgubić?

– Ponieważ ją o to poprosiłem – odparł krótko, a Nina miała na tyle rozumu, żeby nie drażnić tematu.

Lis zamknął książkę, wkładając mniej więcej w połowie czarno-białe zdjęcie, i odłożył ją na stolik.

– Lubisz powieści detektywistyczne? – zapytał beztrosko, jakby konwersowali sobie na rodzinnym pikniku.

W głowie Niny rozdzwonił się dzwonek alarmowy.

– Wolę przygodowe – odparła ostrożnie.

– Ale kryminały też czytasz?

– Czasem.

– Mogę ci ten pożyczyć, jeśli chcesz.

Nina oddałaby całe swoje kieszonkowe za książkę, która nie byłaby szkolnym podręcznikiem (dawno już zdążyła pożłować, że *Psychiatricę* pożyczyła Hubertowi). Ale nie chciała niczego brać od NICH, to byłoby jak przyjmowanie cukierków od hitlerowców w czasie wojny. Z drugiej strony, kusiło ją, przecież to tylko powieść i zamierzała jedynie ją pożyczyć...

– Jeszcze pan nie skończył – powiedziała, unikając w ten sposób decyzji.

– I tak się domyślam, kto jest mordercą. Zdarza ci się, że sama próbujesz rozwiązać zagadkę?

– W książkach? – palnęła, zanim zdążyła ugryźć się w język.

– W życiu chyba nie masz zbyt wielu okazji... choć może się mylę? – Sięgnął po powieść, wyjął służące jako zakładka zdjęcie i wyciągnął je w stronę dziewczyny. – Wiesz, co to jest?

– Fotografia.

– Tak, ale co przedstawia? Przyjrzyj się.

Nina modliła się, żeby przyszła już Sowa, nakrzyczała na nią, a nawet popchnęła. Wszystko byłoby lepsze od tej rozmowy, w której każde zdanie było ukrytą pułapką. Zachowuj się naturalnie, upomniała samą siebie. Jak

zwyczajna dziewczyna.

Zwyczajna dziewczyna wzięłaby to zdjęcie i obejrzała, więc Nina z ociąganiem wyciągnęła rękę. Stara fotografia przedstawiała wiejską chatę, a przed nią dwóch chłopców. Jeden z nich wyglądał mniej więcej na rówieśnika Niny i miał brzydką, ale nieoczekiwanie sympatyczną, pełną piegów twarz. Drugi był kilkuletnim brzdącem, siedzącym na przyzbie z szeroko otwartą buzią.

– Jak myślisz, kto to jest?

Chciała odruchowo zaprzeczyć, lecz nastolatek był tak podobny do Lisa, że tylko idiota nie domyśliłby się, że to bracia. A Nina nie chciała udawać idiotki, to byłaby przesada.

– Ten mały to pewnie pan jakieś dwadzieścia lat temu. Obok stoi pana starszy brat.

Skinął głową.

– A chata?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Może ta, o której pan opowiedział wtedy w klasie? Nie mam pojęcia.

– Nie chciałabyś się dowiedzieć, co tam się wydarzyło? Wiesz, być jak prawdziwy detektyw, rozwiązujący zagadkę.

– Detektyw potrzebowałby więcej danych. – Od razu pożałowała, że to powiedziała, dodała więc szybko: – To znaczy, tak byłoby w książkach.

– W książkach, aha.

W tym momencie do pokoju weszła Sowa, a Lis skinął jej głową.

– Dziewczyna ma do pani sprawę, towarzyszo.

– Słucham – rzuciła sucho sierżant.

„Nie sędzę, żeby była skłonna cokolwiek ci ułatwiać”, przypomniała sobie Nina. Dziwny dobór słów, bo kto w takiej sytuacji mówiłby o ułatwianiu? Pod wpływem nagłego impulsu ujęła rąbek sukienki – niestety zwyczajnej, z brązowej wełny – i dygnęła z całym przedwojennym wdziękiem, na jaki było ją stać. Przez twarz Sowy przemknął wyraz obrzydzenia.

– Chciałabym zamienić się z Hanią z grupy D – powiedziała Nina. – Nie jestem przyzwyczajona do ciężkiej pracy w kuchni, a dziewczyny z ekipy sprzątajacej mówiły mi, że u nich jest łatwiej. Mogłabym wycierać kurze, umiem to robić.

– Wycierać kurze, co? – mruknęła kobieta, patrząc drapieźnie, niczym prawdziwa sowa na tłustą mysz. – Och, myślę, że znajdzie się dla ciebie mnóstwo kurzu do wytarcia.

– To znaczy, że pani się zgadza? Dziękuję! – Wychodząc, Nina zdążyła

jeszcze zobaczyć twarz Lisa.

Wyglądał na bardzo rozbawionego.

Do wspólnej sali dotarła w momencie, gdy przetaczał się przez nią wózek z kolacją. Tamara oraz Jacek błyskawicznie złapali swoje porcje i zaczęli jeść chleb ze smalcem, za to pozostała dwójka spojrzała niepewnie najpierw na talerze, a potem na siebie nawzajem.

– Nie jestem głodny – oznajmił Hubert mężnie.

Nina była. Więcej nawet: była potwornie głodna. Jej żołądek zmienił się w ciasną kulkę i przywarł do kręgosłupa, a każda komórka ciała wołała desperacko: Jeść! Przełknęła ślinę, patrząc na smalec ozdobiony krągłymi brązowymi skwarkami. Prawie już czuła na języku jego smak.

Mam moc, ale jaki z niej pożytek? – pomyślała. Jak dotąd tylko udawało mi się krzywdzić ludzi. Lepiej postawić na myślenie, tym przynajmniej nikogo nie zranię. A trudno myśleć, kiedy człowiek jest tak bardzo głodny.

Rozgrzeszywszy się w ten sposób, ugryzła kromkę. Hubert nadal się wahał. W jego przypadku sytuacja wyglądała inaczej, moc rozpalania ognia naprawdę mogła się przydać. Lecz chłopak w imię tej przydatności był gotów zagłodzić się na śmierć, a nie o to przecież chodziło.

– Jedz – zachęciła go więc Nina. – Nikomu nic nie przyjdzie z tego, że zemdlejesz.

– Ona ma rację – zgodziła się Tamara. – Jeśli chcemy się stąd wydostać, musimy mieć siłę. A na blokowanie magii znajdziemy jakiś sposób.

Hubert ociągał się jeszcze przez moment, ale wreszcie sięgnął po swoją porcję. Gdy kończył pierwszą kromkę, na zewnątrz rozległo się szczekanie. Wszyscy zamarli, jasnowłosy chłopak odłożył niedojedzony chleb.

– Psy – szepnął Jacek. – Wracają.

Poderwali się równocześnie z innymi nastolatkami. W drzwiach zrobił się tłok, Wydra nie zamierzała nikogo zatrzymywać w sali.

– Idźcie – powiedziała ze złośliwym uśmiechem. – Zobaczycie, jak kończą ci, którzy wychodzą poza ogrodzenie.

Na placu kłębiła się połyskująca srebrzyście mgła. Zawieszona nad drzwiami żarówka wywalczyła dla światła niewielki krąg, dalej jednak rozciągało się morze bieli, gęstej, jakby Bóg rozlał śmietanę. Ujadowienie psów brzmiało w niej dziwnie nierealnie, stłumione i odległe. Nina zadrżała z zimna. Na rzęsach osiadała wilgoć, sylwetki dalej stojących więźniów ginęły

z oczu, spowite mlecznym oparem.

Szczekanie, choć wciąż przytłumione, zbliżało się wyraźnie. Chwilę później dostrzegła we mgle pierwszy cień, zwinny i wilczy, z płonącymi czerwienią ślepiami. Potem drugi, trzeci i czwarty. Psy wracały, a razem z nimi żołnierze. Nina niemal namacalnie czuła, jak w tłumie rośnie napięcie, jak wszyscy wstrzymują oddechy i słuchają niespokojnego bicia własnych serc. W krąg światła wbiegły owczarki, ciągnąc za sobą opiekunów. Dwóch żołnierzy trzymało naprężone smycze, pozostała dwójka niosła w ramionach ciemne kształty, wyglądające jak tobołki zrobione z naprędcie pozwijanych ubrań. A potem wysuwająca się z tobołka bezwładna dłoń, krew na bladej skórze, opadająca w tył głowa i martwe oczy chwytające światło. Ktoś obok Niny jęknął głośno, jakiś chłopak się rozpłakał. Tłum rozstał się. Jedna z uciekinierek jeszcze żyła, jej usta poruszały się, kiedy niosący ją żołnierz zmierzał w stronę drzwi. Nina z trudem poznała Kaśkę, która przysła do kuchni w różowym sweterku. Hubert podszedł do rannej dziewczyny, wziął ją za rękę i pochylił się. Dopiero Wydra szarpnęła go i odrzuciła z powrotem w tłum.

– Dość tego – warknęła. – Zróbcie im trochę miejsca.

– Mówiła coś? – szepnęła Tamara, kiedy chłopak znalazł się obok niej. – Znalazły wyjście z lasu?

Hubert kręcił głową, poblady tak bardzo, że sam wyglądał jak trup.

– Nie wiem, Kaśka... Kaśka powiedziała, że tam coś jest. Tylko tyle. Tam coś jest.

Rozdział szósty, w którym Nina dostaje coś, czego wcale nie chciała, znajduje drzwi i zostaje poddana testom.

Na jej kołdrze coś leżało, zobaczyła to od razu, gdy tylko weszła do sali. Książka i kilka rozrzuconych czarno-białych kartoników. Zaraz też nagły przypływ paniki niemal odebrał jej oddech. Rzuciła się gwałtownie w stronę łóżka, zgarnęła powieść i zdjęcia i wepchnęła pod poduszkę. Nie chcę, dzwoniło jej desperacko w głowie. Nie chcę, nie chcę! Dopiero po chwili odważyła się rozejrzeć ostrożnie.

Z sąsiedniego łóżka patrzyła na nią wysoka blondynka. Z wyjątkiem nocy Nina rzadko ją widywała, wiedziała jednak, jak jasnowłosa ma na imię. Halina? Helena? Tak, właśnie tak się przedstawiła pierwszego dnia, gdy Nina przyjechała do Instytutu. Nie Hela, Halszka ani nawet Helenka, tylko Helena. Poważne imię, w sam raz dla dziewczyny, która wyglądała na jakieś siedemnaście, może nawet osiemnaście lat i zachowywała się z pewnością siebie osoby, która uważa się za całkiem już dorosłą.

– Widziałaś, kto to tu położył? – zapytała zarumieniona po czubki uszu Nina.

– Co położył? To, co właśnie schowałeś? Nie mam pojęcia, przed chwilą przyszedł. – Blondynka przyglądała jej się uważnie. – Wiesz, że będziemy w tej samej grupie?

– D?

– Ano, D. Hanka mi powiedziała. Co cię podkusiło, żeby się zamieniać? – Helena roześmiała się, najwyraźniej wcale nie oczekując odpowiedzi. – Głupia jesteś, i tyle.

Odwróciła się, wygrzebała coś z leżącej pod łóżkiem walizki, po czym odmaszerowała w stronę drugiego końca sali, a Nina po chwili wahania sięgnęła pod poduszkę i wyjęła *Noc w bibliotece* oraz plik zdjęć.

Powiedziała, że detektyw potrzebowałby więcej danych i proszę – oto dostała więcej danych.

Przez moment walczyła z pokusą, żeby otworzyć drzwiczki najbliższego piecyka i wrzucić tam wszystkie fotografie, a może nawet książkę. To jednak nie byłoby mądre. Co zrobiłaby na jej miejscu zwyczajna dziewczyna? Prawdopodobnie ucieszyłaby się z czegoś do czytania, a potem sięgnęłaby po

te zdjęcia, obejrzała je i odłożyła, nic nie rozumiejąc. Byłaby zaniepokojona, może wystraszona i z pewnością porządnie skołowana, ale nie reagowałaby pod wpływem paniki, jak chciała w pierwszej chwili zareagować Nina.

Odłożyła więc na bok książkę i wzięła do ręki zdjęcia. Tak jak się spodziewała przedstawiały rodzinę węglarza. Matka wyrabiająca w dzieży ciasto na chleb, wieszająca pranie i skubiąca kurę. Ojciec wypalający węgiel, cały czarny od sadzy jak diabeł, który właśnie wychynął z piekielnych czeluści. I dwójka dzieci: starszy chłopiec, brzydal z zawadiackim błyskiem w oku, oraz kręcący się zawsze gdzieś w pobliżu maluch.

– Co to? – zapytała Tamara, która nagle wyrosła przy łóżku.

– Nic – odparła Nina zupełnie bez sensu, opanowując gwałtowną chęć schowania zdjęć z powrotem pod poduszkę. – Ja tego nie chciałam!

Tłumaczyła się, jakby była winna, i co gorsza prawdopodobnie wyglądała na winną.

– Czego nie chciałaś?

– Tych zdjęć. Ani książki. Ani w ogóle niczego.

– Zacznij może od początku.

Nina odetchnęła, a potem z ociąganiem opowiedziała o spotkaniu z Lisem. Gdy skończyła, Tamara wzięła jedną z fotografii i zmarszczyła brwi.

– O co może mu chodzić? – zastanowiła się. – Liczy na to, że rozwiążesz tę zagadkę?

– Chyba tak. Albo będę przynajmniej próbować i w ten sposób zdradzę się z talentem odziedziczonym po Sławku. Tylko że tak naprawdę nie ma żadnej zagadki.

– Jak to nie?

Nina wzruszyła ramionami.

– Jeśli ksiądz i kowal nie kłamali, a czemu mieliby kłamać, mordercą musiał być starszy chłopak. Lis twierdzi, że nie, ale to przecież jego brat, nic dziwnego, że uważa go za niewinnego.

Dopiero kiedy wypowiedziała tę myśl na głos, uderzyło ją, jak dużo jest w niej prawdy – porucznik Daniel Lis, którego tak bardzo się bała, był zwyczajnym człowiekiem, który dwadzieścia lat temu dreptał cierpliwie za ukochanym starszym braciszkiem, a teraz bronił go wbrew zdrowemu rozsądkowi. Nie wiedziała, czy ta wiedza na cokolwiek się im przyda, ale zrobiło jej się trochę lepiej.

– To co teraz? – zapytała Tamara.

– Książkę przeczytam, a zdjęcia niech sobie tu leżą. Może Lis zabierze je z powrotem.

- Jak chcesz. – Tamara zawahała się. – Słuchaj, mogę ci coś powiedzieć?
- Jasne.
- Dzisiaj, w lesie, kiedy usłyszeliśmy to szczekanie, a Jacek powiedział, żeby uciekać na drzewo, no wiesz...
- Wiem. I co?
- Stałam tam i patrzyłam w krzaki, z których miały zaraz wybiec wściekłe psy, i nic się nie bałam. Ani trochę. Dopiero potem coś zaskoczyło, nie wystraszyłam się, tylko przyszło mi do głowy: Zaraz nas zeżrą, trzeba wiać. Tak zupełnie na chłodno. Wy zadziałaliście odruchowo, ja musiałam sobie przetłumaczyć, dlaczego właściwie powinnam uciekać. Rozumiesz?
- Nina skinęła głową.
- Nie masz instynktu samozachowawczego – powiedziała. – Albo masz go zdecydowanie mniej, niż powinnaś. Cholera.
- Właśnie, cholera – zgodziła się Tamara.
- Dotąd Nina zawsze myślała, że odwaga przyjaciółki jest tylko zaletą, teraz przyszło jej do głowy, że może być i wadą – zwłaszcza dla samej Tamary. Strach był paskudny, jasne, ale bywał też przydatny, bo informował o niebezpieczeństwie i pozwalał go unikać.
- Zanim jednak zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, Wydra wrzasnęła:
- Dziewczyny biorą ręczniki i idą za mną!

Pół godziny później Nina znowu się trzęsła owinięta po czubek nosa kołdrą. Było ciemno, w sali rozlegał się stukot butów spacerującego tam i z powrotem Żuka, który tej nocy pełnił dyżur. Dziewczyna podniosła się ostrożnie, z niechęcią opuszczając już trochę zagrzane miejsce i przekręciła się na łóżku o 180 stopni, tak że leżała teraz głową w stronę piecyka, zamykanego drzwiczkami z żelaznej kraty. Zyskała dzięki temu źródło światła, kiepskie co prawda, ale jednak. W blasku tańczących na pościeli żółto-czerwonych refleksów wyjęła spod poduszki zdjęcia i je rozłożyła. Nie musiała się bać Żuka, mężczyzna był znacznie łagodniejszy niż Wydra i po zgaszeniu świateł pozwalał więźniom nawet rozmawiać – teraz też słyszała przyciszone szepty, niewiele co prawda, bo większość nastolatków była zbyt zmęczona na takie nocne dyskusje.

Ninie również opadały powieki, ale silniejsza okazała się pokusa, żeby raz jeszcze zerknąć na fotografie. To było bez sensu, wiedziała o tym, miała przecież ważniejsze problemy na głowie niż rozmyślanie o zabójstwie sprzed

dwudziestu lat. A jednak nie potrafiła się powstrzymać, tak jak czasem nie można się powstrzymać przed dotykiem językiem bolącego zęba. Było coś w tych starych zdjęciach, co przyciągało jej uwagę. Podparta na łokciach wpatrywała się w sceny z życia rodzinnego. Pracujący ojciec, krzątająca się w obejściu matka i płaczący się pod nogami maluch. I oczywiście starszy chłopak (jak on właściwie miał na imię?), ten z twarzą sympatycznego brzydala i wyzywającym spojrzeniem, które widać było nawet w słabym świetle buzującego ognia. Nina pomyślała, że prawdopodobnie by go polubiła. Gdyby oczywiście żył. I gdyby nie był mordercą.

Ale to nie o chłopaku teraz myślała. Było coś jeszcze, co ją dręczyło i dopiero po chwili uświadomiła sobie, co to takiego.

Kto, u licha, zrobił te zdjęcia?

Przed wojną chłopci fotografowali się od święta, najczęściej przy okazji wesel albo pogrzebów, a wtedy wszyscy pozowali w studio lub przed domem: kobiety w swoich najlepszych wykrochmalonych sukniach, śmiertelnie poważni mężczyźni w koszulach z wysokimi kołnierzykami, które drapały ich w brody, i sztywne niczym kołki dzieci z rękami równo ułożonymi na kolanach. Nina widziała w albumie rodziców sporo podobnych zdjęć, ale ani jednego takiego jak te tutaj – pokazującego prace gospodarskie i zwyczajne życie.

Może do wsi przyjechał fotograf, jakiś artysta pasjonat, któremu zamarzyło się uwiecznienie szarej codzienności w ubogiej wiosce. Może to właśnie on spał na rzeźbionym łóżku w chacie węglarza.

Znów rozległo się stukanie, tym razem (skoro Nina nie leżała już z głową przy ścianie) cichsze, lecz wciąż wyraźne. Dziewczyna wychyliła się ostrożnie, sięgnęła pod łóżko, po czym wymacała w tornistrze piórniki. Otworzyła go, z trudem manipulując w ciemności jedną ręką, i wyjęła ołówek.

Odwróciła zdjęcie – i dopiero wtedy dostrzegła, że na skos białego kartonika biegnie napis. Zapominając o stukaniu, przysunęła się bliżej w stronę piecyka, po czym przeczytała:

„Zapamiętaj i wybierz: psa, który zjada różę, która rośnie na bagnach, które mają kolor błękitnego nieba jak dziecięca koszula”.

Kolor atramentu był czarny i świeży, ani trochę niewyblakły, pismo równe, krągłe i gładkie jak cała osobowość Lisa, który pewnie napisał te słowa. Nina miała wrażenie, że wbrew własnej woli bierze udział w grze, której reguł nie zna i co gorsza, która ją przeraża. Może jej pierwsza myśl była słuszna i powinna wrzucić wszystkie zdjęcia do pieca.

Zamiast tego przejrzała je raz jeszcze, ale na żadnym nie zobaczyła ani psa, ani róży, ani tym bardziej bagna czy błękitnej koszuli, bo fotografie były przecież czarno-białe. Gapiła się, niemal oczekując, że któraś z uwiecznionych na kliszy postaci poruszy się i powie jej, o co tu, u diabła, chodzi. Nic takiego oczywiście się nie stało, stare zdjęcia były po prostu starymi zdjęciami, lekko pożółkłymi na brzegach, ze śladami otarć i załamań w miejscach, gdzie ktoś – zapewne Lis – zginał papier. I tyle.

Zdobyła się wreszcie na odwagę, poczekała, aż Żuk przejdzie na drugi koniec sali, a potem wychyliła się z łóżka, chwyciła przez rękaw koszuli nocnej uchwyt w ażurowych drzwiczkach piecyka, otworzyła je i wrzuciła zdjęcia w ogień. Niemal dokładnie w tej samej sekundzie uświadomiła sobie, że właśnie zniszczyła cenną rodzinną pamiątkę, ale, do licha, dając jej te zdjęcia, Lis sam się o coś takiego prosił, a Nina nie zamierzała żałować komunisty.

Wciąż czuła na policzkach gorąco żaru, kiedy kilka sekund później leżała wpatrzona w ciemność, udając, że grzecznie śpi.

Obudził ją znajomy – i tak bardzo znienawidzony – dźwięk trąbki. Wypełzła spod kołdry niewyspana, z ciężką głową i zapuchniętymi oczami. Ona, która nawet w ciemne zimowe poranki wstawiała do szkoły pełna energii i wesoła jak szczygiełek, teraz obijała się o łóżko niczym pijana ćma. Tak, zdecydowanie nienawidziła tego miejsca.

Ubrała się przy piecu, żeby złapać choć odrobinę ciepła, a potem razem z dziewczynami z grupy D stanęła przy wejściu do sali. Chłopcy dołączyli do nich chwilę później. Było ich mało, zaledwie czterech na dwanaście dziewczyn (późnym wieczorem przybyła jeszcze jedna) i wszyscy wyglądali, jakby znaleźli się w „ekipie sprzątajacej”, ponieważ nie potrafili robić nic innego. Nina wiedziała jednak, że to może być mylne wrażenie, pulchny Jacek też w końcu na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie niezguły.

Opiekunem D był Kot, giętki niczym ugotowana nitka makaronu młodzieniec, który chodził miękkim krokiem i miał malutki, puchaty wąsik à la Errol Flynn oraz zaczesane do tyłu włosy, dzięki którym chciał chyba przypominać gwiazdę przedwojennego kina.

– To jak, piękny dzień, bierzemy się do pracy? – Zatarł ręce z szerokim uśmiechem.

Dzień wcale nie był piękny, tylko deszczowy i ponury, a poza tym tak

naprawdę jeszcze nawet się nie zaczął – za oknami wciąż wisiała zimna, mokra ciemność, nagie żarówki nad głowami nastolatków mrugały, potęgując posępną atmosferę. Ninie chciało się płakać na samą myśl, że ma przed sobą dziesięć godzin pracy.

Zabrali z kuchni przygotowane dla nich śniadanie, wiadra z gorącą wodą i szmaty, a potem Kot poprowadził ich do sali, gdzie z sufitu zwisały wielkie żelazne haki, a pod ścianami stały zardzewiałe urządzenia, których przeznaczenia Nina nie potrafiła odgadnąć. Coś do cięcia metalu? Zgniatania go i rozciągania? Jeśli dobrze zgadywała i całą tę fabrykę zbudowali w czasie wojny Niemcy, musieli tutaj produkować broń, pewnie bomby albo karabiny, albo jedno i drugie.

Zjedli po kromce chleba z masłem, napili się herbaty z termosu i zabrali do wycierania podłogi – oczywiście Kot, wbrew użytej wcześniej liczbie mnogiej, nie pracował z nimi, tylko spacerował po sali, paląc papierosa, a potem w ogóle gdzieś zniknął, rzucając tylko na odchodnym:

– Muszę wyjść, Helena was popilnuje.

Blondynka uśmiechnęła się z satysfakcją, wstała z kolan i podjęła spacer w miejscu, gdzie skończył go Kot, jakby teraz to ona została strażniczką. Brakowało jej tylko papierosa, którego śmierdzący dym mógłby mieszać się z wirującym w zatechłym powietrzu kurzem.

Nina kichała i szorowała, szorowała i kichała. Oczy miała załzawione, włosy wymykały się spod chustki, którą przezornie zawiązała na głowie, i kleiły do spoconego czoła, kolana i ręce bolały. Na podłodze zalegała warstwa brudu tak gruba, że pół godziny później woda we wszystkich wiadrach była nie tylko szara, ale wręcz czarna. Wtedy Helena zarządziła przerwę.

– Odpoczniemy, a Nina przez ten czas przyniesie dla wszystkich świeżą wodę – powiedziała, patrząc złośliwie.

– Dlaczego ja? – wyrwało się dziewczynie. Dokładnie o to jej chodziło, żeby wyjść z sali i rozejrzeć się po Instytucie, jednak poczucie niesprawiedliwości okazało się silniejsze niż rozsądek. – Powinno pójść kilka osób, ja mogę naraz zabrać tylko dwa wiadra...

– To obrócisz cztery razy i w ten sposób przyniesiesz osiem.

– To nie w porządku, dlaczego mam biegać, kiedy wy będziecie odpoczywać?

– Bo tak mówię. – Helena stanęła przed Niną, spoglądając na nią z wyższością. – A kiedy Kota nie ma, ja tu rządzę. Uważasz, że jesteś od nas lepsza?

– Uważam, że nie jestem gorsza. Jeśli ktoś tu ma się za lepszego, to chyba ty, bo chodzisz sobie, kiedy my szorujemy tę cholerną podłogę.

Blondynka zacisnęła usta. Pomimo nieco zbyt ostrych rysów była całkiem ładna, ale kiedy robiła taką minę, wyglądała brzydko.

– To przez takie jak ty durne kozy dostaliśmy dziś dwie dodatkowe godziny pracy – syknęła. – Myślisz, że nie wiem, co knujesz z tą swoją psiapsiółką i kumplami?

Nina poczerwieniała. Czy ktoś mógł słyszeć, o czym rozmawiała z Tamarą, Jackiem i Hubertem? Mało prawdopodobne, starali się przecież być ostrożni, mówili szeptem i zawsze pilnowali, żeby w pobliżu nikogo nie było. Ale Helena miała rację, już samo takie zachowanie musiało wyglądać podejrzanie. Kolejna rzecz, o której Nina nie pomyślała. Może wcale nie była tak sprytna, jak jej się wydawało.

– Nic nie knuję – powiedziała więc tylko, starając się, żeby zabrzmiało to przekonująco. – Po prostu rozmawiamy. Nigdy nie zdarzyło ci się pogadać z przyjaciółmi? To bardzo przyjemne, powinnaś spróbować. O ile oczywiście znajdziesz jakichś przyjaciół, co przy twoim charakterze nie będzie łatwe.

Helena jeszcze bardziej zacisnęła usta i Nina zrozumiała, że właśnie zyskała wroga. Z drugiej strony niechęć jasnowłosej dziewczyny mogła okazać się całkiem przydatna.

Myślała o tym, kiedy wylewała na placu przed fabryką brudną wodę, a potem przynosiła z kuchni świeżą i gorącą. Z dwoma pierwszymi wiadrami obróciła dość szybko, przy następnych zwolniła, postawiła pełne naczynia na półpiętrze, a sama wykorzystała okazję, żeby pokręcić się trochę po fabryce.

– Co tak długo? – przywitała ją Helena, kiedy wtaszczyła do sali dwa ostatnie wiadra. – Bierz się do roboty.

W głosie starszej dziewczyny nie było jednak spodziewanej satysfakcji, z czego Nina wywnioskowała, że prawdopodobnie i tak miała całkiem niezły czas.

Od tego momentu za każdym razem, gdy trzeba było coś przynieść albo wynieść, Helena wysyłała właśnie ją. Nina wypracowała sobie dobrą metodę – przez część drogi biegła, a potem wykorzystywała zyskane minuty, żeby zwiedzić kolejny korytarz albo kolejne kręte, prowadzące w nieznane miejsce schody. Znalazła tym sposobem biura, w których urzędowali starsi rangą wojskowi (przed jednym musiała gęsto się tłumaczyć, że zmyliła drogę), kilka dodatkowych pokojów przesłuchań, a także pomieszczenie, które musiało być archiwum, bo przez dziurkę od klucza zobaczyła Huberta oraz ludzi z jego grupy.

Znalazła też długi, źle oświetlony korytarz, na końcu którego były drzwi. Na pozór całkiem zwyczajne drzwi, świeżo pomalowane białą farbą, która w kontraście z brudnym tynkiem sprawiała dziwnie intensywne wrażenie, prawie jakby błyszczała w półmroku. Miały wypolerowaną klamkę oraz dziurkę od klucza i wyglądały ładnie, jakby prowadziły do gabinetu dyrektora w szkole albo pokoju przyjęć u lekarza. Z jednym wyjątkiem: na drzwiach wisiała kartka z napisem: „Nie przeszkadzać, operacja w toku”.

Kartka miała czerwony kolor.

Na jej widok serce Niny najpierw zamarło na krótką chwilę, a potem zaczęło bić niespokojnie. Podeszła bliżej, pochyliła się i zajrzała przez dziurkę od klucza, w środku jednak zobaczyła tylko ciemność. Przyłożyła ucho do drzwi – też nic, żadnych ludzkich głosów czy dźwięków pracujących maszyn.

Wycofała się na palcach, wmawiając sobie, że kolor kartki to przypadek, choć sama w to nie wierzyła.

Przed obiadem wrócił Kot i przegonił ich do kolejnej sali – ta była mniejsza i wyglądała, jakby kiedyś znajdowała się w niej stołówka albo kantyna. W kurzu na podłodze widniały odcisnięte jaśniejsze kwadraty po nogach od stołów, pod ścianą stało kilka przegniłych krzeseł, z końskim włosiem wyłazącym z poduszek, pod sufitem zwisały festony pajęczyn. Od kiedy właściwie działał instytut Totenwald? Nina mogła się założyć, że niedługo, najwyżej kilka tygodni, skoro zostało w nim jeszcze tyle brudnych pomieszczeń. Ciekawe, co robią, kiedy już wszystko posprzątam? – zastanowiła się.

Pewnie po prostu każą nam zacząć od nowa, odpowiedział rozsądek.

Po obiad poszła razem z Przemkiem, kościstym i niezgrabnym piętnastolatkiem, który przez cały czas kombinował, jak się wykręcić od najcięższej pracy – o co zresztą Nina nie mogła mieć pretensji, bo sama próbowała robić to samo. W kuchni zastała Hanke i oczywiście Jacka.

– Szukałeś, no wiesz czego? – szepnęła, wykorzystując okazję, że Hanka zajęła się nalewaniem zupy do termosu.

– Szukałem, ale nie znalazłem – odparł również szeptem przyjaciel. – Spróbuję jeszcze po obiedzie.

Nina chciała coś dodać, jednak złowiła podejrzliwe spojrzenie Przemka i zrezygnowała.

– Helena ma rację – powiedział kościsty chłopak, gdy w drodze powrotnej zatrzymali się na półpiętrze, żeby odpocząć. On niósł termos i zawinięte w płótno kromki chleba, a Nina szesnaście związanych sznurkiem,

pobrzękujących menażek. – Ty coś knujesz.

– Bo zamieniłam dwa słowa z kolegą? To się nazywa paranoja, wiesz? Jak ktoś wszędzie widzi podejrzone rzeczy.

– Chcecie stąd uciec, tak? – Przemek nie dał się przekonać. – To głupie. Skończycie jak te dwie dziewczyny z archiwum.

– Uważasz, że lepiej czekać na czerwoną kartkę? – zirytowała się Nina.

Wzruszył ramionami, po czym użył znanego już dziewczynie argumentu.

– Bardzo mało osób dostaje czerwone kartki, większość wraca do domów. Nawet ci z magicznymi mocami.

Nina zamrugła. To było coś nowego – po raz pierwszy któryś z więźniów głośno wspomniał o magii.

– A ty, no...

– Mam moce? Nie, ja nie, ale był tu mój kumpel, który dotknięciem zamieniał wodę w lód, i nic się nie stało, zwyczajnie wyjechał.

– Jesteś pewien, że naprawdę umiał czarować? Może zmyślał.

– Przecież mówię, że to mój kumpel jest, też z Raciborza. Mieszka dwie ulice dalej. Sam widziałem, jak się popisował.

– A nie wiesz może, skąd mu się ta magia wzięła? – To też nie przestawało Niny intrygować. Ile było jeszcze takich miejsc jak Markoty i jak wyglądały?

– Pojechał na wakacje do jakiejś dziury w Bieszczadach. Podobno działały się tam dziwne rzeczy, pojawiały się wróżki czy duchy. Nie wiem, Karol czasem lubi wciskać ludziom kit. Ale niektórzy z tych, co tam latem byli, naprawdę zyskali magiczne zdolności, w tym przypadku nie zmyślał, bo...

– Sam widziałeś, wiem.

– No właśnie. Dlatego nie ma się czego bać. Trochę się tu pomęczymy, a potem nas puszczą.

Chciałabym, żeby to było takie proste, myślała Nina, niosąc menażki na pierwsze piętro. Nadal oczywiście IM nie ufała, ale słowa Przemka wywróciły całą jej wiedzę do góry nogami.

Jeśli „czerwona kartka” nie oznaczała magicznych zdolności, to w takim razie co?

O czwartej po południu wróciła do wspólnej sali cała brudna, chwiejąc się na nogach ze zmęczenia. Nie miała nawet na tyle sił, żeby iść do łazienki, umyć się nad zlewem i przebrać. Zwinęła się tylko na łóżku w kłębek i pomyślała: Chciałabym umrzeć. Bolały ją wszystkie mięśnie, włącznie z tymi, o których

istnieniu nie miała wcześniej pojęcia. Nie mogła jednak odpocząć, bo ledwo zamknęła oczy, Tamara szarpnęła ją za ramię.

– Wstawaj. Jest źle.

– Mnie to mówisz? – jęknęła dziewczyna, unosząc powieki. Tamara też wyglądała kiepsko: miała poszarzałą ze zmęczenia cerę i kontrastujący z nią, czerwony od zimna nos. Nikt zresztą nie czuł się dobrze, w całej sali rozlegały się postękiwania i narzekania. Ktoś nawet się rozplakał cienkim dziecięcym szlochem, który wwiercał się w czaszkę Niny i drażnił obolały mózg.

– Serio. Hubert właśnie wrócił z przesłuchania. Podobno powiedzieli mu, że skoro od dawna nie miał kontaktu z ojcem, to może on już nie żyje i dlatego potraktują chłopaka jak sierotę.

– Cholera. – Nina z wrażenia usiadła na łóżku.

Naprawdę było źle.

Hubert siedział u Jacka, z twarzą ukrytą w dłoniach. Nina w pierwszej chwili pomyślała, że płacze, ale nie, gdy chłopak uniósł głowę, oczy miał suche i pełne posępnej determinacji.

– Chcą, żebym dziś w nocy z nimi poszedł – powiedział.

– Dokąd? – zapytała Nina.

– Nie wiem, cały czas tylko powtarzali, że wszystkiego dowiem się na miejscu. Ale jeden z nich roześmiał się i zapytał, czy podobało mi się, jak babcia zabierała mnie na msze, a drugi powiedział, żebym ubrał się ciepło, bo tam, gdzie idę, będę marzł. Pomyślałem więc sobie o tym pękniętym kościele w wiosce.

Nina spojrzała bezradnie na Jacka i Tamarę.

Żadne z nich nie sprawiało wrażenia, jakby rozumiało z tego więcej niż ona.

Pierwszy otrząsnął się Jacek.

– To znaczy, że musimy uciekać już teraz – oznajmił. – Ukradniemy samochód, tak jak się umówiliśmy, i zwiejemy.

– On ma rację – poparła go Tamara. – Nie ma sensu dłużej czekać, jeśli mamy coś zrobić, po prostu to zrobmy. Widziałam dziś rano wóz terenowy stojący w praktycznie otwartym garażu, bo całe drzwi się spaliły.

– Jasne, a obok pewnie kręci się mnóstwo żołnierzy – mruknęła Nina.

– Odwrócimy ich uwagę – zaproponował Jacek.

– Jak odpalisz silnik? Umiesz to zrobić bez kluczyków?

– Umiem.

Nina jęknęła, łapiąc się za głowę.

Wszystko to działo się zdecydowanie zbyt szybko jak na jej gust. Nie miała

nawet chwili, żeby spokojnie pomyśleć.

– A jak przejedziemy przez bramę? – spróbowała ostatniego argumentu, ale i na to Tamara miała odpowiedź.

– Poczekamy do zmroku, a wtedy zwyczajnie wyjedziemy. Oni nie pytają o żadne hasło ani nic w tym stylu, tylko otwierają, kiedy widzą, że jakiś samochód chce wyjechać. Wiem, bo specjalnie zwróciłam uwagę. A jak będzie ciemno, to nie zauważą, kto siedzi w środku. – Poklepała przyjaciółkę po plecach. – Nie pękaj, mała – powiedziała pobłażliwie. – Takie zwariowane plany naprawdę czasem się sprawdzają.

– Ta, w książkach przygodowych – mruknęła Nina. Ktoś tu musiał wykazać choć odrobinę rozsądku i żałowała trochę, że padło właśnie na nią. W tym szalonym pomysle w gruncie rzeczy było coś, co jej się podobało.

– W życiu czasem też – odezwał się Jacek. – Mój wujek opowiadał mi, że w czasie wojny...

– Mniejsza z tym, co twój wujek – przerwała mu Tamara. – Po prostu zagłosujmy. Kto jest za ucieczką, a kto przeciw?

Nina została przegłosowana trzy do jednego.

– W porządku, pójdę się rozejrzeć. – Jacek wstał. – Zobaczę, czy samochód dalej stoi w tym otwartym garażu.

– Idę z tobą. – Tamara również się podniosła.

Hubert i Nina zostali sami.

– Naprawdę myślisz, że mamy szanse? – zapytała dziewczyna.

– Tak naprawdę to chyba nie – powiedział Hubert. – Ale lepiej umrzeć z godnością, niż czekać biernie na śmierć.

– Po co ja pytałam... – wymamrotała znękana dziewczyna.

Chłopak milczał, w sali rozlegały się odgłosy przyciszonych rozmów i monotonne bębnienie deszczu o szyby. Gdybym miała swoją moc, pomyślała Nina, mogłabym rozwalić całe to miejsce, aż nie zostałby kamień na kamieniu. Przez chwilę rozkoszowała się tą myślą, wyobrażając sobie uciekających z krzykiem żołnierzy, kurz unoszący się nad gruzowiskiem... I trupy? Czy naprawdę byłaby gotowa zabić kogoś magią? Nie, uznała, z pewnością nie. Nie jestem przecież taka.

Taka jak kto? Jak Michał z Lubomierza i Berta z Katowic?

– Myślisz, że mój ojciec naprawdę nie żyje? – z zamyślenia wyrwał ją głos Huberta.

– Nie wiem. – Nina zawahała się, ale chłopak zasługiwał na uczciwość. – Myślę, że to możliwe.

– Ale może też żyć?

– Jasne. – Nie dodała, że jeśli ojciec Huberta żyje, prawdopodobnie jest ostatnią świnią.

– Ty masz... no wiesz, te swoje zdolności. Może mogłabyś go dla mnie poszukać?

– Nie ma sprawy, ustaw się w kolejce, aż poradzę sobie z tajemnicą zabójstwa sprzed lat, zagadką, czego właściwie chcą od nas komuniści, i paroma innymi.

Hubert umilkł, najwyraźniej trochę urażony. Nina odetchnęła.

– To było wredne, przepraszam – powiedziała skruszona.

– W porządku.

– Naprawdę mi przykro. – Pod wpływem impulsu objęła chłopaka. Wyszło jej to niezgrabnie, ale o dziwo Hubert wyglądał na całkiem zadowolonego, a Nina po raz kolejny zdumiała się, jaki on jest chudy. Sama skóra i kości, aż dziw, że nie przewracał go każdy powiew.

– Jest coś jeszcze... – mruknął, kiedy się odsunęła. – Tylko obiecaj, że nie będziesz na mnie dziwnie patrzeć.

– Dawaj. – Nina użyła ulubionego powiedzonka Tamary.

Hubert zawahał się.

– Wtedy, w tej martwej wiosce, kiedy zostałem sam, widziałem jednego z nich.

– Kogo?

– Tego młodego, z długim nosem i taką dziwną twarzą.

– Lisa?

– Tak, chyba tak się nazywa. Nie mam pojęcia, co tam robił.

– Ja też nie. – Skłamała, choć mogłaby powiedzieć: Może chciał obejrzyć miejsce, w którym się urodził. – Cemu nie powiedziałeś nam wcześniej?

– Sam nie wiem, może dlatego, że w sumie nie wydawało się to ważne. A poza tym wy też przecież ciągle coś przede mną ukrywacie. Myślisz, że nie widzę, jak za moimi plecami szepczecie i na mnie patrzycie? Zwłaszcza Jacek... Podejrzewacie, że wsypałem was na przesłuchaniu?

Nina zakłopotana się.

– Skąd wiesz?

Hubert wzruszył ramionami.

– To nie było takie trudne. Nie tylko ty jedna umiesz tu myśleć, wiesz?

– A wsypałeś?

Zacisnął usta.

– Nie.

Nie dodał żadnego argumentu przemawiającego za jego niewinnością, nic

tylko to posępne, wyzywające spojrzenie, jakby chciał, żeby dziewczyna podała jego słowa w wątpliwość. Ona jednak zamiast tego zapytała:

– Dlaczego miałabym na ciebie dziwnie patrzeć?

– Co takiego?

– No, mówiłeś wcześniej: „Tylko obiecaj, że nie będziesz na mnie dziwnie patrzeć”. W tym, że Lis chodził po wiosce, nie było przecież nic niezwykłego.

– A, to. Tak tylko mi się wymknęło, sam nie wiem, czemu – odparł tonem zarezerwowanym dla rzeczy zupełnie niewartych wzmianki. Nina mu uwierzyła, przynajmniej na kilka sekund, bo zaraz potem przyszło jej do głowy, że Hubert prawdopodobnie chciał powiedzieć coś innego, tylko w ostatniej chwili zmienił zdanie. Miał tajemnice, jak latem w Markotach. Nie bardzo jej się to podobało, ale ona przecież też nie była z nim do końca szczera.

W tym momencie Żuk energicznym żołnierskim krokiem wyszedł na środek sali i zaczął czekać, aż umilkną rozmowy, a spojrzenia więźniów skierują się na niego. Nina mogłaby się założyć, że wszyscy myślą w tym momencie dokładnie to samo: „Proszę, tylko nie ja. Niech wezmą kogoś innego, byle nie mnie”.

– 77WR i 18MAR na przesłuchanie! – powiedział strażnik.

Nina spojrzała na Huberta zdumiona i wystraszona – 18MAR to był jego kod.

Tym razem nie było żadnego czekania – stojący pod salą młody żołnierz przejął od Żuka Ninę (drugi zabrał Huberta), a potem poprowadził ją na pierwsze piętro, do pomieszczenia, które wcale nie wyglądało jak pokój przesłuchań. Bardziej przypominało gabinet dentystyczny z wielkim fotelem pośrodku i krzątającą się wokół niego kobietą w białym fartuchu.

Nina cofnęła się odruchowo, ale żołnierz pchnął ją do środka, a potem zamknął drzwi.

– Nie bój się – powiedziała kobieta. Miała młodą twarz, ale zupełnie siwe włosy, które wyglądały jak ufarbowane. – Przecież cię nie zjem. Usiądź, proszę. – Wskazała ręką fotel.

Nina rozejrzała się z przerażeniem, szukając narzędzi tortur, i znalazła coś w rodzaju metalowego czepek, podłączonego kablami do kwadratowego urządzenia. Przed oczami jej pociemniało, nogi zrobiły się miękkie jak rozgotowane warzywa.

– Nie – wyszeptała.

– Jesteś już chyba trochę za duża na takie zachowanie, nie sądzisz? – Kobieta uśmiechała się, ale w kącikach jej ust widać było cień zniecierpliwienia. – To służy do monitorowania twoich reakcji, a nie do zadawania bólu. Siadaj, zanim stracę cierpliwość i zawołam któregoś ze strażników.

– Co pani chce zrobić?

– Pokażę ci parę obrazków, a w tym czasie to urządzenie będzie śledzić twoje fale mózgowe.

– Pozna pani dzięki temu moje myśli?

– Nie, ale dowiem się kilku innych rzeczy. Siadaj. Obiecuję, że nie będzie bolało.

Dentyści też zawsze tak mówią, pomyślała Nina. I zawsze okazuje się, że kłamią.

Siwowłosa kobieta jednak mówiła prawdę – naprawdę nie bolało. Dziewczyna poczuła jedynie zimno, kiedy na jej głowie zacisnął się metalowy czepek, a potem lekkie szczypanie, gdy lekarka (czy naprawdę była to lekarka? Biały kitel mógł przecież włożyć każdy) włączyła urządzenie.

– Zaraz zaczniemy – powiedziała siwowłosa. Z fotela Nina mogła zobaczyć, że miała niebieskie oczy, bardzo ładne i bardzo zimne. Z tej odległości nie wyglądała już tak młodo, w kącikach jej oczu rysowały się kurze łapki, a wokół ust zmarszczki. – Pokażę ci teraz obrazki, a ty z każdej pary wybierzesz po jednym, rozumiesz? Nie zastanawiaj się, tylko wybieraj.

– Na jakiej podstawie? Co mi się bardziej podoba?

– Po prostu wybieraj i nie myśl o tym.

Nina skinęła głową. W ustach miała sucho, serce waliło jej, jakby zaraz miało połamać żebra. Spocone dłonie zacisnęła na poręczy fotela tak mocno, że zaboląły ją palce.

– Gotowa?

Nie, pomyślała, ale odpowiedziała:

– Tak.

Na ekranie przed fotelem pojawiły się dwa podkolorowane zdjęcia: przywiązany do płotu koń i akwariowa rybka skryta wśród wodorostów.

– Wybierz jedno – ponagliła ją lekarka-która-wcale-może-nie-była-lekarką.

– Eee... koń.

Obrazki zniknęły, a na ich miejsce zjawiły się następne: tym razem malowany talerz i błękitna filiżanka z ubitym uszkiem.

– Fi...filiżanka – powiedziała Nina.

Pies leżący przed kominkiem i kot bawiący się leniwie kłębkami wełny. Dziewczynie coś zaczęło świtać.

– Dalej.

– Pies. – Spróbowała przełknąć ślinę, ale gardło miała suche jak pieprz i ściśnięte.

Dalej pojawiły się czerwona róża i błękitny nagietek.

Cholera, cholera, myślała desperacko Nina. Jak to szło? Pies, który zjada różę, która rośnie gdzieś tam, coś z koszulą... Ratunku!

– Nina? – pogoniła ją siwowłosa.

– Róża, niech będzie róża.

Następnie na ekranie wyświetliło się kilka par obrazków, które z niczym Ninie się nie kojarzyły, a później dwa krajobrazy: skaliste strome góry i posępne bagna, oświetlone blaskiem zachodzącego słońca.

...która rośnie na bagnach...

Przecież nie mogę ufać temu człowiekowi! To komunista, jeden z NICH, facet, który wpakował mnie do ciężarówki i przywiózł w to straszne miejsce.

– Nina?

Spróbowała raz jeszcze przełknąć ślinę i znowu jej się nie udało.

– Góry.

Potem były talerze różniące się tylko kolorami: jeden żółty, drugi błękitny. Dziewczyna wybrała błękitny, a później koszulkę zamiast sukienki. Uspokoiła się trochę, jakby podjęta decyzja pomogła jej odzyskać odrobinę równowagi.

– W porządku, to wszystko. – Siwowłosa wyłączyła maszynę i zdjęła Ninie z głowy czepek, a dziewczyna przeczesła palcami mokre od potu włosy. – Możesz wracać.

Hubert już na nią czekał. On też był blady, jasna grzywka lepiła mu się do czoła.

– Pokazywali ci obrazki? – szepnęła Nina.

Skinął głową.

– Wybrałeś psa czy kota? Bagna czy góry?

– Jakie góry? U mnie niczego takiego nie było. Zresztą nieważne, Jacek powiedział, żeby się spotkać przy garażach. Akurat mamy szansę, bo nikt ich nie pilnuje. Wymkniemy się osobno, ja teraz, a ty odczekaj parę minut i powiedz Żukowi, że idziesz do łazienki, albo coś.

– Nadal chcesz uciekać?

– Bardziej niż kiedykolwiek.

Nina odetchnęła. To nie może się udać, dzwoniła jej w głowie rozpaczliwa myśl.

A może jednak?

Gdy Hubert zniknął, spojrzała na łóżko Tamary. Wciąż wystawała spod niego skórzana walizka, której oczywiście dziewczyna nie mogła zabrać ze sobą, a na kołdrze leżała para brudnych spodni. Nina uświadomiła sobie, że ona też powinna się przebrać, cały czas przecież miała na sobie sukienkę, w której szorowała podłogę i która przypominała teraz brudną szmatę. Musiała wyglądać w niej jak ostatni kocmołuch.

Sięgnęła po własną walizkę i wyjęła z niej najczystszą bluzkę i spódnicę, jakie udało jej się znaleźć. Potem rozejrzała się, czy w pobliżu nie widać jakiegoś chłopaka, i przebrała się szybko. Jeszcze niedawno coś takiego nawet by jej nie przyszło do głowy, ale teraz wstyd był najmniejszym problemem. Zresztą chłopcy też mieli inne zmartwienia i mało który po całym dniu pracy czuł się na siłach, żeby podglądać dziewczyny.

Powinna oczywiście jeszcze choć trochę się umyć, ale na to nie było czasu. Trudno, może uda im się znaleźć czynną łazienkę na jakiejś stacji kolejowej.

Gdy skończyła zapinać bluzkę, napotkała wzrok siedzącej na sąsiednim łóżku Heleny. Blondynka jakimś cudem wyglądała porządnie, miała czystą sukienkę, włosy uczesane w gładkie fale i – naprawdę! – umalowane szminką usta. Nina, która oddałaby duszę za prysznic i kawałek lustra, gapiła się na nią przez chwilę, a potem sięgnęła po pończochy.

– Patrz – powiedziała prowokacyjnie, wciągając je na nogi. – Ubieram się w bardzo podejrzany sposób. Na pewno coś knuję.

Helena zmrużyła oczy.

– Wydaje ci się, że jesteś taka cwana, co?

Nina wstała, pokazała jej język, a potem rzuciła najswobodniejszym tonem, na jaki było ją stać:

– Idę umyć ręce przed kolacją.

– Co tak długo? – przywitała ją Tamara, która kulila się za rogiem garażu. – Pośpiesz się, Jacek i Hubert już są w środku.

Nina się rozejrzała. Plac przed fabryką był ciemny i pusty, tylko przy bramie stał palący papierosa żołnierz; dziewczyna widziała zarys sylwetki i ognik odcinający się czerwienią od mętnej żółci blasku rzucanego przez

latarnię. Siąpił deszcz tak drobny, że widziało się go dopiero, kiedy człowiek spojrzał pod światło – miliony srebrzystych kresek opalizujących na tle mroku.

Tamara pociągnęła ją w stronę garażu. Pachniało w nim smarem, olejem z silników i spalonym drewnem. Ninie ten zapach w jakiś sposób skojarzył się z ojcem – choć nie mieli przecież samochodu – i zatęskniła nagle do domu.

– Wsiadajcie. – Jacek uchylił drzwi wojskowej terenówki.

Hubert już siedział z przodu na miejscu pasażera, dziewczyny wśliznęły się na tylne siedzenie. Pulchny chłopak pochylił się, pomajstrował coś pod kierownicą i chwilę później ku zdumieniu Niny, która wciąż nie wierzyła, że to może się udać, silnik zaskoczył.

– No to w drogę – powiedział Jacek, ale nie poruszył się ani o milimetr. W lusterku zobaczyła jego przerażone oczy i dłonie zaciśnięte na kierownicy. Był śmiertelnie blady, jakby miał za chwilę zwymiotować.

Nina chwyciła Tamarę za rękę i ścisnęła.

– Na raz, dwa, trzy – powiedziała.

– Na raz, dwa, trzy – zgodził się chłopak.

Odliczyli w czwórkę i samochód ruszył powoli. Na placu wydawało się, że Jacek straci panowanie nad kierownicą, koła zabuksowały w błocie, ale na szczęście udało im się utrzymać kierunek. Jechali w stronę bramy. Nie otworzy się, pomyślała dziewczyna ze ściśniętym sercem. Chłopak zwolnił, wycieraczki rozmazywały po szybie krople deszczu. Nina mocniej ścisnęła dłoń Tamary.

Gdy byli już wystarczająco blisko, żołnierz otworzył bramę, która rozwarła się przed nimi jak wrota zaczarowanego zamku. Jacek wdepnął pedał gazu, terenówka wyrwała do przodu.

Uciekli z Instytutu.

Rozdział siódmy, w którym Nina dowiaduje się, co kryje mgła, a potem jest już tylko gorzej.

Gdzie teraz?

- Prosto, a niby gdzie?
- Jadą za nami? Cholera, nic nie widać, jak tu ciemno...
- Nie panikuj.
- Jadą?
- Patrz na drogę!
- Cicho!
- Sama bądź cicho!

Terenówka podskakiwała na wertepach, koła rozchlapwały wodę z kałuż. Światła samochodu z trudem przebijały zasłonę deszczu, szare pnie pojawiały się na poboczu w żółtawym mętным blasku i zaraz umykały w tył. Jacek pochylał się nad kierownicą napięty jak struna, która lada moment pęknie, z czoła ściekał mu pot. Nina uświadomiła sobie, że kiedy powiedział „mama nauczyła mnie prowadzić”, miał prawdopodobnie na myśli jeżdżenie w dzień równymi bocznymi drogami, a nie gnanie wojskową terenówką po ciemnym lesie. Mnóstwa rzeczy nie wzięli pod uwagę, planując tę ucieczkę. Nauczka na przyszłość, pomyślała Nina, o ile, oczywiście, czekała ich jakakolwiek przyszłość.

Męczyło ją też wrażenie, że za łatwo im poszło. Ten samochód stojący dogodnie w niepilnowanym garażu, brama, którą po prostu otwierano, i tyle. Wszystko to budziło niepokój. Z drugiej strony może i nie było w tym nic tak znów nieprawdopodobnego, ONI mogli uznać, że uciekająca do chorego ojca Kaśka to wyjątek, że nikt inny nie ma powodu do łamania reguł. A już na pewno nie spodziewali się, że grupa dzieciaków ukradnie terenówkę i wyjedzie nią poza bramę.

- Gdzie teraz? – wrzasnął Jacek, wyrrywając Ninę z zamyślenia.
- Prosto! – odpowiedziała konsekwentnie z tylnego siedzenia Tamara.
- Można tylko w prawo albo w lewo! Gdzie mam skręcić? Nina?!
- W lewo!

Wcale nie była pewna, czy to właściwy kierunek. Wcześniej wydawało jej się, że droga przez las będzie tylko jedna, bo po co więcej? Tymczasem rozmokły od deszczu i pełen kałuż trakt co chwila się rozgałęział. Może

jeździły tędy wozy po drewno, może były to jeszcze stare drogi, które prowadziły do jakichś zapomnianych wiosek. Wszystko jedno. W prawo, w lewo, znowu w prawo. Nina czuła, jak ogarnia ją coraz większa panika.

– Gdzie?! – W głosie Jacka słyszała przerażenie.

– W prawo! – Trudno, skoro miała wybierać, to wybierała.

Samochód poskoczył, dziewczyna uderzyła głową o dach. Tamara klęła słowami, jakich nie powinna używać żadna przyzwoita czternastolatka, Hubert milczał, z zaciśniętymi desperacko ustami. Nina miała dobrą orientację przestrzenną, owszem, ale przecież nie teraz, kiedy wokół było ciemno choć oko wykol.

Chwilę później terenówką znowu szarpnęło, silnik zakrztusił się, prychnął i przestał pracować. Skończyła się benzyna.

– To twoja wina! – Jacek wrzasnął na Ninę. – Mówiłaś, że mam skrócić w prawo!

– Moja? Ja wpadłam na ten kretyński pomysł? I trzeba było sprawdzić, czy mamy pełny bak, idioto! Tego, że samochody nie działają bez paliwa, już cię mama nie uczyła?!

– Sprawdziłem, ale ten wskaźnik wygląda inaczej, dlatego mi się pomyliło!

– Teraz na pewno nas dopadną. – To Hubert, kasandrycznym tonem.

– Zamknijcie się wreszcie! – Tamara bez większego trudu przekrzyczała całą trójkę. – Musimy pomyśleć. Nina, wiesz, gdzie jesteśmy?

– W lesie – burknęła dziewczyna.

Nikt nie skomentował tego wątpliwego dowcipu.

Milczeli przez chwilę, a potem Nina odezwała się z lekkim wahaniem.

– Jeśli poczekamy do świtu, chyba uda mi się znaleźć drogę. Jechaliśmy mniej więcej na zachód, tak mi się wydaje, a to znaczy, że powinniśmy być znacznie bliżej końca lasu niż wcześniej.

– Wydaje ci się? – prychnęła Tamara.

– Wydaje mi się, owszem. Nic lepszego nie mam. Jak chcesz, to sama nas stąd wyprowadź.

– Możemy zabrać latarki i pójść dalej pieszo – zaproponował Hubert. – Mamy latarki?

– Mamy jedną, moją – mruknął Jacek. – Nikt inny o tym nie pomyślał, co?

– Dobra, to co robimy? – Nina nie czuła się na siłach, żeby podjąć jakąkolwiek decyzję.

– Ja jestem za tym, żeby iść dalej pieszo – oznajmiła Tamara, ale, o dziwo, sprzeciwił się Jacek.

– Nie możemy wyjść z samochodu. Przestało padać, zaraz może przyjść

mgła.

– No i co z tego? – zirytowała się Tamara.

– Jest niebezpieczna – wymamrotał chłopak, odwracając wzrok.

Tamara już miała coś powiedzieć, kiedy uprzedziła ją Nina.

– Jacek ma rację, nie możemy tak po prostu iść teraz przed siebie. To czyste samobójstwo. Zmylimy drogę i umrzemy w tym lesie. Musimy poczekać, aż będzie jasno, wtedy mamy jakieś szanse.

– Do tego czasu nas znajdą – zwrócił jej uwagę Hubert. – Na pewno już wiedzą, że uciekliśmy.

– A skąd będą wiedzieli, gdzie jesteśmy? Skręcaliśmy tyle razy, że mogą nas teraz szukać przez cały dzień.

– Będziemy tak po prostu czekać, aż nas znajdą? – Tamara uniosła brwi.

Jacek odetchnął.

– Mam pomysł – powiedział. – Zostaniemy tutaj do świtu i będziemy czuwać po kolei. Jeśli stróżujący zauważy jakiś samochód, obudzi pozostałych i wtedy schowamy się w lesie.

– Będzie za późno – ostrzegł Hubert.

– Wcale nie. Jest tak cicho, że odgłos pracującego silnika usłyszymy z daleka. A pieszo nas przecież ścigać nie będą. Podzielimy się czasem do świtu, jedno z nas będzie czuwać, a reszta spać.

– Masz zegarek? – zapytała Tamara.

– Mam – pochwalił się Jacek. – Dostałem w październiku na urodziny.

Oświecił latarką tarczę.

– Jedenasta – powiedział. – Do świtu zostało jakieś osiem godzin, akurat po dwie na każdego. Ja mogę czuwać pierwszy, potem Tamara, Hubert i Nina.

– Najpierw ja, potem Hubert – powiedziała stanowczo dziewczyna.

– Czemu?

– Bo tak. Powiedzmy, że chcę złapać jeszcze rano trochę snu.

– Niech ci będzie. To ja poczekam na zewnątrz, a wy spróbujcie się trochę przespać. O pierwszej obudzę Tamarę.

Jacek wysiadł z auta, a Nina ułożyła się na tylnym siedzeniu, przytulona do Tamary. Była zmęczona, a mimo to sen nie nadchodził. Męczyły ją głód i pragnienie, a przede wszystkim strach.

Co będzie, jeśli nas złapią? Od razu dostaniemy czerwoną kartkę? Zamkną nas w ciasnej ciemnej celi? Będą torturować? Z tego wszystkiego zamknięcie w celi budziło w niej największe przerażenie.

Z przodu kręcił się niespokojnie Hubert.

– Zimno tu – mruknął w pewnym momencie.

– To chodź do nas. – Oczy Tamary rozbłysły w mroku. – Razem będzie nam cieplej.

Chłopak zawahał się, ale przepelzł do tyłu i usadowił obok niej. Nina patrzyła w okno, za którym rozciągała się ciemność. Miała wrażenie, że noc napiera na szyby, ciężka od wilgoci i zimnego jesiennego wiatru. Chwilę później usłyszała równe oddechy Tamary i Huberta, ale sama nadal nie mogła zasnąć.

Musiało być dobrze po północy, kiedy podjęła wreszcie decyzję, otworzyła drzwi i nie budząc pozostałych, wymknęła się na zewnątrz.

Jacek stał oparty o tył samochodu. Gdy podeszła bliżej, uniósł latarkę i rzucił nerwowo:

- Kto to?
- Ja, przestań świecić mi po oczach.
- Miałaś spać.
- Głodna jestem.

Pogrzebał w kieszeniach, po czym wyjął zapakowany w płótno kawałek chleba i sera.

- Masz. Tylko nie zjedz wszystkiego.
- Jesteś genialny – wymamrotała z pełnymi ustami.

Przełknęła, oddała Jackowi resztę jedzenia, a sama zeszła na pobocze i podstawiała złożone dłonie pod gałąź świerku, z której wiatr strącał krople deszczu. Woda smakowała żelazie. Przez moment Nina zastanawiała się, co jej matka powiedziałaby o takim zachowaniu – prawdopodobnie nie byłaby zachwycona, w końcu nie było to ani eleganckie, ani zdrowe. Nina jednak nie zamierzała się tym przejmować. Na dobre maniery przyjdzie czas później, kiedy już wróci do domu, a ONI przestaną ją ścigać.

– Dlaczego uparłaś się, że najpierw ty będziesz czuwać, a potem dopiero Hubert? – zapytał Jacek, gdy wróciła do samochodu.

Wzruszyła ramionami.

– Bo on by mnie pewnie nie obudził, tylko męczyłby się tu przez cztery godziny. Uznałby, że to takie rycerskie poświęcenie, żebym mogła się wyspać, albo coś w tym rodzaju.

– O! – Jacek zamrugał, po czym dodał pośpiesznie. – Ja też potrafię być rycerski.

– Daj spokój, to żadna rycerskość, tylko zwyczajna głupota. Chłopcy

potrzebują snu tak samo jak dziewczyny.

Nie wyglądał na przekonanego, ale też nie zamierzał się sprzeczać.

Nina objęła się ramionami. Podmuchy wiatru bez trudu wciskały się pod cienki płaszcz i przeganiały z ciała resztki ciepła. Zadrżała. Powinna ogrzać się w samochodzie, a mimo to nadal tkwiła na błotnistej drodze, nasłuchując dźwięku osypujących się z gałęzi kropli i poskrzypywania konarów, na które napierał wiatr. Poza tym panowała cisza, nawet w krzakach nic nie szeleściło, jak to bywa zazwyczaj w lesie. Jacek miał rację, w taką noc odgłos pracującego silnika usłyszeliby z dużej odległości.

– O co chodziło z tą mgłą? – zapytała w pewnym momencie.

– Jaką mgłą? – W przeciwieństwie do Huberta Jacek nie był dobrym aktorem i nie potrafił ukryć zdenerwowania.

– Mówiłeś, że mgła jest niebezpieczna. Skąd ci to przyszło do głowy?

– Przecież mnie poparłaś i też powiedziałaś, że nie powinniśmy się stąd ruszać.

– Tak, ale ja miałam na myśli zgubienie drogi, a ty... no, to zabrzmiało, jakby we mgle coś miało się czaić.

– Nie wiem, o czym mówisz – wymamrotał, uparcie odwracając głowę.

Jasne, że wiesz, pomyślała. Znowu przyszedł jej do głowy ten otwarty garaż oraz praktycznie niepilnowana brama i znowu zaczął dręczyć ją niepokój. Nie chciała źle myśleć o Jacku, był przecież jej przyjacielem i tyle razem przeszli. A jednak nie potrafiła się powstrzymać.

– Czy ty... – zaczęła w pewnej chwili i umilkła niezdecydowana.

– Co znowu? – warknął. – Nie możesz na chwilę przestać gadać?

– Chciałam tylko zapytać...

– Cicho.

W pierwszej chwili pomyślała, że Jacek ucisza ją, bo chce uniknąć rozmowy, ale nie – w lesie coś się działo. Nina zamarła, wstrzymując oddech. Z oddali dobiegał stłumiony dziecięcy płacz.

– Też to słyszysz? – szepnął chłopak.

– Tak. Tam ktoś jest, jakieś dziecko.

– Musimy mu pomóc. Chodź. Tylko ostrożnie. I pamiętaj, jak pojawi się mgła, natychmiast wiejemy z powrotem do samochodu.

– O co chodzi z tą mgłą? Powiesz mi wreszcie?

– Potem.

Oświetlając sobie drogę, weszli między drzewa. Nina potykała się co chwila o wystające spod ziemi korzenie, Jacek nie miał tego problemu, ale i on musiał się czuć nieswojo, bo słyszała obok jego nerwowy oddech.

W blasku latarki wszystko miało nierzeczywisty, szarozółty odcień, pnie połyskiwały srebrzyście, rzucając rozczapierzone bardzo długie i bardzo czarne cienie, jakby kroczyli przez las duchów.

– Halo! – wrzasnął Jacek w ciemność. – Gdzie jesteś?

Płacz urwał się nagle jak ucięty nożem albo jakby nieznane dziecko wystraszyło się głosu Jacka i umilkło. Czekali jeszcze przez chwilę, wstrzymując oddechy, ale nie usłyszeli nic więcej.

– Chcemy ci pomóc! – krzyknął jeszcze na wszelki wypadek chłopak.

Dalej nic. Las milczał wokół nich, ociekając deszczem i skrzypiąc pod naporem zimnego wiatru.

– Może to był jakiś nocny ptak – powiedziała z powątpiewaniem Nina. – One potrafią czasem wydawać bardzo ludzkie odgłosy.

– Może – mruknął Jacek. – Wracamy.

W jego głosie zabrzmiała ulga, dokładnie taka sama, jaką czuła dziewczyna. Wcale nie miała ochoty wchodzić między te drzewa. Przy samochodzie czuła się jeszcze w miarę bezpiecznie, choć wiedziała, że to złudne wrażenie.

Nagle chłopak złapał ją za ramię.

– Cicho! – Tym razem w jego szepcie zabrzmiał większy nacisk, a nawet coś jakby panika.

– Co...

– Ani słowa. Idziemy do samochodu jak najszybciej i jak najciszej.

Drogą nadpływała mgła. Kłębiła się, połyskując srebrzyście w bladym świetle księżyca, a Ninie nagle zaschło w ustach. Jakby nadciągała ku nim olbrzymia biała fala, w której poruszały się cienie o płonących czerwienią oczach.

Wśliznęli się do samochodu – Jacek za kierownicę, Nina na siedzenie pasażera. Chłopak pochylił się do ucha dziewczyny.

– Jeśli nas nie usłyszą, przejdą obok – szepnął.

– A co z nimi? – Skinęła głową w stronę tylnej ławki, gdzie spali Hubert i Tamara.

– Nie możemy ich budzić, bo zaczną gadać. Siedź cicho i nie ruszaj się.

Umilkła posłusznie. Mgła była coraz bliżej, w lusterku dziewczyna widziała przesuwającą się białą ścianę. Prawie pisnęła, kiedy opalizujące kłęby dotknęły tyłu terenówki, a potem zaczęły opływać ją niczym rzeka. Wynurzyły się z niej czerwonoookie cienie, pięć, może sześć wysokich i chudych sylwetek poruszających się w dziwnie nienaturalny, a jednak pełen gracji sposób – jakby wszystkie ich stawy zginały się w przeciwną

stronę niż u ludzi, jakby coś, co nie ma prawa istnieć, jednak istnieć zaczęło. Nina zamknęła oczy, a potem otworzyła je w przerażeniu, gdy coś stuknęło o szybę – była to dłoń z trzema zrośniętymi palcami i czwartym grubszym zakończonym ostrym paznokciem, tak iż całość przypominała zamykające się ze szczękiem szczypce. Chciała krzyknąć, ale na szczęście Jacek zatkał jej usta ręką.



Postaci przeszły obok, ciągnąc za sobą biały tuman. Nina odważyła się

odetchnąć dopiero, gdy mgła przerzedziła się, a potem całkiem zniknęła.

– Co to było? – szepnęła.

– Ciii, mogą jeszcze wrócić.

Podciągnęła kolana pod brodę i przymknęła oczy. Minuty mijały wolno w ciszy. Dziewczyna nie musiała się bać, że zaśnie, oczywiście, że nie, była przecież przerażona i zmarznięta, nie mówiąc już o pytaniach, które kłębiły jej się w głowie. Nikt w takiej sytuacji nie mógłby spać. To nic, że od kilku dni chodziła niewyspana, a dziś pracowała przez dziesięć godzin i powieki same jej opadały... Nic, że równe oddechy Tamary, Huberta i Jacka – Jacka??? – działały tak uspokajająco...

– Wstawajcie, cholera, wstawajcie! Zaspaliśmy! Nina, obudź się!

Ktoś brutalnie potrząsał ją za ramię, wrzeszcząc jednocześnie w ucho. Dziewczyna otworzyła sklezione snem oczy. Była zmarznięta, nogi jej zdrętwiały i ogólnie czuła się, jakby spędziła noc na podłodze w lodowatej komórce na węgiel. A co gorsza, miała wrażenie, że stało się właśnie coś strasznego.

Przypomniła sobie i zakłęta, prostując się gwałtownie. Na tylnym siedzeniu budzili się właśnie Tamara i Hubert, oboje równie przerażeni. Za oknami świt rozrzedził ciemność do szarości, niebo na wschodzie płonęło pasmami różu i fioletu.

– Prawie siódma – jęknął Jacek, patrząc na zegarek.

– To twoja вина – wypomniał mu Hubert. – Miałeś czuwać, a nie spać!

– Schowałem się w samochodzie, bo zimno było!

– Zaraz nas znajdą!

– Nie panikujcie – odezwała się Tamara. – Tylko ruszcie się wreszcie. Spadamy stąd.

Wypełzli z terenówki zziębnięci i obolali. Gałęzie drzew wydawały się dziwnie zamglone, jakby patrzyli na nie zza zaparowanej szyby. Nina wystraszyła się nawet, ale to był tylko osad pierwszego tej jesieni szronu, tak delikatny, że niemal niewidoczny.

– Dokąd teraz? – zapytała Tamara, wypuszczając z ust pióropusz pary.

– Na zachód, czyli tam.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz – mruknął Jacek.

Nina też miała nadzieję.

Maszerowali, co chwila nerwowo oglądając się za siebie, ale wokół nadal

panowała cisza. Żadnego odgłosu nadjeżdżającego samochodu czy szczekania psów. To wydawało się nieprawdopodobne, ale może rzeczywiście mieli szansę uciec.

Nina poczekała, aż Tamara i Hubert znajdą się z przodu, po czym pociągnęła Jacka za łokieć.

– Jesteś mi winien wyjaśnienie – powiedziała.

– Jakie wyjaśnienie?

– Nie udawaj idioty. Mam na myśli to, co działo się w nocy. Nie uważasz, że jeśli grozi nam jakieś niebezpieczeństwo, mamy prawo o tym wiedzieć?

– Dopóki nie ma mgły, nic się nikomu nie stanie.

– Jasne, a jak mgła przyjdzie, to urządzisz nam kurs postępowania z kryjącymi się w niej potworami. Taki przyspieszony, w ciągu powiedzmy pięciu sekund, żeby wszyscy zdążyli załapać, co robić. Daj spokój.

– Nie możesz mi po prostu zaufać? Obiecuję, że wszystko wyjaśnię, w porządku?

– Pewnie, tylko nie wiadomo kiedy – wymamrotała, gdy chłopak przyspieszył, by zrównać się z Tamarą i Hubertem.

Droga stawiała się coraz węższa, bardziej wyboista i zarośnięta. Było też coraz cieplej, lód pod stopami zamienił się w błoto, z ust nie unosiła się już para. Nina rozpięła płaszcz, Jacek i Tamara zrobili to samo. Tylko Hubert szedł dalej, kuląc się, jakby wciąż marzł.

– Jesteś pewna, że idziemy we właściwym kierunku? – zapytała Tamara, kiedy trakt zmienił się w zarośniętą chaszciami ścieżkę. – Mnie się wydaje, że wchodzimy coraz głębiej w las...

– Jak chcesz, to ty prowadź – parsknęła Nina. – Proszę bardzo.

– Nie musisz się od razu wściekać, tylko pytam.

– Wcale się nie wściekam.

– Owszem, wściekasz się – dorzucił idący obok Jacek. Hubert znalazł się teraz daleko z przodu, wciąż skulony, z rękoma w kieszeniach i brodą wciśniętą w kołnierz jesienno-płaszczu.

– No dobrze, jestem zła, bo to od początku był głupi pomysł, a w dodatku...

– Hej, chodźcie tutaj! – krzyknął Hubert.

Pozostała trójka przyspieszyła kroku. Jasnowłosego chłopaka zboczyło z wijącej się ścieżki i stał teraz pod drzewem, spoglądając na coś. Jacek znalazł się przy nim najszybciej, druga była Tamara – on gwałtownie wciągnął powietrze, ona mruknęła coś, co zabrzmiało jak: „A niech mnie”...

– Co tam jest? – dopytywała Nina niecierpliwie, przepychając się do

przodu.

Zanim ktokolwiek jej odpowiedział, zobaczyła spoczywający pod drzewem szkielet. Siedział oparty o pień, z czaszką przekrzywioną na ramię i rozłożonymi nogami, pomiędzy którymi tkwił zardzewiały karabin. Na czerepie powiewała jeszcze kępka włosów, poszarzałe kości otulały zetlałe resztki munduru.

– Niemiec – powiedział Jacek, pochylając się. – Ciekawe, kto go zabił...

– Pewnie partyzanci – odezwała się Tamara.

– Pewnie tak – głos za ich plecami zabrzmiał jak wystrzał – choć niektórzy mówią, że to upiory.

Odwrócili się gwałtownie, gotowi do ucieczki. Z krzaków wyszedł młody mężczyzna. Wyglądał na jakieś dwadzieścia, dwadzieścia parę lat, miał na sobie ubłocone gumowce i pocerowany sweter. Sprawiał zupełnie zwyczajne wrażenie i chyba nie był jednym z NICH.

– To jest Totenwald, nie wiedzieliście o tym, dzieciaki? A tak w ogóle co, u diabła, tu robicie?

– Jak dobrze, że ktoś nas wreszcie znalazł! – Hubert zareagował błyskawicznie. – Przyjechaliśmy wczoraj ze szkolną wycieczką i się zgubiliśmy, nasz autobus już dawno pojechał, a my nie wiemy, gdzie jesteśmy...

– Całą noc chodziliśmy po lesie – dodała Tamara.

– Prawie całą, bo trochę spaliśmy w jakimś rozwalonym szałasie. – Nina uświadomiła sobie, że jak na całonocne błądzenie po puszczy wyglądają chyba zbyt dobrze.

– Jesteśmy głodni i zmarznięci. – Jacek też wtrącił swoje trzy grosze. – I nogi nas bolą.

– Pokaże nam pan, jak wyjść z tego lasu? – Hubert żałośnie pociągnął nosem.

– Jasne, podrzucę was do najbliższej wioski. Jeśli zgubiliście się wczoraj, to pewnie już was milicja szuka. Chodźcie ze mną.

– Milicja? – szepnął Jacek chwilę później, kiedy podążali za mężczyzną.

– Cicho – mruknęła Tamara. – Zwiejemy mu, jak tylko dowiedzie nas do jakiejś cywilizacji. Nie przejmuj się.

Nieznajomy zaprowadził ich do, o dziwo, całkiem solidnej jak na leśne warunki drogi, na której stał ubłocony moskwicz.

– Wsiadajcie – powiedział. – Będzie trochę ciasno, ale jakoś się zmieścimy. Niedaleko jest wieś Jaworniki, zawiozę was tam.

– To znaczy, że szliśmy w dobrym kierunku? – zapytała Nina, sadowiąc się

z tyłu obok Tamary i Huberta.

Jacek zajął miejsce z przodu.

– Owszem, szkoda tylko, że nie drogą.

Widzisz? Posłała przyjaciółce triumfalne spojrzenie, a potem skupiła się na kierowcy, który przekręcał właśnie kluczyk w stacyjce.

– Możecie mówić mi po imieniu, jestem Adam – powiedział. – Mielicie szczęście, że akurat kręciłem się po lesie. Tak w ogóle to studiuję w Olsztynie, tu przyjechałem tylko na pogrzeb babci.

– Przykro nam z powodu twojej babci. – Nina zawahała się, po czym mając w pamięci rady Agnieszki, zaryzykowała: – Sartre miał rację, życie jest bez sensu...

– Co takiego? – Adam zamrugął. – Ten Sartre to jakiś twój kolega?

– Nie, taki francuski filozof.

– A, filozof. Ja studiuję leśnictwo – pochwalił się.

– W takim razie opowiedz o tym lesie – zaproponowała Nina. – Proszę.

– Wszyscy prosimy – poparł ją Hubert.

Mile połechtany student nabrał powietrza w płuca.

– A więc to najstarszy zachowany drzewostan na terenie Polski. Żyje tutaj ponad...

Nina rzuciła ostrzegawcze spojrzenie Hubertowi, który jęknął dramatycznie.

– To już mówiła nam pani podczas wycieczki...

– Wolelibyśmy posłuchać o upiorych, które zabiły Niemców – dodała szybko Nina.

– Upiory to bujda. – Adam wzruszył ramionami. – A całe to gadanie wzięło się stąd, że dziesięć lat temu zaginął w tej puszczy oddział hitlerowców. Od tej pory Niemcy zaczęli mówić na te tereny Totenwald, co znaczy Las Umarłych. Niektórzy z naszych przejęli po nich tę nazwę.

– I nikt z tego oddziału nie wrócił? – zapytała Tamara.

– Nikt. Dopiero jak wojna się skończyła, znaleźliśmy parę szkieletów, jeden z nich sami zresztą widzieliście. Kości pozostałych też pewnie gdzieś się walają. Ale nie ma w tym żadnej tajemnicy, prawdopodobnie partyzanci wciągnęli Niemców w zasadzkę, a oni zaczęli uciekać i się rozproszyli. Ci, którzy nie zginęli od kul, musieli umrzeć z zimna, bo to też jakoś w listopadzie było. Puszcza jest duża, mogłyby w niej zniknąć bez śladu trzy takie oddziały. Żadne upiory nie są do tego potrzebne.

– A wioska? – zapytała Tamara.

– Jaka znów wioska?

– Zatrzymaliśmy się podczas wycieczki w gospodzie, nie pamiętam nazwy
– kłamał gładko Hubert – i tam jeden stary człowiek nam mówił, że gdzieś w lesie jest opuszczona wioska.

– A, chodzi o Stare Kąty. – Adam skrzywił się z niechęcią. – To jeszcze dawniej było, przed wojną. Ze dwadzieścia lat temu. Babka mi opowiadała, że pewnego dnia mieszkańcy powiesili z jakiegoś powodu niewinne dziecko i dlatego została rzucona na nich klątwa, kościół pękł na pół, spod ziemi wypęły upiory, a wszyscy ludzie w ciągu jednej nocy zniknęli.

– Upiory wychodzące spod ziemi to te same, które zabijały Niemców? – chciała się upewnić Tamara, ale w tym momencie kierowca zirytował się nie na żarty.

– Przede wszystkim to bzdury, zabobony głupich bab. Mamy nowy wiek nauki i postępu. Naprawdę chcecie słuchać takich bajdurzeń? Jesteście przyszłością narodu, powinniście mieć więcej rozumu.

Przyszłość narodu umilkła, skarcona. Nina patrzyła na umykające w tył drzewa i myślała o tym, czego dowiedziała się od Adama.

Dwadzieścia lat temu w listopadzie zostaje powieszony młody chłopak, kościół pęka, a mieszkańcy wioski nagle znikają.

Dziesięć lat temu, też późną jesienią, ginie w lesie oddział Niemców.

Nie wierzę w przypadki, myślała. A już na pewno nie w takie przypadki.

Nagle poczuła jak Hubert, który co chwila oglądał się za siebie, podskakuje gwałtownie.

– Jadą za nami!

Nina obróciła się – drogą sunęła ciężarówka, niewątpliwie wojskowa, niewątpliwie należąca do NICH.

– Niech pan przyspieszy! – krzyknął Jacek, który też ją zobaczył i który w zdenerwowaniu zapomniał, że miał mówić do kierowcy „ty”. – Szybciej!

– Gaz do dechy! – poparła go natychmiast Tamara, a śmiertelnie blada Nina zacisnęła dłonie na krawędzi siedzenia. Byli już tak blisko, musiało im się udać!

Tymczasem Adam wcale nie miał zamiaru przyspieszać. Zmarszczył tylko brwi i spojrzał na siedzącego obok Jacka.

– Nie rozumiem – powiedział. – Może to ludzie, którzy was szukają? W takim razie trzeba się zatrzymać...

Ciężarówka zatrąbiła, a spanikowany chłopak wrzasnął:

– Szybciej! Jedź pan, na litość boską!

Zamiast tego Adam zacisnął usta, zwolnił, a potem całkiem zatrzymał moskwicza.

– To są przedstawiciele władzy – powiedział surowo. – Jeśli coś nabroiliście, będziecie musieli się przed nimi tłumaczyć.

Wysiadł i poszedł w kierunku ciężarówki, która też zaczęła zwalniać.

A wcześniej zapomniał wyjąć kluczyki ze stacyjki.

Jacek błyskawicznie porozumiał się wzrokiem z trójką na tylnym siedzeniu, przesiadł się za kierownicę i ruszył. Nina w tylnym lusterku zobaczyła odwracającego się Adama z wybałuszonymi oczami – mina, która w innych okolicznościach mogłaby być naprawdę zabawna – a potem gwałtownie przyspieszającą ciężarówkę.

– Szybciej! – ponagliła Jacka, który wychylał się do przodu, kurczowo ściskając kierownicę.

Hubert poruszał ustami, jakby się modlił, i nawet Tamara mocno zbladła. Moskwicz gnał po wyboistej drodze, podskakując i rżąc silnikiem, błoto przyskało spod kół. Ale z wojskową ciężarówką nie mógł się równać. Nina zrozumiała to, spojrzała na Huberta i zobaczyła w jego oczach, że on też wie.

– Szybciej! – krzyczała Tamara. – Szy... Cholera, zwolnij!

Przed nimi był zakręt.

Jacek wcisnął hamulec, ale za późno, drzewo na poboczu nagle rozrosło się wszczep i wypełniło całą przednią szybę, koła przez moment kręciły się w powietrzu, kiedy samochód wypadał z drogi. Nina zdążyła jeszcze pomyśleć: O rany!, kiedy gwałtownie poleciała w przód, jej uszy wypełnił dźwięk tłukącego się szkła i zgrzyt zgniatanego metalu. Miała wrażenie, że siła uderzenia w jednej chwili zmieniła wszystkie jej wnętrzości w sprasowaną papkę, a świat stanął dęba.

Nie mogąc oddychać, pomyślała w panice, z policzkiem przyciśniętym do zimnej, jakimś cudem całej szyby. Z ciężarówki wysiadali ludzie w mundurach, ciągnąc na smyczach psy. Musiała stracić na chwilę przytomność, a kiedy ją odzyskała, na drodze stała Tamara w podartym zakrwawionym płaszczu i z ręką wykręconą pod nienaturalnym kątem. Wyglądała, jakby nie wiedziała, czy uciekać, czy może stawić czoła biegnącym do niej żołnierzom.

Uciekaj, szepnęła bezgłośnie Nina. Nie bądź idiotką.

Instynkt samozachowawczy widać w końcu podpowiedział dziewczynie właściwy wybór, bo odwróciła się i kuśtykając, przeszła kilka kroków. Ale i tak nie miała szans, oczywiście, że nie. Była zbyt wolna, a żołnierze spuścili ze smyczy psy, które pomknęły w stronę Tamary niczym płowe pociski.

Nina zamknęła oczy.

Chciałabym umrzeć, pomyślała – i tym razem było to na serio.

Rozdział ósmy, w którym Nina pyta o porucznika Lisa, a potem ogląda zwłoki.

Nina, żyjesz? Obudź się!

Chwila ciszy, a potem znowu:

– Hej, Nina?

Głos docierał do niej stłumiony i wydawał się właściwie bez znaczenia, jak coś usłyszanego we śnie. Dziewczyna miała wrażenie, że unosi się na wodach ciemnego i ciepłego jeziora, w których było całkiem miło – musiała tylko leżeć bez ruchu, sztywna niczym kłoda, bo tuż obok czaił się ból, gotów ją dopaść przy najmniejszym drgnięciu. Wiedziała o tym skądś, choć wcale nie próbowała się poruszać. Mogłabym tak zostać na zawsze, pomyślała leniwie, kołysząc się na granicy snu.

– Nina? Rany, odezwij się chociaż...

Tym razem głos był bardziej natarczywy i wydał jej się ważniejszy, zaryzykowała więc uniesienie powiek. Światło ją oślepiło, obraz rozmazywał się przed oczami w pulsującej jasności, która po chwili pociemniała do zwykłego blasku wiszącej pod sufitem lampy, a cienie ułożyły się w twarz zaniepokojonej Tamary.

– Powiedz coś, proszę.

Nina bardzo chciała to zrobić, ale słowa umykały jak przestraszone króliki i zanim zdołała któreś złapać, znowu zapadła w ciemność.

Kiedy wynurzyła się z niej po raz drugi, w pomieszczeniu panował przyjemny półmrok, a Tamara siedziała na łóżku obok, czytając *Noc w bibliotece* – przy czym książkę trzymała w lewej ręce, bo prawa wisiała na temblaku. Nina poruszyła ustami. Wargi miała sklezione, a gardło zaschnięte. Chciało jej się pić i była to pierwsza konkretna myśl, jaką zdołał sformułować umysł.

– Hej – powiedziała, a przynajmniej to właśnie chciała powiedzieć, bo tak naprawdę z ust wydobyło się jedynie chrząknięcie. Podziałało jednak, bo Tamara uniosła głowę znad książki.

– Obudziłaś się! Chcesz się czegoś napić?

Nina spróbowała skinąć głową – na początku coś paskudnie zakłuło ją na wysokości mostka, ale zaraz ostry ból zmienił się w ćmiące pulsowanie, z którym dało się wytrzymać. Zachęcona sukcesem, poruszyła palcami u nóg

i ręk. Wyglądało na to, że wszystko działa, choć czuła się, jakby przejechała po niej ciężarówka.

Myśl o ciężarówce sprawiła, że usiadła zbyt gwałtownie i jęknęła. Tym razem ból był znacznie gorszy i musiała minąć chwila, zanim odzyskała oddech.

– Spokojnie – powiedziała Tamara, przytykając jej do warg kubek z zimną wodą.

Nina przełknęła.

– Co z chłopakami? – zapytała. Kiedy już zwilżyła gardło, okazało się, że może mówić całkiem normalnie.

– Hubert obudził się jakąś godzinę temu, wygląda mniej więcej tak jak ty. Mówią, że prawdopodobnie nic mu nie będzie, tylko musi leżeć na wszelki wypadek, gdyby się okazało, że ma wstrząs mózgu. Ty też powinnaś zostać w łóżku. Boli cię głowa?

– Wszystko mnie boli.

– Niedobrze ci?

Nina zastanowiła się.

– Nie.

– To chyba w porządku – ucieszyła się Tamara.

Nina rozejrzała się po pomieszczeniu, które okazało się niewielką szpitalną salką z trzema łózkami. Jedno z nich przysłonięte było białym parawanem – za zasłoną rysował się ciemny kształt, leżący nieruchomo w pościeli. Nina drgnęła.

– Jacek...? – szepnęła.

– Nie, co ty. Chłopcy są w osobnej sali. To Kaśka, ta dziewczyna, która uciekała pieszo. Podobno źle z nią.

– A Jacek?

– Oberwał najgorzej, bo siedział z przodu. – Tamara zachmurzyła się. – Ciągle jeszcze nie odzyskał przytomności, ale ONI – Nina wyraźnie usłyszała wielkie litery – mówią, że powinien z tego wyjść.

– Ktoś powinien powiadomić jego matkę...

– Nie wydaje mi się, żeby ONI o tym pomyśleli.

– A co z tobą?

– Złamana w dwóch miejscach ręka i pęknięte żebro – pochwaliła się Tamara. – Ale i tak obudziłam się najszybciej z nas wszystkich. Twarda jestem, nie?

Nina zmarszczyła brwi. Coś jej nie pasowało.

– Widziałam, jak atakował cię pies. Myślałam... O rany, byłam przekonana,

że cię zagryzie.

– Ja też – przyznała Tamara. – I nawet się trochę wystraszyłam – dodała, jakby to było jakieś osiągnięcie. – Ale on tylko przewrócił mnie na ziemię, stanął mi na plecach i zaczął szczekać.

– Nie zrobił ci żadnej krzywdy?

– Nie, chyba że liczy się to wystraszenie. Rozumiesz coś z tego?

Nina powoli pokręciła głową, w której ciągle szumiało, jakby ktoś solidnie przyłożył jej w czaszkę. Mimo to rozejrzała się raz jeszcze. Ubrana była we własną koszulę nocną, spod łóżka wyglądała znajoma walizka. Ktoś przyniósł tu jej rzeczy, przebrał ją i chyba nawet obmył gąbką, bo nie miała już tego paskudnego wrażenia, że cała lepi się od brudu. Pociągnęła kosmyk włosów i roztarła go w palcach – były puszyste, nie tuste.

– Jesteśmy w Instytucie, tak? – upewniła się, choć właściwie nie musiała pytać. – Złapali nas?

Tamara dwa razy skinęła głową.

– I co z nami teraz robią?

– Nie wiem. Na razie widziałam się tylko z lekarzem, na którego mówią Niedźwiedź, i Fretką, która jest całkiem miła. To pielęgniarka – wyjaśniła. – Cały czas tylko mi powtarzali, że mamy wypoczywać i niczym się nie martwić.

Nie martwić się? Nina uznałaby to za ponury żart, gdyby została jej choć odrobina poczucia humoru.

Tamara chrząknęła.

– Pożyczyłam sobie twoją książkę, mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko. – Machnęła przyjaciółce przed oczami *Nocą w bibliotece*. – W środku był list...

– List? – Nina poczuła, że momentalnie napinają się jej wszystkie mięśnie.

– No, list. Przeczytałam go. Jakoś tak samo wyszło, przepraszam. Ale nie myślałam, że chcesz przede mną coś ukrywać.

– Gdzie on jest?

– Tutaj. – Tamara sięgnęła do książki po złożoną kartkę papieru.

Nina rozprostowała ją, po czym przeczytała:

Jacek i Tamara są bezpieczni, nie musisz się o nich martwić. Hubert sam sobie poradzi. Ale ty powinnaś mi zaufać. Jeśli zdecydujesz się to zrobić, zapamiętaj: w zamku z piasku mieszka stara czerwona żaba, która nosi kapelusz z piórkiem i lubi grać na gitarze. A gdyby wam przyszło do głowy wybrać się jeszcze do wioski, ogrodzenie po zachodniej stronie nie zostało dotąd naprawione.

PS Uważajcie na mgłę. Kiedy się pojawi, znajdźcie kryjówkę i zachowajcie ciszę, wtedy nikomu nic się nie stanie.

– I było jeszcze to. – Tamara dorzuciła zdjęcie. – To napisał Lis, prawda?

– Tak. – List nie był podpisany, ale Nina nie miała wątpliwości, kto jest autorem. – Myślę, że to on umożliwił nam ucieczkę.

– Umożliwił ucieczkę? – Tamara zmarszczyła brwi. – Nie rozumiem.

– Dopilnował, żebyśmy dali radę zdobyć samochód, i powiedział wartownikowi przy bramie, żeby nie zadawał pytań. A przy okazji ostrzegł Jacka, że mgła jest niebezpieczna.

– Chciał nam pomóc?

Nina wzruszyła ramionami.

– Nie wydaje mi się. Gdyby tak było, przede wszystkim powiedziałby nam, jak z tego lasu wyjechać. – Pokręciła głową. – Nie, moim zdaniem pozwolił nam uciec właśnie dlatego, że z góry wiedział, że się nie wydostaniemy. Może to był... jakiś test albo coś w tym rodzaju.

– Test na co?

– Bo ja wiem? Odwagę? Pomysłowość?

– A może facet zwyczajnie jest po naszej stronie?

– Jasne, może jest milutki, przeprowadza staruszki przez drogę i bardzo kocha małe puszyste króliczki – burknęła Nina.

Tamara westchnęła.

– Dobra, ale to by znaczyło, że Jacek od początku na nas donosił. Myślisz, że to on pękł na przesłuchaniu i wszystkich wydał?

Nina przytaknęła z niechęcią.

– Tak mi się wydaje.

– Świnia – mruknęła Tamara. – Nie spodziewałam się tego po nim.

– Jak się obudzi, może wszystko jakoś wytłumaczy. Zresztą z lasu chciał chyba wyjechać tak samo jak my.

Tamara parsknęła, ale nie powiedziała nic więcej, dopiero po chwili zapytała:

– I co teraz? Zamierzasz zaufać Lisowi?

Nina zamyśliła się na chwilę. Prawda wyglądała tak, że desperacko potrzebowała pomocy kogoś dorosłego. W Markotach miała panią Stefanię, a tutaj wydawało się, że wszyscy są jej wrogami. Dlatego bardzo chciała uwierzyć, że Lisowi można choć trochę zaufać. Przecież podsunął jej właściwe odpowiedzi podczas testu (o ile to naprawdę były właściwe odpowiedzi) i ostrzegł Jacka, żeby uważali na mgłę. Nawet jeśli chronił ich

w jakichś egoistycznych celach – Nina nie była na tyle naiwna, by wierzyć w jego altruizm – i tak na tym korzystali.

Z drugiej strony, ufając temu człowiekowi, mogli wpakować się w jeszcze większe kłopoty.

– Nie wiem – powiedziała wreszcie z ociąganiem. – Muszę to przemyśleć. Słuchaj, ani tobie, ani Jackowi nikt nie pokazywał żadnych obrazków, prawda?

– Nie. Od paru dni nawet nie wzywali nas na przesłuchanie.

– To by się zgadzało z tym, co pisze Lis. Może ONI zorientowali się, że nie macie mocy, i dali wam spokój, teraz koncentrują się już tylko na mnie i na Hubercie.

– A czemu on ma sobie poradzić?

– Może dlatego, że kontroluje swoją magię, a ja nie?

Tamara odetchnęła, sadowiąc się wygodniej na łóżku.

– Dobra, to teraz mi powiedz, o co chodzi z tą mgłą.

Po południu, niosąc na tacy dwa talerze zupy pomidorowej, zjawiała się pulchna pielęgniarzka z uroczo zadartym noskiem i śmiejącymi się niebieskimi oczami.

– Możesz mówić do mnie Fretka – powiedziała, stawiając talerz na stoliczku obok łóżka Niny. – Dobrze się czujesz? Boli cię głowa?

– Trochę.

– Mdłości?

– Nie.

– W porządku, w takim razie zjedz obiad. Zbadam cię potem i zobaczę, czy nie masz temperatury.

Nina podejrzliwie spojrzała na zupę i bawiła się nią przez chwilę, nabierając na łyżkę i wylewając z powrotem. Wreszcie spróbowała – pomidorówka była smaczna, a skurczony strachem żołądek rozluźniał się z każdym łykiem. Miło było wreszcie zjeść coś z talerza, a nie wojskowej menażki. Jak w domu. Nina poczuła w oczach łzy.

– Co z nami będzie? – zapytała cicho, kiedy cała zupa zniknęła.

– Nie wiem, dziecko. – Fretka westchnęła. – To nie ode mnie zależy. Na razie macie wypoczywać i wracać do zdrowia.

– Będziemy torturowani? Zamkną nas w więzieniu?

– Tortury? Więzienie? – Zszokowana kobieta spoglądała na nią wielkimi

oczami. – Skąd ci przyszedły do głowy takie głupstwa?

Albo Fretka była genialną aktorką, albo nie wiedziała, co dzieje się w Instytucie, albo wreszcie naprawdę nikt tu nie zamierzał wyrywać młodocianym więźniom paznokci czy razić ich prądem. W porządku, Nina, na razie ostrożnie, była skłonna uwierzyć w tę ostatnią opcję.

Milczała przez chwilę. Tamara, która również skończyła swój obiad, zajęła się lekturą *Nocy w bibliotece*. Fretka kręciła się po salce, a potem weszła za parawan, gdzie leżała ranna dziewczyna. Nina odwróciła wzrok i podciągnęła kolana pod brodę. Chwilę później pielęgniarka podeszła do niej z termometrem.

– Zmierzymy ci temperaturę, dobrze?

Dziewczyna włożyła termometr pod pachę. Był zimny, aż się wzdrygnęła.

– Masz ochotę na coś dobrego? – zapytała Fretka. – Twojej koleżance – skinęła w kierunku Tamary – przyniosłam ciastko z kremem, chcesz też takie?

Chcę z powrotem znaleźć się w domu, pomyślała Nina, zamiast tego jednak zapytała:

– Co tu się dzieje? Pani wie, prawda? Dlaczego nas tu przywieźli i co zamierzają z nami zrobić? Kim w ogóle jesteście?

Fretka pokręciła głową.

– Nie mogę tego powiedzieć, przykro mi. Obowiązuje mnie tajemnica. Mogę cię tylko zapewnić, że jeśli nie będziesz próbowała więcej wychodzić na zewnątrz, nie spotka cię tu nic złego.

– Chyba że dostanę czerwoną kartkę.

Kobieta najwyraźniej chciała zaprzeczyć, ale ostatecznie przytaknęła.

– Chyba że dostaniesz czerwoną kartkę. Ale to zdarza się rzadko, więc nie musisz się martwić.

– Co znaczy czerwona kartka?

– Nie mogę powiedzieć. To...

– Tajemnica, wiem.

Fretka uśmiechnęła się lekko i odgarnęła włosy z czoła Niny.

– Mądra z ciebie dziewczynka – powiedziała. – Ale ta ucieczka była głupia. Nie róbcie tego więcej, proszę.

– Chcieliśmy tylko wrócić do domów... – chlupnęła Nina, a pielęgniarka objęła ją ostrożnie i pogłaskała.

– Wiem, dziecko, wiem. Niedługo was wypuszczą, zobaczycie.

Gdy Fretka wyszła, Nina złapała spojrzenie przyjaciółki.

– Rozklejasz się – powiedziała potępiająco Tamara.

– Co z tego? – Nina pociągnęła nosem.

- Musimy myśleć i działać.
- Och, daj mi spokój. – Nina odwróciła się do ściany i przykryła kołdrą, chociaż, oczywiście, przyjaciółka miała rację.

Musiła zasnąć na chwilę, bo kiedy się obudziła za oknami wisiła już deszczowa ciemność, a na sąsiednim łóżku z nosem w książce chrapała Tamara. Nina wstała ostrożnie – musiała iść do ubikacji i zamierzała poradzić sobie sama. Wbrew temu bowiem, jak traktowała ją Fretka, nie była przecież małym dzieckiem.

Znalazła odpowiednie pomieszczenie i załatwiła się, uważając na najdrobniejszy ruch, bo w każdej chwili jej ciało mogło zaprotestować przeszywającym bólem. Kiedy skończyła, podciągnęła koszulę nocną i obejrzała w lustrze swoje nogi, brzuch i klatkę piersiową – wszystko wyglądało paskudnie, całe w siniakach, miejscami brudnozielonych, a miejscami tak fioletowych, że niemal czarnych. Pośpiesznie opuściła koszulę, umyła ręce i podreptała do pokoju. Po drodze udało jej się znaleźć salkę, w której leżeli chłopcy – śpiący Hubert wyglądał całkiem nieźle, za to widok nieprzytomnego Jacka, podłączonego do kroplówki i z bandażem na głowie, sprawił, że Ninie ścisnęło się serce. Pomyślała o jego matce, która gdzieś tam w Gdańsku umierała teraz z niepokoju, nie wiedząc, co dzieje się z jej dzieckiem. Może dałoby się w jakiś sposób przesłać jej wiadomość? Ale nawet jeśli tak, co dalej? Mama Jacka nie mogłaby przecież tu przyjechać, ONI z pewnością by na to nie pozwolili.

Wycofała się ostrożnie na palcach. Tamara nadal spała, a w salce wciąż panowała cisza, mącona jedynie szmerem uderzającego o szybę deszczu. Nina spróbowała wyciągnąć kryminał spod policzka przyjaciółki, ale ta wymamrotała coś przez sen i objęła książkę ramieniem. Nina zrezygnowała i skupiła uwagę na leżącym za parawanem kształcie, tak bardzo cichym i nieruchomym, że wydawał się niemal... martwy? Podeszła bliżej z mocno bijącym sercem i nasłuchiwała przez chwilę – wreszcie udało jej się wychwycić dźwięk oddechu, lekkiego niczym tchnienie letniego wiatru.

Podsłuchiwała gwałtownie, kiedy drzwi otworzyły się za jej plecami.

– Nie powinnaś wstawać – skarciła ją łagodnie Fretka. – Wracaj do łóżka.

– Co będzie z tą dziewczyną? – Nina zignorowała jej polecenie.

Pielegniarka milczała.

– Jest w ciężkim stanie – powiedziała po chwili.

– To znaczy, że umrze, tak?

Fretka skinęła głową.

– Doktor Niedźwiedź twierdzi, że prawdopodobnie nie przeżyje dzisiejszej nocy. To wielkie nieszczęście, Nino, ale...

– A co potem?

– Potem? Nie rozumiem.

– Kiedy umrze. Co zrobicie z jej ciałem.

– Położymy je w kostnicy w piwnicy, a później zwrócimy rodzicom.

– Wymyślając jakąś odpowiednio wiarygodną historyjkę, dlaczego ich córka nie żyje, tak?

Fretka zacisnęła usta, lekko już zniecierpliwiona.

– Nino, naprawdę. To nie...

– ...zależy od pani, wiem. – Nie powinna używać takiego tonu, a już z pewnością nie w stosunku do jedynej osoby, która jak dotąd była dla niej miła.

Odetchnęła, starając się opanować lęk i frustrację.

– Przepraszam. Wiem, że to nie pani winna.

Pielęgniarka westchnęła.

– Skoro już wstałaś i nie zamierzasz kłaść się z powrotem, chodź ze mną. Porozmawiamy, nikomu nie przeszkadzając.

Zabrała Ninę do przytulnej kanciapy z małym stoliczkiem, dwoma wysłużonymi fotelami i piecykiem naftowym, na którym w czajniku gotowała się woda. Była tu też przeszklona szafka na leki i druga, mniejsza, w której za szybą wisały różnej wielkości klucze.

– Napijesz się herbaty? – zapytała pielęgniarka.

– Tak, chętnie.

– Z mlekiem i cukrem?

Nina skinęła głową i chwilę później siedziała już z parującym kubkiem w ręku. Herbata była słodka, z dużą ilością mleka, tak jak trzeba. Dziewczyna napiła się, odstawiła kubek na stolik. Czy Fretka mogłaby zostać jej sprzymierzeńcem? Dlaczego nie, była przecież miła i – co ważniejsze – chyba nie próbowała Niny oszukiwać. Z drugiej strony pielęgniarka sama przyznawała, że tak naprawdę niewiele może, jej władza nie sięgała za próg salki z chorymi. Co innego Lis, on najwyraźniej miał różne... możliwości.

Nina napiła się jeszcze herbaty, a potem chrząknęła.

- Chciałabym o coś zapytać...
- Tak? – Fretka uśmiechnęła się zachęcająco.
- Zna pani porucznika Lisa?
- Oczywiście. – Nina przysięgłaby, że kobieta zarumieniała się lekko i zatrzepotała rzęsami. – Uroczy człowiek.

Dziewczyna rozsądnie postanowiła nie wdawać się w dyskusję na ten temat.

– Czemu o niego pytasz? – Pielęgniarka postawiła na stoliku pudełko z maślanymi ciasteczkami.

– To dziwne, ale on jest podobny do wujka Alberta, kuzyna mojego dziadka. Znaczący, ja wujka nigdy nie widziałam, znam go tylko ze zdjęć, bo z tą częścią rodziny straciliśmy kontakt jeszcze przed wojną. Dlatego tak się zastanawiam...

– Czy to nie mógłby być twój krewny?

– Daleki krewny – sprecyzowała Nina na wszelki wypadek. – Ale mój tata by się ucieszył, gdyby się okazało, że ktoś ze strony wujka przeżył wojnę. Nie wie pani, jak brzmi prawdziwe nazwisko porucznika Lisa? Ale pewnie to też tajemnica, co?

Fretka ugryzła ciasteczko.

– Nie znamy tutaj nawzajem swoich prawdziwych danych, więc nawet gdybym chciała ci powiedzieć, tobym nie mogła. Takie zasady. A porucznik, z tego, co wiem, nie ma rodziny, wychowywał się w różnych sierocińcach i zaraz po wojnie wstąpił do ZMP. To bardzo lojalny, oddany sprawie komunista.

Jasne, pomyślała Nina. Jakżeby inaczej. Co jej dawały te informacje? Było dość oczywiste, że Lis dorastał w domach dziecka – stracił przecież całą rodzinę. Ciekawe, czy opiekunowie znali jego historię? Wiedzieli, że to brat chłopca mordercy, który siekierą zabił oboje rodziców? Nawet jeśli nie, porucznik nie miał łatwego życia, jednak Nina jakoś nie potrafiła zdobyć się na współczucie.

Uświadomiła sobie przy okazji, że Lis miał fałszywe chyba nie tylko nazwisko – Daniel to żydowskie imię, mało prawdopodobne, żeby kobieta z zapadłej wsi przed wojną nazwała tak swojego syna. Teraz to już nie miało większego znaczenia, ale jeszcze całkiem niedawno chrześcijanie dostawali porządne chrześcijańskie imiona, jak Jan, Józef, Szymon albo Antoni. Czemu Lis zdecydował się zmienić swoje? I czemu akurat na żydowskie, skoro Żydzi w tej nowej, podobno lepszej Polsce też wcale nie mieli się dobrze?

Wszystkie te rozważania nie przybliżały jej ani na krok do kwestii

najważniejszej – czy porucznikowi można ufać. Nie miała jednak czasu, żeby więcej się nad tym zastanawiać, ledwo bowiem skończyła herbatę, na korytarzu załomotały ciężkie kroki i po chwili do kanciapy weszło dwóch młodych żołnierzy.

– Mamy zabrać na przesłuchanie kody 77WR i 18MAR – oznajmił wyższy z nich.

Właściwie powinna się tego spodziewać, dostała przecież od Lisa kolejne podpowiedzi. A jednak z jakiegoś powodu wydawało jej się, że dopóki zostanie w szpitalu, nic jej nie grozi. Już się przyzwyczaiła do tej myśli, już poczuła, że przynajmniej przez jeden czy dwa dni będzie bezpieczna.

Teraz rzuciła Fretce zrozpaczone spojrzenie.

– Nie mogę iść na przesłuchanie, jestem przecież chora!

Pielęgniarka uśmiechnęła się uspokajająco.

– Moim zdaniem wyglądasz całkiem nieźle. Na pewno dasz radę przejść te kilkanaście kroków, a potem wrócić tutaj.

– Źle się czuję.

Fretka objęła Ninę delikatnie, uważając na jej posiniaczone ramiona.

– Wiem, że się boisz – powiedziała. – Ale im szybciej przez to przejdziesz, tym szybciej wrócisz do domu, a tego przecież chcesz, prawda?

Nie rozumie pani, pomyślała Nina. Ja naprawdę mogę dostać czerwoną kartkę, w przeciwnym wypadku Lis by mi nie pomagał.

– Zbieraj się, dziewczyno – rzucił jeden z żołnierzy. – A ten drugi gdzie jest?

– 18MAR nigdzie nie pójdzie – w głosie Fretki zabrzmiał stanowczy ton. – Chłopak ma wstrząs mózgu, musi leżeć w łóżku.

Szcęściarz, Nina westchnęła w duchu, po czym oznajmiła:

– Pójdę z wami, ale najpierw muszę się przebrać.

Jeden z młodych żołnierzy skinął głową, a potem zrobił ruch, jakby chciał iść za dziewczyną.

– Sama – powiedziała z naciskiem, a chłopak nie protestował. Może więc nawet oni mieli jednak jakieś poczucie przyzwoitości.

W szpitalnej salce Nina zdjęła koszulę nocną i ubrała się z trudem, posykując od czasu do czasu z bólu. Potem, nie śpiesząc się, wyjęła spod poduszki kartkę od Lisa.

Zamek z piasku, stara czerwona żaba, kapelusz z piórkiem i gitara,

powtarzała w myślach, idąc za żołnierzami. Dam sobie radę.

Zaprowadzili ją do tego samego pokoju co ostatnio, gdzie czekała już siwowłosa kobieta. Nina usiadła w fotelu i pozwoliła sobie założyć na głowę metalowy czepek. Gdy lekarka-nie-lekarka majstrowała coś przy urządzeniu badającym fale mózgowe, dziewczyna próbowała zgadnąć jej nazwisko. Jakie zwierzę miało tak białe futro? Albo upierzenie? Nie przychodziło jej jednak do głowy nic poza śnieżną panterą i niedźwiedziem polarnym, a szczerze wątpiła, by kobieta tak właśnie się nazywała.

– Pamiętasz zasady, prawda? – zapytała siwowłosa. – Pokazuję ci dwa obrazki, ty bez zastanowienia wybierasz jeden.

– Pamiętam.

– Świetnie, w takim razie zaczynamy.

Ćma, pomyślała Nina. To jest Ćma. Większość tych owadów była co prawda raczej szara, nie biała, ale coś w tej kobiecie kojarzyło się właśnie z nocnym motylem: może miękkość ruchów, może coś niepokojącego w oczach, co nasuwało myśl o ciemności.

Na ekranie pojawiły się dwa obrazki i test się rozpoczął.

Tym razem było trudniej, bo zdjęcia z jakichś powodów sprawiały wrażenie niepokojących. Niby przedstawiały zwyczajne rzeczy, zwierzęta czy krajobrazy, a jednak w tle kryło się coś groźnego, czego Nina nie potrafiła zidentyfikować, bo Ćma (jeśli to była Ćma) ciągle ją poganiała.

– Szybciej, miałas się nie zastanawiać.

– Staruszek!

– Który instrument?

– Gitara!

W porządku, powiedziała Nina w myślach do Lisa. Zaufałam ci. Mam nadzieję, że nie oszukujesz.

Gdy zeszła z fotela, w oczach Ćmy widać było namysł i coś jakby niedowierzanie.

– To wszystko? – zapytała dziewczyna.

– Jeśli chodzi o test, tak – odparła kobieta z lekkim wahaniem. – Teraz porozmawiamy o twojej ucieczce.

– Och. – Nina nerwowo przełknęła ślinę. – Co z nami będzie?

– To jest pytanie, prawda? – Kobieta zwlekała z odpowiedzią, wreszcie jednak westchnęła i skrzywiła się lekko. – Cóż, nie zostaną wyciągnięte wobec was żadne konsekwencje, jeśli tego się obawiasz. Zostaniecie w szpitalu, aż odzyskacie siły, a potem wrócicie do pracy z takimi samymi prawami i obowiązkami jakie ma każde dziecko tutaj. Moi przełożeni uznali,

że ten wypadek był dla was wystarczającą nauczką.

– Dziękuję. – Nina odetchnęła z ulgą i już położyła dłoń na klamce, kiedy zatrzymał ją głos Ćmy.

– Nie tak szybko. Z oczywistych powodów nie możemy ryzykować, że taka sytuacja się powtórzy, rozumiesz to, prawda? A jedno z was, kod 23GD...

– On ma na imię Jacek.

– ...pozostanie w szpitalu dłużej, możemy więc uznać go za kogoś w rodzaju zakładnika. Jeśli któreś z was znowu spróbuje uciec, dwadzieścia trzy poniesie tego konsekwencje. Zrozumiałaś?

– Tak.

– Świetnie, w takim razie możesz iść.

Gdy wróciła do salki, Tamara już nie spała, parawan był odsunięty, a łóżko za nim puste i równo zaścielone.

– Co się stało? – szepnęła Nina, choć przecież doskonale wiedziała.

– Kaśka zmarła. Zabrali ją jakieś dziesięć minut temu.

Nina usiadła, przytłoczona smutkiem i poczuciem bezradności. Nie знаła tej dziewczyny, nigdy z nią nawet nie rozmawiała, ale to nie miało znaczenia – Kasia była jedną z nich, więźniarką, która tak samo jak Nina chciała tylko wrócić do domu.

– Co teraz? – zapytała smętnie Tamara.

– Powiedzieli, że jeśli któreś z nas spróbuje jeszcze raz uciec, Jacek poniesie konsekwencje.

– To znaczy, że co?

– Nie mam pojęcia. Przestaną mu podawać środki przeciwbólowe, żeby cierpieć? W ogóle już nie będą go leczyć? Tak czy inaczej, nie zamierzam się o tym przekonać.

– Czyli rezygnujemy z ucieczki?

– Przynajmniej na razie, potem się zobaczy. – Nina podeszła do okna. Deszcz przestał padać i z lasu wypełzła mgła srebrząca się w świetle latarni. Nagle ciemność rozerwał odgłos strzału, znacznie lepiej słyszalny z tej strony budynku. Jeden, a potem drugi. Dziewczyna wzdrygnęła się dwa razy.

Odwróciła się w stronę przyjaciółki, która przyglądała jej się z ciekawością.

– Mogę cię o coś zapytać?

– Jasne. – Tamara wyciągnęła się wygodnie na łóżku. – Ale z góry ostrzegam, że moje życie erotyczne praktycznie nie istnieje. Raz tylko

całowałam się z kuzynem, a i to nawet nie było na serio.

– Ja nie o tym. – Nina zarumieniła się lekko.

Tamara westchnęła.

– Wiem, to i tak był kiepski dowcip. Dawaj.

– Czy ty... czy kiedyś widziałas z bliska martwego człowieka? Tak żeby mu się przyjrzeć? Mam na myśli kogoś zabitego, nie zmarłego z przyczyn naturalnych.

– Raz, w czasie wojny – przyznała Tamara z ociąganiem. – Szłam z ojcem poboczem drogi, nie pamiętam już, dokąd, i zachciało mi się sikać. Weszłam więc w krzaki, a on tam leżał. Miał na sobie mundur i dziurę w brzuchu. I było na nim pełno much, które zerwały się, jak tylko podeszłam, i poleciały w moją stronę, taką obrzydliwą czarną chmurą, i śmierdziało w tym upale, i... No, porządnie się wtedy wystraszyłam i nawet zlałam w majtki. Jeszcze teraz czasem mi się ten żołnierz śni.

– Bałabyś się, gdybyś znowu miała go zobaczyć?

– Nina, co ty kombinujesz?

Dziewczyna spieszyła się trochę.

– Nic nie kombinuję. Znaczy, trochę tak, ale, no wiesz, w dobrym sensie. Muszę mieć pewność.

– Co do czego?

– Dlaczego tak naprawdę zginęła Kasia.

Nina leżała w ciemności, licząc upływające minuty. Musiała minąć jedenasta, choć pozbawiona zegarka dziewczyna oczywiście nie mogła mieć pewności. W każdym razie było już po wieczornej wizycie doktora Niedźwiedzia, który zbadał Ninę i Tamare, wymruczał kilka niezobowiązujących banałów, po czym sobie poszedł, i po kolacji, którą przyniosła Fretka. Ucichły głosy dobiegające z dołu, z wielkiej sali, gdzie spali zdrowi więźniowie, i cały Instytut pogrążył się we śnie.

Prawie cały.

Tamara uniosła się na łokciu.

– Idziemy? – szepnęła.

– Tak.

Włożyły buty i swetry przy skąym świetle latarki Jacka. Nina pobłogosławiła w tym momencie matkę chłopaka, która pakując walizkę syna, pomyślała nie tylko o ciepłych spodniach czy szaliku, ale też o takich

właśnie przydatnych drobiazgach. Potem przemknęły na palcach w stronę kanciapy Fretki. Drzwi były uchylone, w środku na rozkładanym łóżku polowym spała owinięta w koc pielęgniarza. Nina przypomniała sobie jej słowa: „Jeśli będziecie czegoś potrzebowały, w każdej chwili możecie mnie obudzić”.

– Dobra – szepnęła Tamara. – Ty zostajesz na czatach, a ja idę po klucze.

– Dasz radę jedną ręką?

– Jasne, nie przejmuj się.

– Gdyby Fretka się obudziła, powiedz, że boli cię brzuch i przysłaś po krople, albo coś w tym rodzaju – dodała jeszcze Nina.

Czekała na korytarzu, obserwując światło latarki poruszające się w mroku kanciapy i podskakując nerwowo przy każdym szeleście. Wykradzenie kluczy było właściwie zadaniem dla zręcznego Jacka, lecz skoro chłopak leżał nieprzytomny, musiały wierzyć, że zimna krew Tamary wystarczy.

Wystarczyła, bo chwilę później dziewczyna wynurzyła się z ciemności, podtrzymując wypchaną i obiecująco pobrzękującą kieszeń swetra.

– Nie wiedziałam, który wziąć, więc zabrałam wszystkie – powiedziała konspiracyjnym szeptem. – Będziemy dopasowywać. Dokąd teraz?

– Do piwnic.

Znalazły schody i przyświecając sobie latarką zeszły dwa poziomy w dół. Przed sobą miały teraz zakurzony korytarz, w którym po lewej stronie biegły osmołowane rury, grube jak udo dorosłego mężczyzny, a po prawej ciągnął się szereg zamkniętych pomieszczeń. Z sufitu zwisały gołe żarówki, jednak ani Nina, ani Tamara nie zamierzały ryzykować zapalania światła.

– Nigdy nie znajdziemy tych właściwych – jęknęła Tamara na widok rzędu drzwi.

– Znajdziemy, spokojnie... Czekaaj!

– Co się stało?

– Ktoś tam jest, na końcu korytarza.

– Serio?

– Widziałam błysk latarki. Zwiewamy.

W pobliżu nie było żadnej kryjówki, musiały więc wycofać się z powrotem na pogrążony w półmroku parter, a potem schować w załomie za wspólną salą. Znajdowały się teraz tak blisko miejsca, gdzie jeszcze niedawno spały, że bez trudu wychwytywały za ścianą charakterystyczny stukot butów spacerującej tam i z powrotem Wydry.

Minęła denerwująco długa chwila, nim drzwi do piwnicy drgnęły wreszcie i się otworzyły. Wyszedł z nich młody żołnierz. Nina w pierwszej chwili go

nie poznała, wszyscy ci chłopcy w mundurach wyglądali dla niej identycznie. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to ten sam pryszczaty nastolatek, z którym jechała ciężarówką. W jednej ręce trzymał latarkę, a w drugiej klucz francuski. Poszedł do piwnicy, żeby coś naprawić? Jeśli tak, czemu po prostu nie zapalił sobie światła?

Nie miała jednak czasu, żeby się nad tym zastanawiać, bo ledwo żołnierz zniknął w górze schodów, Tamara pociągnęła ją z powrotem do piwnicy.

– Które? – zapytała niecierpliwie, kiedy znowu stanęły przed szeregiem drzwi.

– Moment. – Nina w świetle latarki oglądała zamki. Część była zardzewiała – te odrzuciła od razu – inne wyglądały na przynajmniej od czasu do czasu używane. Wybrała ten, gdzie przy dziurce od klucza widniały świeżo zrobione rysy, i powiedziała:

– Tutaj. Chyba.

Tamara sięgnęła do pobrzękującej kieszeni i kilka nerwowych chwil później drzwi uchyliły się z cichym skrzypnięciem. Nina się zawahała.

– Dalej chcesz to zrobić?

– Pójść do kostnicy o północy? Jasne. No wiesz, potrzebuję teraz dużo adrenaliny.

– Jak nas złapią, będziesz jej miała po uszy – wymamrotała Nina. – Poza tym – dodała rozsądnie – może otworzyłyśmy komórkę na ziemniaki albo coś w tym rodzaju.

Przez chwilę naprawdę miała nadzieję, że za drzwiami znajdą spiżarnię, pralnię, czy cokolwiek zwyczajnego. Lecz szansa na to była oczywiście niewielka, bo przecież klucze do pomieszczeń gospodarczych nie wisałyby w kanciapie pielęgniarki. To musiała być kostnica i to była kostnica, choć takie określenie niespecjalnie tu pasowało, bo dziewczyny weszły do nisko sklepionej, wąskiej piwnicy – jedyne, co kojarzyło się z przechowywaniem zwłok, to przejmujący wilgotny chłód. Nina zadrżała gwałtownie. Światło latarki wyłowiło z ciemności metalowy stół, a na nim ciało, tylko jedno, przykryte białym prześcieradłem.

Nerwowo przełknęła ślinę. Nie chce, pomyślała desperacko, było jednak za późno, żeby się wycofać.

– Na raz, dwa, trzy? – powiedziała.

Tamara skinęła głową.

Odliczyły i na trzy jednocześnie uniosły prześcieradło. Nina spojrzała w twarz Kasi, bladą jak gipsowa maska, z posiniałymi ustami. Dziewczyna wyglądała zaskakująco spokojnie, może dlatego – wytłumaczyła sobie Nina –

że zanim umarła, wpompowano w nią mnóstwo środków przeciwbólowych. Ale jej szyja... Na skórze widniał długi na kilkanaście centymetrów szew, jakby Kaśka była szmacianą lalką, której trzeba było przyszyć z powrotem oderwaną głowę. Równe, proste cięcie, sięgająca głęboko rana. Nina wyobraziła sobie ilość krwi, która z dziewczyny wyciekła, i zrobiło się jej słabo, świat nagle zaczął odpływać, nogi zmiękły.

– Nina? – Głos przyjaciółki dobiegał z oddali, jakby ktoś wołał w głębokim lesie. – Co ci jest? Niiinaaaa? O cholera...

Następnym, co pamiętała, był chłód ściany za plecami i udzielająca instrukcji Tamara:

– Włóż głowę między kolana. Niżej. Szlag, zachłapiesz wszystko... Czekaj, mam chusteczkę. Przytrzymaj.

– Co się stało? – zapytała Nina słabo.

– Zemdlałaś i walnęłaś głową w blat, całe czoło masz rozwalone. Musimy powiedzieć Fretce.

– Nie możemy.

– Nie bądź głupia. Dasz radę wstać?

– Nie wiem...

Dała, choć nogi wciąż miała miękkie jak z ciasta. Podtrzymując ją, Tamara wyszła na korytarz. Posadziła Ninę pod ścianą, zamknęła drzwi, a potem powlokła przyjaciółkę schodami na piętro, do szpitalnej salki.

– Zrobimy tak – powiedziała Nina, kiedy siedziała już na łóżku, przyciskając przesiąkniętą krwią chusteczkę do czoła. Nadal kręciło jej się w głowie, ale potrafiła już w miarę jasno myśleć. – Powiemy Fretce, że wstałam, bo chciałam się czegoś napić, potknęłam w ciemności o wystającą spod łóżka walizkę i uderzyłam głową w nocny stolik, w porządku? Musimy tylko zdjąć buty i swetry. I odnieść klucze, i schować latarkę...

– Jasne. Daj mi chwilę. Nie ruszaj się, wszędzie chłapiesz krwią!

Kiedy Tamara wyszła, Nina pochyliła się jeszcze i wymazała na czerwono róg stolika. Czy w piwnicy zostawiły ślady? A na schodach? Wydawało jej się, że nie, większość krwi wsiąkła w koszulę nocną. A nawet jeśli tak, to trudno, teraz nic już nie mogły z tym zrobić.

Fretka podała Ninie środek przeciwbólowy, a potem zszyła czoło. Pewnie zostanie blizna, myślała dziewczyna ponuro, kiedy pielęgniarka zapakowała ją z powrotem do świeżo zaścielonego łóżka. Jakiego trzeba mieć pecha, żeby

wyjsć cało z wypadku samochodowego, a zaraz potem rozwalić sobie głowę o kant stołu? I co ze mnie za detektyw, który mdleje na widok trupa? Sherlockowi Holmesowi z pewnością nigdy nic takiego się nie przydarzyło.

Pomyślała o Lidce, która dzięki Ninie w Markotach zyskała bardzo podobną bliznę. Może było to coś w rodzaju przewrotnej sprawiedliwości.

– Śpisz? – zapytała z sąsiedniego łóżka Tamara.

– Nie.

– Dowiedziałas się czegoś w tej piwnicy?

– Tak.

– I co?

– Kasia nie zginęła dlatego, że zaatakowały ją psy. Miałaś rację, one są wytresowane tak, żeby przewrócić ofiarę i pilnować, ale nie robić jej krzywdy. Ta rana... sama widziałas, tam nie było śladu zębów, tylko równe cięcie, jakby ktoś użył noża. Albo ostrych długich szczypiec.

– Jak u tych potworów w lesie? Tych, które pojawiają się razem z mgłą?

– Uhm.

– Co teraz?

– Zapal latarkę – powiedziała Nina, siadając na łóżku. – Tylko ostrożnie. I chodź tutaj.

Wyjęła spod poduszki fotografię, którą dostała razem z liścikiem od Lisa, i przyjrzała jej się dokładnie.

– Znalazłaś coś ciekawego? – dopytywała się niecierpliwie Tamara.

– Nie wiem... – Nina zawahała się. – Sama popatrz. Co widzisz?

– No, zwyczajna rodzina: ojciec, matka, dwójka dzieci... Co w tym dziwnego?

Dziewczyna powoli pokręciła głową. To zdjęcie różniło się od pozostałych, przedstawiających prace gospodarskie czy dziecięce zabawy. Na tej fotografii członkowie rodziny nie robili nic, po prostu stali w ogrodzie, kobieta przy mężczyźnie, dwaj chłopcy odrobinę dalej. I wszyscy wydawali się wpatrywać w jeden punkt, znajdujący się poza kadrem. Ich twarze miały dziwny wyraz: jakby czegoś pośredniego między zdumieniem a lękiem.

– Na co oni patrzą? – Tamara zmarszczyła brwi.

– Nie wiem, ale jestem pewna, że coś tam było. Albo ktoś.

Nina wsunęła fotografię z powrotem pod poduszkę. Lis wykazał się sprytem, kiedy ze wszystkich zdjęć wybrał akurat to, które po prostu musiało rozbudzić w oglądającym ciekawość – a przecież ta właśnie cecha była największą słabością każdego prawdziwego detektywa.

– Myślę, że musimy tam wrócić – powiedziała.

- Do wioski? Po co?
- Bo Lis chce, żebym rozwiązała tę zagadkę. Może to cena tego, żeby nam pomógł.

Rozdział dziewiąty, w którym Nina znowu zmienia pracę, a Hubert zostaje zabrany do kościoła.

Nina szła długim ciemnym korytarzem, mijając szereg drzwi. Tylko jedno były oświetlone, te na samym końcu, gdzie zmierzała. W półmroku lśniła intensywnie biel świeżej farby, od której odcinała się krwista czerwień kartki z napisem:

„Nie przeszkadzać, operacja w toku”.

Dziewczyna nacisnęła klamkę, drzwi uchyliły się z lekkim skrzypieniem. Za nimi była wioska. Słońce kładło plamy znużonego blasku na zarośniętych mchem dachach, krzywych płotach i pokrywających ziemię liśćmi, tak suchych i skurczonych, że pękały z cichym pyknięciem przy każdym kroku. Nie było w tym świetle prawdziwego ciepła, tylko chłód nadciągającej zimy, który czuło się już w zapachu wiejącego od lasu wiatru. Nina usiadła na przyzbie. Zamknęła oczy, pod powiekami wciąż rysował się kształt rosnącego przed domem drzewa, rosochaty i nienaturalnie czarny na tle powidoków słonecznego blasku – jak biblijny gorejący krzew. Ktoś za jej plecami krzyczał, ale nie odwróciła się, żeby zobaczyć, kto to. A potem nagle zapadła cisza i drzwi chaty zaczęły otwierać się powoli, by wypuścić na świat zgromadzoną w środku ciemność...

– Nina!

Ktoś potrząsał ją za ramię, a ona budziła się powoli, z trudem, jakby wypełzała z beczki pełnej lepkiego miodu.

– Nina!

– Co się dzieje? – Otworzyła oczy, mętny blask deszczowego świtu przeganiał z zakamarków umysłu resztki snu.

– Krzyczałaś – powiedziała Tamara.

– Naprawdę?

– Uhm. Śnił ci się jakiś koszmar?

– Chyba tak. – Nina nie potrafiła już sobie przypomnieć, co takiego właściwie jej się śniło. Pamiętała jedynie przeciągły krzyk, jaki może wydać śmiertelnie przerażona istota ludzka, a potem skrzypienie uchylających się drzwi – i tę strasliwą, paraliżującą pewność, że cokolwiek przez nie przejdzie, będzie gorsze niż wszystko, co dotąd widziała.

– Posuń się – mruknęła Tamara, po czym położyła się obok przyjaciółki

i objęła ją sprawną ręką. – Boisz się? – zapytała cicho.

– Tak.

– Ja nie. Ale czasem prawie boję się tego, że się nie boję, jeśli to ma jakiś sens.

– Ma – wymamrotała Nina, ukołysana z powrotem do snu uspokajającym ciepłem Tamary.

Kiedy się znowu obudziła, przyjaciółka siedziała już na własnym łóżku, a Fretka stawiała właśnie na nocnym stoliku śniadanie: cztery kromki z powidłami śliwkowymi, grubo posmarowane masłem, dwa jajka na miękko i dzbanek zbożowej kawy z mlekiem. Obie dziewczyny spałaszowały swoje porcje aż do ostatniego okruszka.

– Widzę, że dopisuje wam apetyt – powiedziała wesoło pielęgniarka. – Jeśli wieczorem dalej będziecie się tak dobrze czuć, może doktor Niedźwiedź pozwoli wam wrócić do jakiejś lekkiej pracy.

Tamara zaczęła, aż Fretka wyjdzie, po czym z jękiem padła na łóżko.

– Cholera, ale się wpakowałyśmy. Co teraz? Rezygnujemy z obiadu?

– Myślę, że zjemy obiad, a potem jeszcze zademonstrujemy, jakie jesteśmy zdrowe i radosne. – Nina z cichym syknieniem bólu pochyliła się po kaptcie.

– No co ty, serio chcesz wrócić do pracy? Tu przynajmniej dostajemy dobre jedzenie i możemy się wreszcie wyspać...

– Wiem, ale jeśli mamy iść do wioski, musimy pracować razem z innymi. Ze wspólnej sali damy radę wymknąć się na dwie–trzy godziny, a stąd nie. Tu ciągle się ktoś kręci.

Tamara skrzywiła się.

– Dobra, niech ci będzie. To co, cudownie zdrowiejemy do wieczora?

– Najpierw musimy pogadać z Hubertem.

Jasnowłosy chłopak też już nie spał, tylko czytał w łóżku *Psychiatricę kliniczną*. Na widok wchodzących dziewczyn podniósł głowę znad książki i spojrzał rozgorączkowanymi niespokojnymi oczami.

– Jak się czujesz? – zapytała Nina.

– Świetnie – zapewnił. – Naprawdę. Po prostu świetnie.

W jego gorliwości było coś, co jej się nie spodobało.

– Podobno masz wstrząs mózgu.

– Gdzie tam. – Uśmiechnął się i tym razem wypadło to bardziej autentycznie. – Udawałem, bo bałem się, że jak będę zdrowy, zabiorą mnie

na przesłuchanie albo do kościoła, czy gdzie tam chcieli mnie wziąć.

– Naprawdę? Wyglądasz... – Nina zawahała się. Właściwe słowo brzmiało „na przerażonego”, ale przecież wszyscy się bali, więc może nie było w tym nic niezwykłego.

– Naprawdę.

– A Jacek? – zapytała Tamara, spoglądając w kierunku leżącego na sąsiednim łóżku chłopaka, który oddychał ciężko pod zwojami bandażu opasującymi głowę.

– Bez zmian – odparł Hubert ponuro. – Ale Niedźwiedź mówi, że powinien obudzić się dziś albo jutro, a wtedy się zobaczy.

– Zobaczy co?

– No, jak poważne są uszkodzenia.

Milczeli przez chwilę, unikając nawzajem swojego wzroku, a przede wszystkim patrzenia na nieprzytomnego kolegę. Pierwsza otrząsnęła się Tamara.

– Trzeba zastanowić się, co dalej – powiedziała. – Nina twierdzi, że musimy wybrać się z powrotem do wioski, jak ona się nazywała? Krzywe Kąty?

– Stare Kąty – przypomniała Nina. – Ale nie możemy tam pójść z Hubertem. Jeśli on przestanie udawać chorego, to zrobią z nim to, co robią ze wszystkimi sierotami, a nadal nie wiemy...

– Wszystko mi jedno – oznajmił chłopak z posępną determinacją. – Idę z wami.

– Jesteś pewien? – w głosie Niny zabrzmiało powątpiewanie, ale Tamara wzruszyła tylko ramionami.

– Daj mu spokój. Jak mówi, że chce iść, to niech idzie.

Nina położyła na kolanach zeszyt do biologii (uznała, że najlepiej poświęcić ten) i uniosła ołówek.

– To może zastanówmy się, co musimy zrobić. Po pierwsze, wybrać się do wioski i rozwiązać zagadkę chaty węglarza, po drugie, dowiedzieć się, co oznacza czerwona kartka i jak się ją dostaje, po trzecie, znaleźć to, co blokuje nasze zdolności magiczne, i jakoś je odblokować, po czwarte, wydostać się stąd tak, żebyśmy wszyscy byli bezpieczni, i nasze rodziny też.

Skończyła pisać i spojrzała na listę z wydłużoną miną. Wszystkie punkty wyglądały fantastycznie, równie dobrze mogłaby napisać: „polecieć na Księżyc” albo „ożywić Karola Marksa”.

– Myślisz, że Lis pomoże nam uciec? – zapytał Hubert niepewnie.

– Nie wiem – odparła uczciwie. – To znaczy, jestem pewna, że on nie

zamierza nam pomagać, no wiecie, z dobrej woli. Ale może... chce się wymienić za przysługi.

– Jak ty udowodnisz niewinność jego brata, to on sprawi, że nas wypuszczą?

Nina zastanowiła się – czy Lis naprawdę jest tak sentymentalny, że w zamian za oczyszczenie brata z winy zdradzi swoich towarzyszy? Może, w końcu co ona o tym człowieku wiedziała. Ale jakoś nie wydawało się jej, żeby to było takie proste.

Z lekkim wahaniem powiedziała o tym pozostałym.

– W takim razie dopisz: Dowiedzieć się, czego naprawdę chce od nas Lis. – Hubert skinął głową w kierunku zeszytu.

Nina pośliniła ołówek.

– A nie moglibyśmy po prostu zapytać? – zaproponowała Tamara. – Czemu tak na mnie patrzycie? Mam coś na nosie? Niektórzy ludzie odpowiadają na pytania, jak się je im zada.

– Nie ten człowiek – oznajmiła Nina stanowczo. – On jest, no wiecie, podstępny i chytry, jak prawdziwy lis. A gdyby chciał ze mną porozmawiać, to sam by mnie znalazł.

– Co ci szkodzi spróbować? – Hubert poparł Tamarę. – Kiedyś już z nim rozmawiałaś i nic się strasznego nie stało. Najwyżej każe ci się wynosić albo skłamię, że to nie on wysłał te zdjęcia. Tak czy inaczej, masz szansę czegoś się dowiedzieć.

– Tylko musisz złapać go gdzieś na osobności, bo inaczej niczego nie powie – dodała Tamara. – I nie miej takiej wystraszonej miny, przecież cię nie ugryzie.

Łatwo wam mówić, myślała Nina ponuro, kiedy dziesięć minut później wlokła się nogą za nogą korytarzem w kierunku pokoju, w którym ostatnio spotkała Lisa, a który w myślach zaczęła nazywać „rekreacyjnym”. Miała cichą nadzieję, że go tam nie zastanie, prawdę powiedziawszy, rozważała nawet odczekanie kilku minut na korytarzu, a potem powrót do szpitala i skłamanie, że nie mogła nigdzie porucznika znaleźć. Wmawiała sobie, że to nie byłoby oszustwo, nie tak naprawdę, bo przecież ten pomysł od początku nie miał sensu – kłamiąc, zaoszczędziłaby tylko Hubertowi i Tamarze głupich złudzeń, nic więcej.

Prawda jednak wyglądała tak, że Nina się bała. Lis jak dotąd nie zrobił jej

nic złego, w gruncie rzeczy, pomijając Fretkę, był chyba dla dziewczyny najbardziej uprzejmą osobą. A jednak coś w nim budziło jeśli nie lęk, to przynajmniej całkiem solidny niepokój.

Dowłokła się do „pokoju rekreacyjnego”, zajrzała ostrożnie przez otwarte drzwi i zobaczyła tam czwórkę młodych żołnierzy, którzy grali w karty, pociągając tego ze stojącej na stole flaszki. Odetchnęła z ulgą i wycofała się. Już miała wracać, kiedy jej uwagę zwróciły inne drzwi, znajdujące się niemal naprzeciwko i zachęcająco uchylone. Nina spróbowała sobie przypomnieć, czy były zamknięte, kiedy przyszła tu ostatnio szukać Sowy. Tak, prawie na pewno tak, choć nie wiadomo, czy na klucz – tego oczywiście nie sprawdziła.

Przełknęła nerwowo ślinę, a potem spojrzała jeszcze raz na żołnierzy – mieli czerwone twarze i rozgorączkowany wzrok ludzi, którym alkohol mocno uderzył do głów.

– Sprawdzam! – wrzeszczał jeden.

– Kolor w żołądźkach! – wydarł się drugi. – W dupę se wsadź trójkę!

Żaden nie zwracał uwagi na stojącą na korytarzu dziewczynę. Prawdopodobnie nie zauważyliby jej nawet, gdyby przyjechała tu na słońiu, pobrzękując naszyjnikiem z muszelek.

Odetchnęła, a potem otworzyła tajemnicze drzwi szerzej i wśliznęła się do środka. Znalazła się w pomieszczeniu, które na pierwszy rzut oka wyglądało jak zwyczajny gabinet – stało tu solidne biurko, za nim wygodny fotel, przed nim zdecydowanie mniej wygodne krzesło, jakby przeznaczone dla petenta, który powinien się pocić, kiedy siedzący w fotelu szef z rozkoszą zaciąga się cygarem. W rogu miękka, czerwona kanapa i szklany stoliczek, na którym pozostały dwa odbite krążki po nóżkach od kieliszków. Kto mógł tu urzędować? Dyrektor Instytutu? Nina uświadomiła sobie, że nawet nie wie, kto nim jest, o ile oczywiście ktoś taki w ogóle istniał.

Na jednej ścianie wisiał obraz przedstawiający przepływające pod mostkiem łabędzie, na drugiej portret sennej dziewczynki – ten pierwszy był bardziej kiczowaty niż impresjonistyczny, a drugi, wbrew pierwszemu wrażeniu, z pewnością nie wyszedł spod pędzla Wyspiańskiego, ale tak czy inaczej oba okazały się miłym zaskoczeniem w miejscu, gdzie Nina spodziewała się raczej sztuki socrealistycznej. Przyjrzała się im, a potem przeniosła wzrok na trzecią ścianę, tę za biurkiem, gdzie wisiała mapa Polski. Z początku pomyślała, że to całkiem zwyczajna mapa, dokładnie taka, jaką na lekcji geografii wieszała w klasie pani Hrubieszowa. Dopiero po chwili zauważyła, że niektóre obszary zaznaczone zostały czerwonymi kółkami wielkości pięciogroszówek. Podeszła bliżej. Jedno z takich kółek otaczało

miejsce, gdzie właśnie się znajdowali, i było podpisane: „Strefa 0”. Pozostałe, rozrzucone po całej Polsce, oznaczone były kolejnymi numerami aż do szesnastki. Nina zauważyła, że w centrum czwórki znajdowały się Markoty i zrobiło jej się gorąco. To prawdopodobnie znaczyło, że w Polsce istniało szesnaście stref, gdzie anioły za pomocą magii zmieniały rzeczywistość, a dzieci zyskiwały moc. Znalazła na biurku kartkę i ołówek, po czym zaczęła niezgrabnie przerysowywać mapę. Była w połowie, kiedy zza drzwi dobiegł odgłos kroków i dźwięk rozmowy – ktoś szedł korytarzem, zmierzając w stronę gabinetu (albo „pokoju rekreacyjnego”, ale Nina nie mogła ryzykować). Rozejrzała się w przerażeniu. Nie miała gdzie się schować, jedyną, choć niepewną kryjówką było biurko. Zanurkowała więc pod nie i wstrzymała oddech.

Nieznajomi przystanęli przed drzwiami, klamka poruszyła się lekko. Po chwili do gabinetu weszły dwie osoby. Nina widziała tylko ich buty, jedne męskie, drugie damskie.

– Mamy coraz mniej czasu – powiedziała kobieta. – Zostało kilka dni...

– Wiem – w głosie mężczyzny zabrzmiała irytacja. – Ale co ja poradzę? Szóstka zawiodła, zostały nam dwa kody.

– Problem w tym, że osiemnastka jest chora, a osiemdziesiąt pięć to małe dziecko. – Kobieta, zbliżyła się do biurka.

Serce Niny waliło tak, że obawiała się, iż ją zdradzi, ale na szczęście nieznajoma tylko wysunęła szufladę, pogrzebała w niej chwilę, po czym oddaliła się z powrotem w stronę drzwi.

– W takim razie weźmiemy chorego – oznajmił mężczyzna tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Dziecko może jeszcze trochę poczekać.

– Dziś wieczorem? – Oboje już wychodzili z gabinetu. Odpowiedzi Nina nie usłyszała, bo zagłuszył ją dobiegający z drugiego pokoju triumfalny ryk młodego żołnierza.

Muszę ostrzec Huberta, pomyślała, miała jednak na tyle przytomności umysłu, żeby zatrzymać się najpierw i dokończyć przerysowywanie mapy.

– Nie boję się – oznajmił Hubert, patrząc w dal chmurnym spojrzeniem, które zachwyciłoby każdego romantycznego malarza. – Mogą mnie dręczyć i torturować, ale ja się nie będę bał.

– Jeszcze niedawno udawałeś chorego, żeby tego uniknąć – przypomniła mu Nina.

– Wiem, ale skoro nie ma innego wyjścia, muszę stawić czoło przeznaczeniu. – Westchnął ciężko, a poruszona oddechem grzywka odsłoniła niebieskie oczy.

– Mógłbyś udać jeszcze bardziej chorego – zaproponowała Tamara. – Przecież nie zabiorą cię, jeśli zemdlejesz albo zaczniesz rzygać.

– Nie. – Hubert był nieugięty. – Mam dość udawania.

Może, pomyślała Nina, a może z jakiegoś niepojętego powodu chcesz wrócić do tej wioski. Zostawiła to jednak na razie i wyjęła z kieszeni swetra kartkę.

– Czemu narysowałeś grubą kaczkę? – zainteresowała się Tamara.

– To nie kaczka, tylko mapa Polski – oburzyła się Nina.

– Moim zdaniem wygląda jak kaczka. O, tu ma dziób...

– To Hel.

– Po co ci mapa Polski? – wtrącił Hubert.

– Bo są na nim zaznaczone miejsca takie jak Markoty.

– Z magią? – Tamara dała spokój kaczkce i z ciekawością pochyliła się nad kartką. – Rany, aż szesnaście?

– Uhm. A to, gdzie jesteśmy teraz, ma numer zero, patrzcie.

– Ciekawe, czy numerowali je w kolejności powstawania? – zastanawiał się Hubert.

– Możliwe, ale nie o to chodzi. Dziwne jest zero. Jakby oznaczało, że to miejsce jest w jakiś sposób szczególne, inne od pozostałych. Nie sądzicie?

– Może po prostu zostało stworzone jako pierwsze – w głosie Tamary zabrzmiało powątpiewanie.

– Wtedy chyba daliby mu zwyczajnie numer jeden. – Nina włożyła kartkę z powrotem do kieszeni. – Mniejsza z tym, teraz musimy się zastanowić, co wieczorem powiemy lekarzowi.

– Boli cię głowa? – zapytał doktor Niedźwiedź, świecąc jej w oczy latarką trzymaną w dłoni wielkiej jak bochen chleba.

– Nie.

– Słabo ci czasem? Jakieś mdłości?

– Nie.

– Masz paskudne skaleczenie na czole. Zemdląłeś?

– Po prostu się przewróciłam.

Patrzył na nią podejrzliwie, marszcząc zrośnięte nad czołem czarne brwi.

– Chcesz wrócić do pracy?

– Jeśli będę robić coś lekkiego, to tak. Tu jest strasznie nudno. – To przynajmniej było prawdą. Uwięziona w miniaturowym szpitalu Nina szalała na samą myśl o tym, co mogłaby zrobić, gdyby miała trochę więcej swobody.

Lekarz westchnął.

– W porządku, moim zdaniem nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś wróciła do wspólnej sali. Teraz zajmujemy się tobą. – Skinął na Tamarę.

Dziewczyna została poczęstowana identyczną serią pytań, po czym obie pacjentki dostały od lekarza kartki z nagryzmołonymi tajemniczymi zdaniami.

– Sierżant Sowa da wam nowy przydział – powiedział na pożegnanie Niedźwiedź.

– A co z Hubertem? – odważyła się zapytać Nina, kiedy stały już w drzwiach.

– Na razie zostaje. A teraz zmykajcie, nie chcę was tu więcej widzieć.

– Potrafisz to przeczytać? – zapytała Tamara, gdy szły korytarzem.

Nina wzięła od niej kartkę, a potem porównała ją ze swoją. Wyglądało na to, że na obu było napisane to samo, choć, biorąc pod uwagę fatalny charakter pisma, nie mogła mieć pewności.

– ...awe... ame... ane... Zalecane? Zalecana? Dalej nie wiem. – Miała nadzieję, że dalszy ciąg zdania brzmi: „Zalecana lekka praca”, a nie, na przykład: „Zalecany dokładny dozór, bo pacjentki coś kręcą”.

Dotarły pod zamknięte drzwi „pokoju rekreacyjnego” i Nina przyłożyła do nich ucho.

Z wnętrza nie dobiegały żadne głośniejsze dźwięki, słyhać było jedynie szelest jakby przewracanych stron książki i monotonne skrzypienie przesuwającego się po papierze pióra.

– Pukamy? – Spojrzała na przyjaciółkę.

– Ty pierwsza.

Nina nabrała powietrza jak przed skokiem na głęboką wodę, a potem zapukała i kiedy usłyszała szorstkie „proszę”, weszła do środka.

W pokoju siedziała Sowa, która na widok dziewczyn uniosła głowę znad pisanego listu.

Nieco dalej, przy oknie, zajmował miejsce pogrążony w lekturze porucznik Lis.

– Przyszliśmy z polecenia doktora Niedźwiedzia – powiedziała Tamara, podsuwając kobiecie swoją kartkę. Nina poszła w jej ślady, a potem rzuciła ciekawskie spojrzenie na tytuł książki Lisa – tym razem była to *Anna Karenina*.

Sowa oglądała kartki i mruczała coś nad nimi, a Tamara dyskretnie kopnęła przyjaciółkę w kostkę, wskazując jednocześnie ruchem głowy porucznika.

Zapytaj go – jej usta ułożyły się w bezgłośne słowa.

Teraz? – pomyślała Nina, ale w oczach przyjaciółki było tyle natarczywości, że podeszła do Lisa, który dopiero w tym momencie na nią spojrzał.

– Ona umrze – zaczęła dziewczyna desperacko.

– Słucham?

– No, Anna. Na koniec rzuci się pod pociąg. Szczerze mówiąc to jedyny fajny fragment tej książki.

– To przykre. – Nie wiedziała, czy Lis mówi o tragicznym końcu bohaterki, czy może guście literackim Niny.

– Myślałam, że lubi pan kryminały.

– Czytam wszystko, co wpadnie mi w ręce. Potrzebujesz czegoś?

Patrzył na nią tak obojętnie, że po raz pierwszy w Ninie zbudziły się wątpliwości, czy to naprawdę Lis przysyłał jej wszystkie te zdjęcia i instrukcje. Jeśli jednak nie on, to kto?

– Nie, tylko skończyłam *Noc w bibliotece* i pomyślałam sobie, że panna Marple, która rozwiązała sprawę, właściwie nic z tego nie miała, cała chwała spadła na głupiego inspektora policji. To niesprawiedliwe. Detektyw powinien dostać nagrodę, jeśli rozwiązał zagadkę, prawda?

– Może dla panny Marple nagrodą było samo prowadzenie śledztwa? Znałem kiedyś biednego chłopca, który marzył, żeby grać na skrzypcach. Nazywał się...

– Janko Muzykant?

W oczach mężczyzny zobaczyła znajomy już błysk śmiechu, który mógł być złudzeniem – ale Nina prawie miała pewność, że nie był. Po raz drugi udało jej rozbawić porucznika Lisa i nadal nie wiedziała, czy to dobrze, czy źle.

– Franek. Jan miał dopiero na drugie imię. W każdym razie zmierzam do tego, że dla Franka nagrody nie miały znaczenia, liczyło się to, że mógł wykorzystać swój talent. Inaczej był bardzo nieszczęśliwy.

No i masz, pomyślała dziewczyna ponuro. Właśnie takich wykrętnych banałów spodziewała się po Lisie. Czy to znaczyło, że powinna zająć się

tajemnicą chaty węglarza dla czystej przyjemności zajmowania się nią? Nie licząc na nic w zamian?

Tamara stała już przy drzwiach, kiwając na przyjaciółkę, Nina więc pożegnała się grzecznie i wyszła.

– Dostałam przydział do grupy A – powiedziała Tamara.

– Świetnie, dowiesz się, które dziecko ma w kodzie numer osiemdziesiąt pięć.

– Nie ciesz się tak. – Tamara zachichotała. – Ty będziesz pracować ze mną.

– Czyli nadal nie wiemy, czy możemy Lisowi ufać – powiedział Hubert, kiedy dziewczyny zdały mu relację.

– Nie możemy. – Nina była stanowcza. Człowiek, któremu wszystko jedno, co czyta, musiał mieć okropny charakter.

– A co z tobą? – zapytała Huberta Tamara. – Podobno zostajesz w szpitalu? To dobrze, nie? Znaczący, że na razie...

– Niedźwiedź powiedział, że przed północą i tak po mnie przyjdą, więc nie ma sensu, żebym się przenosił. Jak wrócę, zrobi mi następne badania i w zależności od wyniku albo jeszcze tu posiedzę, albo dołączę do was.

– Och. – Nina nie potrafiła zdobyć się na nic innego.

– Wszystko w porządku. – Hubert odgarnął włosy z czoła. – Nie martwcie się, dam sobie radę.

Fretka zajrzała do pokoju.

– Dziewczyny, zbierajcie się – powiedziała. – Już was tu nie ma, raz, raz!

Tamara uściskała serdecznie Huberta, Nina z lekkim wahaniem i zdecydowanie mniej zgrabnie zrobiła to samo. Zabrały walizki i ruszyły w stronę wspólnej sali.

– Myślisz, że Hubertowi nic się nie stanie? – zapytała Tamara, kiedy znalazły wreszcie dwa wolne łóżka stojące obok siebie. – Skoro lekarz powiedział, że go znowu zbadają, to znaczy, że wróci z tego kościoła cały i zdrowy?

Nina przytaknęła, choć wpadła na paskudną myśl, że może Niedźwiedź powiedział tak tylko dlatego, żeby chłopak nie opierał się, kiedy będą go zabierać. Czym prędzej wyrzuciła ją z głowy, wsunęła walizkę pod łóżko i spojrzała na Tamarę.

– Musimy dowiedzieć się czegoś o szóście – powiedziała.

– Tej, która zawiodła?

– Mhm. Tylko ostrożnie, żeby ONI nie dowiedzieli się, że o coś wypytujemy. Po tej ucieczce na pewno będą nas obserwować.

– Dobra, postaram się uważać.

Zbliżała się pora kolacji, większość więźniów już siedziała na swoich łózkach, niecierpliwie czekając na wózek z jedzeniem. Dziewczyny się podzieliły i Nina ruszyła w prawo, a Tamara w lewo.

Nina od razu się przekonała, że jakakolwiek ostrożność jest zbędna – i tak nikt nie chciał z nią rozmawiać. Wszędzie wyglądało to tak samo: najpierw więźniowie na jej widok milkli, a potem odwracali się demonstracyjnie i dalej gadali z sąsiadami albo gapili się w sklepienie, grzebali w walizkach czy robili cokolwiek, byle tylko Ninę zignorować. Zupełnie jakby była niewidzialna.

Odezwała się do niej dopiero Lena, dziewczyna Wybrańca.

– Dziwisz się, że nikt was tu nie lubi? – zapytała. – Kiedy uciekliście, dołożyli nam dodatkowe godziny pracy, i to w dodatku bez śniadania. W D dwie osoby zemdlały, a w B jedna dziewczyna dostała hysterii i płakała tak długo, że musieli jej dać zastrzyk uspokajający

– Nie wiedziałam – szepnęła Nina.

– Jasne, nie wiedziałaś – prychnęła śliczna szatynka. – Następnym razem może trochę pomyśl, co? Dobra, wiem, że nie zrobiliście tego specjalnie – jej głos złagodniał. – Ale większość z nas chce tylko tu przetrwać, nic więcej. I tak jest ciężko, nie potrzebujemy kogoś, kto będzie jeszcze wszystko pogarszał.

– Nie boisz się, że dostaniesz czerwoną kartkę? A twój chłopak? On jest...

– Nie jest nikim szczególnym, znam go od podstawówki i gdyby był jakimś herosem, czy co tam sobie wyobrażasz, to zapewniam cię, że bym tego nie przegapiła.

Nina spojrzała na nią uważnie. Lena kłamała? A może była po prostu tak mało spostrzegawcza? Czy naprawdę można nie zauważyć, że Wybraniec jest... no, kimś szczególnym?

Oczywiście istniała jeszcze trzecia możliwość – że Nina zwyczajnie się pomyliła, ale tego nie przyjmowała do wiadomości.

Wróciła do swojego łóżka i zastała na sąsiednim smętną Tamarę.

– I co? – zapytała, choć nie miała wielkich nadziei. Mina koleżanki mówiła wszystko.

– Szóstka to prawdopodobnie kod 6KR, dziewczyna z Krakowa, która pojechała już do domu, tyle się dowiedziałam. Nikt nie chciał nic poza tym powiedzieć, zupełnie jakby nagle wszyscy ogłuchli i przestali słyszeć, co do

nich mówię.

– I tak zdobyłaś więcej informacji niż ja.

Może to i dobrze, że Huberta zabrali, przynajmniej dowiemy się, o co chodzi z tymi sierotami, przemknęło jej przez głowę i zaraz poczuła się podle. Myślała o tym po kolacji i prysznicu, kiedy leżała w ciemnej sali, nasłuchując znajomego posykiwania ognia i odgłosu kroków spacerującego strażnika. Ja nie jestem taka, dla mnie ważniejsi są ludzie, a nie to, żeby czegoś się dowiedzieć.

Jakiś mały paskudny głosik jednak podpowiadał jej, że jeśli naprawdę zostanie detektywem, to wkrótce może się zmienić.

Tej nocy Nina spała zbyt daleko swojego dawnego łóżka, żeby usłyszeć tajemnicze stukanie, ale to nie miało znaczenia – ta zagadka została już rozwiązana. Przynajmniej jedna, pomyślała jeszcze dziewczyna, zanim zamknęła oczy. Znowu śniła, że idzie długim ciemnym korytarzem w stronę lśniąco białych drzwi. „Nie przeszkadzać, operacja w toku” – szczyrzyły się czarne litery na tle czerwieni kartki.

Potem była zalana słońcem wioska, suche liście pokrywające ziemię jak gruby szeleszczący dywan i pachnący zimą wiatr. Nina siedziała na przyzbie, czekając na krzyk za plecami, a później cichy skrzyp otwierających się drzwi. Czekala i wiedziała, że tym razem też nie będzie miała odwagi się odwrócić, żeby zobaczyć, kto wyjdzie z chaty.

Ze snu wyrwał ją dźwięk trąbki, o którym w czasie pobytu w szpitalu prawie zdążyła zapomnieć. Z jękiem podniosła się i sięgnęła pod łóżko po walizkę. Obok niezgrabnie ubierała się Tamara.

– Pomóc ci? – zaproponowała Nina.

– Poradzę sobie – uparła się Tamara, ale po chwili musiała zmienić zdanie.

– I tak świetnie ci idzie – pochwaliła Nina, zapinając przyjaciółce sweter. – Ja w życiu nie zrobiłabym tego wszystkiego lewą ręką.

– Bo ja jestem mańkutem, tylko w szkole ciągle mi każą pisać prawą, więc się przyzwyczaiłam.

Razem z jeszcze jedną dziewczyną, Olgą, zostały wysłane na pierwsze piętro, gdzie mieścił się „dzieciniec”. Były to trzy pokoje z niewielką kuchnią – w jednym znajdowała się sypialnia, dwa pozostałe służyły do zabawy. Nina rozejrzała się, rejestrując półki z książkami, ułożone w stosie pod ścianą gry planszowe, kolorowe klocki, domek dla lalek, elektryczną kolejkę, misie

i inne zabawki. Grupa podopiecznych liczyła siedmioro dzieci w wieku od sześciu do jedenastu lat – najstarsza dziewczynka była niewiele młodsza od swoich opiekunek i, zdaniem Niny, spokojnie mogłaby pracować, zamiast bawić się lalkami. Ciekawe, na jakiej zasadzie ONI dzielili więźniów? Po prostu rocznikami, jak w szkole, czy inaczej?

Rządziła tu Wrona, przysadzista brunetka z cieniem wąsika nad górną wargą, prawie – ale tylko prawie – tak miła jak Fretka. Wszystko tu zresztą było mniej czy bardziej miłe: pomalowane na wesołe kolory ściany, puchaty dywan na podłodze, bijące od pieców ciepło i fakt, że po śniadaniu dostawało się ciastka. Mimo to dzieci sprawiały wrażenie marudnych i byle co je irytowało. Przy podziale zabawek wybuchła kłótnia, a jedna z młodszych dziewczynek obraziła się nawet i zamknęła w łazience. Tęsknią za domem, pomyślała Nina. Najpierw, tłumiąc niechęć, próbowała zabawiać maluchy, ale szybko uświadomiła sobie, że właściwie nie jest tu do niczego potrzebna, bo dwie pozostałe dziewczyny radzą sobie doskonale. Z odrobiną poczucia winy znalazła więc sobie książkę i wcisnęła się w kąt. Czytała *Pięcioro dzieci i coś*, od czasu do czasu podnosząc głowę, żeby sprawdzić, czy Tamara i Olga jednak nie potrzebują pomocy. Nadal nie potrafiła wyjść ze zdumienia, jak dobrze jej przyjaciółka dogaduje się z maluchami. Uspokajała te zanedto rozbrykane i rozbawiała smutne, a potem dla wszystkich zorganizowała grę w Odkrywców.

– Nina, bawisz się z nami? – zapytała. – Pozwolę ci zostać Kolumbem, chcesz?

– Dzięki, ale nie interesuje mnie łapanie niewolników ani grabienie złota.

Nina wróciła do czytania, od tej pory twardo ignorując krzyki (prawdopodobnie indiańskich wojowników) oraz latające w powietrzu różne przedmioty (tomahawki? inną broń? nawet nie próbowała zgadywać). Docierała już do połowy książki, kiedy ktoś stanął obok i zaczął sapać jej w ucho. Niechętnie podniosła wzrok.

– Cześć – powiedziała jasnowłosa dziewczynka, ta sama, której próbował bronić Mariusz.

– Cześć – mruknęła Nina, zmieniając się w jeden wielki znak: „Idź sobie stąd”.

– Jestem Marysia, a ty?

– Nina.

– Fajna książka?

– Znośna.

– O czym?

– O różnych rzeczach. – Nina miała nadzieję, że odpowiadając monosylabami zniechęci dziecko, ale mała okazała się odporna.

– Opowiesz?

– Najpierw mi powiedz, jaki masz kod. Pamiętasz go?

– 81KA.

– A kto ma 85? – Nina miała nadzieję, że wśród dzieci litery oznaczające miasto nie mają większego znaczenia i wystarczą same cyfry.

– On. – Marysia palcem wskazała ośmiolatka z zapalem wymachującego zrobionym z klocków pistoletem. – 85WR.

WR jak Wrocław. Numerem 85 był Łukasz, z którym jechała ciężarówką i który bał się tak bardzo, że zsiakał się w spodnie, a Nina nawet nie próbowała go uspokoić czy pocieszyć. Na jego widok znowu poczuła wyrzuty sumienia. Gdyby wtedy porozmawiała z chłopcem, mogłaby dowiedzieć się już wcześniej, że jest sierotą. Ale co by to zmieniło? I tak przecież nie dałaby rady w żaden sposób go ochronić.

Z zewnątrz dobiegł warkot motoru, wstała więc i podeszła do okna. Na podjeździe zatrzymała się terenówka. Wysiedli z niej dwaj żołnierze, którzy po chwili wyciągnęli z tylnego siedzenia słaniającego się na nogach Huberta. Nina mocniej przycisnęła do piersi *Pięcioro dzieci i coś*, tę głupią, dziecinną książkę, którą jeszcze minutę temu uważała za bardzo fajną (wcale nie tylko „znośną”) i przy której świetnie się bawiła, podczas gdy ONI krzywdzili jej przyjaciela. Oparła czoło o zimną szybę. Hubert cały dygotał, oczy miał zapadnięte w śmiertelnie bladej twarzy i wyglądał na półprzytomnego. A na jego płaszczu... czy to ślady rozciąć? I krew?

Co ONI mu zrobili?

Rozdział dziesiąty, w którym przyjaciele poznają tajemnicę wymarłej wioski – a przynajmniej jedną z tajemnic.

Wcale nie było tak źle – oznajmił radośnie Hubert, kiedy po południu zastały go we wspólnej sali. – Niedźwiedź mnie zbadał i powiedział, że mogę wracać do pracy.

– A twój wstrząs mózgu? – zapytała Tamara.

– Przyznałem, że udawałem – powiedział chłopak ze skruszoną miną. – A właściwie pozwoliłem, żeby mnie przyłapali na tym, jak wkładam termometr do kubka z herbatą, a potem wszystko wyznałem. Byłem naprawdę przekonujący, pełen poczucia winy i strasznie zawstydzony.

– A kościół? – dopytywała niecierpliwie Nina. – Po co cię tam zabrali?

– Och, to nic takiego. Najpierw musiałem tkwić sam na zimnie, a potem ze szczeliny wypełzła mgła i pojawiły się upiory. Podobno jest jakaś legenda, że nie tkną właściwej sieroty...

– Ale ciebie zamierzały tknąć? – zapytała Nina złowróżbnym tonem.

– Owszem. Jak myślicie, czy to znaczy, że mój ojciec żyje?

– Zostaw na razie w spokoju ojca i mów, co tam się działo.

– Nic takiego, przecież wam powiedziałem. Chciały mnie zaatakować, ale żołnierze zaczęli strzelać. To upiorów nie zabija, tylko na chwilę zatrzymuje. W każdym razie wystarczyło, żeby wyciągnęli mnie z kościoła i wsadzili do samochodu. I tyle, cała akcja trwała jakieś dziesięć minut, wcześniej były same nudy.

Tamara uderzyła Huberta pięścią w ramię.

– Martwiliśmy się o ciebie, idioto!

Nina przyglądała mu się uważnie.

– Dobra, to brzmiało bardzo przekonująco. A teraz powiedz prawdę.

– Mówię prawdę – obruszył się chłopak.

Dziewczyna odetchnęła.

– To może tak: spróbuj dodać do tej historii trochę więcej napięcia i atmosfery grozy, co?

Hubert pokręcił się chwilę na łóżku, po czym zaczął opowiadać – tym razem niskim ponurem tonem:

– Najpierw mówią ci, że masz czekać na upiory, całkiem sam, bo żołnierze

zostają przed kościołem. Grożą ci bronią, jeśli będziesz próbował uciekać, i zostawiają cię przy ołtarzu, w świetle księżyca, które wpada przez okna i oświetla wszystko niesamowitym blaskiem. Siedzisz więc, marzniesz i modlisz się, żeby z tej szpary nic nie wypęzło, żeby tej nocy nie było mgły. Mijają godziny, księżyc zachodzi, robi się coraz ciemniej. A potem... Mgła zaczyna unosić się nad szczeliną, najpierw tak delikatna, że myślisz, że to tylko złudzenie, ale nie, jest jej coraz więcej, kłębi się i rozpełza po całym kościele. A w niej pojawiają się czarne sylwetki. Nigdy nie widzisz ich w całości, ale to jest jeszcze gorsze, bo cały czas wyobrażasz sobie, jak bardzo są przerażające. I słyszysz ten upiorny dźwięk zamykających się i otwierających szczypiec. Zbliżają się, a ty wiesz, że te szczypce to ich dłonie i że zamierzają zacisnąć je na twoim gardle. Są na wyciągnięcie ręki i dopiero wtedy, kiedy myślisz, że już po wszystkim, że za kilka sekund będziesz wykrwawiał się na zimnej podłodze, do kościoła wpadają żołnierze i zaczynają strzelać. I jak teraz? Lepiej?



– Lepiej – uznała Nina, zastanawiając się, w którą wersję uwierzyć.

Hubert był urodzonym aktorem, prawdopodobnie każda jego opowieść nieco mijała się z prawdą, w zależności od tego, w jakim akurat był nastroju. W tym przypadku ponury dramatyzm był zdecydowanie bardziej wiarygodny. W końcu rano Hubert naprawdę wyglądał na przerażonego.

– Zraniły cię? – zapytała.

– Drasnęły – przyznał. – Nic poważnego, naprawdę.

Tym razem uwierzyła – gdyby chłopak został ciężko ranny, Niedźwiedź nie

wypuściłby go ze szpitala. Nie zmieniło to jednak faktu, że Hubert, odważny czternastolatek, porządnie najadł się strachu i omal nie zginął.

A ONI chcieli zabrać do tego kościoła małego wrażliwego chłopca. Może jeszcze nie dziś w nocy, może trochę później, ale zamierzali to zrobić.

„Zostało kilka dni”, Nina przypomniała sobie podsłuchane słowa. Do czego, u licha?

– Nie mówili ci przypadkiem, co się stanie, jeśli znajdą wreszcie tę sierotę?

– zapytała, ale Hubert pokręcił głową.

– Wiem tylko, że to coś w rodzaju testu. Jeśli jesteś właściwą sierotą, to upiory nie będą cię atakować.

– W jakim sensie właściwą?

– Nie mam pojęcia.

Nina odetchnęła.

– Dobra, na razie to zostawmy. Nie mamy dużo czasu, musimy jeszcze dziś wybrać się do wioski.

Jak się okazało, wymknięcie się ze wspólnej sali nie było wcale takie proste. Nina przez cały czas miała wrażenie, że jest obserwowana. Niby wszyscy ją ignorowali, niby nikt na nią nie patrzył, a jednak kiedy tylko się odwracała, natychmiast zaczynała czuć na plecach uważne spojrzenia.

Z Tamarą i Hubertem było tak samo.

– Nie damy rady się wymknąć – mruknął Hubert. – Jak zobaczą, że zniknęliśmy, zaraz na nas doniosą.

Cholera. Niech to szlag. Nina wymyśliła jeszcze kilka gorszych przekleństw i powiedziała je na głos – w końcu Tamarze zdawało się to pomagać. Ona jednak poczuła się tylko jeszcze gorzej.

Poszła do łazienki, umyła ręce, a potem popatrzyła na swoje odbicie. Blizna na czole była paskudna, czerwona niczym tłusta gąsienica, która rozsiadła się nad brwią. Nina wiedziała, że to minie, że z czasem blizna będzie coraz bledsza i mniej widoczna – poza tym mogła przecież zasłonić ją grzywką – ale i tak zachciało jej się płakać.

Zamknęła oczy, powstrzymując łzy, a kiedy znowu uniosła powieki, w lustrze zobaczyła twarz Leny.

– Knujecie coś – powiedziała potępiająco piękna szatynka.

– Naprawdę? – Nina chciała wytrzeć ręce, ale zrezygnowała, bo wiszący przy zlewie ręcznik w ciągu ostatnich kilku dni zdążył zmienić się w brudną

wilgotną szmatę.

– Nie udawaj idiotki, przecież widzę. Znowu zamierzacie zwiać?

Postanowiła zaryzykować. Właściwie jakie mieli inne wyjście?

– Musimy dostać się do opuszczonej wioski, która jest niedaleko.

– Ta, coś o niej słyszałam. I po co wam ta wioska?

– To... dość skomplikowane. Lena, proszę – w głosie Niny zabrzmiała desperacja. – Naprawdę musimy tam pójść. Wrócimy za parę godzin.

Szatynka przyglądała jej się z uwagą.

– Wiesz, że na zewnątrz jest niebezpiecznie, co?

Nina skinęła głową.

– I będziecie z powrotem przed kolacją?

– Tak.

Lena westchnęła.

– Dobra, możecie iść. Ja odwrócę uwagę Wydry.

– A... pozostali? No wiesz, zobaczą, że nas nie ma, i doniosą...

W oczach ślicznej dziewczyny pojawił się błysk rozbawienia.

– Nikt tu nie będzie na nikogo donosił bez mojej zgody.

– Jesteś pewna?

– Uhm. Spadaj, zanim zmienię zdanie.

Lena dotrzymała słowa, przynajmniej jeśli chodzi o odwrócenie uwagi Wydry, bo kwadrans później trójka przyjaciół przechodziła już pod drucianym ogrodzeniem, a potem biegła w stronę lasu. Zwolnili, gdy znaleźli się między drzewami. Tamara szła pierwsza, Nina i Hubert kilka kroków za nią.

– Opowiedz mi dokładnie, jak to wszystko wyglądało – poprosiła dziewczyna. – Najlepiej od początku. Zabrali cię do wioski samochodem, tak?

– Tak. Tam się da dojechać, tylko od drugiej strony. Przez las pieszo jest krócej. Jechałem razem z trzema żołnierzami, wiesz, tymi młodymi, którzy zawsze chodzą w mundurach i z bronią...

– Wiem. Rozmawiali o czymś po drodze?

– Zakładali się, ile wytrzymam.

Nina zmarszczyła brwi.

– W jakim sensie, ile wytrzymasz?

– No, wygląda na to, że upiory nie zawsze atakują od razu, czasem najpierw jakby... przyglądają się i wahają? Na mnie rzuciły się bardzo

szybko, dlatego sobie pomyślałem, że to może znaczyć, że mój ojciec żyje...

– Hubert, proszę. Wiem, że twój tato jest ważny, ale skup się na razie na kościele, co? Coś jeszcze ci żołnierze mówili? Rozmawiałeś z nimi w ogóle?

– Poza tym momentem, kiedy powiedzieli, że przestrzelą mi nogi w kolanach, jeśli spróbuję uciekać? – Chłopak odwrócił twarz. – Tak, jeszcze w samochodzie, mówiłem im, że to pomyłka, że nie powinni mnie zabierać, bo wcale nie jestem sierotą. Roześmiali się i powiedzieli, że to nie szkodzi, że już kiedyś się to zdarzyło.

– Że zabrali niewłaściwą osobę?

– Uhm. Komuś pomieszało się coś w papierach.

– Wiesz, jakie kody pomylili?

– Nie, a to ma znaczenie?

– Wszystko może mieć znaczenie – stwierdziła Nina. – Coś jeszcze? Jak długo jechaliście samochodem?

– Jakieś dwadzieścia minut. Tu są naprawdę fatalne drogi.

– Dwadzieścia minut to sporo czasu, o czymś jeszcze musieli ci żołnierze rozmawiać.

Chłopak zaczerwienił się lekko.

– Mówili o Fretce, że ma takie duże... duże...

– Walory fizyczne – podsunęła uprzejmie Nina. Jedną z zalet czytania dużej liczby książek było niewątpliwie to, że w odpowiedniej chwili człowiek potrafił znaleźć właściwe określenie.

Idąca z przodu Tamara odwróciła się.

– To się nazywa cycki – powiedziała, po czym parsknęła śmiechem. – Rany, popatrz na niego, jest uroczy, kiedy się rumieni.

– Jesteście okropne – poskarżył się Hubert.

– Ona jest okropna – skorygowała Nina. – Ja jestem milutka. Na dowód pozwolę ci pominąć fragmenty, co chcieliby z tymi walorami zrobić.

– To poza tym już nic ciekawego nie było. Dojechaliśmy na miejsce, postraszyli mnie i powiedzieli, że po powrocie będę musiał napisać raport.

– Jaki znów raport?

– Szczegółowy, z wszystkiego, co działo się w kościele. – Głos Huberta nagle zrobił się grubszy, a sam chłopak jakby urósł i spotężniał. – Każde pierdnięcie, synu, każda myśl, która przeszła przez twoją durną łepetynę, rozumiesz? Chcemy to mieć na papierze.

– Po co im coś takiego? – zainteresowała się Tamara.

– To ma sens – odparła Nina. – Jeśli naprawdę upiory zachowują się różnie w stosunku do różnych ludzi, to może z tych raportów da się wyciągnąć

jakieś prawidłowości.

– Na przykład nie podchodzą do tych, którzy pierdzą? – Tamara wyszczerzyła zęby.

Weszli już do wioski, co zaoszczędziło Ninie konieczności odpowiadania. Chata węglarza wyglądała tak, jak ją zapamiętała, przygięta do ziemi niczym staruszek z zieloną brodą z mchu, płot wciąż był krzywy, w oborze wciąż straszyły objedzone przez mrówki zwierzęce czaszki. Żuraw przy studni poskrzypywał na wietrze dokładnie tak samo jak w dniu, kiedy go pierwszy raz zobaczyli, i Nina prawie mogłaby się założyć, że nawet wilgotne zeschnięte liście nie poruszyły się od tego czasu ani o centymetr. Jakby wszystko tu zastygło w czasie, jakby znajdowali się nie w prawdziwym świecie, ale na fotografii. A jednak coś się zmieniło, tak subtelnie, że nie sposób było to w pierwszej chwili zauważyć; istniała różnica, która umykała tym bardziej, im dłużej człowiek nad nią myślał.

Nina potrząsnęła głową i weszła do chaty. Przesunęła dłonią po ostrych kantach pieca (tym razem był zimny), obejrzała raz jeszcze okno, za małe, by precyzyjnie się przez nie jakikolwiek morderca, który miałby powyżej dziesięciu lat, rzuciła okiem na jeden jedyny bogaty mebel, czyli rzeźbione łóżko w alkierzu. Kto tu spał? W pierwszej chwili odruchowo założyła, że tajemniczy fotograf, ale teraz nie była tego taka pewna – bo dlaczego właściwie miejscowi mieliby tak ugościć jakiegoś człowieka z miasta? Wieśniacy nie przepadali za miastowymi i odwrotnie, Nina wiedziała o tym z własnego doświadczenia i nie sądziła, żeby dwadzieścia lat temu sytuacja wyglądała inaczej. Chyba że fotograf był bogaty, wtedy może faktycznie przyjęto by go z pompą i honorami. Ale czy majętny pan z miasta spałby na wiejskim łóżku i wiejskich poduszkach, choćby i haftowanych? Czy nie przyjechałby raczej z własną służbą, pościelą i wszystkim, co było mu potrzebne? No i przede wszystkim, skoro już z jakiegoś niepojętego powodu musiał tu przyjechać, dlaczego wybrał najskromniejszą chatę, czemu nie zamieszkał na przykład u szanowanego kowala, gdzie miałby znacznie lepsze warunki?

To nie miało sensu.

Westchnęła i dołączyła do czekających przed chałupą przyjaciół. Oboje mieli zniechęcone miny.

– Tu nie ma nic ciekawego – powiedziała Tamara. – Nie wiem, co właściwie spodziewałaś się znaleźć.

Nina też nie wiedziała, ale nie zamierzała rezygnować, jeszcze nie. Zagoniła przyjaciół do furtki, w miejsce, gdzie zrobiono ostatnią fotografię –

te, na której rodzina węglarza wpatrywała się w coś poza kadrem.

– Ustawcie się jak na tym zdjęciu – powiedziała, wyjmując z kieszeni płaszcz prostokątny kartonik. – Hubert, ty tutaj, Tamara obok. Będziecie rodzicami, a ja starszym chłopcem.

– A co z młodszym? – zapytał Hubert.

– Jego chyba nie musimy brać pod uwagę, był wtedy bardzo mały.

– Czemu ja mam być matką, a ty chłopakiem? – marudziła Tamara.

– Rany, jak chcesz, to możemy się zamienić, mnie jest wszystko jedno. Zresztą to potrwa tylko chwilę. Patrzcie w tę stronę, o tak. Widzicie, jak mają ustawione głowy? Dobra, teraz ja stanę na swoim miejscu...

– I co niby ma z tego wynikać? – zirytowała się Tamara.

– Gdyby poprowadzić linie od naszych oczu, to w którym miejscu by się przecięły?

– Masz na myśli coś jak te zadania matematyczne, gdzie trzeba przeciągnąć kreski przez kilka punktów i sprawdzić, gdzie wypadnie punkt wspólny?

– Mniej więcej.

– Na studni – powiedział Hubert. – Przecinają się na studni.

Przez chwilę panowała cisza, aż wreszcie Tamara odetchnęła głośno.

– No dobra, faktycznie, patrzyli studnię. Tylko co nam to daje?

Podeszła do cembrowiny, podskoczyła i uwiesiła się jedną ręką na żurawiu, który zaprotestował głośnym skrzypnięciem, po czym zaczął się obniżyć.

– Pewnie coś z tej studni wylazło – oznajmiła, kiedy znów wylądowała na ziemi. – Coś strasznego, jakiś potwór... Uuuu! – Rozczapierzyła palce lewej dłoni i ruszyła z powrotem na ugiętych nogach.

– Wariatka – skomentowała Nina. – Poza tym nigdy nie widziałam potwora z ręką na temblaku.

– A takiego bez widziałaś? No dobra, nie było pytania, wiem.

– Pójdę się rozejrzeć – powiedział pośpiesznie Hubert. – Może znajdę coś ciekawego.

Tamara zrezygnowała z udawania potwora i usiadła na cembrowinie. Jasnowłosey chłopak zniknął właśnie za rogiem najbliższej chałupy.

– On naprawdę chce łązić sam po tej wiosce? – zapytała Tamara. – Trochę ponure miejsce, nie wydaje ci się?

Nina zajęła miejsce obok.

– Mam wrażenie, że Hubert już wcześniej chciał tu przyjść.

– Będziemy go śledzić i zobaczymy, co kombinuje?

– Nie, po co? – mruknęła Nina. Wcześniej też o tym myślała, ale teraz jakoś przeszła jej ochota: Hubert miał prawo do odrobiny prywatności, a tajemnic

do rozwiązania i tak było po uszy.

Tamara podciągnęła nogi pod brodę.

– Straszny dziwak, ale na swój sposób miły – powiedziała. – On ci się podoba?

Nina zamrugwała.

– Hubert? Skąd ci to przyszło do głowy?

– Zobaczyłam, jak go obejmujesz, i pomyślałam, że coś do niego masz, no wiesz, tak...

– Romantycznie?

– Uhm, jak w tych twoich książkach.

– Za każdym razem, jak go widzę, mam ochotę oddać mu moje śniadanie. Nie nazwałabym tego romantycznym uczuciem.

Tamara roześmiała się, zeskoczyła ze studni i znowu uczepiła się żurawia. Nina po chwili wahania poszła w jej ślady. Miło było wreszcie zrobić coś głupiego i zupełnie niezwiązanego z żadnymi potworami i tajemnicami.

– Złapię z tej strony, a ty trzymaj z tamtej – zaproponowała Tamara. – Będzie trochę jak huśtawka.

– Nie wpadnij do studni – zaniepokoiła się Nina.

– Nie wpadnę, spokojnie. Zresztą i tak jest zasypana.

Bujały się przez chwilę, ignorując uporczywe skrzypienie, aż wreszcie spróchniałe drewno nie wytrzymało ciężaru – rozległ się suchy trzask i Nina wylądowała na plecach w kupie mokrych liści.

– Żyjesz? – zawołała Tamara.

– Żyję. – Dziewczyna gramoliła się z ziemi. I właśnie wtedy, kiedy już miała wstać, dostrzegła wpatrujące się w nią niebieskie oczy.

– Co tam jest? – dopytywała Tamara.

Nina wyciągnęła rękę i wywlokła spod krzaka właścicielkę niebieskich oczu.

– Skąd to się wzięło? – Tamara kucnęła obok.

Nina trzymała w ręku lalkę, poobijaną i trochę wyłysiałą. Sukienka była przybrudzona, pucołowatą twarzyczkę też przydałoby się umyć – a mimo to zabawka sprawiała zaskakująco dobre wrażenie i z pewnością nie wyglądała jak coś, co mogło leżeć pod krzakiem przez dwadzieścia lat.

– Może ktoś z Instytutu ją zgubił... – powiedziała niepewnie Tamara, ale Nina pokręciła głową.

– Kto? Z naszej grupy nikt już nie bawi się lalkami, a maluchy są cały czas pilnowane i nie dałyby rady wyjść poza ogrodzenie, nawet gdyby chciały.

Potrząsnęła zabawką, która leniwie mrugnęła niebieskim okiem. Potem przesunęła palcami po odpryskującym na policzkach lakierze i dotknęła sukienki – porządny aksamit, nie żaden tani materiał. Bez trudu mogła sobie wyobrazić, że przed wojną była to lalka jakiegoś bogatego dziecka, która potem, nieco już zużyta, ale wciąż w niezłym stanie, trafiła do ubogiej dziewczynki ze wsi. Czemu nie? Tylko to wciąż nie wyjaśniało, dlaczego zabawka wyglądała tak... niepokojąco świeżo, jakby ktoś podrzucił ją pod tym krzakiem najdalej tydzień temu.

– No dobra – powiedziała Tamara. – Oficjalnie zaczynam się bać. A jak ja się boję, to znaczy, że naprawdę jest źle.

– Bez przesady. Może naprawdę zgubił ją ktoś z Instytutu. Jakiś nastolatek mógł ją zabrać z pokoju dziecięcego i przynieść tutaj.

– Po co miałyby to robić?

Nina wzruszyła ramionami.

– Dla żartu? – Co prawda nie miała pojęcia, na czym dowcip miałyby polegać, ale uczepiła się tego wyjaśnienia jako w miarę bezpiecznego.

– Zabieramy ją z powrotem? – zapytała Tamara.

– Chyba nie ma sensu, w końcu Wrona nie mówiła, że brakuje jakiejś zabawki. Niech sobie leży, może ten, kto ją zgubił, po nią przyjdzie.

Wrzuciła lalkę z powrotem pod krzak i wytarła dłonie w płaszcz. Nie miała na rękach błota ani kurzu, a mimo to czuła się... brudna, jakby dotknęła czegoś nieczystego.

– Poszukajmy Huberta – zaproponowała. – Nie mamy dużo czasu.

Tamara zgodziła się skinieniem głowy i dziewczyny rozeszły się, nawołując chłopaka. Ich głosy brzmiały dziwnie w ciszy. Wioska naprawdę wyglądała na całkowicie wymarłą: nie było ptaków, które skrzeczałyby na gałęziach drzew, żadne drobne leśne zwierzę nie szeleściło w opadłych liściach. Ninę nadal dręczyło uczucie, że coś jest nie tak, że patrzy jakby na dwa zdjęcia, pozornie identyczne, a jednak różne. Wioska sprzed kilku dni i wioska teraz. Znajdź dziesięć szczegółów różniących te obrazki – była kiedyś taka zabawa. Nina irytowała się, bo nie potrafiła znaleźć ani jednego, choć doskonale wiedziała, że jakieś muszą istnieć.

– Hubert! – nawoływała Tamara.

– Hop, hop, Hubert! – wtórowała jej Nina.

– Tu jestem, przestańcie się wydzierać. – Jasnowłosy chłopak siedział na murku przed kościołem i wyglądał jak kupka nieszczęścia. Dziewczyny

usiadły obok.

– Hubert, co ci jest? – zapytała Tamara. – Dziwnie się ostatnio zachowujesz. To znaczy – poprawiła się – jak na siebie dziwnie.

Milczał, nie patrząc na nią. Oczy miał zaczerwienione, jakby niedawno płakał, na białych policzkach wykwitły plamy niezdrowych rumieńców.

– Hubert? – zapytała Nina.

Zacisnął usta.

– Nie masz jakichś tajemnic do rozwiązania albo coś?

– Tajemnice mogą poczekać pięć minut...

Spojrzał z wyrzutem.

– ...albo więcej, jeśli będzie trzeba – dokończyła gładko.

– Naprawdę chcecie marnować teraz czas na gadanie?

– No wiesz, biorąc pod uwagę okoliczności, to może być ostatnia okazja.

– Co powinno przemówić do twojego poczucia dramatyzmu – dodała Tamara, szczerząc radośnie zęby. – To jak, pora na zwierzenia w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa?

– Nabijacie się ze mnie.

Nina westchnęła.

– Może troszeczkę. Ale poza tym naprawdę chcemy pomóc.

Chłopak wstał i włożył ręce do kieszeni płaszcza, kuląc się na zimnym wietrze.

– Wszystko w porządku, nie musicie się o mnie martwić – oznajmił stanowczo. – Ale z tą wioską jest coś nie tak. Coś tu nie pasuje, tylko nie wiem co.

– Wiem – potwierdziła Tamara. – Też to zauważyłam.

Nina tylko skinęła głową, doceniając jednocześnie sprytną zmianę tematu.

– Powinniśmy już iść – powiedziała. – Zaczyna się ściemniać.

Jak na komendę wszyscy troje spojrzeli w szarzejące niebo. I wszyscy troje niemal w tym samym momencie zobaczyli, co jest nie tak.

Z jednego z kominów snuła się cieniutka smużka dymu. Jeszcze niedawno jej kolor musiał prawie idealnie zlewać się z barwą nieba – dlatego zobaczyli ją dopiero teraz, kiedy trochę się ściemniło i przydymiona biel zaczęła odznaczać się na tle wieczornej szarości.

– Cholera – powiedziała Tamara. – Tam ktoś jest.

Nikt nie zdobył się na żadną złośliwość w stylu: „Co ty nie powiesz?” albo „Jaka błyskotliwa dedukcja”. Popatrzyli na siebie niepewnie. Nawet Tamara wyglądała jeśli nie na wystraszoną, to przynajmniej na solidnie zaniepokojoną.

– Idziemy sprawdzić? – zaproponował Hubert, a Tamara bez słowa ruszyła w stronę chałupy, z której unosił się dym.

Chłopak poszedł za nią, Nina wlokła się na końcu, bo instynkt wciąż podpowiadał jej, że należy raczej iść w przeciwną stronę – a może nawet biec w przeciwną stronę. Bardzo szybko.

To tylko dym, powtarzała w myślach. Ktoś napalił w piecu, i co z tego? Jakiś zagubiony w lesie człowiek mógł przecież przenocować w jednej z tych chat, czemu nie.

Wszystkie te argumenty brzmiały bardzo rozsądnie, ale nogi Niny najwyraźniej miały na ten temat inne zdanie, bo ciągle chciały biec w stronę Instytutu.

Dotarli do chaty. Tamara zawahała się, ale w końcu pchnęła drzwi, które otworzyły się z cichym skrzypnięciem. Z framugi posypały się drobiny spróchniałego drewna, na progu zalegał kurz. Weszli do środka – Hubert i Tamara odważnie, Nina tylko dlatego, że nie chciała zostać sama na zewnątrz. W kontraście do wciąż jeszcze dziennego światła półmrok chałupy wydał się w pierwszej chwili gęstą ciemnością. Nina zamrugała, starając się przyzwyczaić oczy, zanim jednak zdążyła cokolwiek zobaczyć, Tamara oznajmiła:

– Nikogo tu nie ma.

Rozejrzeli się. Piec w największej izbie wciąż był nagrzwany i dogasały w nim purpurowe węgielki, na stole leżało kilka okruszków, a pod oknem znajdowały się ślady błota, jakby zatrzymał się tam na chwilę ktoś w brudnych butach, ale poza tym nic nie świadczyło, że ktoś w tej chacie nocował.

– Spadamy stąd – powiedziała Tamara. – Mam dość.

Zgodzili się z nią milcząco i ruszyli w stronę drzwi. Tamara wyszła pierwsza – a właściwie miała zamiar wyjść, bo nagle stanęła w progu, a Nina odbiła się od jej pleców.

– Tam ktoś jest – powiedziała Tamara.

– Kto? – Głos Huberta był chrapliwy, pełen napięcia, w oczach pojawiła się nagła, szalona nadzieja.

– Jakieś dziecko.

Chłopak oklapł, nadzieja zgasła.

Wyszli na zewnątrz.

– Widziałam małą dziewczynkę – upierała się Tamara. – Wyjrzała zza rogu tamtej chaty i się schowała.

– Jesteś pewna, że to była mała dziewczynka? – upewniał się Hubert i przez chwilę wyglądał, jakby chciał dodać: „A nie...” i dalej powinno paść słowo określające tego, kogo spodziewał się zobaczyć w wymarłej wiosce.

– Jestem pewna. Miała jakieś sześć, może siedem lat i jasne warkocze. Może to ona zgubiła tę lalkę.

– Jaką lalkę? – zapytał Hubert, ale Nina, która w małą dziewczynkę niespecjalnie wierzyła, energicznie pogoniła przyjaciół.

– Opowiemy ci po drodze. Teraz musimy już iść.

Skierowali się w stronę Instytutu. Szli szybko, ponaglani gęstniejącą ciemnością i strachem. Przy chacie węglarza jednak Nina zwolniła, a potem się zatrzymała. Coś przyciągało ją do tego miejsca jak magnes. Patrzyła na rosnący przed chałupą jawor, na znajome podwórko i studnię z połamanym żurawiem, który nie poskrzypywał już na wietrze.

– Nina? – Tamara i Hubert przystanęli obok.

– Dajcie mi chwilę, proszę.

Miała wrażenie, że jest bliska rozwiązania zagadki. Nie morderstwa, tu ciągle tkwiła w ciemności, ale tej dotyczącej tajemniczego gościa węglarza.

Strefa zero. Nie jeden, tylko zero.

Miny sfotografowanej rodziny, kiedy spoglądali w stronę studni – ta dziwna mieszanka absolutnego przerażenia i absolutnego zachwyty.

Piękne rzeźbione łóżko i haftowane poduszki, na które biednego węglarza z trudem było stać. Widziała już przecież ludzi, którzy kupowali drogie, niepotrzebne im samym meble, tylko po to, żeby zrobić wrażenie na gościu. Tylko że to było znacznie później i nie na wsi, ale w mieście. Jej rodzinnym Wrocławiu.

– Wiem, na co oni patrzyli – powiedziała wolno.

– Naprawdę coś wylazło ze studni? – Oczy Tamary rozbłysły.

– Wręcz przeciwnie, coś na niej wylądowało. Oni zobaczyli anioła.

– To bez sensu – zaprotestował Hubert. – Wszyscy przecież wiedzą, że anioły przyleciały po wojnie.

– Większość tak. – Nina nie dała się zbić z tropu. – Ale pomyślcie sami: gdyby z jakiegoś powodu ludzie nagle musieli uciekać z Ziemi i znaleźć inne miejsce zamieszkania, zupełnie nowy świat, to czy nie wysłaliby najpierw

zwiadu, żeby się upewnić, że ten świat nadaje się do życia? Albo nie odwiedziłoby najpierw kilku różnych, żeby wybrać ten najlepszy?

– Myślisz, że ten anioł to był właśnie zwiad? – Tamara zmarszczyła brwi. – Właściwie to ma sens, zwłaszcza jeśli na początku anioły nie chciały pokazywać się ludziom. Taka zabita dechami wiocha w środku lasu idealnie nadaje się na kryjówkę.

– Mimo wszystko coś takiego chyba trudno zachować w tajemnicy – powątpiewał Hubert.

– Dziewucha ma rację – zazgrzytał za ich plecami starczy głos. – Dwadzieścia lat temu był w tej wiosce anioł. I nikt się o nim nie dowiedział.

Odwrócili się gwałtownie. Za nimi stał siwowłosey, ale krzepki jeszcze mężczyzna z gęstą brodą, w której tkwiły okruchy chleba. Miał krzaczaste brwi i czerwony nos zdradzający zamiłowanie do mocnych trunków, a jego ubranie składało się z wielu warstw starej, brudnej i miejscami podartej odzieży. Wyglądał jak dziad proszalny, pomyślała Nina.

– Kim pan jest? – zapytała Tamara. – I co pan tu robi?

– Mieszkam. A co wy tu robicie? – Mrugał małymi oczkami, co nadawało mu dziwnie chytry wygląd, jakby był przerośniętym gnomem.

Nina zauważyła też, że nieznajomy miał wiejski akcent, ale zdecydowanie nie tak silny, jak można by się spodziewać po kimś, kto całe życie spędził w Starych Kątach. Ktoś, kto trochę obijał się po świecie, liznął języka ludzi z miasta, a na starość wrócił do rodzinnej wsi?

– My... tylko tak sobie przyszedliśmy – powiedziała Nina. – Nie wiedzieliśmy, że ktoś tu mieszka.

– Ta dziewczynka to pana wnuczka? – zainteresowała się Tamara.

Starzec znowu zamrugnął, a wodniste oczy błysnęły pod krzaczastymi brwiami.

– Jaka dziewczynka?

Mówił prawdę i faktycznie nie było żadnej dziewczynki czy może kłamał, chcąc chronić dziecko przed obcymi? Nina uznała, że to wszystko jedno – nie dziewczynka była w tej chwili najważniejsza.

– Gdzie się podziali pozostali mieszkańcy? – To Hubert zadał najważniejsze pytanie.

Stary charknął i splunął.

– Odeszli, dawno temu.

– A pan został? Dlaczego?

– To ziemia moich ojców.

– Opowie nam pan o aniele? – Nina spojrzała błagalnie. – I dlaczego inni

odeszli? To ważne! Prosimy.

– Czemu nie, jak chcecie słuchać, to opowiem. Rzadko mam okazję do kogoś gębę otworzyć.

Tamara odciągnęła Ninę i Huberta na bok.

– Spóźnimy się na kolację – szepnęła.

– Zdążymy – uspokoiła ją Nina, choć wcale nie była tego pewna. – Tyle tylko, że będziemy musieli wracać po ciemku. Masz latarkę?

– Jasne.

– A Jacek? – zapytał Hubert. – Jak zauważą, że nas nie ma...

– Przecież zaraz wrócimy – przerwała mu Nina. – Nawet jeśli się połapią, że zniknęliśmy, do naszego powrotu nie zdążą mu nic zrobić, bez przesady.

Znowu nie miała pewności, ale wołała w to wierzyć – bo tak było prościej, bo szansa na poznanie odpowiedzi kusiła nieodparcie. Nina zepchnęła więc w głąb umysłu wizję nieprzytomnego Jacka i wściekłej Leny (obiecali jej, że będą przed kolacją), a także myśl o Wydrze wywołującej na przesłuchanie któryś z ich kodów. Ryzykowali, owszem, ale czasem po prostu trzeba zaryzykować.

Potem spojrzała na starca, który czekał cierpliwie, patrząc na naradzającą się grupkę.

– To jak, opowie pan?

Rozdział jedenasty, w którym Nina poznaje historię węglarza, a upiory znowu się pojawiają.

Mieli szczęście, bo kiedy wchodzili do wspólnej sali, do kolacji brakowało pięciu minut. Lena posłała im ze swojego łóżka spojrzenie pełne dezaprobaty, a potem wróciła do przyciszonej rozmowy z Michałem. Nina zdjęła płaszcz, po czym rzuciła go na łóżko – w tej właśnie chwili podszedł do niej Żuk.

– Szukałem was – powiedział, przenosząc spojrzenie z Niny na Tamarę i z powrotem. Niepokojące spojrzenie, bo oczy miał bardzo ciemne, odcinające się wyraźnie od bladej, wąskiej twarzy. Jego włosy były czarne i gładko zaczesane do tyłu, z granatowym połyskiem: faktycznie trochę jak żuczy pancerz. – Gdzie byliście?

– W łazience, Nina robiła mi makijaż – odparła swobodnie Tamara. – Trochę to zajęło, umalowała mnie na taki okropny zielony kolor i nie mogłyśmy tego potem zmyć...

– Do tego makijażu musiałyście wkładać płaszcze?

– Tu wszędzie jest zimno – poskarżyła się Nina. To akurat było prawdą, sporo więźniów wkładało wierzchnie okrycia, nawet jeśli szło tylko ubikacji. Nina i Tamara nie, ale o tym Żuk nie musiał wiedzieć.

– A wasz kolega? Ten chudy, z bardzo jasnymi włosami? Też nigdzie go nie było.

Nina wzruszyła ramionami.

– Pewnie poszedł z kimś pogadać. Zresztą, niech pan go sam zapyta. – Nie martwiła się o Huberta, bo miała pewność, że chłopak skłamię znacznie bardziej przekonująco, niż one kiedykolwiek zdołałyby to zrobić.

Żuk zacisnął usta.

– Zapytam, możesz być pewna. A szukałem was, ponieważ wasz kolega się obudził.

– Jacek? – Tamara się ożywiła. – Możemy się z nim zobaczyć?

– Nie dzisiaj. Teraz śpi, doktor Niedźwiedź powiedział, że dopiero jutro będzie można z nim porozmawiać. Chciałem powiedzieć wam wcześniej, bo wydawało mi się, że się o niego martwicie...

– Martwimy się – zapewniła Tamara, a Nina dodała pośpiesznie:

– I jesteśmy bardzo wdzięczne, że nam pan powiedział. Dziękujemy.

Żuk nie uśmiechnął się, nie skinął głową, przyjmując podziękowanie.

Wciąż patrzył na obie dziewczyny, a jego ciemne oczy były chłodne niczym arktyczna noc.

– Staralem się być miły, ale szczerze mówiąc, nie jestem pewny, czy w waszym przypadku ma to sens. Może naprawdę zajmowałyście się w łazience babskimi głupstwami, a może nie, nie wiem. Ale od teraz koniec ze znikaniem, rozumiecie? Wy i wasz kolega będziecie się meldować o każdej pełnej godzinie, do mnie albo do towarzyszk Wydry. Z chwilą, kiedy spóźnicie się pięć minut, uznamy, że znowu uciekliście, i wyciągniemy wobec kodu 23GD wszelkie konsekwencje. Czy to jest jasne?

– Tak – powiedziała Nina, wbijając wzrok w podłogę. Obok usłyszała nieco głośniejsze i mniej pokorne „tak” Tamary.

– To wszystko. Jutro po pracy możecie przyjść do szpitala.

– Dziękujemy.

Żuk odszedł, Tamara chwyciła z przejeżdżającego wózka talerz i kubek. Nina poszła w jej ślady. Nie była jakoś specjalnie głodna, ale wmusiła w siebie kromkę z kiełbasą i popiła ją gorącą słodką herbatą. Trzeba mieć siły, myślała, przeżuwać twardy chleb. Ostatecznie, jakkolwiek by na to patrzeć, przyszłość rysowała się w coraz czarniejszych barwach.

Po kolacji wyjęła z tornistra zeszyt do biologii i spisała w nim najważniejsze fakty, jakie zapamiętała z opowieści spotkanego w wiosce starca. Historia ta, pozbawiona niecierpliwych pytań nastolatków i pochrząkiwań nieznajomego, a za to uzupełniona romantyczną wyobraźnią Niny, wyglądała mniej więcej tak:

Dawno, dawno temu, czyli tuż po zakończeniu I wojny światowej, gdy Polska właśnie odzyskała niepodległość, żył w Białowieży pewien młody Żyd, Chaim Abramowicz. Urodził się jako trzeci syn ubogiego sklepikarza i właściwie niczym specjalnym się nie wyróżniał, z wyjątkiem jednej cechy: otóż Chaim był brzydki, ale miał w sobie urok, który przyciągał kobiety – do tego stopnia, że kiedy stał za ladą w sklepiu ojca, przychodziły tam i Żydówki, i chrześcijanki, tylko po to, żeby pożartować z nim przy zakupach. Mógł mieć wiele dziewczyn, ale na swoje nieszczęście wybrał Danutę Chryzkównę, pannę z rudymi warkoczami, pochodzącą ze wsi Stare Kąty. To musiała być wielka miłość (Nina bardzo chciała w to wierzyć), bo Chaim dla Danki zerwał ze swoją rodziną, przyjął chrzest i zamieszkał w ubogiej chałupie teścia, który był węglarzem, a dwa lata później, gdy stary Chryzek

zmarł, przejął jego interes.

Tu historia mogłaby kończyć się słowami „żyli dalej długo i szczęśliwie”, w rzeczywistości jednak był to początek całego szeregu tragedii. Po pierwsze wychowany w mieście Chaim – teraz nazywający się Karol Kwiecień, od miesiąca, w którym przyjął chrzest – na węglarza nijak się nie nadawał i we wsi, w której połowa mieszkańców trudniła się tym fachem, coraz częściej bywał pośmiewiskiem. Co więcej, sąsiedzi wciąż uważali go za Żyda, tym gorszego, bo podstępnego, udającego porządnego chrześcijanina. Karol z gorliwością neofity biegał przy okazji każdego święta do kościoła, przestrzegał postów i słuchał księdza, ale to nie miało znaczenia, dla większości mieszkańców Starych Kątów i tak był parchatym Żydem. Żydami były też jego dzieci, a miał ich z Danką całkiem sporo: dwie córki i trzech synów urodzonych na przestrzeni dziesięciu lat. Wszystkie oczywiście zostały ochrzczone w miejscowym kościele i wszystkie dostały chrześcijańskie imiona, ale to też nie pomogło, bo jak mawiali miejscowi, Żyd zawsze Żydem zostanie i nawet w najdalszym pokoleniu zła krew z niego wylezie.

Tymczasem wioska robiła się coraz uboższa, wypalanie węgla z każdym rokiem mniej się opłacało, część młodych uciekła do miasta, lecz starsi z uporem godnym lepszej sprawy trzymali się dawnego życia. Wtedy przyszła zaraza, „złe powietrze”, jak mawiali chłopci, tylko dziwne jakieś, bo zazwyczaj choroby zabierały najsłabszych, czyli dzieci i starców, ta natomiast upodobała sobie mężczyzn i kobiety w sile wieku. W dwa tygodnie cmentarzyk przy kościele powiększył się trzykrotnie, a połowa dzieci w wiosce straciła rodziców. Wyjątkiem była rodzina Karola, w której z jakiegoś powodu – jakby złośliwy los nawet wobec śmierci chciał Kwietniów wyróżnić – stało się zupełnie odwrotnie: przeżyli rodzice oraz najstarszy syn, a zmarła czwórka młodszych dzieci. Kilka miesięcy później Danka urodziła szóste, ostatnie dziecko, chłopca, któremu ojciec dał hebrajskie imię Daniel. Zdaniem Niny był to wyraz buntu, kiedy Karol zrozumiał, że ani on, ani jego rodzina nigdy nie będą uważani za prawdziwych Polaków, zdaniem mieszkańców wioski – ostateczne przyznanie się do żydostwa. O dziwo jednak, od czasu zarazy stosunki między rodziną Kwietniów a jego sąsiadami trochę się ociepliły, jakby ludzie uznali, że śmierć czworga dzieci to wystarczająca kara za nieczystą krew. Ocalali chłopcy: starszy Antek i młodszy Daniel mogli więc dorastać w miarę spokojnie.

Przez dwa lata wydawało się, że dla Kwietniów wszystko zmierza jeśli nie ku dobremu, to przynajmniej ku lepszemu, aż w roku wielkiej suszy (Nina

zgadywała, że prawdopodobnie był to 1932) dwa wydarzenia wstrząsnęły życiem wioski.

Pierwszym, mniej poważnym, było przybycie braci Kozłów, Jana i Józefa. Jan podawał się za fotografa uwieczniającego ginące wiejskie zawody – na przykład takie jak węglarstwo – Józef podobno coś pisał, wiersze czy może prozę, miejscowi niespecjalnie odróżniali jedno od drugiego. Bracia wynajęli izbę u kowala i zaczęli kręcić się po wiosce: Jan z wielkim aparatem na statywie, Józef głównie w poszukiwaniu partnerów do wypicia kieliszka albo i dwóch. Wieśniacy z początku traktowali ich nieufnie, chodzący nawet plotki, że to nie żadni artyści, tylko dwóch bandytów, ukrywających się w lesie przed policją, ale z czasem obecność Kozłów wiosce spowszedniała, zwłaszcza że Józef, ponoć chory na suchoty, coraz rzadziej pokazywał się ludziom na oczy, a Jan nikomu nie wadził, bo milkliwy był nad wyraz i nie interesowało go nic poza jego ukochanym aparatem – nawet rumiane wiejskie dziewczki, które chodząły za nim i prosiły, żeby zrobił im zdjęcie.

Drugim, o wiele ważniejszym wydarzeniem, było przybycie anioła, który spadł z nieba pewnego październikowego chłodnego popołudnia i wylądował na studni Kwietniów. Dziesięć minut później zebrał się wokół niego spory tłumek, ochujący i achujący. Baby przygarniały dzieciaki do szerokich spódnic, chłopci rozważali, czy paść przed cudakiem na kolana, czy może lepiej chwycić za widły. Ostatecznie zdecydowali się na to pierwsze, bo anioł był całkiem wiarygodny, ze skrzydłami, w połyskującej szacie – wypisz, wymaluj jak ze świętego obrazka. Przedstawił się grzecznie, że jest posłańcem Bożym, oznajmił, że jakiś czas w Starych Kątach zostanie, po czym poprosił mieszkańców o zachowanie tajemnicy.

Kowal chciał wyrzucić Kozłów i przyjąć na ich miejsce skrzydlatego, ale ten odmówił – zamieszkam, oznajmił, u najuboższego i najbardziej pogardzanego człowieka we wsi. Czyli Żyda Kwietnia. Nawet jeśli wieśniacy odczuli to jako afront wobec prawdziwych katolików, nikt nie śmiał zaprotestować. Tak więc skrzydlaty wprowadził się do chałupy Karola, spał na specjalnie dla niego sprowadzonym rzeźbionym łóżku, a świetlistą głowę kładł na haftowanych poduszkach. Dnie spędzał w kościele; zamykał się tam na klucz i nie pozwalał nikomu wchodzić – nawet księdzu. Krążyły różne plotki, wszystkie jednak dalekie od prawdy, wkrótce bowiem skrzydlaty zaczął zapraszać do kościoła miejscowe sieroty, chłopców i dziewczynki w wieku od ośmiu do szesnastu lat. Wizyty zawsze wyglądały tak samo: anioł zamykał za wchodzącym drzwiami, a godzinę czy dwie później sierota wychodziła, biała ze strachu niczym płótno. Wypytywane przez dorosłych

dzieci twierdziły, że anioł pokazywał im diabła uwięzionego w szparze pod ołtarzem, że tłumaczył, jakoby sierota, której zły nie będzie próbował zaatakować, miała być kimś szczególnym, bohaterem przeznaczonym do lepszego losu. O zaszczytach czekających ową sierotę anioł opowiadał tak sugestywnie, że miejscowa dzieciarnia, nie bacząc na przerażenie rówieśników, sama się do kościoła pchała. Jednym z tych, którzy koniecznie chcieli się z diabłem zmierzyć, był Antek. Chłopiec kilka razy dziennie zjawiał się w zakrystii i nudził, żeby skrzydlaty pozwolił mu przejść próbę, zawsze jednak otrzymywał tę samą odpowiedź: nie nadajesz się, masz przecież oboje rodziców. Wreszcie któregoś dnia kowal i ksiądz postanowili pójść do Kwietniów i raz a porządnie rozmówić się z upartym Antonim.

Dalszą część tej historii Nina знаła – dwaj mężczyźni wybrali się do chaty węglarza, usiedli na przyzbie i czekali, aż ojciec obudzi syna. Potem był krzyk, zakrwawiona siekiera i trzynastolatek, który żadną miarą nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego jego rodzice nie żyją. Dla miejscowych było to jasne – chłopiec tak gorąco pragnął okazać się właściwą sierotą, że popełnił grzech najcięższy z możliwych, zabijając własną matkę i własnego ojca. Wieśniacy czekali na anioła, który doradziłby, co w tej sytuacji zrobić, ale ten przepadł jak kamień w wodę, uznano więc, że skrzydlaty, przerażony okrucieństwem krwawego czynu, odwrócił się od wioski i odleciał poszukać sobie bardziej bogobojnych gospodarzy. Miejscowi wzięli więc sprawiedliwość we własne ręce i obwiesili Antka na gałęzi, po cichu licząc, że po śmierci młodocianego winowajcy anioł wróci.

Nie wrócił jednak, a co gorsza, jeszcze tej samej nocy kościół pękł na pół, zaś szpara pod ołtarzem – dotąd malutka, ot, drobny błąd w konstrukcji, którego księdzu nigdy nie chciało się załatać – nagle rozrosła się do potężnej szczeliny. Szczeliny, z której wylała się srebrzysta mgła i wypełzły diabły, już nie jedna, ale kilkanaście postaci z oczami świecącymi czerwono w ciemności. Przerażeni wieśniacy uciekli, porzuciwszy cały swój dobytek, zostawiając w oborach bydło, a na podwórkach uwiązane psy, których szczekanie mogłoby ich zdradzić. Odeszli prawie wszyscy, z wyjątkiem jednej rodziny, która nie zamierzała porzucić ziemi przodków i ukryła się przed upiorami w studni...

W tym momencie Tamara zdecydowanie szarpnęła przyjaciółkę za rękaw i zażądała powrotu do Instytutu, a Hubert ją poparł, Nina więc nie zdążyła zapytać, jak udało im się przetrwać ani kto jeszcze – oprócz starca – do owej rodziny należał. To jednak nie miało większego znaczenia, i tak dowiedziała się tego, co najważniejsze.

Wyjęła spod poduszki zdjęcie Antka i patrzyła na nie przez chwilę. Chłopiec spoglądał wyzywająco w obiektyw, a w jego oczach widać było niepokojące iskierki. Ma diabła za skórą, tak pewnie powiedziała by matka Niny, ale nawet ona nie zaprzeczyłaby, że Antek na tej fotografii wygląda sympatycznie i ma mnóstwo chmurnego wdzięku. Dziewczyna próbowała sobie wyobrazić, jak to jest dorastać w praktycznie odciętej od świata wiosce, gdzie wszyscy tobą gardzą – bo owo „ocieplenie” stosunków po zarazie oznaczało prawdopodobnie, że w rodzinę Kwietniów nikt już nie rzucał kamieniami, ale przecież nie to, że nagle znaleźli sobie serdecznych przyjaciół. Nina uświadomiła sobie, że na wszystkich zdjęciach Antek był albo sam, albo z rodzicami czy z młodszym bratem, nigdy z kolegami. Samotny trzynastolatek, prawdopodobnie desperacko marzący, żeby dostać wreszcie swoją szansę i wyrwać się ze Starych Kątów. Żeby być kimś, bohaterem, a nie znienawidzonym wiejskim popychadłem wyzywany od parchatych Żydów. Wtedy zjawił się anioł, który obiecywał właściwej sierocie złote góry. A Antek, jak na złość, sierotą nie był, brakowało mu wszystkiego, tylko nie rodziców...

Pasowało? Jak cholera pasowało.

Nina z wściekłością podarła zdjęcie. Tamara spojrzała na nią zdumiona, zanim jednak zdążyła o coś spytać, przyszła Wydra i zagoniła dziewczyny do łazienki. Nina rozplakała się pod prysznicem, łzy mieszały się z gorącymi strugami wody uderzającymi w jej posiniaczone ciało.

Nie wierzę, że to prawda, powtarzała w myślach, nie wierzę, nie wierzę, nie wierzę. Miała ochotę zatkać uszy i krzyczeć tak głośno, aż zagłuszy głos w głowie mówiący jej, że to paskudny świat, w którym trzynastoletnie dzieci zabijają swoich rodziców – i że jednym z tych dzieci był Antek Kwiecień ze wsi Stare Kąty.

Tej nocy we śnie znowu siedziała na przyzbie chaty, słyszała krzyk, a potem skrzyp otwierających się powoli drzwi. Tym razem prawie wiedziała, kto z nich wyjdzie, prawie miała pewność, ale nie odwróciła się, żeby sprawdzić, jeszcze nie. Za bardzo się bała.

– Znowu krzyczałaś przez sen – powiedziała Tamara rano, kiedy Nina pomagała jej zapinąć sweter.

– Naprawdę?

– Mhm. Śniły ci się koszmary?

– Chyba tak. – Nina zapomniała jedynie, kogo spodziewała się zobaczyć, poza tym pamiętała dobrze każdą minutę tego przekłętego snu, ale nie miała ochoty o nim opowiadać.

– Ja mało spałam. – Tamara się skrzywiła. – Ten cholerny deszcz ciągle mnie budził.

– Jaki deszcz?

– Całą noc padało, naprawdę nie słyszałaś?

– Nie. – Teraz o okna uderzały tylko krople tak drobne, że jednostajny szmer mógł raczej usypiać, niż budzić.

Tamara faktycznie wyglądała na niewyspaną, lecz kiedy szły w stronę dziecińca (Olga została odesłana do domu i zostały same), wyraźnie się ożywiła i zaczęła nawet skakać po płytkach w korytarzu, jakby grała w klasy.

– Ty chyba naprawdę lubisz dzieci – powiedziała Nina, która w przeciwieństwie do przyjaciółki była w fatalnym humorze.

– Zawsze chciałam mieć brata – przyznała Tamara. – Mogłabym mu opowiadać przerażające historie o potworach.

– Znaczy straszyć?

– No a do czego służy młodsze rodzeństwo? – Dziewczyna radośnie wyszczerzyła zęby.

Nina pomyślała o Szymku, zrobiła w myślach rachunek sumienia i przeornie postanowiła nie kontynuować tematu.

W dziecińcu panowała posępna atmosfera, Wrona była wyraźnie zdenerwowana, podopieczni osowiali i marudni. Kilkoro miało gorączkę, a Basia i Marysia w nocy wymiotowały.

– Jakiś wirus – powiedziała Wrona. – Nic poważnego, doktor Niedźwiedź już tu był. Uważajcie, dziewczyny, żebyście się nie zaraziły.

Nina zamierzała uważać i w ramach tejże ostrożności ominęła zgromadzoną na środku pokoju dzieciarnię szerokim łukiem, po czym zanurkowała między półki z książkami. Wzięła do ręki *Dwa lata wakacji* Verne'a (już to czytała), chwilę myślała nad *Robinsonem Crusoe*, ale ostatecznie go odłożyła. Naraz jej uwagę zwrócił zakurzony tomik wciśnięty za szereg powieści przygodowych – tę powieść też już czytała, ale nie miała nic przeciwko temu, żeby ją sobie odświeżyć. Nikt nie zwracał na nią uwagi, mogła więc w spokoju poświęcić się lekturze. Z miejsca, w którym siedziała, słyszała dobiegające zza ściany odgłosy kuchennej krzątaniny: szum odkręcanej wody, podzwanianie szklanek, a potem gwizd postawionego na ogniu czajnika. Chwilę później usłyszała pukanie do drzwi i szmer rozmowy. Pośpiesznie chwyciła stojący na półce kubek, wypila resztkę zimnej herbaty,

a kubek przyłożyła do ściany – teraz już wyłapywała pojedyncze zdania z toczonej przyciszonymi głosami dyskusji. Wrona mówiła o ewakuacji i że „zbliża się rocznica”. Potem ktoś wymienił imię Łukasza, a Wrona oznajmiła:

– Mały jest chory, jakiś wirus...

Chłopiec akurat należał do dzieci, które czuły się całkiem nieźle, Nina podziękowała więc Wronie w myślach za to drobne kłamstwo. Później tajemniczy ktoś (chyba mężczyzna, chociaż mówił tak cicho, że trudno było rozróżnić słowa) powiedział coś o wieczorze, czego dziewczyna nie dosłyszała.

„Przyjdziemy po niego wieczorem”?

Jeśli tak, oznaczało to, że kłamstwo Wrony nie pomogło i chłopcu pozostało jakieś dwanaście godzin, potem – chory czy zdrowy – będzie musiał stawić czoło upiorom w kościele.

Nina starała się dalej czytać, ale nie mogła skupić się na lekturze. Kartkowała tylko bezmyślnie powieść, aż trafiła na podpis na ostatniej stronie: „Własność Agnieszki Łuczewskiej”. Zrobiło jej się zimno, bo po raz pierwszy uświadomiła sobie, że te wszystkie książki – i prawdopodobnie zabawki też – kiedyś do kogoś należały. Wcześniej wyobrażała sobie Wronę albo inną kobietę w mundurze chodzącą po sklepach i wybierającą rzeczy do urzędu dziecięcych pokojów. Wizja ta miała w sobie coś sympatycznego, czyniła ICH prawie normalnymi ludźmi. Teraz dziewczyna pomyślała, że wszystko, co ją otacza, nie zostało kupione, tylko ukradzione. Wyobraziła sobie Agnieszkę Łuczewską oraz jej męża wyprowadzanych nad ranem z domu i ich małą córeczkę (z jakiegoś powodu sądziła, że to była dziewczynka), która z rozpaczą obserwuje, jak ludzie w mundurach ogałają dziecięcy pokój, pakują do kufrów zabawki i książki, po czym wywożą je gdzieś daleko.

Kim było dziecko, które kiedyś tym wszystkim się bawiło? Musiała (Nina wciąż myślała o dziewczynce) być już wystarczająco duża, żeby podkraść z biblioteczki rodziców książki i chować je potem między powieściami przygodowymi. Jedenaście lat? Dwanaście?

Jak miała na imię? Gdzie teraz była? Gdzie byli jej rodzice? Co się stało z rodziną Łuczewskich?

Nina zamknęła książkę i podeszła do okna. Padający przez całą noc deszcz zmienił plac przed wejściem w jedną wielką błotnistą kałużę, w której grzęzły koła samochodów, a młodzi żołnierze biegali tam i z powrotem, brodząc po kostki w mętnej wodzie. Pokrzykiwali coś, ale z tej odległości, patrząc przez szybę, dziewczyna nie słyszała ani słowa. Widziała jedynie otwierające się

i zamykające usta, ręce kreślące w powietrzu jakieś skomplikowane znaki i wypisany na twarzach niepokój.

Ewakuacja, pomyślała Nina. Czy to znaczy, że nas stąd zabiorą? Może dlatego wszyscy są tak bardzo zdenerwowani – bo trzeba zamknąć Instytut i wywieźć więźniów? A jeśli tak, to co potem? Zabiorą nas do innego Instytutu? Wypuszczą? Wyobraziła sobie, jak wraca do domu, choć w głębi duszy nie wierzyła, że to będzie takie proste. Nic nie było proste, tego już zdążyła się nauczyć. Potem przez chwilę fantazjowała o ucieczce (pomijając na razie takie szczegóły jak pytanie, co z Jackiem, który prawdopodobnie wciąż powinien leżeć w łóżku). Podczas ewakuacji na pewno byłoby sporo zamieszania, wystarczyłaby chwila nieuwagi, żeby się wymknąć...

Nina stała przy oknie, patrząc na wypełzającą z lasu mgłę. Gęste, srebrzyste kłęby zbliżyły się do ogrodzenia, a potem zatrzymały przed nim i jakby... zawahały? Dziewczyna wstrzymała oddech, obserwując biegnących z karabinami żołnierzy. Nagle podskoczyła, gdy jedno z dzieci wrzasnęło za jej plecami. Odwróciła się – na środku dziecięcego pokoju jasnowłosa Marysia zawodziła, czerwona ze złości, a z jej nosa płynął cieniutki strumyczek krwi. Wrona już biegła w stronę blondyneczki, ale Tamara była szybsza.

– Nic jej nie jest! – wołała. – Przewróciła się, widziałam! Nic jej nie jest!

Wyjęła chusteczkę, wytarła Marysi nos, a dziewczynka wtuliła się w jej ramiona i szlochała coraz ciszej.

– Nic jej nie jest – powtórzyła Tamara. – To nie to...

– Nie co? – Oczy Wrony zwęziły się niebezpiecznie.

– Nie to, co pani myśli.

Kobieta zacisnęła usta.

– Nie masz pojęcia, co ja myślę.

– Proszę – wyszeptała Tamara, a Nina uświadomiła sobie, że po raz pierwszy jest świadkiem, jak jej przyjaciółka prosi o coś takim tonem. – Niech pani będzie człowiekiem.

Przez chwilę mierzyły się spojrzeniami i nastolatka niespodziewanie wygrała, bo Wrona odwróciła głowę. Niestety, w tym momencie jej wzrok padł na stojącą pod oknem Ninę.

– A ty co tu robisz? – zapytała. – Czemu nie zajmujesz się dziećmi? I co to za książka?

Dziewczyna spojrzała na powieść, którą wciąż trzymała w ręce.

– *Mnich* – odparła, rozsądnie uznawszy, że wystarczy, jeśli odpowie tylko na ostatnie pytanie.

– Jakaś religijna? – Na twarzy Wrony pojawił się wyraz obrzydzenia.

– Wręcz przeciwnie, to śmiała krytyka katolickiego kleru, pokazująca jego zepsucie na przykładzie pewnego zakonnika, który zgwałcił własną siostrę, a potem...

– Wystarczy. – Wrona chrząknęła. – Możesz to sobie czytać po pracy. Teraz zajmij się dziećmi. Możesz im opowiedzieć jakąś historię, na pewno wszyscy chętnie posłuchają. Tylko bez żadnych zberezeństw, rozumiesz?

– Ale...

– Żadnego ale. Zostaw tę książkę i bierz się do pracy. – Wrona wróciła do kuchni, prawdopodobnie po to, by zaparzyć sobie kolejną filiżankę herbaty.

Nina niechętnie usiadła koło Tamary, która zrobiła jej miejsce na dywanie. Czternaście par oczu wpatrywało się w nią z ciekawością, aż dziewczyna poczuła się nieswojo. Nie znośła mówić, kiedy ludzie się na nią gapią (wyjątkiem była szkoła, tam chętnie zgłaszała się do odpowiedzi). Z drugiej strony, patrzyli na nią nie dorośli ani nawet nie jej rówieśnicy, tylko gromada dzieciaków, a kto by się przejmował dzieciakami? Poza tym latem, kiedy jechała pociągiem do Markotów, opowiedziała Sławkowi całego *Hrabiego Monte Christo*, teraz więc też powinna sobie poradzić.

Szukała w głowie jakiejś odpowiedniej historii – takiej z dużą ilością przygód, a małą nieboszczyków – lecz jak na złość przychodziły jej na myśl tylko ponure książki: *Pies Baskerville’ów*, *Dracula*, *Upiór w operze*... W końcu poddała się i zaczęła:

– W pewien posępny jesienny wieczór nasz bohater, nazwijmy go może... – umilkła, bo zabrakło jej konceptu.

– Jak go nazwiemy? – zapytała Tamara, a zewsząd posypały się propozycje:

– Zdzisio!

– Artur!

– Stefan!

– Pankracy!

– Kajtek!

– Niech będzie Stefan – uznała Nina. – A więc Stefan przybył do domu swego przyjaciela, Roderyka Ushera, który mieszkał w wielkim, ponurym zamczysku...

Nina mówiła, jej głos mieszał się z szumem drobnego deszczu, który znowu zaczął uderzać o szyby. Na zewnątrz rozległ się odgłos strzału i wszyscy

w pokoju drgnęli nerwowo, a Marysia znowu zaczęła popłakiwać.

– Roderyk miał siostrę, przecudnej urody lady Madeline...

– Dziwaczne imię – zgłosiła pretensję dziewczynka z ciemnymi warkoczami. Zosia? Zuzia? Nina nie pamiętała.

– Po polsku to będzie chyba Magdalena.

– To mów zwyczajnie Magda – odezwał się Łukasz. – A nie jakaś tam Madlena.

– Dobrze, więc Magda była bardzo piękna, ale też bardzo chora. Cierpiała na katalepsję, co znaczy, że czasem jej ciało zastygało w jednej pozycji, zimne i nieruchome. Choroba pogłębiała się z każdym dniem i dziewczyna wkrótce miała umrzeć...

– I nikt nie potrafił jej pomóc? – zastanawiała się głośno Zosia-albo-Zuzia.

– Nie było nigdzie lekarza?

– Nie – odparła coraz bardziej zirytowana Nina. – Zamek stał na odludziu, wiele kilometrów od najbliższego miasta, a Roderyk i Magda byli ostatnimi z rodu. Nie mieli pieniędzy, siedziba ich rodziny z każdym szarym ponurym dniem coraz bardziej chyliła się ku upadkowi...

– Służby też nie mieli? – To znowu Łukasz.

– Kiedyś tak, ale teraz nie było ich już stać, ostatni służący uciekli w panice, widząc opłakany stan, w jakim znajdował się dom.

– Dobrze im tak, tym burżujom – oznajmił chłopiec. – Mój tato mówi...

– Mniejsza z tym, co mówi twój tato. – Tamara pośpieszyła na pomoc przyjaciółce. – Słuchajcie albo następnym razem zostaniecie ofiarami indiańskich wojowników i będziecie męczeni przy palu, jasne?

– Nie możemy wszyscy być ofiarami – zaprotestowała Zosia-albo-Zuzia, ale umilkła pod groźnym spojrzeniem Tamary.

– Nina? – Starsza dziewczyna spojrzała na przyjaciółkę. Na zewnątrz znów rozległ się strzał, w pokoju pociemniało, oblepiająca szyby mgła z trudem przepuszczała promienie słoneczne.

– Magda zmarła pewnej burzliwej nocy, kiedy błyskawice rozświecwały niebo. Stefan i Roderyk zmuszeni byli sami pochować w krypcie jej piękne, białe jak śnieg i lodowato zimne ciało. Przywalili grobowiec kamienną płytą, a potem wrócili na górę, by w cieple kominka szukać ukojenia dla swojej rozpacz. Stefan czytał opowieść o rycerzu, próbującym siłą wedrzeć się do chaty pewnego pustelnika, gdy nagle usłyszał dźwięk brzmiący jak dobijanie się do drzwi...

Łup! Łup! – dobiegło gdzieś z dołu. Wszyscy podskoczyli, deszczową i mglistą ciszę rozdarł kolejny strzał. Teraz już kilkoro dzieci płakało,

a Wrona wyszła z kuchni i przytuliła Marysię oraz szlochającego chłopca. Tamara trąciła łokciem przyjaciółkę.

– Mów dalej – powiedziała.

– Przecież...

– Nie będą się bać, jak je czymś zajmiemy.

Wrona skinęła Ninie głową i dziewczyna podjęła opowieść, choć miała wrażenie, że coraz mniej osób jej słucha – mówiła teraz właściwie bardziej po to, żeby zająć czymś samą siebie niż dzieci.

– Gdy Stefan czytał o walce rycerza ze smokiem, usłyszał przeciągły zgrzyt brzmiały zupełnie jak smoczy ryk...

Z korytarza dobiegł jękliwy głos otwierających się drzwi – nie przypominał jakoś szczególnie smoczego ryku, ale i tak dzieci pobladły i zaczęły się trząść.

– A kiedy rycerz w opowieści upuścił metalową tarczę, uszu Stefana dobiegł...

Nagły trzask pękającego szkła był głośniejszy niż jakikolwiek strzał. Nina słyszała teraz głosy biegnących korytarzem żołnierzy i rzucane w pędzie słowa:

– Są w lewym skrzydle! Ubezpieczaj tyły! Szybciej! Szybciej!

Kolejna szyba pękła gdzieś na parterze, kolejne odłamki szkła posypały się na podłogę z brzękiem, jaki mogłaby wydać upuszczona metalowa tarcza. I tym razem nie było jednego strzału, tylko cała seria, jeden po drugim, aż zlały się w jeden raniący uszy huk. Kiedy hałas terkoczących karabinów umilkł, Nina jeszcze przez długą chwilę słyszała odbijający się w jej czaszce głuchy pogłos.

Potem zgasło światło i zaczął wyć alarm.

Rozdział dwunasty, w którym Nina przeszukuje archiwum i odkrywa sekret Huberta.

Nic się nie dzieje. – Wrona wstała, podczas gdy światło nad jej głową zapalało się i gasło na przemian, a alarm wciąż wył jęklwym głosem, który Ninie kojarzył się z sygnałem karetki pogotowia. – Zachowajcie spokój! Spokój, mówiłam! Teraz zejdziemy do schronu w piwnicy, jak najciszej i bez paniki. Żadnego tupania, krzyków ani rozmów. Jeśli będziecie mnie słuchać, nikomu nic się nie stanie. Bierzcie płaszcze. Ja idę pierwsza, Tamara i Nina na końcu pilnują, żeby nikt się nie zgubił, jasne?

Przerażone dzieci niezgrabnie wkładały okrycia i tłoczyły się przy drzwiach. Wrona przepchnęła się między nimi.

– Ja pierwsza, wy za mną – powtórzyła. – Rozumiemy się? Bez paniki i bez płaczu. Marysia, co mówiłam o ciszy? Ustawcie się parami, Łukasz, chwyć mnie za rękę. Idziemy!

Szli korytarzem w upiornie rozbłyskującym świetle. Ciemno, jasno, ciemno, jasno. Dzieci umilkły, bardziej chyba ze strachu niż dlatego, że uspokoiły je słowa Wrony, ale przynajmniej były cicho. Nawet Marysia przestała pochlipywać. Ostre błyski zwisających pod sufitem żarówek podkreślały bladość twarzy i powiększone przerażeniem oczy. Z dolnych pięter dobiegały krzyki żołnierzy, odległe teraz i stłumione przez grube mury.

– Co się dzieje? – Tamara zbliżała usta do ucha przyjaciółki. – Upiory atakują?

Nina skinęła głową. Jeszcze niezupełnie ustąpił paraliżujący ją lęk, jeszcze nie była w stanie jasno myśleć, ale już wiedziała, że to prawdopodobnie jedyna okazja.

Zamieszanie, chaos, biegający tam i z powrotem żołnierze – kto by w tej sytuacji zwrócił uwagę na dwoje nastolatków, którzy znajdują się w miejscu, gdzie nie powinno ich być?

Chwyciła Tamarę za rękę.

– Muszę iść – szepnęła.

– Dokąd? – Kolejny błysk wydobył z oczu Tamary zdumienie. – Teraz?

– Potem ci powiem. Poradzisz sobie?

– Jeśli muszę... Ale będziesz mi winna wyjaśnienie.

– Jasne.

Nina puściła dłoń przyjaciółki, a potem zwolniła, aż została sporo z tyłu. Nikt się za nią nie obejrzał, nikt nie zwrócił uwagi, że jednej osoby brakuje. Dziewczyna poczekała, aż prowadzona przez Wronę gromadka zniknie za zakrętem, po czym ruszyła biegiem w stronę archiwum. Metalowe schody rozbrzmiewały tupotem stóp, z dolnych pięter dobiegały pokrzykiwania jednej ze strażniczek, a kiedy Nina wychyliła się przez poręcz, zobaczyła schodzącą „ekipę sprząającą”. Wszyscy tam byli starsi niż w dziecięcej grupie i nikt nie płakał, ale nastolatki wyglądały na równie oszołomione i wystraszone jak maluchy.

Skręciła, po czym zatrzymała się, słysząc zbliżające się głosy. Z naprzeciwka nadchodziła grupa E. Świetnie, nie mogło być lepiej. Nina zanurkowała w najbliższą odnogę korytarza i przepuściła prowadzącego swoją trzódkę opiekuna. Szczęście nadal jej sprzyjało, bo Hubert szedł prawie ostatni, za nim była jeszcze tylko jedna dziewczyna. Nina wyciągnęła rękę i złapała chłopaka za ramię, a do zdziwionej dziewczyny mrugnęła, przykładając jednocześnie palec drugiej ręki do ust. Koleżanka Huberta zrozumiała, bo poszła dalej, jakby nic się nie stało.

– Co tu robisz? – zapytał chłopak.

– Archiwum jest zamknięte? – Nina nie bawiła się we wstępy. – Kto ma klucze?

– Myszolów, a dlaczego...

– Leć do niego i powiedz, że zapomniałeś czegoś ważnego i musisz tam na chwilę wrócić.

– Ale...

– Już!

Zdumiony Hubert na szczęście nie zamierzał się kłócić, tylko pokłusował do opiekuna grupy i wrócił po chwili z kluczami.

– Powiedziałem, że zostawiłem czajnik na kuchence – oznajmił.

– Bardzo mądrze – pochwaliła Nina, wkładając klucze do zamka.

Żarówki pod sufitem wreszcie przestały błyskać, alarm ucichł i w Instytucie zapanowała cisza – tylko z dołu jeszcze przez chwilę dochodziło coraz bardziej odległe dudnienie metalowych schodów, aż wreszcie i ono ucichło. Nina i Hubert wśliznęli się do archiwum. W środku było ciemno, jeśli nie liczyć wpadającego przez okna blasku latarni, która rzucała na parapet odrobinę żółtawej poświaty.

- Zapal światło – szepnęła Nina.
- Nie zauważają, że tu jesteśmy?
- Trudno, nie mamy wyjścia.

Żyrandol rozjarzył się łagodnym blaskiem i dziewczyna wciągnęła głośno powietrze. Nigdy wcześniej nie była w archiwum (zagłądanie przez dziurkę od klucza się nie liczyło) i wyobrażała sobie, że to zakurzony i pełen szpargałów pokój, a tymczasem znalazła się w pomieszczeniu wielkości sali gimnastycznej, gdzie pośrodku stały trzy wielkie zarzucone papierami stoły, a wzdłuż ścian od podłogi aż po sufit ciągnęły się rzędy metalowych szafek.

- Mamy jeszcze jeden pokój, trochę dalej – powiedział Hubert.
- Co w nim jest?

– Komputer, czyli ta maszyna, w którą wkładamy dziurkowane karty. I taka mała kanciapa z kuchenką, tam można zrobić sobie herbatę, jak ktoś chce.

– Maszyny nas na razie nie interesują. Szukamy informacji o czerwonych kartkach i raportów zabranych do kościoła sierot. Wiesz, gdzie są?

- Nie mam pojęcia.

Nina zamknęła oczy. Nie będzie łatwo, pomyślała.

– Dobra, to inaczej. Pomiń szafki, w których wiesz, co jest, i pokaż mi pozostałe.

Hubert pomyślał chwilę.

– Tam. – Wskazał ścianę naprzeciwko okien. – Do tych nigdy nie zagłądamy.

Szafki były zamknięte, ale na szczęście jeden z małych kluczyków na wielkim pęku pasował do wszystkich. W środku na metalowych półkach piętrzyły się stosy zakurzonych akt, jakieś raporty, papierowe i skórzane teczki, pudła pełne taśm filmowych. Nina jęknęła w duchu i omal nie zrezygnowała, ale Hubert dzielnie zabrał się do przetrząsania tego wszystkiego, nie chciała więc być gorsza. Ostatecznie, skoro już tu przyszli, trzeba było wykorzystać okazję.

- Czerwone kartki i raporty sierot, tak? – upewnił się jeszcze chłopak.
- Tak. Tylko cicho!

Hubert skinął głową i przez chwilę pracowali w milczeniu, nasłuchując pilnie. Ich uszu dobiegał od czasu do czasu odległy strzał, tupot nóg w drugim skrzydle budynku czy stłumione trzaśnięcie drzwi – gdzieś toczyła się walka, gdzieś rozgrywał się dramat, lecz w archiwum panował spokój. Na razie, pomyślała Nina. Bo co, jeśli żołnierzom nie uda się zatrzymać upiorów? Jeśli przyjdą tu razem z mgłą? Dziewczyna miała nadzieję, że wystarczy

schować się i być cicho – w końcu tak przeżyli w lesie – ale nadzieje czasem bywały złudne. Uderzyło ją przy tym, jak bardzo zmieniła się od spędzonego w Markotach lata. Dawna Nina w takiej sytuacji zeszywniałaby z przerażenia i nie zrobiła niczego sensownego, a teraz, proszę – bała się, owszem, trudno było zaprzeczać, kiedy podskakiwała przy każdym głośniejszym dźwięku, ale nie przeszkadzało jej to myśleć i działać.

No, powiedzmy, że przeszkadzało mniej, niż przeszkadzałoby kiedyś. Nina nadal zdecydowanie była zwolenniczką spokojnego myślenia w fotelu albo na wygodnym tapczanie.

– Wiesz, co się dzieje? – szepnął w pewnym momencie Hubert. – Myślałem, że upiory nie mogą wchodzić do budynku...

– Robią się silniejsze, bo zbliża się rocznica – odparła równie cicho Nina.

– Śmierci Antka?

Skinęła głową.

– Ich moc rośnie i maleje w cyklu dziesięcioletnim, tak mi się wydaje. No wiesz, z powodu tego niemieckiego oddziału, który zaginął w lesie dziesięć lat temu.

– To dlaczego założyli Instytut w takim miejscu?

– Może nie wiedzieli, że moc upiorów będzie rosła? Fabryka stoi tu od wojny, ale założę się, że Instytut Totenwald powstał góra parę miesięcy temu. Albo nawet tygodni. Na przykład pod koniec września.

– Czemu akurat wtedy?

– Bo tu są dokumenty, patrz. – Wyjęła z szafki teczkę opatrzoną napisem: „Planowany Instytut Badań Nad Zjawiskami Paranormalnymi – opis terenu”, na górze widniała data 23 września. Dziewczyna otworzyła teczkę i przejrzała pobieżnie jej zawartość. Mapa fabryki oraz okolicy mogła się przydać, ale poza tym nie było nic specjalnie ciekawego.

Hubert zaglądał jej przez ramię, ale szybko się zniechęcił i wrócił do grzebania w swojej szafce. Nina odwróciła jeszcze jedną kartkę i znalazła napisany na maszynie raport. „Wieś Stare Kąty znajduje się w odległości trzech km na płn.-wsch. od planowanej siedziby Instytutu – przeczytała. – Jest opuszczona, widać ślady magicznej aktywności, w tym nietypowe pęknięcie drewnianego kościoła. W obejściach liczne kości martwych zwierząt domowych, ale żadnych ludzkich. Z jednym wyjątkiem: w studni przy najdalej na południe wysuniętej chacie znaleźliśmy szkielety trzech osób: sądząc po wielkości oraz resztkach zetlełej odzieży należące do starszego mężczyzny, kobiety i dziecka płci żeńskiej. Towarzysz Szczur zaproponował urządzenie godnego pochówku, uznaliśmy jednak, że

w obliczu braku czasu wystarczy, jeśli zasypimy kości ziemią”.

Studnia przy chacie najdalej wysuniętej na południe, pomyślała Nina. Ta sama, przy której rozmawiała z Tamarą, a potem huśtała się na żurawiu. Ta sama, do której Tamara tak łatwo mogłaby wpaść, gdyby na cembrowinie powinęła jej się noga. Były tak blisko trzech trupów i żadna z dziewczyn się nie zorientowała.

– Nina? Hej, Nina – dopiero teraz zauważyła, że Hubert coś do niej mówi.

Schowała raport z powrotem do teczki i wsunęła ją na miejsce. Spojrzała na chłopaka, który wyraźnie podekscytowany grzebał w wielkim pudle pełnym taśm filmowych. Nie miały tytułów ani żadnych opisów, tylko daty i kody, całe mnóstwo kodów.

A kartki, na których je wypisano, były czerwone.

Hubert i Nina spojrzeli na siebie.

– Myślisz, że to może być to? – szepnął chłopak.

– Nie wiem – odparła dziewczyna, zauważając jednocześnie, że tych taśm jest co najmniej trzydzieści. Jeśli jedna odpowiadała jednej czerwonej kartce, to te ostatnie wcale nie zdarzały się „bardzo rzadko”. – Ale tak czy inaczej nie mamy gdzie tych taśm odtworzyć... Chyba że jest tu projektor?

– Może w tych pokojach, gdzie...

– Cicho!

Hubert zamarł z otwartymi ustami. Nina wskazała ręką drzwi, zza których dobiegał dźwięk zbliżających się kroków. Spoglądali na siebie rozszerzonymi ze strachu oczami, niezdolni do żadnego ruchu ani konstruktywnej myśli. Dopiero po chwili dziewczyna oprzytomniała na tyle, by zrozumieć, że to nie mogą być kroki upiórów – brzmiały na to zdecydowanie zbyt ludzko, a poza tym nigdzie nie widziała mgły. I nie był to też charakterystyczny tupot ciężkich wojskowych butów. Korytarzem szedł ktoś, kto nosił zwyczajne obuwie, kto chodził lekkim, niemal tanecznym krokiem.

– Jest tam ktoś? – dobiegł zza drzwi dziewczęcy głos.

Lena.

– Wyłaźcie, zanim się zdenerwuję!

Hubert zamrugał, wzrokiem pytając Ninę, czy odpowiedzieć, ale dziewczyna bezradnie pokręciła głową.

– Liczę do pięciu i macie być na korytarzu, jasne?

Nina zdecydowała się nagle, wyłowiła z pudła taśmę z datą, kiedy ONI zabrali Mariusza, i wepchnęła ją pod płaszcz. Potem schowała pudło i zamknęła szafkę. Hubert zrobił to samo z drugą.

– ...cztery, pięć!

- Już wychodzimy.
- Macie szczęście – powiedziała śliczna szatynka, kiedy znaleźli się na korytarzu.
- Co tu robisz? – zapytała Nina szeptem.
- Żuk poprosił, żebym sprawdziła, czy na górnych piętrach nikt nie został. I możesz mówić normalnie, upiory są w drugim skrzydle, stąd cię nie usłyszą. No, chyba że będziesz wrzeszczeć, a mam nadzieję, że nie zamierzasz tego robić.
- Zostawiłem na kuchence czajnik – usprawiedliwił się pośpiesznie Hubert.
- A Nina...
- Darujcie sobie te kłamstwa, co? Jeśli pójdziecie ze mną teraz do schronu, powiem, że spotkałam was błakających się po korytarzach.
- Możesz kłamać? – zainteresowała się Nina.
- Mogę, chociaż nie lubię. – Lena wzruszyła ramionami. – I w ogóle nie wiem, o co ci chodzi.
- Myślę, że wiesz.

Nie zdążyli jednak zejść niżej, bo na parterze już kłębił się całkiem spory tłum, a z drzwi prowadzących do piwnic wylewały się kolejne fale dzieci i młodzieży. Nina i Hubert zgrabnie wsunęli się w cizbę. Chwilę później Wrona złapała dziewczynę za ramię.

- Gdzie byłaś? – zapytała groźnie.

Nina odruchowo przycisnęła mocniej taśmę z filmem. Płaszcz był gruby, nie było widać pod nim wybrzuszenia – przynajmniej na to liczyła – ale i tak martwiła się, że ktoś zwróci w końcu uwagę na to, że przez cały czas trzyma ręce na brzuchu.

- Zgubiłam się w tych korytarzach – powiedziała. – A potem spotkałam Huberta...

– I weszliśmy do schronu z inną grupą – uzupełnił chłopak bez mrugnięcia okiem.

- Następnym razem patrz, gdzie idziesz – rzuciła Wrona, po czym wróciła do wciąż wystraszonych dzieci.

Wydra energicznie zaklaskała.

- Do wspólnej sali, już! – powiedziała. – Na dzisiaj koniec pracy.

Ktoś nieśmiało zaczął wiwatować, ale większość nastolatków wyglądała na zbyt wyczerpaną i oszołomioną, żeby się cieszyć.

Ledwo Nina usiadła na swoim łóżku i wsunęła taśmę pod poduszkę, gdy pojawiła się Tamara.

– Jesteś mi winna wyjaśnienie – powiedziała.

– Musiałam pójść do archiwum, a to była jedyna okazja. Hubert mi pomógł.

– Znalazłaś coś ciekawego?

– Nie wiem, może. – Nina opowiedziała o taśmach filmowych i kościach w studni.

– Czyli w sumie niczego specjalnego nie przegapiłam – podsumowała Tamara. – Chyba że gonił was tam jakiś upiór? Musieliście chować się pod stołem i siedzieć cicho, żeby was nie zauważył i nie poderznął gardeł?

– Nie.

– Na pewno?

– Myślę, że coś takiego bym zapamiętała.

– Dzięki. Jesteś prawdziwą przyjaciółką. Nawiasem mówiąc, mam dla ciebie prezent.

– Jak prezent? – Nina zmarszczyła brwi.

Tamara wyjęła z kieszeni płaszcza kopertę.

– Lis dał mi ją w piwnicy. Powiedział, że to dla ciebie, tylko z zastrzeżeniem, że masz najpierw się zastanowić, czy chcesz zobaczyć, co jest w środku.

Nina wzięła kopertę. Wewnątrz wyczuwała kawałki sztywnego papieru. Zdjęcia, oczywiście.

– Tak po prostu podszedł do ciebie i ci to dał?

– Tak po prostu. – Tamara skinęła głową.

– Mogłaś wykorzystać okazję i zapytać go, czego właściwie od nas chce.

– Nie od nas, tylko od ciebie, to po pierwsze. A po drugie nie miałam czasu, dzieciaki ciągle trzeba było uspokajać, co chwila ktoś na kogoś wpadał... Mówię ci, totalny chaos.

Nina obracała w rękach kopertę. Czy naprawdę chciała zobaczyć, co w niej jest?

Oczywiście, że tak, inaczej ciekawość nie dałaby jej spać po nocach. Co więcej, Lis prawdopodobnie zdawał sobie z tego sprawę, jego zastrzeżenie mówiło więc w gruncie rzeczy coś w rodzaju: „Wiem, że i tak tam zajrzysz, ale przygotuj się, że może ci się nie spodobać to, co zobaczysz”.

Podniosła wzrok na Tamarę.

– Otwierałaś tę kopertę?

– Tylko zerknęłam. Nie była zamknięta, no i Lis nic nie mówił, że to tylko

dla ciebie. Jestem okropna, wiem.

I zdecydowanie niedostatecznie skruszona, pomyślała Nina, ale przyjaciółka w sumie miała trochę racji, Nina nie była pewna, czy na jej miejscu sama by się powstrzymała. Prawdopodobnie nie.

– Co tam jest?

– Zdjęcia. – Tamara wzruszyła ramionami. – Tak jakby z miejsca zbrodni. Nic strasznego, moim zdaniem. Zobacz sama.

Nina otworzyła kopertę i wysypała zdjęcia na łóżko. Było ich cztery, pierwsze przedstawiało wnętrze chaty Karola Kwietnia. Na podłodze leżały dwa ciała: mężczyzna niedaleko szafy, kobieta tuż przy piecu, a między nimi w kałuży krwi słynna siekiera. Na czarno-białym, rozmazanym i zrobionym pod dziwnym kątem (czyżby Jan Kozioł fotografował bez statywu, wyglądając zza czyichś pleców?) zdjęciu niewiele więcej było widać. Nina patrzyła na nie przez dłuższą chwilę. Nie czuła obrzydzenia ani lęku, jak się obawiała, w gruncie rzeczy z trudem przychodziło jej uwierzyć, że patrzy na prawdziwe martwe ciała i prawdziwą krew. To wydawało się tak... odrealnione, niczym inscenizacja w teatrze. Było jej tylko dziwnie smutno, aż się złękła, że zaraz zacznie płakać.

Pośpiesznie zerknęła na pozostałe fotografie. Te zostały już zrobione przed chatą i przedstawiały zgromadzony na podwórzu tłum. Mężczyźni i kobiety, zszokowani, krzyczący, przepychający się nawzajem w drzwiach. Na jednym zdjęciu barczysty chłop wyprowadzał z chaty Antka, a wieśniacy wyglądali, jakby chcieli rozszarpać chłopca gołymi rękami. Na drugim w tle mały Daniel, trzymany na rękach przez piersiastą niewiastę. Ostatnie było dziwaczne, bo widniał na nim tylko krąg wykrzywionych wściekłością twarzy, schwytyanych w obiektyw od dołu, jakby przez kogoś leżącego na ziemi. Nina mogłaby się założyć, że mieszkańcy Starych Kątów przewrócili Jana Kozła i kopniakami dali mu do zrozumienia, że to nie jest dobry moment na realizowanie pasji fotograficznej.

– I jak, wiesz już, kto jest mordercą? – zapytała Tamara z miną dziecka oczekującego, że magik za chwilę wyciągnie królika z kapelusza.

– Nie mam pojęcia – przyznała Nina, obracając zdjęcia. Na jednym znalazła wypisane atramentem słowa: „Płonie kamienny most, na wieży stoi dziewczyna, w rękach trzyma gołębia, deszcz moczy suknię z polnych kwiatów”.

Kolejne przesłuchanie?

Serce skoczyło jej do gardła, kiedy Wydra wyszła na środek sali i zaklaskała w dłonie, żeby zwrócić na siebie uwagę.

– Jak powiedziałam, na dzisiaj to koniec pracy – zaczęła strażniczka. – Do wieczora zostanieie tutaj. Nie wolno wychodzić bez ważnego powodu, ja albo towarzysz Żuk zresztą będziemy przez cały czas pilnować drzwi. Obiad zjecie na miejscu. Teraz proszę, żeby przedstawiciele poszczególnych grup zgłaszali się po termosy z zupą i menażki.

– Idziesz ty czy ja? – zapytała Tamara.

– Mogę się przejść. – Nina wstała.

Kiedy wróciła z kuchni, Tamara miała dziwną minę.

– Był tu Hubert – oznajmiła. – Zobaczył te zdjęcia, a potem wziął jedno i gdzieś pobiegł.

– Może siedzi na swoim łóżku?

Tamara pokręciła głową.

Zjadły zupę bez apetytu, w ponurym milczeniu. Nad całą salą unosiła się posępna atmosfera, łyżki postukiwały miarowo o dna menażek, o szyby uderzał deszcz, tu i ówdzie słychać było przyciszone rozmowy. Nikt nie miał ochoty na wygłupy ani żarty, Nina wszędzie wokół widziała pobladłe, napięte twarze i niepokój w oczach.

– Odniesiesz? – zapytała Tamarę, kiedy skończyły jeść.

Przyjaciółka uniosła brwi.

– Chcesz się mnie pozbyć?

– To uczciwa wymiana, ja przyniosłam obiad, ty powinnaś odnieść naczynia. Dasz radę z jedną ręką, to tylko dwie menażki i jeden mały termos. Potem zapytamy Wydrę, czy możemy iść do Jacka.

Tamara westchnęła.

– Niech ci będzie.

Nina odczekała chwilę, po czym podeszła do łóżka Huberta. Faktycznie było puste, leżała na nim tylko *Psychiatria*. Dziewczyna wzięła ją do ręki i przesunęła palcami po brzegu – książka otworzyła się łatwo w miejscu, do którego chłopak najczęściej zaglądał.

„Schizofrenia paranoidalna”, przeczytała, po czym ześliznęła się wzrokiem w dół, zatrzymując przy takich słowach jak „omamy wzrokowe i słuchowe”.

Odłożyła gruby tom i ruszyła w stronę wyjścia.

– Muszę iść do ubikacji – oznajmiła.

Wydra niechętnie skinęła głową.

– Tylko się pośpiesz.

Zamiast w stronę łazienki Nina skrzyła na schody. Huberta znalazła przy pierwszym pięttrze. Siedział na najwyższym stopniu, z kolanami podciągniętymi pod brodę i głową schowaną w ramionach.

Usiadła obok.

– Nie zwariowałeś – powiedziała. – Powinieneś się z tego cieszyć. Ona nie żyje.

– Domyśliłem się – jęknął.

– Niech zgadnę, była ładna? Jasnowłosa? – Hubert miał słabość do blondynek. – Pokażesz mi ją na zdjęciu?

Uniósł głowę i sięgnął do kieszeni. Miał w niej fotografię, tę, na której barczysty mężczyzna wyprowadzał z chaty Antka. A z boku, jakby odcinając się od gniewnego tłumu, stała młoda kobieta. Nina przyjrzała jej się uważnie: tak, to zdecydowanie był typ Huberta. Drobną, słodka blondyneczka z włosami skrzyłymi się nad czołem w pierścionki i uroczo zadartym nosem. Mogła mieć dwadzieścia kilka lat. Wystarczająco dużo, żeby być matką małej dziewczynki.

– Spotkałeś ją, jak poszliśmy pierwszy raz do wioski, tak? Wtedy, kiedy zniknąłeś nam z oczu?

Chłopak skinął głową.

– Powiedziała, że się tam ukrywają, i prosiła, żebym nikomu nie mówił. A potem... Potem zobaczyłem Lisa i schowałem się, żeby mnie nie zobaczył, a on... on przeszedł obok, zupełnie jakby jej nie widział. Jakby wcale jej tam nie było, rozumiesz? Nie wiedziałem, co o tym myśleć, a później zacząłem czytać tę twoją książkę i tam był rozdział o schizofrenii i... moja matka...

Nina przytaknęła. Matka Huberta była chora psychicznie.

– Bałem się, że to jest dziedziczne i że teraz ja zaczynam wariować – poskarżył się chłopak.

– Nie zwariowałeś – powtórzyła dziewczyna. – To są duchy. Ten starszy mężczyzna, twoja kobieta i dziewczynka, którą widziała Tamara... Oni wszyscy od dawna nie żyją. Rozmawialiśmy ze zmarłymi. Mogłam się tego wcześniej domyślić. – Z irytacją potrząsnęła głową. – Czasem natykaliśmy się na różne ślady, że w tej wiosce ktoś może mieszkać, ciepły piec, okruszki na stole i tak dalej, ale to było takie... chaotyczne i nielogiczne. Na przykład w tej chałupie, gdzie z komina leciał dym, widziałam błoto, jakby pod oknem stanął ktoś w brudnych butach, ale na progu w kurzu nie było odcisków stóp. A przecież to niemożliwe, bo ktoś, kto wchodziłby do chaty, musiałby przejść przez próg.

– Myślisz, że oni wszyscy umarli? – zapytał Hubert. – Cała wioska?

– Chyba tak. Kiedy spaliśmy w samochodzie, ja i Jacek słyszeliśmy w lesie płacz, jakby dziecka. Założę się, że to też były duchy, no wiesz, tych uciekinierów. Upiory musiały ich dorwać i... – Urwała, bo miała dość myślenia o ludziach przedzierających się nocą przez las, z dziećmi na rękach i skromnym dobytkiem na plecach, o przerażeniu ściskającym im gardła i panice, kiedy nagle otoczyła ich mgła, a w niej rozbłysły czerwone oczy upiorów. O krwi wsiąkającej w zimną ziemię i trupach gnijących wśród kolorowych jesiennych liści. Zastanowiła się przy tym przelotnie, jakim cudem ze zwyczajnej trzynastolatki czytającej książki przygodowe i chodzącej z koleżankami do kina nagle stała się trzynastolatką, dla której normalne jest rozmyślanie o takich rzeczach. I która w prezencie dostaje zdjęcia z miejsca zbrodni, po czym poważnie rozważa, czy jej rówieśnik nie zabił aby siekierą swoich rodziców. Musiała przegapić moment, w którym coś poszło mocno nie tak.

Hubert raz jeszcze obrzucił zdjęcie smętnym spojrzeniem.

– Ma na imię Karolina – powiedział.

Nina wyjęła mu fotografię z ręki.

– Miała na imię Karolina, to po pierwsze – przypomniała mu bezlitośnie. – Po drugie i tak byłaby dla ciebie za stara, a po trzecie, skoro już muszą podobać ci się starsze dziewczyny, to naprawdę wolałabym, żeby były przynajmniej żywe.

– Znowu się ze mnie nabijasz.

– A czego się spodziewałeś? – Uznała, że lepiej zdusić w zarodku całą tę ponurość. Zresztą nauczyła się już całkiem nieźle rozpoznawać nastroje chłopaka i wiedziała, że Hubert wcale nie jest jakoś szczególnie nieszczęśliwy, marudził, bo wydawało mu się to stosowne do okoliczności, takie romantyczne i dramatyczne. – Umawiałeś się z duchem w wymarłej wiosce, jak dla mnie to całkiem niezły powód do nabijania. A teraz chodź, zanim Tamara będzie miała pretensje, że coś przed nią ukrywamy.

– Co jej powiemy?

– Nie mam pojęcia. Powiedz, co chcesz.

Hubert zdecydował się powiedzieć Tamarze prawdę, licząc zapewne, że jego duchowo-platoniczny romans zrobi odpowiednie wrażenie, lecz starsza dziewczyna niespecjalnie się przejęła.

– W porządku, skoro tę kwestię mamy wyjaśnioną, to chodźmy odwiedzić

Jacka – oznajmiła.

Hubert był zawiedziony, na szczęście jednak nie przeszkodziło mu to w nieco bardziej praktycznym myśleniu.

– Weź ze sobą tę taśmę – rzucił do Niny.

– Po co?

– Po drodze do szpitala są pokoje przesłuchań, a w nich projektory filmowe.

Nina wysiliła pamięć.

– Tam, gdzie mnie przesłuchiwali, żadnego projektora nie było. Tylko rzutnik do wyświetlania slajdów.

– A ja jeden projektor pamiętam. – Tamara poparła Huberta. – Myślałam nawet na samym początku, że będą pokazywać jakiś film, i byłam rozczarowana, jak się okazało, że tylko gadają.

– Niech wam będzie. – Nina wsunęła pod płaszcz taśmę, choć szczerze wątpiła, czy uda im się znaleźć miejsce, w którym będą mogli ją spokojnie obejrzeć.

Podeszli razem do siedzącej przy drzwiach Wydry.

– A wy dokąd? – zapytała kobieta groźnie.

– Towarzysz Żuk obiecał, że po pracy będziemy mogli odwiedzić kolegę w szpitalu – powiedział Hubert, a Tamara dodała:

– Jest już przecież po pracy.

Wydra patrzyła na nich przez chwilę z niechęcią, najwyraźniej szukając argumentu, żeby odmówić, wtrącił się jednak niespodziewanie przechodzący obok Żuk.

– Niech idą – powiedział. – Wyślę z nimi kogoś, żeby miał na nich oko.

Czyli nici ze znalezienia pokoju z projektorem, myślała Nina, kiedy szli korytarzem w towarzystwie młodego żołnierza o ponurym spojrzeniu.

Jacek siedział na szpitalnym łóżku, podparty poduszkami. Był tak blady, że jego twarz niemal zlewała się z pościelą, spod bandaża na głowie wystawały brudnobrązowe fragmenty wygolonej i wysmarowanej jodyną skóry, do lewego ramienia miał podpiętą kroplówkę. Nie wyglądał dobrze, ale przynajmniej był przytomny, a jego oczy na widok przyjaciół rozbłyły radością.

– Czuję się świetnie – oznajmił wbrew oczywistym faktom. – Niedźwiedź twierdzi, że jutro będę mógł wstać. Wiecie, co się dzieje? Słyszałem alarm, a potem ktoś biegał po korytarzach. I wszyscy wyglądają na cholernie zdenerwowanych, ale nie chcą mi nic powiedzieć, tylko powtarzają, że wszystko jest w porządku...

– Upiory zaatakowały Instytut, ale żołnierzom udało się je przegonić – wyjaśniła Tamara, a Hubert uzupełnił:

– Na razie, bo niedługo pewnie wrócą. Nie wiadomo, czy przetrwamy noc.

– Zgromadzili nas wszystkich we wspólnej sali, pewnie po to, żebyśmy w razie czego byli w jednym miejscu – dodała jeszcze Nina, a Jacek zmarszczył brwi.

– W razie czego? Kolejnego ataku upiorów?

– Na przykład. Albo gdyby trzeba było nas stąd wywieźć. Wrona wspomniała coś o ewakuacji.

Jacek się ożywił.

– Jest szansa, że nas stąd zabiorą?

– Szansa jest zawsze – odparła wykrętnie Nina, choć akurat w tym momencie pomyślała sobie, że gdyby faktycznie mieli ich ewakuować, już widziałyby przygotowania do wyjazdu. Za oknem zapadał powoli szemrzący deszczem zmierzch, a mało prawdopodobne, by żołnierze zamierzali jechać przez las w ciemności.

Umilkli na chwilę, przytłoczeni świadomością tego, co przyniesie nadciągająca noc. W Markotach też wyglądało to źle, a jednak sobie poradziliśmy, pomyślała Nina.

Tak, ale w Markotach mieliśmy przeciwko sobie tylko jednego potwora, a tutaj mamy jeszcze dodatkowo ICH, podpowiedział rozsądek.

Jacek poruszył się niespokojnie na łóżku, a radość w jego oczach zgasła.

– Muszę wam coś powiedzieć... – zaczął niepewnie.

– Wiemy, że to ty na nas doniosłeś – mruknęła Tamara. – Jeśli o to ci chodzi.

– Tak, ale... ale... Mogę to wytłumaczyć...

– Zacznij od początku – zaproponowała Nina.

Jacek pociągnął nosem.

– Początek był taki, jak mówiłem: do mojej szkoły przyszli Krogulec i Mewa i zabrali mnie prosto z lekcji. Ale potem... Nie zawieźli mnie od razu tutaj, tylko przekazali jednemu z nich, temu, z którym przyjechała Nina...

– Lisowi? – Dziewczyna miała przecucie, że dalszy ciąg tej historii bardzo jej się nie spodoba.

– Lisowi, tak. I on zabrał mnie nad morze, na taką pustą plażę i kazał wejść na stary pomost. Lis stał na początku, a ja na końcu, i cały się trząsałem, bo nie założyłem kurtki, a było bardzo zimno, wiecie, taki paskudny, wietrzny listopadowy dzień z drobnym deszczem. Fale cały czas zalewały mi stopy, przegniłe deski trzeszczały i... no, naprawdę się bałem. A Lis zaczął mówić:

że jestem ciężki i te deski długo nie wytrzymają, że przy takiej temperaturze w wodzie bardzo szybko następuje wychłodzenie i człowiek umiera, i tak dalej. Podawał nawet dokładne liczby i równania, takim spokojnym głosem, jakbyśmy byli w szkole. Prosiłem, żeby pozwolił mi zejść, a on powiedział...

– Że musisz najpierw wydać wszystkich, którzy byli w Markotach – uzupełnił Hubert, bo był to oczywisty wniosek.

Jacek przytaknął.

– Nie chciałem tego zrobić, ale wtedy ten pomost wreszcie się załamał i wpadłem do wody. Naprawdę była okropnie zimna, fale zalewały mi twarz, a Lis trzymał mnie za kołnierz koszuli i nie pozwalał się ruszyć, nie wiedziałem, że on jest taki silny, wcale nie wygląda na takiego... I naprawdę się bałem, że się utopię, więc zacząłem krzyczeć, że powiem mu wszystko, co pamiętam, a on mnie wyciągnął i nagle zrobił się strasznie miły, dał mi koc i gorącej herbaty i w ogóle. Powiedział, że dobrze zrobiłem, bo on obiecuje, że nikomu z Markotów nic się nie stanie, że nie chcą zrobić nam krzywdy... Przeziębilem się potem i musiałem parę dni leżeć tu w szpitalu, to była prawda.

– Zanim uciekliśmy samochodem, też rozmawiałeś z Lisem, tak? – upewniła się jeszcze Nina. – Powiedziałeś mu, co zamierzamy zrobić, a on ostrzegł cię przed upiorami w lesie?

Znekany Jacek skinął głową. Po twarzy spłynęły mu łzy i po chwili rozszlochał się na dobre. Nina czuła się okropnie, z jednej strony przejęta współczuciem, z drugiej dziwnie zażenowana – chłopcy w jej wieku rzadko płakali przy dziewczynach i jeśli już któryś zaczynał, to znaczyło, że musi być naprawdę bardzo źle.

Tamara i Hubert też mieli niepewne miny, ale szybciej się otrząsnęli.

– Nie przejmuj się tak strasznie – powiedziała Tamara, klepiąc Jacka po plecach. – Ja tam w sumie nie mam pretensji. Dzięki tobie od tygodnia nie oglądałam mojej macochy, a to już coś.

– Poza tym gdybyś ty im nie powiedział, zrobiliby to ktoś inny, i tak czy inaczej by nas znaleźli – uzupełnił Hubert. – Moim zdaniem byliśmy zgubieni już od Markotów.

– Jeśli to cię pocieszy – powiedziała Nina – to ja bym się złamała znacznie szybciej. Lis nawet nie musiałby trzymać mnie w tej wodzie.

Zawsze wcześniej wyobrażała sobie, że w takiej sytuacji byłaby bardzo dzielna, że zniosłaby każdy ból i każde cierpienie, zupełnie jak postacie w książkach, które czytała. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że rzeczywistość pewnie wyglądałaby całkiem inaczej. Nina nie była typem bohaterki,

owszem, potrafiła od czasu do czasu zdobyć się na akt desperackiej odwagi – jak wtedy, kiedy wyskoczyła z pociągu, ale długotrwały opór chyba nie był jej mocną stroną.

– Serio?

– Serio. – Pomyślała, że prawdopodobnie mówi prawdę, i zrobiło jej się smutno, zupełnie jakby żegnała się z wizją samej siebie jako bohaterki.

Jacek pociągnął nosem. Nadal nie patrzył im w oczy, ale przynajmniej przestawał płakać.

– Tamara i Hubert by wytrzymali – mruknął jakby z lekkim wyzwaniem.

– Tamara to kiepski przykład, ona odziedziczyła po Sławku akurat odpowiednią cechę i tak naprawdę to żadna jej zasługa, że jest teraz głupio odważna...

– Dzięki – powiedziała starsza dziewczyna, ale Nina nie zwróciła na nią uwagi.

– ...a Hubert naczytał się romantycznych książek i wydaje mu się, że jest ich bohaterem. Ja i ty jesteśmy normalni, dlatego powinniśmy trzymać się razem, jasne?

Chłopak raz jeszcze pociągnął nosem i skinął głową.

– Przepraszam – powiedział. – Ja... naprawdę przepraszam.

– Wszystko w porządku – powiedziała Tamara, a Nina powtórzyła za nią:

– Wszystko w porządku.

Choć wcale tak nie myślała. Gdyby Jacek nie był ranny i zrozpaczony, pewnie wszyscy by się na niego wściekli, ale w takiej sytuacji nikt nie miał sumienia robić chłopakowi wyrzutów. Tylko że to i tak nie zmieniało faktu, że znaleźli się w Instytucie, z perspektywą stawienia czoła upiorom oraz nikłą szansą na przeżycie najbliższej nocy. A niezależnie od żartów Tamary nie było to coś, co komukolwiek mogłoby się podobać.

W tym momencie Fretka wsunęła głowę do salki i powiedziała stanowczo:

– Koniec wizyty na dzisiaj. Pacjent musi odpocząć.

Tamara uściskała chłopaka serdecznie, Hubert podał mu rękę – co wyglądało trochę zabawnie, bo dziwnie oficjalnie, a Nina po chwili namysłu poszła w ślady przyjaciółki i objęła Jacka ostrożnie.

– Trzymaj się – powiedziała.

– Nic mi nie będzie. Jutro do was dołączę.

O ile będzie jakieś jutro, pomyślała Nina, ale nie powiedziała tego na głos.

Nie zdążyła zdjąć płaszcza ani nawet wyjąć spod niego taśmy filmowej, którą wciąż podtrzymywała rękami.

Nie zdążyła zrobić niczego, bo gdy weszli do wspólnej sali, na środku stała już grupa kilkunastu więźniów, a Żuk odczytywał kolejne kody.

– 57TA – mówił. – 4BR, 11AM. I 77WR. Proszę ustawić się w szeregu. A teraz pójdziecie za żołnierzami, którzy zaprowadzą was do pokoiów przesłuchań.

Nina spojrzała na Tamarę i Huberta, ale na ich twarzach zobaczyła tę samą bezradność i ten sam lęk. Potem poszukała wzrokiem dalej, wśród więźniów, których ledwo znała. Wszyscy odwracali spojrzenia od stojącej na środku grupki, jakby jej członkowie byli zadżumieni. Jakby ich los został przypieczętowany i nikt nie chciał zarazić się czerwoną kartką. Tylko Lena patrzyła Ninie w oczy. Przez chwilę wyglądało na to, że piękna szatynka chce coś powiedzieć, ale zrezygnowała.

Nina nie była zdziwiona, mogła przecież się tego spodziewać. Odruchowo spróbowała sobie przypomnieć, co Lis napisał na zdjęciu. „Pożar, kamień, most, wieża, dziewczyna”...

A potem, kiedy ich wyprowadzali z sali, uświadomiła sobie z nagłym, niemal bolesnym uderzeniem paniki, że to nie ma znaczenia, bo przecież już nie może Lisowi ufać.

Rozdział trzynasty, w którym Nina dowiaduje się, co oznacza czerwona kartka, a także dostaje propozycję nie do odrzucenia.

Zdejmij płaszcz – powiedziała Ćma.

Nina nawet nie drgnęła. Miała wrażenie, że przytulona do brzucha taśma pali ją żywym ogniem. Co teraz? Najchętniej pozbyłaby się trefnego przedmiotu już na korytarzu, wciskając go gdziekolwiek, choćby za jedną z rur, ale jak na złość odprowadzający dziewczynę żołnierz ani na moment nie spuszczał z niej oka.

– Na co czekasz? – Ćma pogoniła Ninę.

– Zimno mi, wolę zostać w płaszczu.

– Bzdura, tu jest gorąco.

– Nie powiedziałam, że tu jest zimno, tylko że mnie jest zimno. To różnica.

Ćma spojrzała na nią, a w jej błękitnych oczach pojawił się stalowy błysk – w tym momencie dziewczyna pomyślała, że z tą kobietą nie ma żartów. Choć w gruncie rzeczy wiedziała o tym już wcześniej, to była tylko żalosna próba zyskania jeszcze kilku cennych sekund.

– Zdejmij płaszcz – powtórzyła Ćma, jakby nawet nie usłyszała odpowiedzi. Nie podniosła głosu, ale w jej słowach było coś takiego, że Nina od razu pojęła, jak bardzo bezsensowny jest opór.

Stała przy niewielkim szklanym stoliczku, odwróciła się plecami do białowłosej kobiety (zajętej akurat przy maszynie odczytującej fale mózgowe), po czym powoli zaczęła rozpinać guziki. Przy czwartym wysunęła taśmę spod ubrania, położyła ją na stoliku i szybko przykryła. Teraz bała się jedynie tego, że Ćma każe jej odwiesić okrycie na wieszak, wtedy Nina miałaby, mówiąc słowami markockiego anioła, przerąbane.

Jednak kobieta na stolik nawet nie spojrzała, tylko ruchem głowy poleciła jej usiąść na fotelu. Nina zawahała się. Miała okropne przeczucie, że to już ostatnie przesłuchanie, że właśnie teraz zdecyduje się jej los. Cokolwiek powie w tym pomieszczeniu, potem nie będzie już odwrotu.

– Siadaj. – Ćma spojrzała na nią z odruchową surowością, ale bez większego zainteresowania, niemal z roztargnieniem, jakby myślami przebywała zupełnie gdzie indziej. Nina pomyślała sobie, że dla tej kobiety prawdopodobnie jest tylko kolejnym kodem; w tym pokoju znaczyła nie

więcej niż dla pracownika fabryki przesuwający się po taśmie samochód. Kiedy stąd wyjdzie, Ćma pewnie nawet nie będzie pamiętać jej twarzy.

– Proszę – szepnęła, sama nie wiedząc za bardzo, o co właściwie prosi. Żeby Ćma zlitowała się i darowała jej to przesłuchanie? Podpowiedziała właściwe odpowiedzi? A może żeby zwyczajnie okazała się człowiekiem – tak jak Tamara prosiła Wronę, by nie donosiła na Marysię?

Najwyraźniej jednak białowłosej kobiecie daleko było do człowieczeństwa.

– Siadaj. – Znowu ten ton, niby zwyczajny, a jednak z wyraźną nutą „bo-nie-będę-więcej-powtarzać”. Nina naprawdę wolałaby krzyk, to znaczyłoby przynajmniej, że jest w jakiś sposób ważna.

Niezgrabnie wdrapała się na fotel. Ćma nałożyła jej na głowę metalowy czepek, a potem, ku przerażeniu Niny, skórzanymi pasami przypięła jej ręce do poręczy fotela.

– Co pani robi? – wrzasnęła dziewczyna. – Niech mnie pani puści!

– Nic ci się nie stanie – powiedziała Ćma obojętnym tonem człowieka, który powtarzał to zdanie już tyle razy, że przestał zwracać uwagę na jego treść. Mogła uspokajać Ninę, a jednocześnie myśleć o najnowszym filmie, jaki widziała w kinie, albo układać w głowie listę zakupów, albo... Wszystko jedno co.

Białowłosa kobieta podeszła do przeszklonej szafki (Nina bała się przez chwilę, że zmierza do stolika, który stał niedaleko), wyjęła z niej fiolkę i strzykawkę.

– Ratunku! – zawyła Nina, choć doskonale wiedziała, że to bez sensu.

– Nie krzycz. – Ćma skrzywiła się lekko. – Mówiłam, że nic ci nie będzie.

– Na pomoc! – darła się dziewczyna.

Kobieta napełniła strzykawkę, a potem wbiła igłę w unieruchomione ramię.

Świat rozmazywał się i odpływał. Nina wiedziała, że powinna się bać, ale nagle zrobiło jej się to dziwnie obojętne. Jakby ktoś krzyczał do niej z drugiego pokoju, a ona myślała sobie: „Spokojnie, mam czas, przecież to nic pilnego, zaraz pójdę i zobaczę, co się dzieje”. To „zaraz” zmieniało się w sekundy, a te z kolei w minuty. Nad dziewczyną wisiała twarz jasna niczym księżyc w pełni, z lodowatymi niebieskimi oczami. Te oczy bardziej irytowały Ninę niż wrzaski przerażenia, które próbowały przebić się do jej świadomości. – Pamiętasz zasady?

Ćma musiała powtórzyć pytanie dwa razy, zanim otrzymała odpowiedź.

Na ekranie wyświetliły się zdjęcia. Ponury las, a w nim przerażona dziewczynka, płonący dom i krzycząca z okna kobieta z zapłakany dzieckiem na rękach. Ojciec bijący pasem syna, matka na moście szarpiąca za włosy córkę. Skatowane i zagłodzone dzieci, krew, śmierć i wytrzeszczone w przerażeniu oczy. W porównaniu z tymi obrazkami oglądane niedawno fotografie z miejsca zbrodni wydały się Ninie dziecięcymi kolorowankami.

Nie chcę na to patrzeć, myślała.

Zamknęła oczy i w tym momencie Ćma uderzyła ją w twarz. Niezbyt mocno, silniejszy był szok niż ból.

– Które zdjęcie?

– To z wieżą.

Pod wieżą kulił się wychudzony pies z poszarpanym kikutek zamiast prawej łapy. Ninie zrobiło się niedobrze, mdłości przebijały się przez oszołomienie szybciej i łatwiej niż strach.

– Które?

Nie mogła przecież wierzyć Lisowi. Porucznik skłamał, mówiąc, że nikomu z Markotów nic się nie stanie – bo przecież Mariusz dostał czerwoną kartkę. Ale i tak najgorsza była myśl o Jacku, który płakał na samo wspomnienie Lisa. Jakim trzeba być człowiekiem, żeby w ciągu jednego popołudnia doprowadzić do takiego stanu rozsądnego, odważnego czternastolatka? Jak można w ogóle rozważać zaufanie komuś takiemu?

– Które?

Na jednym obrazku dziewczyna, na drugim chłopak: ona kulila się, cała posiniaczona, w szafie, jego bił jakiś młodociany bandzior. Nina miała dość.

– Czy mogłaby pani otworzyć okno? – zapytała, choć formułowanie całych zdań przychodziło jej z trudem, słowa bezustannie gdzieś umykały, a nogi i ręce miała ciężkie jak odlane z żelaza.

– Które?

– Proszę.

Ćma spojrzała na Ninę z zainteresowaniem, po czym podeszła do okna i zaciągnęła zasłony. Potem przekręciła klucz w drzwiach.

– Nikt z tego pokoju nie wyjdzie, dopóki nie odpowie na wszystkie pytania.

Nina przesunęła językiem po suchych wargach. Starła się wmówić sobie, że jest przecież bezpieczna, to nie było małe pomieszczenie, więc nie zabraknie jej powietrza. Ale to nie pomogło, już zaczynała czuć, że się dusi, ogarniała ją panika, tłumiąc resztki rozsądku.

– Które zdjęcie?

– Chłopak.

Następna para. Nina znowu zamknęła oczy i znowu dostała w twarz, tym razem zdecydowanie mocniej. Deszcz uderzał o szyby, dziewczyna czuła krążącą w swych żyłach moc.

– Które?

Drugi raz odpowiedziała dokładnie odwrotnie, niż chciał tego Lis. I trzeci. Powinna poczuć się lepiej, ale czuła się coraz gorzej. W porządku, porucznik Lis był draniem, to nie ulegało wątpliwości. Ale co, jeśli mimo to z jakichś sobie tylko wiadomych powodów naprawdę chciał Ninie pomóc? A ona właśnie wszystko zepsuła?

– Możemy... możemy cofnąć się do poprzedniego zdjęcia?

– Nie. Mówiłam ci, odpowiadasz bez namysłu i tylko raz.

– Proszę!

– Które?

Dziewczyna oddychała z coraz większym trudem, pokój nagle wydał się jej zdecydowanie mniejszy niż wcześniej, jakby się skurczył. Deszcz wciąż stukał w szybę, a ona miała wrażenie, że każda kropla boleśnie uderza w jej czaszkę. Łup, łup, łup. Odsłonięte nerwy wibrowały, moc krążyła w żyłach, dopraszając się, żeby jej użyć.

Odpowiedziała byle co, coraz mniej zdolna do myślenia.

– A teraz?

Nina dusiła się, czując, jak ogarnia ją ciemność, i właśnie wtedy, na granicy utraty przytomności, coś się stało, zupełnie jakby ktoś przycisnął guzik, wyłączając to, co w dziewczynie było ludzkie, a zostawiając tylko szamocące się w pułapce przerażone zwierzę. Nie pamiętała już, że nie powinna używać mocy.

A nawet jeśli pamiętała, nic jej to nie obchodziło.

Pierwszym, co do niej dotarło, kiedy odzyskała świadomość, było pełne satysfakcji westchnienie Ćmy, a potem odgłos klucza przekręcanego w zamku.

– Możesz wstać – powiedziała kobieta, odpinając Ninę od fotela. – I wytrzymaj twarz. Tu masz chusteczkę.

Dziewczyna odruchowo uniosła ciężką rękę i zrobiła, co jej kazano. Na białym płótnie zostały smugi krwi.

Znajdowali się w pokoju przypominającym poczekalnię dworcową, były tu

twarde ławki, duży zegar na ścianie i plakaty wychwalające socjalistyczną pracę, brakowało jedynie głosu z megafonów zapowiadającego przyjazdy i odjazdy pociągów. Sześć osób: cztery dziewczyny i dwóch chłopców, wszyscy w wieku od dwunastu do szesnastu lat. Nigdy jeszcze grupa młodych ludzi nie siedziała w tak absolutnej, doskonałej ciszy.

Z korytarza dobiegały strzępy rozmowy. Ninie udało się wychwycić słowa: „...sześć jednego dnia...” i „po raz pierwszy”, a potem jeszcze „czerwona kartka”.

Gdy usłyszała to ostatnie, przesunęła wzrokiem w dół, na koszule i bluzki towarzyszy niedoli. Wszyscy na piersiach mieli przypięte szpilkami czerwone kartoniki wielkości dłoni. Nina nadal była zbyt odrętwiała, żeby choć ruszyć głową (mętnie pamiętała, że jeden z młodych żołnierzy musiał ją zawlec do tego pokoju), ale miała pewność, że dokładnie taka sama kartka zdobi gors jej sukienki.

Chłopak siedzący naprzeciwko zamrugął sennie, a z półotwartych ust wyciekła mu strużka śliny. Nina gapiła się, starając się przypomnieć sobie jego imię. Wydawało jej się, że powinna go pamiętać – czy to nie był przypadkiem Janek, który miał łóżko obok Huberta?

Janek, na pewno. Drobnym piegowatym blondynem, który bardzo nie lubił, kiedy ktoś mówił na niego Jaś albo Jasiek.

Z ulgą zajęła się myślą o ucieczce. Wiedziała, że powinna coś zrobić, jeśli chciała przeżyć. Teraz, zaraz, natychmiast. Zanim jednak wymyśliła cokolwiek, znowu odpłynęła w ciemność.

– Nina? Oprzytomnij, nie mamy dużo czasu.

Z niechęcią (w ciemności było całkiem przyjemnie) otworzyła oczy i rozejrzała się. Poczekalnia zniknęła, a ona znowu znajdowała się w jednym z pokoiów, w których prowadzono przesłuchania. Niedaleko stał charakterystyczny fotel, przed nim wisiał biały ekran, lecz zamiast rzutnika do wyświetlania slajdów był tu projektor filmowy, a Nina nie siedziała w fotelu, tylko na krześle za stołem.

Na drugim krześle siedział porucznik Daniel Lis.

Kiedy otworzyła oczy, wstał i przysunął krzesło Niny bliżej ekranu. Trzymał coś w ręku, a dziewczyna dopiero po dłuższej chwili uświadomiła sobie, co to takiego.

Jej płaszcz. A pod nim taśma filmowa.

Lis rzucił płaszcz na fotel, taśmę założył na szpulę projektora.

– Chciałaś obejrzeć ten film, prawda? Więc patrz.

Zamierzała zaprotestować, że nie, wcale już nie chce tego oglądać, jednak żadne słowo nie przedostało się przez jej gardło. Porucznik Lis włączył projektor, Nina patrzyła.

Na początku było pomieszczenie, zwyczajne, niemal puste, ze stojącym pośrodku jednym jedynym meblem. Fotel wyglądał zupełnie jak te, które znajdowały się w pokojach przesłuchań (miał nawet pasy do przypinania rąk i nóg), ale obok nie było urządzeń, które mogłyby mierzyć fale mózgowe czy cokolwiek innego siedzącemu na nim człowiekowi.

Tylko pusty fotel i cztery puste ściany. Potem drzwi się otworzyły, a Nina zrozumiała, że ogląda wnętrze pomieszczenia oznaczonego kartką z napisem „Nie przeszkadzać – operacja w toku”.

Czerwoną kartką, oczywiście.

Do pokoju weszli dwaj żołnierze, prowadząc między sobą Mariusza. A właściwie wlokąc go, bo półprzytomny chłopak zwisał między nimi niczym wielka lalka, usiłująca nieźbornie i bez większego powodzenia przebierać nogami. Włosy miał zlepięte potem, pod nosem zaschła mu krew. Żołnierze posadzili chłopaka na fotelu, a on natychmiast się osunął, podciągnęli go więc z powrotem. Jeden z żołnierzy zaśmiał się i powiedział do drugiego coś, czego Nina nie zrozumiała.

Mariusz starał się trzymać głowę prosto, choć widać było, z jakim trudem mu to przychodzi. Miał półprzymknięte oczy, pod powiekami połyskiwały białka oczu.

Jeden z żołnierzy zwrócił się do kogoś poza kadrem i widocznie otrzymał odpowiedź, bo skinął głową, stanął na baczność, a potem razem z kolegą wymaszerował z pokoju.

Gdy drzwi zamknęły się za nimi, w kadrze pojawiła się Fretka, jasnowłosa i urocza jak zawsze. W dłoni trzymała strzykawkę. Poglaskała Mariusza po wilgotnych włosach, krótko, ale z prawdziwym uczuciem, i szepnęła mu coś na ucho, jakby zdradzała wielką tajemnicę.

Po czym wbiła chłopcu igłę w szyję i wcisnęła tłoczek.

Mariusz zwiotczał, jeszcze zanim płyn na dobre spłynął do żyły. Rysy jego twarzy obwisły, głowa opadła na bok. Wszystko rozegrało się błyskawicznie, w ciągu zaledwie kilku sekund.

Chłopak nie żył, a Nina desperacko zamknęła oczy.

– Nie chcę na to patrzeć – szepnęła.

– Spokojnie, to już koniec. – Sądząc po odgłosach, Lis zdejmował taśmę

z projektora. – Spójrz na mnie. Musimy porozmawiać.

Odwrócił jej krzesło tak, że ekran miała za plecami, a przed sobą siedzącego po drugiej stronie stołu Lisa. Mogła mówić i kręcić głową, ale nadal odnosiła wrażenie, że gdyby spróbowała wstać, nie utrzymałaby się na nogach. Nie była nawet w stanie wytrześć ciekących po twarzy łez.

Mężczyzna zdjął z przegubu zegarek i położył go przed Niną.

– Mamy cztery minuty, żeby się jakoś dogadać – oznajmił.

– Czy oni... zrobią ze mną to samo? – zapytała. O dziwo, narkotyk, który jej dali, zaczynał działać na jej korzyść, bo była w stanie jako tako myśleć, a jednocześnie strach nadal był mocno przytłumiony.

Lis przytaknął.

– Chyba że ci pomogę. Mogę to zrobić, pod warunkiem że jesteś tym, kim myślę, że jesteś. Szukam nastolatków, którzy latem w Markotach pokonali Bestię z Kręgu, a szczególnie tego, kto po zmarłym Sławku odziedziczył bystrość. Zakładam, że to ty.

– Tak. – Uznała, że nie ma sensu się wypierać.

Trzy i pół minuty.

– Udowodnij to.

– Jak?

– Zaskocz mnie czymś, czego nie powinnaś wiedzieć.

Tik, tak, tik, tak. Dziewczyna miała pustkę w głowie.

Trzy minuty.

– Nino?

– Helena z grupy D ma romans z jednym z żołnierzy – wypaliła nagle. – Nie znam jego imienia, porozumiewają się za pomocą stukania w rury...

Lis uniósł lekko brwi.

– Coś mniej osobistego?

Milczała, czas płynął, oszołomienie i słabość mijały, a na ich miejsce wracał strach. Nina zacisnęła wilgotne od potu dłonie na krawędzi krzesła.

– A jeśli... jeśli udowodnię, że jestem bystra, co wtedy?

– Będziesz pracować dla nas.

Zamrugła.

– To znaczy dla kogo? Komunistów?

– Potem ci wyjaśnię. Zostały dwie minuty.

Jej noga pod stołem podskakiwała, jakby ktoś przywiązał do niej sznurek, a potem szarpał za niego dla zabawy. W górę, w dół, w górę, w dół.

Tik, tak, tik, tak.

– Co miałabym robić?

– Powiedzmy, że pomagać nam w sprawach związanych z magią.

Oblizwała suche wargi.

– Musiałabym... krzywdzić ludzi?

– Wręcz przeciwnie, wielu mogłabyś pomóc.

Półtorej minuty. Tik, tak, tik, tak.

– Nie wierzę panu – wybuchnęła Nina. – Okłamał pan Jacka, omal go nie utopił, a potem powiedział, że nikomu z Markotów nic się nie stanie... Dlaczego miałabym panu ufać?

– Bo z dwojga złego lepiej być okłamaną niż martwą? – Pochylił się w jej stronę. – Nie chcę, żebyś mi zaufała, w twojej sytuacji to byłaby głupota, a ty nie jesteś głupia, mam nadzieję. Chcę tylko, żebyś zrozumiała, jaki masz wybór: pójść teraz do pokoju z czerwoną kartką i dostać zastrzyk trucizny albo pracować dla nas. I ten wybór będziesz miała zawsze, jeśli któregoś dnia uznasz, że śmierć jest lepsza od tego, czego będziemy od ciebie wymagać, w każdej chwili możesz się na nią zdecydować. Nawiasem mówiąc, zostało trzydzieści sekund.

Tik, tak.

– Nino?

Może istniała jakaś szansa. Niewielka, ale jednak.

Dwadzieścia pięć.

– Kojarzy pan ten przypadek, kiedy ktoś pomylił kody i zabrali do kościoła niewłaściwą osobę? Kogoś, kto wcale nie był sierotą?

Lis skinął głową. Dwadzieścia sekund.

– Wie pan, ile ten ktoś wytrzymał z upiorami? Dłużej niż sieroty? Krócej?

– Mniej więcej tyle samo.

Piętnaście.

– Józef Kozioł, brat fotografa. Czy on rzeczywiście coś napisał?

– Tak.

Dziesięć.

– Gdybym mogła zobaczyć jego książkę...

– Mam ją w swoim pokoju.

Pięć.

Lis patrzył wyczekująco. Jeszcze jedna sekunda i wskazówka stanęła na pełnej godzinie.

– Wiem, jak złamać klątwę – powiedziała Nina.

Porucznik Lis przechylił się przez stół i odpiął z sukienki Niny czerwoną kartkę.

– Zostań tu – polecił. – Niezależnie od tego, co będzie się działo, nie wychodź z tego pokoju. Przyjdę po ciebie za jakiś czas.

Odczekała chwilę, a potem zaryzykowała i wstała – nogi nadal wydawały jej się dziwnie ciężkie i jakby nie jej, ale szczęśliwie dotarła na nich pod drzwi. Dopiero tam musiała kucnąć, bo trochę kręciło jej się w głowie.

Przyłożyła ucho do drewnianej powierzchni i nasłuchiwała. Na korytarzu słychać było ciężkie żołnierskie kroki – co najmniej sześć osób, może więcej – potem ktoś coś powiedział, lecz Nina z trudem rozróżniała słowa. „Przyszedliśmy po czerwone kartki” – tak, to chyba było to. Ów ktoś dodał jeszcze jedno zdanie, zakończone „...zgadza się?”, przez moment panowała cisza, a potem żołnierskie kroki znowu rozbrzmiały, tyle że teraz między nimi słychać było jednostajne szuranie, dźwięk, jaki mogłyby wydawać buty ciągnięte po betonowej posadzce korytarza.

Nina wróciła na krzesło i zatkała uszy. Po namyśle zmieniła miejsce – usiadła na podłodze plecami do ściany, skulona, z głową schowaną w ramionach. Nie wiedziała, ile tak przesiedziała. Wydawało jej się, że godziny, w rzeczywistości jednak mogło to być jakieś czterdzieści minut.

Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem.

– Chodź – powiedział Lis.

Na korytarzu nie było nikogo, tylko na posadzce brązowiło kilka kropli krwi. Nina nie chciała na nie patrzeć. Porucznik zaprowadził ją na trzecie piętro, do niewielkiego pokoju z małą kuchenką.

– Tu powinnaś być bezpieczna – oznajmił, napełniając czajnik wodą.

Nina milczała. O dziwo, nie myślała o Mariuszu – w końcu już jakiś czas temu założyła, że markocki kolega prawdopodobnie jest martwy, i pogodziła się z tym. Bardziej obchodzili ją w tej chwili ci, z którymi siedziała w pokoju wyglądającym jak poczekalnia. Jeszcze godzinę temu wszyscy żyli, a teraz już nie, jakby cały świat nagle został postawiony na głowie. Nina żałowała, że przypomniła sobie imię piegowatego blondynka, wygodniej było uważać go za kogoś zupełnie obcego, czyjaś śmierć w żadnym razie jej nie obchodzi. Jak w kinie, nie naprawdę. I w uszach cały czas miała tamto szuranie butów o betonową posadzkę korytarza. Ale przede wszystkim czuła ulgę – że to nie ona umarła w pokoju z czerwoną kartką, że zyskała przynajmniej kilka godzin, w czasie których zdarzyć się może wszystko. I nic nie potrafiła na tę ulgę poradzić.

– Mogłam powiedzieć cokolwiek – odezwała się, gdy Lis parzył herbatę. –

Na przykład, że Mysz chce nas wszystkich otruć albo coś w tym rodzaju. Nie byłby pan w stanie tego sprawdzić.

– Nie, ale kazałbym ci wyjaśnić, skąd o tym wiesz. Możesz być bystra, ale w ciągu kilku sekund nie wymyśliłabyś całego łańcucha poszlak i dowodów.

Skinęła głową. Zgadza się, nie wymyśliłaby.

– Tego o łamaniu klątwy już nie musiałam udowadniać – przypomniała tylko.

Lis postawił przed nią metalowy kubek.

– Powiedzmy, że w tym przypadku byłem skłonny zaryzykować.

– A jeśli mi się nie uda, to co? Jednak dostanę ten zastrzyk?

Zignorował jej pytanie i sięgnął po cukiernicę.

– Dwie kostki?

Nina zacisnęła usta. Powinna być wdzięczna – i właściwie była – ale silniejsze okazały się niechęć i nieufność.

Porucznik Daniel Lis westchnął.

– Nie próbuję być miły, rozumiesz? Dbam tylko, żebyś nie zemdląла z odwodnienia. Wyciągnąłem cię z tamtego pokoju, ponieważ potrafisz myśleć, a trudno to robić, jeśli człowiek jest spragniony i głodny. Napij się. Później przyniosę ci coś do jedzenia.

Nina po chwili wahania sięgnęła po kubek.

– Oni wszyscy myślą, że nie żyję, prawda? Gdyby się okazało, że jednak nie dostałam czerwonej kartki, miałyby pan kłopoty?

– Nie ekscytuj się tak bardzo. – Lis wrzucił do swojej herbaty dwie kostki cukru. – Moje kłopoty na pewno byłyby mniejsze niż twoje. Czego potrzebujesz do złamania klątwy? O ile naprawdę potrafisz ją złamać.

Dziewczyna pokręciła głową. Bała się, ale w gruncie rzeczy wiedziała, że nie ma wyjścia. To był ostatni moment na pokazanie Lisowi, że z Niną należy się liczyć. Jeśli nie zrobi tego teraz, potem będzie za późno.

– Najpierw chcę usłyszeć odpowiedzi na kilka pytań.

Spodziewała się protestów, tłumaczenia „nie mam czasu” i tym podobnych wykrętów. Zamiast tego Lis odchylił się na krześle i rzucił lakonicznie:

– Pytaj.

– O co chodzi z tymi czerwonymi kartkami? Dlaczego zabijacie dzieci?

– Przecież wiesz.

– Ponieważ są niebezpieczne? Mają magiczną moc i nie potrafią jej kontrolować?

Przytaknął.

– Albo potrafią, ale używają jej do krzywdzenia innych. W gazetach często

ostatnio piszą o takich sprawach. Rodzice, którzy nagle jakimś cudem wyparowali, tajemnicza śmierć szkolnych prześladowców czy wymagających nauczycieli. Znam przypadek, kiedy rozzłoszczony dziesięciolatek wysadził w powietrze pół kamienicy. Podobno ojciec odmówił kupienia mu nowych łyżew. Wszystkim tym tragediom moglibyśmy zapobiec, gdybyśmy znaleźli te dzieci odpowiednio wcześniej.

Nina pomyślała o Michale z Lubomierza, Bercie z Katowic i chłopcach, którzy umarli na boisku szkolnym w Gołdapi – ale to w żaden sposób nie zmieniło niesprawiedliwości tego wszystkiego.

– Zabijacie niewinnych, jeszcze zanim zdążą zrobić coś złego.

– A znasz inne wyjście? Jeśli tak, chętnie posłucham. Naprawdę. Te dzieci to odbezpieczone bomby na dwóch nogach, kiedy wybuchają, jest za późno, żeby kogokolwiek ratować.

– Macie przecież to coś, co blokuje zdolności magiczne...

– Mamy – przyznał Lis. – Bardzo sprytny wynalazek, dodajemy go tutaj do wszystkich posiłków. Problem w tym, że to działa najwyżej przez tydzień. Potem organizm się uodparnia i równie dobrze mogłabyś codziennie pić szklankę wody.

– Możecie... możecie zamknąć gdzieś tych naprawdę niebezpiecznych...

– Jasne, bo zamknięcie świetnie działa na przykład na ciebie.

Nina zacisnęła palce na uchwycie kubka, a potem rzuciła nim w ścianę. Resztki herbaty spłynęły po brzydkiej olejnej farbie.

Lis czekał cierpliwie.

– To najbardziej obrzydliwe i wstrętne usprawiedliwienie zbrodni, jakie kiedykolwiek słyszałam – oznajmiła Nina. – Nigdy w życiu nie zabiłabym kogoś tak... na wszelki wypadek!

– Może dlatego nie ty musisz to robić. I nie krzycz. Jesteśmy co prawda daleko, ale i tak ktoś może nas usłyszeć.

– Ja też jestem niebezpieczna, prawda? – Miała na tyle rozsądku, żeby ściszyć głos. – I też powinnam umrzeć, bo inaczej mogę kogoś skrzywdzić.

– Owszem, choć w twoim przypadku istnieje kilka okoliczności łagodzących. Po pierwsze magia markocka działa tylko w specyficznych warunkach, a po drugie, jakoś nie widzę cię w roli dziewczyny wysadzającej w powietrze rodziców, bo odmówili pieniędzy na nową sukienkę. Problem za to tkwi w tym, że masz klaustrofobię.

– Klaustrofobię?

– Aha. Powinnaś sprawdzić w tej twojej książce. Założę się, że nie doczytałaś jej do końca.

Musiała przyznać, że nie – i nie pytała już nawet, skąd Lis wie o *Psychiatrii*.
– To jakaś choroba?

Skinął głową.

– Lęk przed ciasnymi zamkniętymi pomieszczeniami. Wpadasz w panikę, brakuje ci powietrza i zaczynasz się dusić, choć tak naprawdę masz wystarczająco dużo tlenu, żeby przeżyć.

– Naprawdę się duszę.

– Wcale nie, tylko twój mózg cię oszukuje.

Nina zawsze uważała, że jej niechęć do przebywania w zamkniętych pomieszczeniach to zwykłe dziwactwo. Nigdy nie pomyślała, że to może być choroba, w dodatku nazwana.

Klaustrofobia. Brzmiało cudacznie, jak imię włochatego pajaka, a jednak poczuła się odrobinę pocieszona faktem, że nie jest jedyną osobą, która tak reaguje na brak przestrzeni. Choć z drugiej strony poczuła też niepokój. Czy to znaczyło, że była szalona, jak matka Huberta, albo Ofelia z *Hamleta*?

Lis musiał zgadnąć, o czym dziewczyna myśli, bo uśmiechnął się uspokajająco.

– To fobia, nie choroba psychiczna. Nie jesteś wariatką.

– Czy na tę fobię jest lekarstwo? Jakies tabletki?

– Z tego, co wiem, nie.

– I co teraz?

– Teraz mam szczerą i głęboką nadzieję, że nikt nie zamknie cię w komórkę na węgiel, kiedy akurat pada deszcz. Gdybym był wierzący, zapaliłbym w tej intencji świeczkę w kościele.

Nina przypomniała sobie zaśnieżone szkolne podwórze i jasnowłosą dziewczynę wnoszoną do karetki.

– Nie boi się pan, że kiedyś naprawdę zrobię komuś krzywdę? Na przykład panu? – Nie mogła sobie odmówić odrobiny złośliwości.

– Boję się – przyznał z zaskakującą szczerością. – Ale uznałem, że warto zaryzykować. Masz jeszcze jakieś pytania?

– Te obrazkowe testy... Naprawdę można rozpoznać, kto nie panuje nad mocą, tylko po tym, że ten ktoś wybrał na zdjęciu psa zamiast kota?

– A, to. – Lis wstał, podniósł kubek i odstawił go na kuchenkę. – Nie ma znaczenia, co wybierasz. Podałem ci parę odpowiedzi, bo liczyłem, że jeśli się na nich skupisz i uwierzysz, że są prawidłowe, mniej się będziesz bała.

– Te testy mają wywołać strach?

Przytaknął.

– Strach, złość, bezradność, wszystkie prymitywne uczucia, które

najczęściej są odpowiedzialne za wyzwolenie mocy. Coś jeszcze?

– Tak. Kim pan właściwie jest? I dla kogo pan pracuje?

– Później. Teraz naprawdę nie mamy na to czasu. Niedługo upiory znowu zaczną atakować.

– Dlaczego nas stąd nie zabierzecie? Słyszałam coś o ewakuacji...

Skrzywił się ledwo dostrzegalnie.

– Drogi są zalane, wozy terenowe by przejechały, ale ciężarówki na pewno nie. Jesteśmy skazani na siedzenie tu, aż deszcz przestanie padać i poziom wody opadnie.

– To dlaczego czekaliście tak długo?

– Bo zarządzający Instytutem jest idiotą? – Tym razem porucznik skrzywił się nieco wyraźniej. – Nie masz innych pytań?

– Mam. Na przykład chciałabym wiedzieć, o co chodziło z tą zagadką chaty węglarza i zdjęciami. To miał być test, czy jestem bystra, tak?

– Sama sobie odpowiedziałas.

– Tylko tyle?

Lis milczał przez chwilę.

– Mój brat nikogo nie zabił – powiedział wreszcie. – A ja miałem trochę nadziei, że uda ci się trafić na coś, co przez te wszystkie lata przegapiłem. Ale to teraz i tak nie ma znaczenia...

– Moment, skąd pan wie, że Antek nikogo nie zabił? Bo był pana bratem?

– Naprawdę uważasz, że jestem tak naiwny? Antek nie zabił naszych rodziców, bo kiedy umierali, bawił się ze mną w drugiej izbie, to pierwsze, najwyraźniejsze wspomnienie mojego dzieciństwa. Ale jak powiedziałem, to nie ma znaczenia, teraz musimy skupić się na kłównie. Mogę przynieść ci książkę Józefa Kozła, jeśli jej potrzebujesz.

– Skąd pan ją właściwie ma? I te zdjęcia?

– Długa historia.

– A tak w skrócie?

– Kiedy wieśniacy powiesili Antka, Kozłowie doszli do wniosku, że pora zwijać manatki. Wyjeżdżając, zabrali mnie, bo prosiła o to jedna z kobiet, podobno argumentując, że we wsi i tak nikt nie będzie chciał wychowywać Żyda i brata mordercy. W ten sposób ze Starych Kątów przeżyły trzy osoby, wszyscy pozostali zginęli następnej nocy. Ja miałem tyle szczęścia, że kiedy bracia zostawiali mnie w białowieskim sierocińcu, Jan Kozioł podał swoje imię i nazwisko, a nawet zawód. Dlatego mogłem odnaleźć go po latach. Okazało się, że Józef zmarł w 1941, ale Jan wciąż żyje. Dostałem od niego zdjęcia i książkę Józefa. To wszystko?

- Chyba tak. Będę potrzebować tej książki i raportów z kościoła.
- W porządku.
- I Tamary oraz Huberta, żeby mi pomogli. I tej dziewczyny, Leny, nie pamiętam, jaki ma kod...
- Wiem, która to Lena.
- Żeby... żeby... – Ninie nagle zabrakło konceptu.
- Przygrywała ci na harmonijce, kiedy będziesz pracować. Jasne, nie ma sprawy.

Nina podeszła do okna i spojrzała. Deszcz wciąż padał, woda na placu przed fabryką sięgała już żołnierzom do połowy łydek. Z tej wysokości wydawali się maleńcy jak mrówki, ale i tak w ich ruchach widać było nerwowość. Jeden z samochodów utknął tuż przy bramie i grupa młodych ludzi w mundurach próbowała właśnie wypchnąć go z głębokiej kałuży. Pozostali biegali tam i z powrotem, znosząc pod ogrodzenie worki z piaskiem, zupełnie jakby przygotowywali się do oblężenia. Czy takie prowizoryczne barykady powstrzymają upiory? Nina szczerze w to wątpiła, ale z drugiej strony lepiej zrobić coś niż nic.

Drzwi za jej plecami otworzyły się i do pokoju weszli Hubert i Tamara. Dziewczyna niosła talerz kanapek, a chłopak stertę teczek i książkę.

– Lis nam o wszystkim opowiedział – powiedziała Tamara, stawiając kanapki na stoliku. – Rany, ale numer!

Nina nie określiłaby tak tego, co ostatnio się wydarzyło, ale skinęła głową.

– Naprawdę sześć osób dostało czerwone kartki? – zapytał Hubert.

– Pięć – uściśliła Nina. – Ja powinnam być szóstą.

Sięgnęła po kanapkę, rozgrzeszając się w myślach argumentem, że powinna coś zjeść, żeby zachować siły. Tamara wpakowała sobie do ust pół kromki.

– Nie masz pojęcia, jak teraz jest na dole – powiedziała, zanim jeszcze zdążyła przełknąć. – Wszyscy trzęsą portkami i mówią, że jak tylko się ściemni, upiory znowu zaatakują i że tym razem się nie obronimy.

– Może do rana będziemy zazdrościć tym z czerwonymi kartkami – uzupełnił Hubert. – Oni przynajmniej mieli lekką śmierć.

Naprawdę czasami Nina miała ochotę przywalić mu czymś ciężkim w głowę.

Tamara przełknęła i zgrabnie zmieniła temat.

– Lis mówił, że będziesz dla niego pracować. I że my też możemy, jeśli chcemy. Podobno potrzebują nas, bo tylko dzieci i nastolatki mają magiczne zdolności, a dorośli nie, i dlatego nie radzą sobie z tym całym anielskim bałaganem.

– Ty nie masz magicznych zdolności – wytknęła jej Nina.

Tamara się nie przejęła.

– Wcale nie muszę. Raczej chodzi o to, że z powodu Markotów jesteśmy jakby... bardziej wrażliwi na magię. Na przykład duchy w wiosce. My wszyscy je widzieliśmy i mogliśmy z nimi pogadać, a Lis nie. Poza tym poradziliśmy sobie z Bestią z Kręgu i mamy odziedziczone po Wybrańcu cechy...

– Chyba nie zamierzacie się zgodzić? – Nina przesunęła wzrok z Tamary na Huberta i z powrotem.

Chłopak wzruszył ramionami.

– Ja na pewno nie.

– A ja się zastanawiam – odparła Tamara, pakując sobie do ust kolejną kanapkę. – Dlaczego tylko ty masz mieć w życiu frajdę?

– To nie jest przygoda! – wrzasnęła Nina z rozpaczą, zapominając na chwilę, że miała być cicho.

– A Lis i wszyscy tutaj są mordercami – dodał Hubert. – Poważnie zamierzasz pracować dla ludzi, którzy chcieli zabić Ninę?

– Przecież Lis akurat ją uratował, nie? No i nie chce od nas niczego strasznego, bez przesady. Moim zdaniem to właśnie jest szansa na przygodę.

– Dobra, zostawmy to na razie. – Ninę zaczynała boleć głowa. – Macie raporty z kościoła?

– Tutaj. – Hubert podsunął jej stertę teczek. Leżała na niej cienka żółta książeczka zatytułowana *Leśne baśnie*, autor: Józef Kozioł, rok wydania: 1935. Nina wzięła ją do ręki i przekartkowała. Papier był pożółkły, czcionka niezbyt wyraźna, a styl i ortografia dziwaczne, ale dało się czytać.

– Czego szukamy? – Tamara przechyliła się ciekawie w stronę Niny. W tym momencie drzwi znowu się otworzyły i weszła przez nie Lena.

– Podobno mam wam w czymś pomóc – powiedziała, z powątpiewaniem patrząc na zarzucony teczkami stolik.

– Tak. – Nina wskazała jej krzesło. – Siadaj, zaraz ci wszystko wyjaśnię. Chodzi o to, że anioły budują te swoje magiczne strefy na wyobraźni różnych artystów, na przykład w Markotach wykorzystali matkę Huberta, a tutaj chyba Józefa Kozła, bo to był jedyny artysta w Starych Kątach. I skoro kiedyś jedna niesierota wytrzymała w kościele mniej więcej tyle ile prawdziwe

sieroty, pomyślałam sobie, że może brak rodziców tak naprawdę nie ma znaczenia. Może wystarczy po prostu... w jakiś sposób wpasować się w wizję Józefa.

– Nic z tego nie rozumiem. – Lena westchnęła. – I w ogóle co ja mam do tego wszystkiego?

– Jesteś przecież Wybrańcem.

Hubert i Tamara wytrzeszczyli oczy.

– Ona jest Wybrańcem?

– Ona. – Nina zirytowała się lekko. – Pomyliłam się wcześniej, w porządku?

– No dobra, jestem Wybrańcem – zgodziła się Lena. – Ale nadal nie rozumiem, dlaczego mam z tego powodu siedzieć nad jakimiś papierami.

– Bo jesteś inteligentna i dzięki temu...

– Wcale nie jestem inteligentna.

Nina zamrugwała.

– Jak to nie?

– Zwyczajnie. – Lena wzruszyła ramionami. – Zmieniłam się jakiś czas temu, sama to zauważyłam. Ludzie mnie teraz słuchają, jestem odważna i tak dalej. Ale nie zrobiłam się mądrzejsza.

– Wybraniec musi być bystry – upierała się Nina.

– Może są różne rodzaje Wybrańców. Nie mam pojęcia. I nic mnie to nie obchodzi. Wracam na dół, tam przydam się znacznie bardziej niż tutaj. Jeśli nie chcemy przez całą noc siedzieć w piwnicy, musimy wzmocnić drzwi do wspólnej sali i zabarykadować okna.

Podeszła do drzwi i, już z ręką na klamce, odwróciła się.

– Pomogłabym wam, naprawdę, ale nie potrafię. Tak czy inaczej życzę powodzenia, cokolwiek chcecie zrobić. Pewnie będzie wam potrzebne, co?

Gdy za śliczną szatynką zamknęły się drzwi, Tamara poruszyła się niespokojnie.

– Poważnie mówisz, że to Wybraniec? Nie ten jej chłopak, jak mu tam...

– Michał. Na początku myślałam, że to on, bo... – „jest taki przystojny” znowu nie przeszło jej przez usta. – No, „Wybraniec” jest rodzaju męskiego i jakoś założyłam, że to powinien być chłopak, ale przecież w Markotach cały czas nam mówili, że Wybrańcem równie dobrze może być dziewczyna. Wszystko jedno, poradzimy sobie w trójkę.

– Co mamy robić? – zapytał Hubert.

– Ty czytaj *Leśne baśnie* i szukaj wzmianek o sierotach. Ja i Tamara będziemy przeglądać raporty, żeby zobaczyć, co łączy tych, którzy przetrwali

najdłużej. Jak coś znajdziemy i to będzie się zgadzać z tym, co napisał Józef, to znaczy, że mam rację i bycie sierotą nie ma znaczenia.

– I co wtedy? – Tamara zmarszczyła brwi.

– Wtedy jedno z nas będzie mogło pójść do kościoła i złamać klątwę. Chyba – dodała uczciwie, bo nagle uświadomiła sobie, na jak kruchych podstawach oparta jest cała jej teoria.

Rozdział czternasty, w którym Nina spędza noc w towarzystwie upiórów.

Dochodziła szósta, z talerza zniknęła ostatnia kanapka, a za oknami zawisła gęsta listopadowa ciemność. Ulewny deszcz zmienił się w mżawkę tak drobną, że widziało się ją, tylko patrząc pod światło. Idealna pora na mgłę, pomyślała Nina, po czym odwróciła się w stronę Huberta i Tamary.

– Wydra i Żuk nie wściekną się, jak zauważą, że was nie ma?

Oboje zgodnie potrząsnęli głowami.

– Lis zabrał ze wspólnej sali dziesięć osób – wyjaśnił Hubert. – Powiedział, że będziemy pomagać przy uszczelnianiu okien na parterze. Dostaliśmy wszyscy kanapki i w ogóle.

– A potem tamci poszli naprawdę uszczelniać okna, a my przyszliśmy tutaj.

– Tamara radośnie wyszczerzyła zęby. – Żeby ci pomóc, bo co byś bez nas zrobiła?

– Dzięki.

Nina naprawdę była wdzięczna. I naprawdę bez pomocy by sobie nie poradziła – a nawet jeśli tak, trwałoby to znacznie dłużej. Po raz pierwszy pomyślała, jak to będzie, kiedy jej przyjaciele wrócą do domów (Hubert swojego co prawda nie miał, ale pewnie ktoś się nim zaopiekuje), a ona zacznie „pracować dla komunistów”, cokolwiek to miało znaczyć. Całkiem sama. Przemknęło jej przez głowę, że może jednak byłaby zadowolona, gdyby Tamara naprawdę zgodziła się na propozycję Lisa. Zawsze rażniej jest we dwójkę, nawet jeśli motywy drugiej osoby są kompletnie idiotyczne.

Skuliła się odruchowo, kiedy na korytarzu rozbrzmiały kroki, zaraz jednak uspokoiła się, bo poznała, że to Lis. Porucznik wszedł, strząsając z wojskowej kurtki krople wilgoci.

– I jak, znaleźliście coś? – zapytał.

– Tak. – Nina odezwała się w imieniu wszystkich. – W *Leśnych baśniach* pojawiają się trzy sieroty: wnuczka czarownicy, Jaś Kuternoga i mała Dobrusia. Jeśli pominąć ich przygody, jakieś czarodziejskie przedmioty, zaklęte zwierzęta i inne takie, to zostanie jedenaście scen, w których autor mówi coś konkretnego o tych postaciach. Znaczy, jak wyglądają, o czym myślą, czego im brakuje i tak dalej. O, tutaj na przykład wnuczka czarownicy siedzi na pniu, marznie, bo ma tylko lichą sukienkę, i wspomina pierogi,

które jej matka robiła zawsze na wigilię. Nawiasem mówiąc, nie wiedziałam, że czarownice obchodzą Wigilię, to trochę bez sensu, nie uważa pan? A tu z kolei Jaś narzeka, bo woda wlewa mu się do chodaków, a on marzy o tym, żeby mieć piękne skórzane buty, jak ksiązę, którego kiedyś widział w lesie.

– Dobrze, ale co to ma wspólnego z klątwą?

– Porównaliśmy te fragmenty z raportami i okazało się, że najdłużej wytrzymywały kody, które w taki czy inny sposób przypominały sieroty z tej książki. Na przykład trzynastka myślała o Wigilii, a siódemce było zimno i miała mokro w butach...

– Naprawdę uważacie, że wystarczy iść do kościoła i zachowywać się jak sierota z książki, żeby klątwa została zdjęta?

– Nie tylko zachowywać się, ale też myśleć. I w miarę możliwości wyglądać. Przynajmniej ONA tak twierdzi. – Tamara wskazała przyjaciółkę.

Lis nie wydawał się przekonany, ale wziął do ręki *Leśne baśnie* i przekartkował je. Nina chrząknęła.

– Zrobiliśmy ołówkiem trochę notatek na marginesach, mam nadzieję, że panu nie przeszkadzają. Zresztą to i tak nie jest dobra książka, straszna grafomania, moim zdaniem. Anioły w Markotach przynajmniej miały dobry gust.

– Nadal nie rozumiem, co twórczość Józefa Kozła ma wspólnego z upiorami i klątwą.

– To wy nic nie wiecie? – Nina zawahała się. Chyba nie powinna o tym mówić, ale Tamara ją ubiegła:

– Anioły tworzą te swoje magiczne strefy na podstawie wizji różnych artystów. W Markotach matki Huberta, a tutaj Józefa Kozła. Przesłuchiwaliście tylu ludzi i nikt wam tego nie powiedział?

Porucznik pokręcił głową.

– Może po prostu nie wpadliśmy na to, żeby zadać właściwe pytanie – powiedział. – Czy to znaczy, że upiory są też w *Leśnych baśniach*?

– W *Kłątwie jaśminu* – pośpieszył z odpowiedzią Hubert. – Pojawiają się w scenie, kiedy Dobrusia idzie na cmentarz, żeby odwiedzić grób matki. Nie czytał pan tej książki?

– Czytałem kilka lat temu, ale niewiele pamiętam. Mniejsza z tym. Dostałem właśnie polecenie, żeby dziś przed północą zabrać do kościoła Łukasza. Rozumiem, że jedno z was chciałoby zająć jego miejsce?

– Hubert. – Nina skinęła w stronę przyjaciela. – Sam się zgłosił.

– Jestem dobrym aktorem – oznajmił chłopak. – I potrafię udawać sierotę. A poza tym już raz to przeżyłem, więc się nie boję.

Lis potrząsnął głową.

– To nie możesz być ty. – Przeniósł wzrok z Huberta na Tamarę i Ninę. – Tego nie ma w raportach, ale próbowaliśmy kiedyś przyprowadzić do kościoła drugi raz tę samą sierotę. Skończyło się paskudnie, bo upiory rzuciły się na chłopaka od razu, jakby go zapamiętały i rozpoznały. Ledwo udało nam się je odpędzić. Tak, wiem, powinienem powiedzieć wam wcześniej. Nie pomyślałem, że to może mieć znaczenie.

– I co teraz? – Nina spojrzała na Tamarę. – Pojedziesz zamiast Huberta? Jesteś odważna, dasz sobie radę.

Ku rozpaczyci dziewczyny przyjaciółka powoli pokręciła głową.

– Nie dam. Przepraszam, ale naprawdę nie. To nie jest kwestia odwagi, gdybym miała po prostu wejść między te upiory i im nakopać, to jasne, nie ma sprawy. Ale siedzieć od północy do świtu w zimnym kościele i pilnować się, żeby przez cały czas myśleć o Wigilii albo butach księcia, albo innych głupotach... W życiu. Nie mam do tego cierpliwości, zaraz mi się wszystko pomiesza i będzie tragedia. Przepraszam.

– W takim razie zostajesz tylko ty. – Hubert gapił się na Ninę z lekką zazdrością, zupełnie jakby spędzenie sześciu godzin na zimnie i w towarzystwie upiorów było fascynującą przygodą.

– Nie musisz decydować od razu – odezwał się Lis. – Do północy jest jeszcze czas, możesz...

– W porządku – powiedziała Nina. – Zrobię to.

Wskazówki wiszącego na ścianie zegara minęły godzinę ósmą. Hubert i Tamara wrócili na dół (podejrzane by było, gdyby uszczelnianie okien zajęło im czas do północy) i Nina została sama. Lis przykazał, żeby na wszelki wypadek nie włączała górnego światła, siedziała więc przy stojącej na stole lampce i próbowała czytać *Leśne baśnie*. Fragmenty, które zaznaczyli ołówkiem, mogły nie wystarczyć, Nina powinna znać całość, żeby mieć pewność, że niczego nie przegapili. Problem w tym, że co chwila musiała wracać do przeczytanych już stron: książka naprawdę była kiepska, a dziewczyna zmęczona i przerażona jednocześnie.

Podeszła do mikroskopijnej kuchenki i postawiła czajnik na palniku. Herbata się skończyła, Nina sięgnęła więc po puszkę z napisem „Arabica”. Nigdy wcześniej nie piła prawdziwej kawy, tylko zbożową.

Okazało się, że czarny napój jest strasznie gorzki, ale kiedy dołała do niego

mleka i dosypała cukru, nagle zrobił się całkiem smaczny. Popijając, Nina rozmyślała, kto korzystał z pokoju, w którym się znajdowała – bo przecież ktoś musiał korzystać, skoro na półce stało świeże mleko. Może to po prostu czyjeś biuro? Tylko że nie było tu żadnej maszyny do pisania ani szafek, na których można by położyć akta, jedynie stół z szufladą, krzesła i wnęka kuchenna. Po namyśle dziewczyna doszła do wniosku, że pewnie odbywały się tu od czasu do czasu zebrania – przy stole akurat pomieściłoby się pięć czy sześć osób z zarządu Instytutu. To wyjaśniało także, dlaczego Lis miał pewność, że nikt tu Niny nie znajdzie.

Dopiła kawę i wyjrzała ostrożnie na korytarz. Nic, cisza, całe trzecie piętro wydawało się wymarłe. Wymknęła się szybko do ubikacji, a potem wróciła.

Wpół do dziewiątej.

Przez jakiś czas próbowała zająć myśli wyobrażaniem sobie, jak fabryka mogła wyglądać dziesięć lat temu: wielkie hale, a w nich maszyny tną i miażdżą metal, żeby zrobić z niego karabiny, granaty i bomby. Wyżej pomieszczenia dla pracowników: stołówka, pokoje maszynistek i biura. Na korytarzu rozlega się stukot maszyn do pisania, tu i ówdzie przemykają przygarbieni urzędnicy ze stertami dokumentów pod pachami, poprawiając na nosach okulary w drucianych oprawkach...

Prawdopodobna wizja, o ile, oczywiście, fabryka kiedykolwiek działała – bo równie dobrze mogło być tak, że Niemcy zbudowali ją pod koniec wojny i nigdy nie zdążyli uruchomić.

Za piętnaście dziewiąta.

Nina żałowała, że nikt jej nie towarzyszy, choćby Lis. Nawet jego obecność byłaby lepsza od denerwującej samotności – i od myśli o czekających w kościele upiorach.

Zaparzyła jeszcze jedną kawę i wlała do niej resztkę mleka. Zmęczenie zniknęło jak ręką odjął, Nina była teraz tak pobudzona, że nie mogła usiedzieć na krześle, krążyła więc tam i z powrotem po pokoju.

Wpół do dziesiątej.

Zmusiła się, żeby jeszcze trochę poczytać. Przebrnęła przez pięć kolejnych baśni, docierając tym samym do trzech czwartych zbioru, a potem, niczym zadana lekcję, zaczęła powtarzać fragmenty opisujące sieroty, choć przecież znała je już na pamięć. Później dla pewności jeszcze raz przejrzała raporty. Co, jeśli zgodność między nimi a książką jest przypadkowa? Jeśli Nina naciągała fakty, bo CHCIAŁA tę zgodność zobaczyć? Tu i tam przemoczone buty, tu i tam myślenie o przygotowywanej przez matkę wigilii. To mogło nic

nie znaczyć...

Albo inaczej – Nina przegapiła coś ważnego, jakiś szczegół, który sprawi, że upiory nie uwierzą w jej sieroctwo i zaatakują w kościele.

Wpół do jedenastej.

Z książką w ręku podeszła do okna. Mgła wypełzła z lasu i kołysała się teraz łagodnie pół metra od ogrodzenia, jakby niepewna, czy posuwać się dalej, czy nie. Majaczyły w niej znajome czerwone sylwetki, poruszające się w nienaturalny sposób. Zupełnie jak w książce:

I uźrzała one straszdyła nocną porą z mogiłki pełznące, ze ślipiami jako krew gorejącymi, paskudne niby psi piekielni i pazurem o pazur szczękające.

Nina wiedziała, że gdyby stała niżej – na przykład na placu, gdzie czekali uzbrojeni żołnierze – ona również słyszałaby dźwięk otwierających się i zamykających szczypiec.

Do jedenastej mgła przekroczyła ogrodzenie, niewiele sobie robiąc z prowizorycznych barykad i w powietrzu rozbrzmiały pierwsze strzały. Nina wróciła do stołu i próbowała skupić się na *Leśnych baśniach*. Przeczytała trzy ostatnie, zatykając uszy i wzdrygając się przy każdym dobiegającym zza okna huk. Kanonada trwała może ze dwadzieścia minut, potem nagle ucichła. Dziewczyna znowu podeszła do okna – mgła wycofała się pod las, ale najwyraźniej nie zamierzała odchodzić; tkwiła tam wciąż, falując niespokojnie. Z wysokości trzeciego piętra wyglądało to tak, jakby pod linią drzew zgromadziła się armia spiskujących duchów.

O wpół do dwunastej przyszedł po Ninę porucznik Lis.

– Musimy się spieszyć – oznajmił. – Upiory za chwilę wrócą.

Nina włożyła płaszcz i wymknęła się za Lisem na korytarz. Trzecie piętro nadal było puste, z dołu dobiegał szmer niespokojnych rozmów, tupot nóg, trzaśnięcie drzwi. I płacz, wysoki dziecięcy płacz na granicy krzyku, który bez trudu przebijał się przez kamienne mury.

Porucznik poprowadził dziewczynę w stronę metalowych schodów, wijących się niczym wewnątrz muszli ślimaka. Zbiegli nimi w dół, a potem wyszli bocznymi drzwiami. Nina nie miała nawet pojęcia, że takie istnieją. Przed wyjściem stał zaparkowany terenowy samochód. W środku ktoś

siedział, za szybą majaczyła chłopięca postać z czupryną rozczochranych włosów.

Łukasz.

– On jedzie z nami? – zapytała Nina niepewnie.

– Nie mogłem przecież powiedzieć, że zabieram do kościoła ciebie. Schowaj się z tyłu i nie pokazuj się, dopóki nie miniemy bramy.

Posłusznie wśliznęła się na tylne siedzenie i położyła. Samochód ruszył. Dziewczyna słyszała warkot silnika, plusk rozchlapywanej wody, a potem rozmowę ze strażnikiem. Nie trwało to długo, żołnierz jedynie zapytał Lisa, dokąd się wybiera, po czym butnie oznajmił: „Niech pan jedzie, my tu skopimy im tyłki”.

– Możesz usiąść.

Samochód wolno przedzierał się przez zalany las. W niektórych miejscach woda sięgała do połowy kół, a Nina czuła się prawie tak, jakby płynęła łódką. Drzewa na poboczu wyrastały z płytkiego jeziora, w którym odbijał się księżyc. Deszcz przestał padać, pasma rzadkiej mgły snuły się nisko nad powierzchnią wody, ale upiorów nigdzie nie było widać. Lis skupił się na prowadzeniu, Łukasz milczał ponuro: obrażony albo wystraszony, trudno było powiedzieć.

Pierwsza przerwała ciszę Nina.

– Naprawdę chce pan też zatrudnić Tamarę, Huberta i Jacka?

– Tak.

Parsknęła.

– Nigdy się nie zgodzą.

– Tamara już się zgodziła. Z chłopakami jeszcze porozmawiam.

– Nie przekona ich pan – upierała się dziewczyna. – Hubert powiedział, że nigdy w życiu nie będzie pracował dla komunistów.

– W porządku, nie to nie. Nie zamierzam nikogo zmuszać.

Tak jakbym JA miała jakieś wyjście, pomyślała Nina, przywołując jednocześnie w pamięci wszystkie te książki, w których szlachetne i niewinne bohaterki były zmuszane do służenia Złu. Zazwyczaj udawały, że się zgadzają, żeby na koniec uwolnić się i pokonać swoich dręczycieli. Ona też zamierzała tak zrobić. Porozkoszowała się tą chwilą w wyobraźni, po czym zajęła praktyczniejszymi kwestiami.

– Czemu właściwie chcecie, żebyśmy dla was pracowali? Tamara mówiła, że to dlatego, że w przeciwieństwie do dorosłych jesteśmy wrażliwi na magię...

– Zgadza się.

– Ale dlaczego akurat my? Mnóstwo osób w naszym wieku mogłoby robić to samo.

– Poradziliście sobie w Markotach, a poza tym odziedziczyliście po Wybrańcu różne przydatne cechy.

Nina pomyślała o ślicznej dziewczynie, której przeznaczeniem było stawienie czoła Bestii. Czy Lena o tym wiedziała? Chyba tak, skoro zdawała sobie sprawę, że jest Wybrańcem. Nina żałowała teraz, że nie porozmawiała z nią dłużej, mogłaby ostrzec Lenę przed aniołami i przed Lisem...

Porucznik złapał jej spojrzenie w lusterku i po raz kolejny okazał się cholernie domyślny.

– Wiem o Lenie – powiedział. – Ale nie potrzebujemy kolejnego Wybrańca. Jednego już mamy i niewiele z niego pożytku.

– Czy to znaczy, że zatrudniacie więcej takich osób jak my?

– Kilka – przyznał.

– Ale nie powie mi pan, kim właściwie jesteście i co robicie?

– Powiem. Później.

– Bo jeśli nie przeżyję do rana, to zmarnuje pan tylko czas na tłumaczenie? – parsknęła Nina, ale Lis pokręcił głową.

– Bo wolę, żebyście byli wtedy wszyscy razem. Nie chce mi się powtarzać kilka razy tego samego.

– To niech pan chociaż powie, co za idiota wpadł na pomysł założenia Instytutu w tym miejscu? Nie wiedzieliście, że moc upiorów będzie rosła?

– Nie, zorientowaliśmy się, jak już było za późno.

– A te opowieści o Niemcach zabitych w lesie?

Lis wzruszył lekko ramionami.

– O wielu miejscach krążą takie legendy, to niekoniecznie musi coś znaczyć. Choć masz rację – przyznał uczciwie. – W tym przypadku akurat trzeba było zwrócić na to uwagę. Nasz błąd.

– A nazwa? Czemu jest niemiecka?

– Taka się przyjęła. Miejscowi chłopci nazywają tak las i zanim się obejrzelśmy, my też zaczęliśmy mówić „Totenwald”. Nie było sensu z tym walczyć.

Nina milczała przez jakiś czas.

– I co teraz? – zapytała w końcu. – Ja pójdę do kościoła, a wy zostaniecie w samochodzie?

– Taki jest plan – przyznał porucznik.

– Pan Lis obiecał, że mi poopowiada różne historyjki – odezwał się niespodziewanie Łukasz. – Może będą lepsze od tej twojej. Ona była strasznie

głupia.

Dzięki, też cię nie lubię, pomyślała Nina.

Wjechali już do Starych Kątów i zatrzymali się przed kościołem. Gdy zgasł warkot motoru, cisza wymarłej wsi stała się niemal namacalna, słyszać było jedynie chłupot wody, delikatnie marszczonej wiatrem.

– Za dziesięć dwunasta – powiedział Lis.

Nina myślała o wszystkim, tylko nie o tym, co ją czeka. Nie chciała nawet patrzeć na zwalistą sylwetkę pękniętego budynku, pięknie osrebrzoną blaskiem księżyca prawie w pełni.

– A jeśli... jeśli Tamara, Hubert i Jacek nie zgodzą się dla pana pracować, to co się z nimi stanie?

– Nic, wrócą do domów.

– Hubert nie ma domu.

– W takim razie podrzucimy go pod jakiś sierociniec.

– Tak po prostu, pierwszy z brzegu?

– A czego się spodziewałaś? Jeśli zgodzi się dla nas pracować, załatwimy mu dobrą szkołę z internatem, jeśli nie, będzie musiał zadowolić się zwyczajnym domem dziecka. W sierocińcach nie ma najlepszych warunków, słyszałem, że zdarzają się nawet przypadki znęcania się nad wychowankami, trudno jednak wymagać, żebyśmy przejmowali się każdym obcym dzieckiem, prawda?

– Nienawidzę pana! – wrzasnęła Nina, wyskakując z samochodu. Natychmiast wpadła po kostki w czarną wodę, ale nie przejęła się tym zupełnie. – Nienawidzę!

Lis też wysiadł.

– Ponieważ powiedziałem ci coś, co i tak już wiedziałaś? – zapytał. – Nawiasem mówiąc, jest za pięć dwunasta. Nie zamierzam cię zmuszać, żebyś weszła do tego kościoła...

– Ale?

– Nie ma żadnego „ale”. Upiory największą moc zyskają dopiero jutro, w rocznicę śmierci mojego brata. Co znaczy, że jeśli uda nam się przetrwać noc, a mamy na to spore szanse, rano będziemy mogli wszystkich ewakuować. Oczywiście, jeśli poziom wody do tego czasu opadnie.

– A jeśli nie?

– Wtedy następnej nocy zginiemy – oznajmił Lis spokojnie.

– I to niby ma być niezmuszanie? – Nina cofnęła się, brnąc w zimnej i błotnistej wodzie.

Już przestawała czuć zlodowaciałe stopy, a wiedziała przecież, że będzie

jeszcze gorzej.

– Staram się być uczciwy – odparł porucznik, wyjmując z kieszeni paczkę papierosów i zapalając jednego. Ognik odbił się w czarnej powierzchni rozciągającego się wokół nich jeziora. – Nigdy nie byłem specjalnie przekonany do tego pomysłu z sierotą i kościołem, jak dotąd jedyne, co dzięki temu zyskaliśmy, to mnóstwo zmarzniętych i przerażonych dzieciaków. Może teraz będzie inaczej, a może jedynie niepotrzebnie będziesz się narażać. Albo dostaniesz zapalenia płuc i będę cię miał na sumieniu.

– Jakby to miało dla pana znaczenie – parsknęła Nina, myśląc o Jacku szamocącym się w lodowatym morzu.

Lis kontynuował, jakby jej nie słyszał:

– Moim zdaniem i bez twojej pomocy mamy szansę przeżyć. Jakieś pięćdziesiąt procent, może trochę mniej albo więcej. Sama musisz zdecydować, czy to dużo, czy nie.

Nie chcę, pomyślała desperacko Nina. W pewien sposób wołałaby chyba, żeby Lis wyjął broń i kazał jej wejść do kościoła. Wtedy przynajmniej nie musiałaby podejmować decyzji.

– Możemy też oczywiście wysłać tam małego – dodał porucznik. – Ostatecznie chłopak jest sierotą, może akurat tą właściwą.

Ta myśl kusiała Ninę. Dlaczego miałyby udawać dziecko pozbawione rodziców, skoro mieli tuż obok PRAWDZIWĄ sierotę? Przecież to bez sensu. Po co ona ma się narażać i męczyć, niech to zrobi chłopak, może jemu przetrwanie w kościele do świtu przyjdzie zupełnie naturalnie, bo upiory nawet nie pomyślą, żeby zrobić mu krzywdę.

A może nie.

Poza tym Łukasz miał tylko osiem lat i Nina w głębi duszy zdawała sobie sprawę, że jeśli zmuszą go, żeby tu spędził noc w towarzystwie upiorów, chłopak do końca życia nie otrząśnie się ze strachu.

Lis palił i nawet nie patrzył na zegarek, zupełnie jakby mieli mnóstwo czasu, choć musiała być już prawie dwunasta.

– W porządku, pójdę tam – powiedziała Nina.

– Na tylnym siedzeniu jest koc. – Lis skinął głową w stronę samochodu, bez zdziwienia, jakby spodziewał się takiej decyzji. – Możesz go wziąć.

– Nie mogę, muszę marznąć.

– Będziesz marznąć i z kocem. Dałbym ci też moją broń, ale wiejska sierota z pistoletem raczej nie przekona upiorów.

Nina wyjęła z samochodu koc i zarzuciła go sobie na ramiona. Lis miał rację, mimo dodatkowego okrycia nadal trzęsła się z zimna.

- Spróbuj znaleźć jakieś suche miejsce, przy ołtarzu nie powinno być tyle wody. I krzycz, gdyby upiory zbliżyły się za bardzo.
- Poradzę sobie – oznajmiła i nawet udało jej się powiedzieć to pewnym tonem, choć wcale nie czuła się pewnie.

Brodząc nawą, Nina dotarła pod krzyż, wspięła się na podwyższenie i wciąż owinięta kocem, usiadła na ołtarzu. Kamień był lodowaty, ale przynajmniej suchy. Nina skuliła się. Przez okna, w których brakowało połowy szyb, wpadało światło księżyca, blask kładł się na rzędach ławek i zapalał srebrzyste refleksy w czarnej toni wody. Gdzieś pod tą wodą kryło się pęknięcie, chyba niezbyt głębokie, skoro poziom deszczówki wciąż sięgał Ninie do kostek.

Przynajmniej możemy wykluczyć opcję, że rozpadlina prowadzi prosto do piekła, pomyślała, sadowiąc się wygodniej. Wokół pachniało butwiejącym drewnem i zimnym, mokrym kamieniem, choć jedynymi kamiennymi elementami były tu podmurówka, pęknięta figura Chrystusa na krzyżu i ołtarz. Ani śladu upiorów, świetnie. Może nie zjawia się aż do rana, przyszło jej do głowy, choć nie miała na to wielkiej nadziei. Ostatecznie we wszystkich raportach, które czytała, upiory prędzej czy później do kościoła przychodziły.

Wykorzystała czas, jaki jej pozostał, żeby raz jeszcze przemyśleć, czy czegoś nie przeoczyła.

Znała na pamięć wszystkie potrzebne kawałki z *Leśnych baśni*, była zmarznięta, wiedziała, jak się zachowywać, wyglądała na sierotę...

Nieprawda.

Dopiero teraz uświadomiła sobie coś ważnego: wiejskie sieroty nosiły łachmany, a ona miała na sobie całkiem porządne ubranie. Owszem, częściowo przemoczone i niezbyt czyste, ale zdecydowanie nieprzypominające podartego przyodziewku wnuczki czarownicy czy Dobrusi.

Jak mogła to przegapić?

Chwyciła brzeg spódnicy, podniosła do ust i spróbowała rozedrzeć, ale jak na złość był to gruby samodział, solidnie obrębiony przez ciotkę krawcową. Od szarpania Ninę tylko rozboleły zęby. Spróbowała z bluzką – farbowane płótno również stawiało zdecydowany opór. Potrzebowała noża, może ostrego kamienia... Próbowała sobie przypomnieć, czy kiedy była w kościele

poprzednim razem, na podłodze leżały odłamki skał. Mogły leżeć. W końcu można się tego spodziewać, kiedy zbudowany na kamiennej podmurówce budynek pęka na dwie połowy.

Zeskoczyła z ołtarza, pochyliła się, zanurzając ręce w zimnej wodzie i zaczęła obmacywać dno. Palce niemal natychmiast zgrabiały jej z zimna, z ust unosiły się obłoczki pary, kiedy oddychała niespokojnie. Dłonie trafiały na szlam, błoto, zgniłe jesienne liście... I niewielką ptasią czaszkę, która spojrzała na nią czarnymi oczodołami. Dziewczyna cisnęła nią ze wstrętem, tylko po to żeby kilka sekund później rzucić się na poszukiwanie zguby.

– Cholera, cholera – klęła, wracając do obmacywania śliskiego dna.

Odnalazła czaszkę i spróbowała wykorzystać do rozdarcia tkaniny ptasi dziób, ten jednak okazał się zbyt tępy, a delikatne kości zaczęły kruszyć się w palcach. Nina rozejrzała się, coraz bardziej spanikowana. Ławki, w ławkach powinny być gwoździe!

Dopadła pierwszej z brzegu i przesunęła dłońmi po boku. Bez trudu znalazła miejsce, w którym tkwił gwóźdź, ale nie potrafiła go wyciągnąć, małeńka główka tkwiła zbyt głęboko w gnijącym drewnie, a Nina nie miała czym jej podważyć. Żałowała, że nie ma przy sobie spinki do włosów, broszki albo kolczyków. Albo że nie wyhodowała dłuższych paznokci.

Kilka pracowitych minut później cofnęła się, z pulsującymi bólem palcami. Stopy, wciąż zanurzone w wodzie, zamieniły się już chyba w dwie bryły lodu. Była spocona, a jednocześnie dygotała z zimna.

Ciągle ani śladu upiorów – jedyna dobra wiadomość jak na razie.

Wróciła do ołtarza i usiadła, otulając się kocem. Wtedy jej wzrok padł na krzyż. Wisiał nad głową Niny, lekko przechylony, z wyraźną rysą dzielącą na pół ciało martwego Zbawiciela. Na tyle blisko, że gdyby się postarała, mogłaby sięgnąć kamiennej stopy.

A w stopie powinien tkwić gwóźdź.

Nie uważała się już za wierzącą, ale i tak czuła się bardzo źle, gdy stawiała na ołtarzu, a później wyciągała ręce. Staczam się, pomyślała, najpierw kradzież papierosów, a teraz jeszcze profanacja.

Namaciała stopę: jeśli rzeźba w tym miejscu wciąż była cała, Nina miała przechłapane. Jeśli jednak stopy też popękały, jej szanse rosły. O ile, oczywiście, gwóźdź został wbity osobno, a nie stanowił elementu figury.

Kamień poruszył się w jej rękę. Lekko, ale na tyle, by mogła wyraźnie poczuć, że nie jest to jednolita całość. Na razie wszystko wyglądało nieźle. Nina szarpała stopą w lewo i w prawo, niczym dentysta usiłujący wyrwać wyjątkowo oporny ząb. Spociła się przy tym jeszcze bardziej i zdyszała,

wreszcie jednak osiągnęła efekt i kawałek rzeźby został jej w rękach. Położyła go ostrożnie na ołtarzu, po czym wyprostowała się, znowu wyciągnęła ręce i tym razem namacała gwóźdź. Był długi, zardzewiały i mocno wbity w drewno krzyża, ale w przeciwieństwie do tych w ławkach tu przynajmniej miała za co złapać. Na zmianę to ciągnęła, to kręciła gwoździem, starając się poszerzyć otwór, w którym tkwił. Czuła, jak metal powoli wysuwa się z drewna.

Kiedy gwóźdź wreszcie wyszedł, wydarzyły się dwie rzeczy.

Po pierwsze, Nina omal nie runęła z ołtarza prosto w wodę. Z trudem udało jej się utrzymać równowagę.

To był mniejszy problem.

Większym była wlewająca się przez drzwi mgła, którą zobaczyła, kiedy się odwróciła.

Nina zamarła z gwoździem w ręku, stojąc na ołtarzu. Tak bardzo spodziewała się mgły wypełzającej z zalanej szczeliny, że teraz przez moment nie mogła uwierzyć w to, co rejestrowały jej oczy.

Biały tuman dotarł już do połowy nawy i zbliżał się coraz bardziej. W pierwszej chwili pomyślała – jeszcze się łudząc – że nikogo w nim nie ma, ale oczywiście upiory tam były. W mlecznej bieli rozbłysły czerwone oczy. Dwie, nie, trzy sylwetki, na pozór ludzkie, a jednak poruszające się w sposób, w jaki nie poruszał się nigdy żaden człowiek. I dźwięk metalu uderzającego o metal.



Odgłos zamykających się szczypiec, które zacisną się na jej gardle.

Nina zamarła, niezdolna do ruchu, z pustką w głowie. Gdyby upiory podeszły jeszcze bliżej, mogłyby ją bez trudu zabić, a ona nawet by nie krzyknęła. Dopiero pół sekundy później pojęła, że sylwetki przestały posuwać się do przodu, że stanęły pośrodku nawy, najwyraźniej niepewne, czy iść dalej, czy się wycofać.

Prawie nigdy nie atakują od razu, przypomniła sobie to, co wiedziała z raportów. Zazwyczaj na początku tylko się przyglądają, oceniając i badając.

Nina miała więc jeszcze minutę, przy odrobinie szczęścia może nawet dwie.

Myślała o porządnym suchym butach, kiedy długim gwoździem darła na strzępy spódnice, myślała o przygotowywanej przez matkę wigilii, gdy tak samo potraktowała bluzkę. Przy uszkach z barszczem zrobiła kilka nader przekonujących dziur w pończochach, a karp oraz kutia towarzyszyły pruciu sweterka.

Upiory nadal tkwiły pośrodku nawy. Nina usiadła na ołtarzu i – po namyśle – zrzuciła z ramion koc oraz płaszcz, którego nie dała rady podrzeć. Trudno, z dwojga złego wołała być przemarznięta niż martwa.

Dygotała, przywołując na pomoc całą swoją bujną wyobraźnię. Nie mam domu, jestem głodna (naprawdę trochę była), świat jest taki okrutny (no, ostatnio zdecydowanie). Myślała o swojej sierocej doli, o tym, jak smutno jest na świecie bez mamy i taty i jak nieszczęśliwa była, kiedy składali jej rodziców w zimnym, zimnym grobie, przysypując zimną, zimną ziemią (w tym momencie mało brakowało, a by się popłakała).

Upiory nie ruszyły się ani o krok. Zachęcona sukcesem dziewczyna dodawała coraz więcej szczegółów: smak wodnistej kaszy bez omasty, którą z łaski dawali jej ludzie, nocleg w stodole na sianie, kiedy w jesienne noce kuliła się pod dziurawą końską derką, poszczekiwanie wsiowych Burków i wrzaski: „Wynocha. Idź w cholerę!”.

Upiory drgnęły i ruszyły w stronę Niny.

Wróć, wieśniacy z fantazji Józefa Kozła z pewnością nie używali wyrażen takich jak „Idź w cholerę”. Może „Precz, czarci pomioście”? Tak, to bardziej prawdopodobne.

Upiory znowu znieruchomiały, ale przez cały czas zdawały się przyglądać Ninie zza zasłony mgły. Obserwowały, nasłuchiwały, może nawet węszyły w powietrzu, wyczulone na każdy ruch i każdą myśl.

Minuty mijały jedna po drugiej, wlokąc się niemiłosiernie. Zimno, źli ludzie, łachmany, nie mam matki ani ojca. Nina postukałaby się w czoło, gdyby ktoś wcześniej powiedział jej, że największym problemem starcia z upiorami okaże się nie przerażenie, lecz doprowadzająca do szału nuda. A przecież tak właśnie było. Tamara miała rację, tego nie mógł wytrzymać żaden normalny człowiek. Na samą myśl, że czeka ją jeszcze kilka godzin powtarzania tych wszystkich idiotyzmów (błąd, słowo „idiotyzm” nie powinno nawet przemknąć jej przez głowę), czuła obezwładniającą słabość.

Wróciła do wigilii. Pierogi z kapustą i grzybami, kutia, karp...

Mierzyła czas przesuwaniem się księżyca po niebie. Najpierw świecił w okna po prawej stronie, potem zniknął i w kościele nagle pociemniało,

a dławiający lęk nareszcie przegnał znudzenie – w tak gęstym mroku upiory mogły podejść niepostrzeżenie, mogły wyciągnąć swoje długie ramiona i zacisnąć szczypce na jej szyi. Nina niemal czuła na gardle chłodny dotyk metalu (czy ich pazury były metalowe? Kolejny błąd: proste wiejskie sieroty nie zastanawiają się, z czego zrobione są upiory, trzeba wrócić do myślenia o zimnie, przemokniętych butach i złych ludziach).

Czas spędzony w ciemności wydawał się trwać wieczność, a potem jeszcze jedną wieczność i kolejną. W tym czasie gdzieś w odległych galaktykach rodziły się i umierały światy, pierwsze płazy wpełzały na brzeg i zmieniały w gady, a potem włąziły na drzewa, porastały futrem i odkrywały, jak to jest chodzić na dwóch nogach, po czym robiły różne idiotyz... (powiedzmy, że głupie rzeczy) ...a jedna samotna dziewczyna wciąż tkwiła w zimnym ciemnym kościele, czekając na świt. Tego, że może również czekać na śmierć, starała się nie brać pod uwagę.

Wreszcie księżyc zaświecił w okna po lewej stronie, a Ninie mało brakowało do omdlenia z ulgi: upiory wciąż stały pośrodku nawy, tylko że teraz było ich jakby... więcej? Tak, zdecydowanie tak. Już nie kilka, ale co najmniej kilkanaście czerwonych sylwetek, spowitych mgłą. Jakby wszystkie zbiegły się, żeby obserwować, czy Nina wytrzyma do rana. I wciąż było ich więcej, napływały falami, aż wreszcie cały kościół był zapchany. Najdziwniejsza msza, jaką ktokolwiek kiedykolwiek widział, odprawiana przy blasku księżycowego światła, z trzynastolatką w podartym ubraniu siedzącą na ołtarzu i tłumem wiernych czekających cierpliwie, bez ruchu, z płonącymi oczami. I dźwięk zamykających się szczypiec zamiast głosu księdza.

Żaden z upiorów nie podszedł do Niny bliżej niż na odległość pół metra, jakby dziewczynę otaczał niewidzialny krąg.

Przelotnie pomyślała o Lisie i Łukaszu (czy na zewnątrz byli bezpieczni?), a potem wróciła do bezpiecznych tematów.

Zimno, buty, wigilia...

Przy świetle księżycy czuła się już dość pewnie, pozwoliła więc sobie na to, żeby odetchnąć i trochę rozluźnić spięte mięśnie. Niemał natychmiast uderzyło w nią zmęczenie. Nie zimno, nie głód, które przez ostatnie kilka godzin zdecydowanie prowadziły, ale właśnie zmęczenie. Nic w tym dziwnego, ostatecznie Nina była na nogach prawie od dwudziestu czterech godzin.

Wytrzymam, pomyślała optymistycznie. Do świtu chyba niedaleko.

Ta pewność siebie, rozluźnienie i optymizm omal jej nie zabiły.

To był moment, jedna sekunda, kiedy przymknęła oczy, a potem odpłynęła

w sen, w którym z rodzicami (zakazane!) jechała tramwajem (nie wolno!) do kina (błąd, błąd, błąd!).

Jedna sekunda, na pewno nie więcej.

Umarłaby, gdyby nie obudził jej wpadający przez okno powiew zimnego powietrza. Uniosła powieki i ujrzała pochylającą się nad nią twarz upiora, płaską, z krągłymi jak u ryby ustami. Zęby też ułożone były w okrąg i ten okrąg zwężał się i rozszerzał niczym kwiat rozkwitający nagle morderczymi białymi kolcami. A oczy upiora nie były tak naprawdę oczami, tylko dwoma tunelami, w głębi których pulsowała czerwień mózgu.

Szczypce już zamykały się na jej gardle.

Nina rzuciła się w tył i spadła z ołtarza do wody. Ból potłuczonych pośladków i łokci do reszty ją otrzeźwił.

Ból, źli ludzie, zimno, głodno i mokro. Jestem sierotą, widziałam, jak moich rodziców wkładali do grobu i tak bardzo wtedy płakałam, była jesień, deszcz, na grzbiecie mam tylko łachmany. A moja mama takie dobre pierogi robiła...

Upiór cofnął się. Powoli, z niechęcią – ale się cofnął.

Następne dziesięć minut Nina spędziła, tkwiąc bez ruchu w lodowatej wodzie. Nie kiwnęła palcem, zresztą palców nawet już nie czuła. Nie myślała o tym, ile czasu zajmuje w takich warunkach wychłodzenie organizmu, nie pocieszała się, że ostatecznie przecież nie jest cała zanurzona, tylko siedzi w wodzie, odchylona do tyłu i wsparta na łokciach.

Myślała o wigilijnych potrawach z pasją, jakiej nie powstydziliby się największy żarłok.

Potem ciemność w kościele poszarzała, a razem z nią upiory. Nie rozwiały się niczym dym, nie pochłoneła ich piekielna czeluść, tylko właśnie szarzały i szarzały, aż wreszcie całkiem wtopiły się w świt. Nie było w tym nic spektakularnego, nic z pełnej rozmachu magii, o jakiej można przeczytać w książkach, jednak dziewczyna z jakiegoś powodu miała pewność, że to ostateczne zwycięstwo i upiory zniknęły na dobre. Kościół zmienił się, jego pustka miała teraz inny wyraz – zupełnie jakby nigdy nie było w nim nikogo poza Niną, która z ulgą zamknęła oczy.

Rozdział piętnasty, w którym Nina wraca do domu i za późno się orientuje, co miała na myśli wróżka.

Odczekała dla pewności jeszcze chwilę, a potem wstała. Zabrała z ołtarza płaszc i koc – na szczęście okazały się suche – i narzuciła je na ramiona. Niewiele to pomogło, nadal szczykała zębami tak bardzo, że mogłaby odgryźć sobie język.

Przy wejściu do kościoła spotkała Lisa.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Nie – burknęła Nina, która była przemarznięta, zmęczona i miała wszystkiego dość.

Wsunęła się na tylne siedzenie terenówki i skuliła pod kocem. Samochód ruszył.

– Nie bałem się – poinformował Łukasz z dumą. – Było tu mnóstwo upiorów, ale ja całą noc przespałem.

– To świetnie – wymamrotała Nina.

– Nie spodziewałem się, że będzie ich tak dużo – przyznał Lis. – Na szczęście nawet nie zwróciły na nas uwagi.

Jasne, bo były zainteresowane mną, pomyślała ponuro Nina.

Zaparkowali na leśnej drodze. Między drzewami, w pierwszych promieniach świtu widać było budynek Instytutu.

– Nina, zaczekaj tu. Łukasz idzie ze mną.

– Zamoczę sobie buty – marudził chłopiec.

– Przeniosę cię.

Gdy została sama, uświadomiła sobie, że powinna zaprotestować albo przynajmniej zapytać, dlaczego właściwie ma tu czekać. Nie miała siły ani na jedno, ani na drugie. Mokre ubranie obrzydliwie lepiło się do skóry, ale przynajmniej już tak nie dygotała: koc i panujące w terenówce ciepło trochę pomogły. Udało jej się nawet zasnąć na kilka minut.

Zbudziło ją pukanie w szybę.

– Hej, otwórz.

Na zewnątrz, w za dużych na niego kaloszach stał Hubert. W jednej ręce trzymał walizkę Niny, a w drugiej własny skromny plecak.

Dziewczyna otworzyła i chłopak wśliznął się obok niej na tylne siedzenie.

– Przyniosłem twoje rzeczy. Możesz się przebrać.

– Dzięki. Odwrócisz się?

– Jasne.

Gdy Nina zmieniała mokre ubranie na suche (niestety też brudne), Hubert relacjonował jej, co działo się nocą w Instytucie. Była to opowieść pełna napięcia i niespodziewanych zwrotów akcji, lecz akurat w tym momencie dziewczyna niespecjalnie potrafiła ją docenić, zanotowała więc tylko w pamięci najważniejsze fakty.

Upiory zaatakowały po raz drugi koło północy, czyli wkrótce po tym, jak Nina i Łukasz wyjechali z Lisem.

Po drugiej udało im się wdrzeć do środka i przez chwilę sytuacja wyglądała naprawdę kiepsko, wtedy jednak upiory niespodziewanie zaczęły się wycofywać, jakby gdzie indziej znalazły ciekawsze zajęcie (bo znalazły, pomyślała w tym momencie Nina).

Do piątej została ich już tylko garstka, uparcie próbująca przedostać się z lewego skrzydła do prawego i powstrzymywana przez żołnierzy ogniem z karabinów.

A o świcie wszystkie zniknęły.

Nina odwzajemniła się swoją własną, odrobinę tylko ubarwioną opowieścią. Hubert, co zauważyła z niejaką przyjemnością, był pod sporym wrażeniem. Chyba żałował, że to nie on miał okazję wykazać się odwagą. Owinięta kocem Nina wyobraziła sobie jasnowłosego chudzielca marznącego całą noc w lichym płaszczku. Może i lepiej się stało, że to ona poszła do kościoła.

Potem pomyślała o domu dziecka, do którego Lis chciał wysłać Huberta.

Do równoległej klasy w jej szkole chodziły dwie sieroty, siostry Wilczarz – obie nosiły jakieś dziwaczne rzeczy z darów, za duże swetry i sukienki przypominające worki, a o pobycie w sierocińcu opowiadały mnóstwo nieprzyjemnych rzeczy. Że siostry zakonne lubiły bić wychowanków linijką, a za większe przewinienia zamykały w ciemnej komórce, gdzie trzeba było się modlić i prosić Boga o wybaczenie. Że rekordzista spędził w tej komórce ponad dwadzieścia godzin i siostry wypuściły go dopiero, kiedy zsiąkł się w spodnie, za co zresztą dostał kolejne solidne lanie. Że w czasie posiłków nie wolno było się odzywać i zawsze należało zjeść z talerza wszystko aż do ostatniego okruszka, nawet jeśli komuś na widok jakiejś potrawy robiło się niedobrze, bo „nie wolno marnować jedzenia, kiedy dzieci w Afryce chodzą głodne”.

Jasne, Wilczarzówny mogły zmyślać, ale Nina widziała kiedyś osobiście siniaki na plecach Elwiry, a wiecznie ponura mina Marty mówiła sama za

siebie.

Czy Nina naprawdę chciała, żeby Hubert znalazł się w takim miejscu?

– Słuchaj – zaczęła niepewnie. – Czy ty... no wiesz, rozmawiałeś z Lisem?

O tym, że mamy dla niego pracować?

– Tak, a co?

– I nadal nie zamierzasz się zgodzić?

Hubert zacisnął usta.

– To komunista. Ty byś się zgodziła, gdybyś nie musiała?

– No właśnie o to chodzi, że ja muszę i... – Nina poczuła obrzydzenie do samej siebie, ale zepchnęła je w głąb świadomości. – Proszę, nie zostawiajcie mnie z nim samej! Wiem, że zachowuję się wstrętne, ale naprawdę nie dam sobie bez was rady!

Wypadło to zaskakująco naturalnie, aż Nina lekko się wystraszyła.

Czy naprawdę tak właśnie się czuła?

Owszem, trochę tak. Może nawet bardziej niż trochę.

Hubert spojrzał na nią zaskoczony.

– Tamara się zgodziła. I Jacek też.

– Naprawdę?

– No. Dziwne, po tym, co Lis mu zrobił. Ale on chyba sobie wyobraża, że jak teraz się zgodzi na tę pracę, to potem będzie miał okazję do zemsty. I w ogóle strasznie jest rozżalony, że my walczyliśmy z upiorami, a on cały czas leżał w łóżku.

Nina odłożyła na razie kwestię Jacka na bok.

– Nie chodzi o towarzystwo, tylko o różne... umiejętności. Przydałbyś się nam jako czwarty.

– Przecież ja nawet nie mam cech Wybrańca.

W głosie Huberta zabrzmiał lekki żal i Nina już w tej chwili wiedziała, że chłopak się zgodzi. Brakowało mu jedynie dobrego argumentu, a ona mogła ten argument dostarczyć, jeśli odpowiednio wszystko rozegra.

– Ale jako jedyny z nas masz magiczne zdolności, które umiesz kontrolować. Jeśli mamy pomagać przy różnych sprawach związanych z anielskimi czarami, będziemy cię potrzebować.

– Tak myślisz?

Gorliwie pokiwała głową.

– Wiem, że proszę o wiele. To strasznie egoistyczne z mojej strony myśleć, że mógłbyś się tak dla nas poświęcić. Nie powinnam tego robić. Przepraszam. Zapomnij, że w ogóle o tym wspominałam, dobrze?

Nina odwróciła się i ukryła twarz w dłoniach. Nie płakała, ale była tego

bliska – choć nie z powodów, o jakich mógłby myśleć Hubert.

Chwilę później poczuła na ramieniu ciężar chudej ręki. Hubert poklepał ją ostrożnie, jakby była ze szkła.

– Zostanę z wami – powiedział. – Właściwie powinienem sam o tym pomyśleć. Razem nie damy się im złamać!

Nina czuła się podle. Naprawdę bardzo podle, jak nigdy w życiu. Jakby przed chwilą sprzedała przyjaciela – bo mniej więcej to właśnie się wydarzyło, prawda? Co z tego, że zrobiła to dla jego dobra? Powinna pozwolić Hubertowi samemu zdecydować. Problem w tym, że argumenty: „Zgódź się, potrzebujesz porządnego jedzenia, ciuchów i dobrej szkoły” nigdy w życiu nie trafiłyby do chłopaka, do niego przemawiało wyłącznie poświęcenie i cierpienie.

Sumienie gryzło ją tak bardzo, że mało brakowało, a wszystko by odwołała, ale w tym momencie dostrzegła zbliżającą się drogą osobliwą grupkę. Byli to Lis, Sowa, Tamara i Jacek, przy czym dwójka nastolatków miała na nogach kalosze podobne do tych, jakie nosił Hubert (Nina chciała zapytać, skąd u licha je wzięli, ale później wyleciało jej to z głowy). Jacek poruszał się całkiem żwawo i wyglądał nieźle, choć bandaż na jego głowie nadal sprawiał upiorne wrażenie.

Zatrzymali się niedaleko samochodu.

– To ostatnia przysługa – powiedziała Sowa. – Nie liczcie na więcej, towarzyszu.

– Nie liczę – zapewnił Lis.

– Mam nadzieję, że nigdy więcej się nie zobaczymy.

– Zrobię, co tylko się da.

Kobieta odwróciła się na pięcie i odeszła, a pozostała trójka wsiadła do terenówki. Jacek zajął miejsce z przodu, Tamara na tylnym siedzeniu obok Huberta.

– Sowa wie, że nie dostałam czerwonej kartki? – zapytała Nina, gdy Lis uruchamiał silnik.

– Sam nie dałbym rady sfałszować dokumentów.

– Czy ona... – zawahała się, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów – ...jest jedną z was, kimkolwiek jesteście?

– Nie, jest tylko kobietą, która z pewnych powodów była mi winna przysługę i którą w tym celu wykorzystałem. Wie nie więcej, niż musi wiedzieć.

– Aha – mruknęła Nina, która nic z tego nie rozumiała. – A dokąd teraz jedziemy?

– Do domu – oznajmiła radośnie Tamara. – Oficjalnie ty dostałaś czerwoną kartkę, a my pomyślnie przeszliśmy wszystkie testy i zostaliśmy zwolnieni. Fajnie, nie?

Jechali na południowy zachód, najpierw powoli, przedzierając się przez błotniste leśne drogi, potem, gdy znaleźli się na asfaltowej szosie, już szybciej. Wszyscy byli zmęczeni i milczący, a z Jacka niechęć do Lisa promieniowała wręcz fizycznie. Nina przysnęła z głową na ramieniu Tamary, ukołysana do snu ciepłym i monotonnym ruchem pojazdu. Zbudziła się, gdy przyjaciółka szarpnęła ją za łokieć.

– Wstawaj.

Otworzyła oczy. Stali na brukowanym ryneczku niewielkiego miasteczka, otoczonym przez całkiem ładne, choć zaniedbane osiemnastowieczne kamieniczki. Barok, pomyślała Nina odruchowo, zanim na dobre się obudziła. Potem zarejestrowała jeszcze, że zatrzymali się przed restauracją Bajeczna, obok której mieścił się budynek poczty. Musiała dochodzić ósma, bo szarość świtu ustąpiła miejsca jasności jesiennego dnia. Deszcz już nie padał, niebo było czyste, ale wiał ostry zimny wiatr, który marszczył wodę w kałużach i łopotał markizą restauracji. Ryneczek świecił pustkami, jakby paskudna pogoda zniechęciła wszystkich do wychodzenia z domu. A może zwyczajnie było za wcześnie i mieszkańcy nie zdążyli się jeszcze obudzić?

– Idźcie zjeść śniadanie, ja zadzwonię z poczty. Dołączę do was za chwilę i zapłacę – powiedział Lis, wysiadając.

Posłusznie weszli do pustej o tej porze restauracji. W środku krzątała się jedna jedyna kelnerka, która obdarzyła wchodzących wzrokiem pełnym niechęci, po czym wróciła do przecierania stołów.

Czwórka nastolatków zajęła sześćoosobowy stół przy oknie, Tamara sięgnęła po kartę dań. Chwilę później zjawiała się kelnerka, nadal z naburmuszoną miną. W ręku trzymała mokrą ścierkę.

– Zamawiacie coś czy tylko przyszlście sobie posiedzieć? – burknęła.

– Ja chcę solę w sosie cytrynowym. – Tamara podniosła głowę znad karty.

– I do tego butelkę czerwonego wina.

– Nie podajemy nieletnim wina. A soli nie ma.

– To w takim razie gulasz z dzika.

– Też nie ma.

– Kotlet pożarski?

– Dopiero po trzynastej, jak obiady zaczniemy wydawać.

– To co jest? – zapytał Hubert.

– Naleśniki z dżemem mogą być za kwadrans – powiedziała łaskawie kelnerka. – Jajecznicza z kurkami szybciej.

– W takim razie proszę jajecznicę – zdecydowała Tamara.

Nina i Hubert zdecydowali się na naleśniki, a Jacek wziął jedno i drugie.

Kelnerka obrzuciła podejrzliwym spojrzeniem bandaż na głowie pulchnego chłopaka, potem przeniosła wzrok na złamaną rękę Tamary, a skończyła, gapiąc się na zaschnięte ślady błota na spódnicy Niny.

– Macie czym zapłacić, prawda?

– Tak, zaraz przyjdzie nasz wujek i zapłaci – oznajmił bez mrugnięcia okiem Hubert.

Kelnerka westchnęła, najwyraźniej biorąc niebiosą na świadka swojego nieszczęścia.

– Coś do picia? Możecie dostać herbatę albo mleko.

– A kawę z mlekiem? – zainteresowała się Nina.

Kobieta zawahała się.

– Zbożową?

– Nie, zwykłą. Z cukrem. Dużą ilością cukru.

– Zobaczę, co da się zrobić.

Kiedy kelnerka odeszła, Nina spojrzała na pozostałą trójkę.

– Mam propozycję – powiedziała. – Skoro już wszyscy w tym tkwimy, chciałabym, żebyśmy sobie coś obiecali.

– Co takiego? – spytała Tamara.

– Że nie będziemy mieć przed sobą tajemnic. Znaczący, takie osobiste oczywiście możemy, ale nie takie, które będą wpływały na naszą pracę.

– Czyli właściwie jakie? – Jacek zmarszczył brwi.

– Czemu patrzysz na mnie? – odezwał się w tym samym momencie Hubert.

– Bo to ty ukrywałeś przed nami, że spotkałeś w wiosce ducha. A Jacek nie pisał ani słowa o tym, że wszystko wygadał.

– Przeprosiłem przecież. – Pulchny chłopak zacisnął dłonie na kubku z mlekiem, który właśnie przyniosła kelnerka, a Nina w tym samym momencie zrozumiała, dlaczego Jacek zgodził się pracować dla Lisa: nie chodziło o zemstę czy rozżalenie, tylko o poczucie winy. – Obiecuję, że się zrehabilituję. Jak dacie mi szansę.

– Nikt nie ma do ciebie pretensji – zapewniła pośpiesznie dziewczyna. – Podałam to tylko jako przykład głupich tajemnic, które mogą nas kosztować... – Chciała powiedzieć „życie”, ale zabrakło jej odwagi. – Dużo –

dokończyła. – Mogą nas dużo kosztować.

– Ty też nie o wszystkim nam mówiłaś – wytknęła jej Tamara.

– Tak, wiem. Dlatego ta zasada mnie też dotyczy. To jak, zgadzacie się?

Skinęli głowami.

– I żadnego chojrakowania – dodała jeszcze Nina. – Jeśli któreś z nas nie będzie czuło się na siłach, żeby coś zrobić, ma obowiązek powiedzieć o tym pozostałym, zamiast udawać, że wszystko jest w porządku, jasne?

– Znowu patrzysz na mnie – w głosie Huberta zabrzmiała lekka uraza, a Tamara parsknęła:

– No proszę, nie wiedziałam, że potrafisz być taka stanowcza.

– Zgadzacie się? – przycisnęła ich Nina, która sama była lekko zdumiona własnym zachowaniem.

– Jak dla mnie nie ma problemu – odparła Tamara. Chłopcy skinęli głowami z ociąganiem. Nina pomyślała, że na razie to musi wystarczyć.

Chwilę później kelnerka przyniosła śniadanie i Jacek wpakował sobie od razu do ust pół naleśnika.

– Nie jedz tak szybko, przecież niedawno byłeś chory – ostrzegła go Nina.

– Jeszcze nigdy jedzenie mi nie zaszkodziło – wymamrotał chłopak. – Poza tym czuję się świetnie.

Nina zajęła się zawartością własnego talerza. Gdy kończyła, wrócił Lis, zajął miejsce obok Tamary i poprosił kelnerkę o kawę.

– Jestem wam winien wyjaśnienie – powiedział. – Do czego was potrzebuję i tak dalej.

Cztery pary oczu spojrzały na niego z zainteresowaniem. Nina pośpiesznie przełknęła ostatni kawałek naleśnika i popiła go kawą, od której chyba zaczynała się uzależniać.

– Dobra, najpierw krótkie wprowadzenie. Anioły, jak sami wiecie, zmieniają naszą rzeczywistość. Nie wszędzie, w Polsce jest szesnaście stref, nad którymi skrzydlaci praktycznie przejęli władzę.

– Siedemnaście – przypomniała Tamara. – Jeśli doliczyć zero.

– Zero to osobny przypadek, tam aniołów od dawna już nie ma. A w pozostałych strefach są. Mamy więc szesnaście miejsc, gdzie działa magia, pojawiają się czarodziejskie stworzenia, potwory i oczywiście podążające za skrzydlatymi Bestie. Dobra wiadomość jest taka, że strefy się nie powiększają, a nam udało się jak dotąd utrzymać w tajemnicy ich istnienie – na szczęście to położone na uboczu miasteczka i wioski.

– Jak Markoty – powiedziała Nina, a Lis skinął głową.

– Jak Markoty. Zła wiadomość jest taka, że praktycznie nie mamy kontroli

nad tymi strefami. Nie wiemy, co się tam dzieje, a docierające do nas wieści są mocno niepokojące. Jak dotąd wszystkie próby interwencji kończyły się fiaskiem. Jako dorośli nie mamy magicznych zdolności, a co więcej, cała ta magia dla wielu z nas, zwłaszcza starszych, jest... mało zrozumiała. I bywają przypadki, że nawet nie jesteśmy jej w stanie dostrzec, widzimy jedynie skutki, ale bezpośredniej przyczyny już nie.

– Jak z duchami – odezwał się Hubert.

– Zgadza się.

– Dlatego wpadliście na pomysł, żeby wykorzystać dzieci – wtrąciła się Tamara.

– Ja wpadłem na pomysł – przyznał Lis. – Dlatego czuję się poniekąd odpowiedzialny za projekt „Czerwony Kapturek”, bo tak go nazwaliśmy.

– Trochę źle wróżąca nazwa, nie sądzicie? – mruknęła Nina.

– Nie ja ją wymyśliłem. Problem w tym, że projekt został uznany za interesujący, ale jednocześnie zbyt niepewny i niebezpieczny, nie mamy więc oficjalnego pozwolenia.

– A nieoficjalne? – zainteresowała się Nina.

– Jak najbardziej. Ogólnie sprowadza się to do tego, że dostajemy pieniądze i dyskretne wsparcie, ale jeśli któregoś dnia nawalimy, rząd Polski Ludowej będzie udawał, że nigdy o nas nie słyszał. I oficjalnie nie istniejemy, oczywiście.

– Prawie jak tajne stowarzyszenie. – W oczach Huberta rozbłysły iskry. Nina trochę wbrew własnej woli również poczuła się podekscytowana.

– Spotykacie się w jakimś tajemniczym miejscu? – zapytała. – W lochach, gdzie schodzicie w czarnych płaszczach z kapturami, oświetlając sobie drogę pochodniami?

– Spotykamy się najczęściej w willi na Mokotowie – oznajmił Lis spokojnie.

– A ty powinnaś przemyśleć zmianę lektur. I nie muszę chyba mówić, że byłoby bardzo głupio z waszej strony, gdybyście komuś wspomnieli o tej rozmowie, prawda?

– Nie musi nas pan straszyć. – Tamara wyglądała na urażoną. – Nikomu nie powiemy.

– Tylko się upewniam. – Lis zapalił papierosa.

– Nie będziemy nikogo krzywdzić – zastrzegła Nina, starając się myśleć rozsądnie, co było o tyle trudne, że przed oczami ciągle tkwiła jej wizja Lisa w kapturze i z pochodnią w ręku. O dziwo, nie był to obraz tak zupełnie absurdalny. Porucznik miał talent do wyglądu naturalnie w różnych okolicznościach. Na przykład teraz, kiedy siedział z nastolatkami przy stoliku,

nie było w nim nic z wojskowego. W zwyczajnym czarnym swetrze NAPRAWDĘ mógł uchodzić za znudzonego młodego wujka, który niezbyt chętnie zabrał na wycieczkę czwórkę rozbrykanych siostrzeńców (oczywiście parkująca przed restauracją terenówka nieco ten wizerunek psuła). Nadawałby się na szpiega, pomyślała Nina, po czym wróciła do ważniejszego problemu: – Ani aniołów, ani ludzi. Nikomu nie zrobimy krzywdy.

– Nikt tego nie będzie od was wymagał. Poza tym – w oczach Lisa zabłyśły wesołe iskierki – nie wydaje mi się, żebyście byli jakoś specjalnie uzdolnieni w tym kierunku.

– No tak. – Nina chrząknęła, nie mając pojęcia, czy uznać to za komplement. – Ale jak pan właściwie to sobie wyobraża? Tamara będzie w Warszawie, Jacek w Gdańsku, ja we Wrocławiu, a Hubert Bóg wie gdzie... Jakim cudem możemy razem dla pana pracować?

– Spokojnie, pošemy po was, gdy będzie taka potrzeba.

– To znaczy, że będziemy jak uśpieni agenci? Rany! – Oczy Tamary też dziwnie błyszczały. Nawet Jacek, uparcie milczący i promieniujący niechęcią, wydawał się zainteresowany. A Nina nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Słowa Lisa brzmiały podejrzenie dobrze i dziewczyna nadal była daleka od tego, żeby porucznikowi zaufać. Z drugiej strony, właściwie dlaczego nie miałyby to być prawda? Jak na razie wszystko zgadzało się z tym, co wcześniej wiedziała. No i najważniejszy argument – teraz i tak już żadne z nich nie mogło się wycofać.

Trudno, pomyślała. Jeśli właśnie popełniłam największy błąd w życiu, będę się tym martwić później.

– Jedzcie, czeka nas jeszcze długa droga – pogonił ich Lis. – Tamara i Jacek przesiądą się w Warszawie do drugiego samochodu, który odwiezie was do domów. Nina i Hubert pojedą ze mną do Wrocławia.

Tak jak porucznik powiedział, w Warszawie czekał na Tamarę i Jacka czarny samochód, a w nim mężczyzna nieco starszy od Lisa, ale zaskakująco podobny w typie: zwyczajnie ubrany i wtapiający się w tło.

– Uważajcie na siebie. – Nina objęła najpierw Tamarę, a potem Jacka. – Mam nadzieję, że niedługo się zobaczymy.

Zaraz ugryzła się w język, bo uświadomiła sobie, że to „zobaczenie się” będzie miało miejsce przy okazji pracy dla Lisa, a to mogło oznaczać wiele rzeczy.

Na przykład przygodę – na co liczyła Tamara.

Albo bardzo poważne niebezpieczeństwo – tego z kolei bała się Nina (choć przygodę też brała pod uwagę, czemu nie). Tak czy inaczej wyglądało na to, że życie całej czwórki mocno się zmieni.

Gdy Tamara żegnała się z Hubertem, Nina spojrzała na Jacka.

– Jesteś pewny, że chcesz z nami zostać? – zapytała. – Wytrzymasz, jeśli będziesz musiał, no wiesz, oglądać Lisa codziennie, przyjmować od niego polecenia i w ogóle? Może jeszcze...

– Dam sobie radę. – Chłopak zacisnął usta.

– Jasne, dzięki. – Nie spodziewała się innej odpowiedzi, ale uznała, że to ostatnia szansa, żeby spróbować.

Tamara i Jacek wsiedli, samochód ruszył. Pozostała dwójka pojechała z Lisem w stronę Wrocławia. Nina oparła czoło o szybę, patrzyła na mijane pola i wyobrażała sobie powrót do domu. Ciekawe, czy mama dalej będzie uważać, że sama wpakowałam się w kłopoty? Przecież to nie była moja wina!

A co powiedzą rodzice, gdy kiedyś – może już całkiem niedługo – po Ninę przyjdą ludzie w mundurach i znowu ją zabiorą nie wiadomo gdzie? „Poślemy po was” tak przecież powiedział Lis.

Nie chciała o tym myśleć. Starła się też wyrzucić z pamięci chatę węglarza i jej tajemnicę. Koniec końców okazało się, że nie rozwiązała tej zagadki. I co z tego? Prawdopodobnie nie było żadnej tajemnicy, pewnie Karola i Danutę Kwietniów zabił po prostu Antek. Najprostsze odpowiedzi są najczęściej tymi właściwymi. Co z tego, że Lis pamiętał, jak brat się z nim bawił? Miał wtedy trzy lata, a trzylatek to żaden świadek. Dzieci czasem pamiętają to, co chcą pamiętać. Nina miała bardzo wyraźne wspomnienie, jak w letni słoneczny dzień, jedząc lody, zwiedzała z rodzicami zoo – kiedy jednak opowiedziała o tym mamie, ta zaśmiała się i powiedziała, że Ninie coś się pomyliło: w zoo razem byli tylko raz, we wrześniu, i padał wtedy tak paskudny deszcz, że zaraz wrócili do domu. O lodach w taką pogodę oczywiście też nie było mowy.

A jeśli wspomnienie Lisa było prawdziwe, rodziców obu chłopców pewnie zabił kowal albo ksiądz, z jakichś sobie tylko znanych powodów, których Nina i tak nie potrafiłaby odkryć, bo miała za mało danych.

Och, wszystko jedno zresztą, po co w ogóle o tym myślała? To już nie miało znaczenia, najważniejsze, że wreszcie wracała do domu.

Patrzyła, jak na szybie rozbryzgują się krople deszczu. Za Łodzią rozpadało się na dobre, wycieraczki ledwo nadążały z usuwaniem wody. Dziewczyna kręciła się niespokojnie na siedzeniu.

– Co ci jest? – zapytał Hubert.

– Nic.

– Jasne, a zasada „żadnych tajemnic” to tylko takie gadanie.

Chciała odpowiedzieć coś opryskliwie, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Chłopak miał rację.

– Przepraszam. Cały czas wydaje mi się, że coś przegapiłam.

– Na przykład co?

– No właśnie problem w tym, że nie wiem. Jakbym wiedziała, tobym tego nie przegapiła. Nie przejmuj się, pewnie to nic ważnego.

W Kępnie zatrzymali się na chwilę przy poczcie i Ninie udało się zadzwonić do sąsiadów, którzy zawołali do telefonu jej mamę. Słyszając głos córki, Jadwiga Pankowicz krzyknęła z radości.

– Nina! Martwiliśmy się o ciebie! Kiedy wracasz?

– Za jakieś półtorej godziny powinniśmy być we Wrocławiu.

Połączenie było kiepskie, dziewczyna ciągle słyszała trzaski i szумы. W pewnym momencie jednak przebił się przez nie wyraźny dźwięk tłukącego się szkła.

– Mamo, co się dzieje?

– Nic, trochę zakręciło mi się w głowie i upuściłam szklankę z herbatą. Zaraz posprzątam.

– Dobrze się czujesz? Masz dziwny głos...

– Wszystko w porządku. Cieszę się, że wracasz. Zrobię na obiad twoje ulubione pierogi z serem.

Jeszcze jeden trzask i połączenie zostało zerwane. Nina wyszła z poczty i wsiadła do samochodu. Musiała wyglądać na mocno zdenerwowaną, bo Hubert spojrzał na nią z niepokojem, ale tym razem nic nie powiedział.

W Oleśnicy dosiadła się do nich wysoka jasnowłosa kobieta. Naprawdę wysoka: miała pewnie z metr osiemdziesiąt, a obcasy jeszcze dodawały jej wzrostu. Na większość mężczyzn musiała patrzeć z góry – ale może właśnie o to jej chodziło? Poza tym była elegancko ubrana i ładna, taką klasyczną chłodną urodą, która Ninie zawsze kojarzyła się z angielskimi aktorkami.

– Ewa Wiśniewska – przedstawiła się ku zaskoczeniu dziewczyny, która spodziewała się kolejnego zwierzęcego czy ptasiego nazwiska. – Podwieziemy cię do Wrocławia, a potem zajmę się Hubertem.

Usiadła za kierownicą, a Lis przesiadł się obok i zasnął momentalnie, z łatwością człowieka, który przywykł sypiać w każdych warunkach. Nina też zrobiła się senna, monotonny stukot deszczu uderzającego o szyby stłumił niepokój do poziomu, kiedy niemal o nim zapomniała. Nic złego się nie

dzieje, zaraz będę w domu, powtarzała sobie, aż wreszcie prawie w to uwierzyła. Zapadła w drzemkę. Znów śniło jej się, że siedzi na przyzbie domu węglarza. Był piękny listopadowy dzień, świeciło słońce, suche liście mieniły się wszystkimi kolorami jesieni. Dziewczyna czekała. Na krzyk, na skrzypnięcie drzwi za plecami. Wiedziała, że tym razem odwróci się, żeby zobaczyć, kto wychodzi z chaty. W końcu to była ostatnia szansa na rozwiązanie zagadki, a Nina należała do tych, którzy zawsze chcą wiedzieć. Nawet jeśli prawda miałyby ich zabić.

Drgnęła lekko, kiedy doczekała się wreszcie krzyku, ale nie zaczęła się odwracać. Jeszcze nie. Dopiero chwilę później, gdy usłyszała skrzypnięcie.

Obejrzała się. Powoli, mobilizując wszystkie siły, by zmusić się do tego jednego prostego ruchu.

Odwrócić się. Spojrzeć.

Drzwi chaty uchyliły się i stanęła w nich znajoma sylwetka. Niewysoka, dziewczęca, z kasztanowymi włosami skręcającymi się w niesforne loki.

Nina.

Obudziła się cała spocona, z krzykiem zamierającym na ustach.

– Co się dzieje? – zapytał Hubert. – Jesteś blada jak prześcieradło.

– To tylko głupi sen. – Oczywiście, że to musiał być głupi sen, bo co Nina mogłaby mieć wspólnego z morderstwem sprzed dwudziestu lat? Gdy rodzice Antka umierali, jej nawet nie było na świecie.

Odetchnęła, starając się oczyścić umysł z resztek koszmaru. Wjechali już do Wrocławia, Lis obudził się i instruował właśnie Ewę, gdzie powinna skręcić. Nina przyglądała się znajomym ulicom. Za piętnaście minut powinna być w domu. Zje pyszne pierogi, porozmawia z rodzicami, a potem ogra w szachy Szymka, jeśli brat zdążył do tego czasu wyzdrowieć. Jutro była niedziela, co oznaczało, że może uda się wyciągnąć Agnieszkę do kina. Mogłyby pójść na jakiś western albo do Polonii na kryminał *Nieznajomi z pociągu* (w końcu trzeba wprawiać się w pracy detektywa).

Dziesięć minut.

Próbowała skupić się na przyjemnościach związanych z powrotem. Nareszcie dobre jedzenie, gorąca kąpiel w wannie, a nie pod wspólnym prysznicem, książka czytana pod ciepłą kołdrą i kakao przed snem – wszystkie te drobiazgi, które na co dzień były tak oczywiste, że człowiek nawet nie zauważał, jak bardzo są dobre. Nina przywoływała je w pamięci, ale coś wewnątrz niej krzyczało i krzyczało. Już nie tylko niepokój, ale prawdziwa panika.

Hubert patrzył na nią z coraz większą troską.

– Naprawdę kiepsko wyglądasz...

– Cicho. Myślę.

Przegapiłam coś. Cholera, naprawdę przegapiłam. Ale co takiego? Co mogłoby być na tyle ważne, żeby miało znaczenie właśnie teraz?

Pięć minut. Skręcili już w Kazimierza Wielkiego i minęli kościół Opatrzności. Nina zacisnęła dłonie na krawędzi siedzenia. Oddychała coraz bardziej nerwowo, wewnątrz samochodu nagle wydało jej się strasznie ciasne. Jeszcze tego brakowało, żeby dostała teraz ataku klaustrofobii. W lusterku złapała spojrzenie Lisa.

– Dobrze się czujesz?

Nie, Nina z pewnością nie czuła się dobrze. W uszach wciąż rozbrzmiewał jej dźwięk tłukącej się szklanki i słowa madame Zulejki: „Ostatecznie, sama to sobie zrobisz”.

Wjechali na ulicę, przy której mieszkała Nina. Jeszcze góra dwie minuty i znajdą się pod jej domem.

Sama to sobie zrobisz, sama to sobie zrobisz, sama...

Wychyliła się gwałtownie w przód.

– Jest pan pewny, że Antek nie zabił waszych rodziców?

– Jestem – odparł Lis.

– Niech pan opowie wszystko, co pamięta z tego poranka. Bo to był poranek, tak?

– Tak. Ojciec chwilę wcześniej przywłókł Antka i zrobił mu awanturę za spędzenie nocy poza domem.

Alarm w głowie Niny już nie dzwonił, tylko wył.

– Antek był gdzieś w nocy? Gdzie?

– Nie wiem, pewnie czaił się pod kościołem i czekał na okazję, żeby tam wejść.

Zaparkowali pod blokiem. Jadwiga Pankowicz musiała dostrzec z okna nadjeżdżający samochód, bo zbiegła na dół, żeby przywitać córkę. Nie, nie zbiegła. Przyczłapała. Bo matka Niny wyglądała źle, twarz miała w kolorze świeżo wyciśniętego sera, błyszczącą od potu. Oddychała ciężko i przyciskała dłoń do piersi na wysokości serca. Żeby nie upaść, oparła się o kiosk, ale i tak sprawiała wrażenie, jakby tylko chwila dzieliła ją od osunięcia się na mokry chodnik.

– Ta kobieta potrzebuje pomocy – powiedziała spokojnie Ewa.

Lis wysiadł, Nina już chciała pójść w jego ślady. Tak podpowiadał jej instynkt: wysiąść, podtrzymać mamę, zaprowadzić do mieszkania i wezwać lekarza. Albo nawet od razu jechać z nią na pogotowie.

Nie zrobiła tego. Zamarła z ręką na klamce, bo wreszcie zrozumiała.

– Niech pani jedzie – powiedziała przez ściśnięte gardło. – Niech pani jedzie!

– Dokąd? – Ewa rzuciła niespokojne spojrzenie na Lisa.

– Wszystko jedno! Szybciej!

– Daniel?

Porucznik się odwrócił.

– Jedź! Zadzwoń do ciebie.

Kobieta wcisnęła gaz i terenówka ruszyła gwałtownie. Ulice jedna po drugiej zostawały za nimi, Nina kuliła się na tylnym siedzeniu, z zamkniętymi oczami i dłońmi przyciśniętymi do uszu. Nie widzieć niczego, nie słyszeć, nie myśleć. Bo prawda była zbyt przerażająca, żeby choć na ułamek ułamka sekundy dopuścić ją do świadomości.

– Co się dzieje? – dopytywał Hubert, ale dziewczyna zamiast odpowiedzieć tylko potrząsała głową.

Otworzyła oczy dopiero, kiedy samochód się zatrzymał. Stali przed willą z niewielkim ogrodem, gdzieś na obrzeżach Wrocławia. Nina nie wiedziała, gdzie dokładnie, i nic ją to nie obchodziło.

– Chodźcie.

Wysiedli posłusznie. Kobieta otworzyła drzwi i wpuściła ich do środka. Hubert cały czas zerkał wystraszony na przyjaciółkę, ale dziewczyna milczała uparcie. Ewa zaprowadziła ich do salonu z kominkiem (prawdziwym! w innych okolicznościach Ninie bardzo by się tu podobało) i posadziła na kanapie.

– Nie mam pojęcia, co się dzieje, ale wygląda na to, że przynajmniej chwilę tu zostaniemy, więc czujcie się jak u siebie w domu – powiedziała z prawdziwie angielskim opanowaniem. – Herbaty?

– Chętnie, dziękuję – zgodził się Hubert.

Nina odmówiła ruchem głowy.

– Odezdziesz się wreszcie? – zapytał chłopak, kiedy gospodyni wyszła z salonu. – Co się dzieje?

– Właśnie zabiłam moją mamę! – wrzasnęła dziewczyna. – To się dzieje!

Nina i tak dostała herbatę, gorącą i bardzo słodką. Upiła łyk, odstawiła szklanekę, po czym skuliła się na tapczanie. Hubert objął ją i niezdarnie poklepał po plecach.

– Będzie dobrze – powiedział. – Twoja mama zachorowała, ale przecież to nie znaczy, że umrze.

– Nie rozumiesz. – Dziewczyna pokręciła głową.

– To może mi wyjaśnisz?

Przetarła oczy, chociaż nie płakała.

– Powinnam się tego domyślić już wcześniej – oznajmiła z goryczą. – To przecież było oczywiste.

– Co takiego?

– Kto zamordował rodziców Antka. Okno chaty jest za małe, żeby ktoś przez nie wszedł, a przy drzwiach siedzieli ksiądz i kowal – nawet gdyby wcześniej w środku był ktoś obcy, to po morderstwie nie zdołałby wyjść tak, żeby nie zauważył go któryś z nich. Od początku więc istniało tylko kilka możliwości: że to po prostu Antek albo ksiądz kryty przez kowala, albo odwrotnie, albo ksiądz i kowal razem w zмовie. Ewentualnie jeszcze mogło być tak, że ksiądz i kowal z jakichś powodów skłamali, że przez cały czas siedzieli na przyzbie, a tak naprawdę gdzieś sobie poszli i w tym czasie do chaty wśliznął się ktoś obcy. Albo że rodzice chłopców pozabijali się nawzajem, ale jedno i drugie wydawało mi się mało prawdopodobne.

– Sześć możliwości, jasne. – Hubert pokiwał głową. – Więcej nie ma.

– Wręcz przeciwnie, jest jeszcze siódma.

– Lis? – Oczy chłopaka rozszerzyły się. – Nie chcesz chyba powiedzieć, że trzyletnie dziecko...

– Nie, no coś ty.

– W takim razie kto?

– Nikt, i o to właśnie chodzi. Antek bawił się z młodszym bratem dokładnie tak, jak Lis powiedział, a rodzice krzatali się w głównej izbie. Nikogo innego tam nie było.

– Nic z tego nie rozumiem.

– To był wypadek. Głupi, nieprawdopodobny wypadek, który by się nie zdarzył, gdyby nie magia.

Wyobraziła to sobie, na kilka sekund odsuwając myśli o matce: Karol Kwiecień wchodzi do chaty i mówi żonie, że ksiądz i kowal przyszli porozmawiać z Antkiem. Kobieta częstuje nieproszonych gości zsiadłym mlekiem. Teraz rodzice powinni zawołać syna, ale oni zwlekają, w końcu ani węglarz, ani jego żona nie mają powodów, żeby jakoś specjalnie lubić czy szanować najważniejszych mieszkańców wioski. Być może zastanawiają się, co w takiej sytuacji zrobić, są źli na chłopaka, ale też nie podoba im się, że w jego wychowanie wtrącać się będą obcy ludzie. Karol odruchowo

podejmuje pracę, którą przerwało przyjście gości. Powiedzmy, że zamierzał wcześniej naprawić rozpadającą się szafę, że jeden z gwoździ miał już wbity do połowy (Nina pamiętała wystający z drewna kawałek metalu), bierze więc siekiere, odwraca ją, i... nie trafia, siekiera odskakuje, a ostrze wbija się mężczyźnie w głowę. Żona biegnie mu na pomoc, potyka się i uderza czołem w ostry kant pieca (jej ciało leżało właśnie przy piecu). Prawdopodobne? Jasne, że nie, szansa na coś takiego była jak jeden do miliona. Ale wtedy wtrąciła się magia, która sprawiła, że wydarzyło się to, co prawie niemożliwe.

– Dlaczego magia miałaaby zabić rodziców Antka? – zapytał Hubert.

– Ponieważ on zrobił to samo co ja. Wydawało mi się, że taka jestem sprytna, ale wcale nie byłam pierwsza, tylko druga. Antek też wpadł na to, że nie trzeba być sierotą, żeby zdać anielski test. Przeczytał książkę Józefa, poszedł do kościoła i pokonał upiora. A magia uznała, że skoro jest sierotą, to oczywiście nie może mieć rodziców – więc Karol i Danuta musieli umrzeć. Teraz rozumiesz? To samo zdarzyło się, kiedy rozmawiałam przez telefon z mamą, a ona od razu źle się poczuła.

– Anioł wiedział, że tak to się może skończyć?

– Nie mam pojęcia. Możliwe, że nie, w końcu oni sami do końca nie wiedzą, jak ich magia zadziała na ziemi. – Nina jęknęła i zgięła się, jakby nagle rozboleł ją brzuch. – Co ja zrobiłam...

– Czekaj, ale to jest bez sensu. Jeśli Antek był właściwą sierotą, jakim cudem po jego śmierci upiorów nagle zrobiło się więcej? To naprawdę była klątwa?

– Nie. Nie było ani morderstwa, ani klątwy. Problem w tym, że anioł wyciągnął Antka z kościoła odrobinę za wcześnie, zanim chłopak dokończył test. Tak mi się wydaje. Potem Antek umarł, a anioł zniknął i nie było więcej przeszkód, żeby upiór się odrodził, uwolnił, a nawet, żeby zrobiło się ich więcej.

– Brzmi strasznie skomplikowanie – mruknął Hubert.

– Wcale nie. – Nina sięgnęła po herbatę. Gorący, słodki napój trochę ją uspokoił, a rozmowa sprawiała, że nie skupiała się już tak bardzo na myślach o najgorszym. – To... po prostu biologia. Anioł trzymał upiora na uwięzi, Antek natomiast był jego naturalnym wrogiem, tak jak wilk jest naturalnym wrogiem zająca. A co się dzieje, kiedy w lesie zabraknie wilków?

– Zające zaczną się mnożyć – odpowiedział Hubert.

Nina skinęła głową. W głębi domu zabrzmiał dzwonek i dziewczyna momentalnie zapomniała o upiorach, wilkach i zającach. Cała zastygła

w napięciu nasłuchiwała cichej rozmowy, a potem odgłosu kroków.

Do salonu weszła Ewa Wiśniewska.

– Twoja mama będzie zdrowa – oznajmiła. – Miała zawał, ale jej życiu nie zagraża niebezpieczeństwo.

Nina rozplakała się z poczucia ulgi.

– Widzisz, wcale nie było tak źle – powiedział chłopak. – Wszystko jest w porządku.

Potrząsnęła głową.

– Wcale nie – wychlipała. – Już nigdy nie będę mogła wrócić do domu ani nawet porozmawiać z rodzicami przez telefon, bo ich zabiję. Jestem teraz prawdziwą sierotą. Mam rodziców, a jednocześnie jestem sierotą.

Następnego dnia rano pod dom Ewy Wiśniewskiej podjechał porucznik Lis.

– Mała zmiana planów – powiedział. – Pojedźcie dalej ze mną.

Nina nie zaprotestowała, zapytała tylko, czy Lis widział się z jej rodzicami. Porucznik przytaknął.

– Wy tłumaczyłem im całą sytuację na tyle, na ile to możliwe.

Apatycznie skinęła głową – całą noc przeplakała i czuła się teraz dziwnie zobojętniała. Oboje z Hubertem byli już spakowani, żadne z nich zresztą nie miało dużo rzeczy. Dziewczyna zostawiła jeszcze Ewie Wiśniewskiej *Psychiatriczną kliniczną* z prośbą o przekazanie jej Piotrkowi. Kobieta obiecała, że się tym zajmie. Wyglądała na sympatyczną, ale co z tego? Lis też potrafił sprawiać takie wrażenie.

Co on powiedział moim rodzicom? – zastanawiała się, kiedy siedzieli już w samochodzie. Czy mama nadal uważa, że to moja wina? Że sama wpakowałam się w kłopoty?

Nina oddałaby pół życia, żeby osobiście wszystko wyjaśnić i pożegnać się z rodzicami, ale nie mogła tego zrobić. Nawet napisanie listu nie było bezpieczne. Dostała jedynie kartkę od taty, ledwo pięć zdań:

Podobno każdy kontakt między nami może być groźny w skutkach, więc napiszę krótko: Twoja mama czuje się dobrze i niedługo powinna wyjść ze szpitala. Szymek jest już zdrowy. Będziemy na ciebie czekać i nigdy nie stracimy nadziei, że znajdzie się sposób, żebyś do nas wróciła. Kochamy Cię. Uważaj na siebie, Nino.

„Znajdzie się sposób, żebyś do nas wróciła” – Nina też uczepiła się tej nadziei.

Tym razem pojechali na północny zachód, w stronę Szczecina. W samochodzie panowała ponura cisza, Hubert czytał pożyczoną od Ewy Wiśniewskiej książkę, Lis skupiał się na prowadzeniu. Nina palcami obrysowywała szlaczki, jakie na szybie zostawiały krople deszczu. Jesień się kończyła, niedługo miała przyjść zima, a z nią pierwsze święta bez rodziców. Potem pierwsze ferie i wakacje. I kolejne.

W gardle znowu ścisnął ją płacz.

Zatrzymali się w Sulechowie niedaleko Świebodzina.

– Jesteście głodni? – zapytał Lis. – Mamy przed sobą jeszcze jakieś dwie godziny jazdy, więc jak chcecie jeść, to mówcie.

Nina i Hubert zgodnie zaprzeczyli.

– W porządku, ale i tak musimy tu zrobić krótką przerwę. Pół godziny, może być? Dam wam pieniądze na oranżadę i ciastka, jeśli nie macie ochoty na obiad.

Wysiedli. Siąpił drobny deszcz, ludzie nie tyle chodzili ulicami, ile przemykali nimi pod osłoną szarpanych wiatrem parasoli. Hubert wzdrygnął się, gdy zimna kropla wpadła mu za kołnierz.

– Chodź, znajdziemy jakąś kawiarnię – zaproponował. – Nie ma sensu tu stać.

– Możemy pójść do kościoła. – Nina wskazała okazały budynek z cegły i kamienia.

– Po co? Przecież podobno jesteś ateistką.

– Żeby pozwedzać.

– Niech ci będzie.

W kościele było zimno, ale przynajmniej sucho. Nina przeżegnała się (niektóre odruchy trudno wykorzenić), po czym przejęła rolę przewodniczki.

– To jest gotyk, można poznać po oknach i gwiazdzistym sklepieniu. Widzisz? Ma kształt gwiazdy. Takie sklepienie powstało z krzyżowo-żebrowego i jest dość proste, dalej, w nawie, mamy już bardziej skomplikowane sklepienie sieciowe... – urwała, widząc, że dołącza do nich Lis.

– Mów dalej – powiedział porucznik. – To całkiem ciekawe.

– Ale ołtarz jest późniejszy, ten obraz wygląda na osiemnasty wiek i... Tak naprawdę wcale nie interesuje pana historia sztuki, prawda?

– Niespecjalnie – przyznał Lis. – Chociaż chętnie dowiedziałbym się więcej o ołtarzu.

– Znowu próbuje pan być miły. Pewnie po to, żebym się czymś zajęła i nie myślała o rodzicach.

– Wiem. – Lis wyglądał na skruszonego. – Spróbuję poćwiczyć bycie niesympatycznym.

– To nie jest zabawne – Nina podniosła głos. Hubert, nie zwracając na nich uwagi, podziwiał właśnie na obrazie zdejmowanego z krzyża Chrystusa.

– Przepraszam – powiedział porucznik. – Możesz mnie nienawidzić, jeśli tak będzie ci łatwiej. Aha, i nie miałem pojęcia, że mój brat odkrył sposób na zostanie sierotą. To nie była pułapka, jeśli się nad tym zastanawiałaś.

– Nie zastanawiałam się – burknęła, chociaż przemknęło jej to przez głowę. – A gdyby pan naprawdę chciał być miły, to zapomniałby pan o tej całej pracy i odwiózł mnie z Hubertem do pierwszego z brzegu domu dziecka. Razem dalibyśmy sobie radę.

To była prawda, Nina już wcześniej o tym myślała. Nawet najgorszy sierociniec nie wydawałby się straszny, gdyby mieli siebie nawzajem i mogli się wspierać.

Lis pokręcił głową – o dziwo, wyglądało na to, że z odrobiną prawdziwego smutku. Albo przynajmniej wyglądającego jak prawdziwy.

– To nie jest takie proste. Masz magiczne zdolności, nad którymi nie panujesz, a to znaczy, że już nigdy i nigdzie nie będziesz do końca bezpieczna. Jeśli z nami zostaniesz, możemy do pewnego stopnia cię chronić, jeśli nie, prędzej czy później znowu zostaniesz złapana, odwieziona do któregoś z instytutów i poddana testom. Co wtedy?

– Ale przecież oficjalnie nie żyję, prawda?

Lis z lekkim, niemal niezauważalnym wahaniem skinął głową.

– Dlaczego więc ktoś miałby mnie szukać? – naciskała Nina.

– Nie twierdzę, że by cię szukali. Wystarczy, że będziesz miała pecha, na przykład ktoś zauważy, że czasem dziwnie się zachowujesz, i na ciebie doniesie.

– Czyli jestem na was skazana. Jasne, dzięki, zrozumiałam. – Nina odwróciła się w stronę wysokich gotyckich okien, o które bębnił deszcz. Po raz pierwszy w pełni do niej dotarło, w jakiej sytuacji się znalazła.

Nie będzie już oglądać z tatą albumów poświęconych historii sztuki ani nie zje obiadu, który mama ugotowała specjalnie dla niej. Nie pójdzie z rodzicami do parku czy do kina, nie pojedzie na wczasy. Nie ogra brata w szachy, nie pożartuje z jego pierwszych szkolnych miłości, a on nie będzie

robił głupich dowcipów jej pierwszemu chłopakowi. Nie usłyszy od mamy, że powinna włożyć czapkę, a od taty, że trzynaście lat to stanowczo za wcześnie na makijaż. Rodzice nie pogratulują jej dostania się do liceum, a jeśli Nina będzie miała pecha, także zdania matury i skończenia studiów. Przy odrobinie szczęścia zobaczy ich za parę lat, kiedy i oni, i ona będą innymi ludźmi – to wszystko, na co mogła liczyć.

Może Lis mówił prawdę i faktycznie nie było w tym jego winy, a może nie. W tej chwili nie miało to znaczenia. Wciąż padał deszcz, powietrze w kościele zgęstniało od magii, ciężkie dębowe ławki poruszyły się lekko. Porucznik Lis czekał cierpliwie. Nina odruchowo uniosła dłoń do twarzy, ale tym razem nie znalazła tam krwi płynącej z nosa. Cokolwiek blokowało jej moc, właśnie przestało działać. Mogłabym rozwalić cały ten kościół, pomyślała dziewczyna, i przez krótką chwilę była tego niepokojąco bliska. Tylko co by to dało?

Chwila minęła, napięcie opadło.

– Idziemy? – zapytał Lis, jakby nic się nie stało.

Dołączyli do czekającego przy wyjściu Huberta, wsiedli w samochód i pojechali dalej.

Zatrzymali się dwie godziny później w niewielkim miasteczku. Pierwszy wysiadł chłopak. Zabrał z bagażnika swój plecak, pożegnał się z Niną i ruszył w stronę budynku z czerwonej cegły. Towarzyszył mu krępy mężczyzna w zakonnym habicie.

– To szkoła klasztorna – powiedziała Nina.

– Nie da się ukryć – przyznał Lis. – Twoja, czyli żeńska, jest po drugiej stronie miasta.

– Jesteście komunistami i oddajecie nas do klasztornej szkoły?!

– To jedyne dwie szkoły z internatem przyjmujące nastolatków w waszym wieku, wszystkie pozostałe są dla uczniów liceów albo techników.

– Jestem ateistką.

– Poradzisz sobie, wierzę w ciebie.

Nina zacisnęła usta. Pięć minut później zabrała swoją walizkę i wysiadła. Miła pulchna zakonnica już czekała przed budynkiem, moknąc na deszczu. Dziewczyna nie pożegnała się, tylko poszła w jej stronę. Samochód za nią ruszył, koła zazgrzytały na mokrym żwirze podjazdu, raz a potem drugi, gdy kierowca wycofywał auto. Nina nie oglądała się – po co miałyby to robić?

Tutaj czekało ją nowe życie, przynajmniej przez jakiś czas wolne od Lisa i jego towarzyszy.

Wtedy, jak na złość, dopadła ją przeszłość.

Ta chwila wahania w kościele, nim porucznik przytaknął, że owszem, Nina oficjalnie nie żyje. I dzień, kiedy dostała czerwoną kartkę, a potem kulila się pod drzwiami, nasłuchując stukotu butów. Co powiedzieli tamci mężczyźni?

„Przyszliśmy po czerwone kartki”. A później: „...zgadza się?”. Jak brzmiało brakujące słowo?

Ku zdumieniu zakonnicy Nina rzuciła walizkę, odwróciła się na pięcie i pobiegła w stronę samochodu, który ruszał właśnie z podjazdu. Uderzyła dłońmi w okno od strony kierowcy. Lis zwolnił i opuścił szybę.

– Co się stało? – zapytał.

– Oni wymienili liczbę – powiedziała.

– Jacy oni i jaką liczbę?

– Ci, którzy przyszli po dzieci z czerwonymi kartkami. Powiedzieli: „Sześcioro, zgadza się?”. To znaczy, że ktoś umarł za mnie, tak? Bo przecież nie mogli zabrać pięciu osób zamiast sześciu, to nie jest liczba, przy której można się pomylić. Wziął pan moją kartkę i przyczepił ją komuś innemu? Komuś, kto wcale nie miał umrzeć?

– Nonsens, musiałaś źle usłyszeć. Poza tym pomyśl chwilę: gdybym dał komuś twoją kartkę, po co bym cię później ukrywał na trzecim piętrze? Idź do środka, jesteś cała mokra, a ta zakonnica i tak już patrzy bardzo podejrzliwie.

Nina odsunęła się od samochodu, Lis ruszył i chwilę później zniknął dziewczynie z oczu. Wróciła do zakonnicy, która naprawdę patrzyła podejrzliwie.

– Zapomniałam się pożegnać – powiedziała Nina, podnosząc walizkę.

Argument porucznika brzmiał przekonująco – tak myślała przez pięć kolejnych sekund. W szóstej uświadomiła sobie, że brzmiałyby w przypadku pozostałych kodów, ale nie Niny, Tamary, Jacka czy Huberta. Bo oni, wbrew temu, co myślała wcześniej dziewczyna, wcale niekoniecznie byli anonimowi, ich ucieczka prawdopodobnie sprawiła, że stali się rozpoznawalni. A jeśli Nina awansowała z „kodu 77WR” na „tę dziewczynę, która próbowała uciec”, to trzeba było ją ukryć – na wszelki wypadek, gdyby Ćma pochwaliła się, że dała czerwoną kartkę „tej dziewczynie”, a potem ktoś by Ninę zauważył we wspólnej sali. Oczywiście wtedy liczba więźniów by się nie zgadzała – tylko czy naprawdę tuż przed atakiem upiorów Wydra i Żuk mieli głowy do porządnego liczenia? Może Lis znalazł jakiś sprytny sposób, żeby rachunek

jednak się zgadzał, może...

Mogła rozpamiętywać te wszystkie „może”, a mogła też zepchnąć w głąb umysłu wątpliwości i na chwilę przynajmniej uwierzyć Lisowi.

Przekraczając próg nowej szkoły, Nina wybrała wiarę.

Redakcja: Dorota Pacyńska
Korekta: Anna Sidorek, Sylwia Ciuła

Ilustracje i projekt okładki: Dominik Broniek

Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-372 Warszawa, ul. Foksal 17

tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-2140-2

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://GrupaWydawniczaFoksalSp.zo.o.)

i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o.)

virtualo